

Michał Śmielak w doskonale
skonstruowanej historii kryminalnej,
która wciąga czytelnika w sieć
mrocznych zakamarków ludzkiej
natury. Ciąg dalszy historii
podkomisarz Igi Ziemnej.



MICHAŁ
ŚMIELAK

GLEBA

W małym mieście małe tajemnice
doprowadzają do wielkich tragedii



ŚMIELAK
MICHAŁ

GLEBA

MICHAŁ
ŚMIELAK

GLEBA



KRAKÓW 2023

Copyright © 2023 MICHAŁ ŚMIELAK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA

Fotografia wykorzystana na okładce:

GABRIELA ALEJANDRA ROSELL / ARCANGEL

Fotografia wykorzystana wewnątrz okładki:

PAULINA I ŁUKASZ BRZOZOWSCY

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-35-8



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Epilog

Od autora

Przypisy

ROZDZIAŁ 1

25 kwietnia 2023 roku

1.

Aleje Jana Pawła II, Stalowa Wola

Godzina 5.30

Dobrotliwą twarz starca przecinały krwiste smugi, nadając świętobliwemu wizerunkowi upiorność. Na bladej skórze królowała czerwień, zalepiała przymknięte oczy, lśniąc w ostrym porannym słońcu. Oblepiała liturgiczne szaty i nawet krzyż trzymany w mocno zaciśniętych dłoniach. Ktoś nie miał litości dla kapłana, potraktował go z całą bezwzględnością, bez odrobiny szacunku dla pełnionej funkcji.

Gleba patrzyła na zastaną sytuację z niesmakiem, zdając sobie sprawę, jak zburzy to spokój lokalnej społeczności, gdy ten cały podkarpacki tłumek zacznie szumieć i wygrażać policji, że dopuściła do tak straszliwej zbrodni. Cała Stalowa Wola będzie huczeć, grzmieć od wyrazów oburzenia. Właściwie już się zaczęło, ludzie zebrani pod marketem Carrefour komentowali wydarzenie z zatroskanymi minami, ktoś się przeżegnał, jedna staruszka całowała co chwilę owinięty wokół pomarszczonej dłoni różaniec. Skąd się tutaj wzięli o tej godzinie?

– Dobrze mu tak – rzucił przechodzący mężczyzna z psem.

Tłumek odpowiedział gniewnymi spojrzeniami i kilkoma uwagami typu „wstydzilibyś się pan” i „spieprzaj stąd”. Facet nie zatrzymał się, poszedł dalej, próbując okiełznać psa na smyczy, chyba boksera, Gleba nie znała się na psich rasach. Dobrze, że było tu już kilku mundurowych, co działało na gęstniejącej tłum uspokajająco.

Na parking zajechał z piskiem opon opel insygnia, ze środka wyskoczył Marian Szatkowski, prezydent miasta. Spojrzał na twarz ofiary, przecięte czerwonymi smugami spokojne oblicze, i trzymany przez niego w dłoniach krzyż. Gleba uśmiechnęła się tylko kącikiem ust, aby nikt tego nie zobaczył – przecież w takiej sytuacji nie wypada – ale pomyślała, że krzyż, na którym zmarł Chrystus, w rzeczywistości pewnie też spływał krwią, a dziś nikt tego tak nie przedstawia. Ludzie zebrani pod wejściem do sklepu na widok polityka nieco głośniejszą zaczęli wyrażać oburzenie, ich poranna wyprawa po bułki została brutalnie przerwana makabrycznym widokiem, który na długo odmieni oblicze tej ziemi.

– Kto... – zaczął Szatkowski, przełykając głośno ślinę i wskazując wysoko palcem, jakby nikt inny nie dojrzał efektów działań przestępcy i to on osobiście musiał wszystkim wskazać miejsce zbrodni. – Kto to zrobił?

– Nie wiem – odparła Gleba, wzruszając ramionami.

– Trzeba ustalić sprawcę, szybko, natychmiast, skazać! – mówił, podnosząc głos z każdym kolejnym wyrazem. – Wszystko musicie zostawić i zająć się tą sprawą. Wszystko! Nie ma obecnie innego priorytetu jak ta zbrodnia!

– Nie. – Podniosła papierowy kubek z kawą, upiła łyk. To była dobra kawa.

– Co? – Okręła twarz prezydenta poczerwieniała. Blond włosy nieco się nastroszyły, a z bladoniebieskich oczu niemal wystrzeliły pioruny. – Jak śmiesz?!

– Ja jestem z wydziału kryminalnego – powiedziała Gleba spokojnie. – Nie będę uganiała się za wandalami.

– To jest nasz papież! – krzyczał prezydent.

– No, wasz – odpowiedziała i znowu upiła łyk kawy.

Spojrzała na olbrzymi mural zdobiący ścianę bloku przy Jana Pawła II czterdzieści osiem w Stalowej Woli. Swego czasu jego powstanie było różnie komentowane w całym kraju, ale nie tutaj. Pojedyncze głosy sprzeciwu tonęły w morzu uniesienia, jakby miejscowi mieli się za ostatni bastion prawdziwych katolików w laicyzującej się Polsce, takie małe podkarpackie przedmurze chrześcijaństwa. Obraz zadumanego papieża, opierającego swe zatroskane czoło na charakterystycznym krzyżu, zajmował całą ścianę jedenastopiętrowego bloku i był dumą lokalnych władz. Aż do tej nocy.

Pod osłoną zmroku ktoś oblał go czerwoną farbą, na dole dopisując: „Obrońca pedofilów”. Musiał korzystać z jakiejś sprytnej wyrzutni albo drona, bo ściana wysokiego bloku lśniła czerwienią od góry do dołu. Szkarłatna skaza spływała kilkoma paskudnymi zaciekami aż na chodnik. Sprawca wykazał się niezłą pomysłowością. Może zrobił to z dachu? W sumie ciekawe, ale nie należało do jej zadań.

– Przecież za to grozi kryminał – wycedził przez zęby Szatkowski. – Kryminał!

– Zależy, z jakiego paragrafu prokurator postawi zarzuty – odparła Gleba. – Ale raczej grzywna będzie.

– Co?

– O ile go złapią.

Prezydent chyba kłął w myślach dużo bardziej niż na głos, bo jego usta poruszały się, mrugał nerwowo i zaciskał pięści. No tak, dookoła stali wyborcy, musiał wyrazić oburzenie, ale nie mógł przesadzić.

– Posłuchaj mnie – powiedział, podchodząc do Gleby tak blisko, że poczuła nieświeży zapach z jego ust. – Za tydzień jest trzeci maja. Wiesz, co to za dzień?

– Środa – odparła szybko. Miała akurat wyjechać na weekend do Warszawy.

– Dobrze wiesz, nie pajacuj – wycedził Szatkowski, a smród z jego ust zrobił się jeszcze mocniejszy. – Majówka się zaczyna, ma do nas przyjechać premier, a może nawet i prezydent, kto wie. Ustalamy. I biskup! Nie może to tak być zostawione! – Wskazał palcem na mural.

– Mało czasu – odparła z westchnieniem.

Nie mogła znieść tego nieświeżego zapachu z ust Szatkowskiego, najpewniej został wyrwany ze snu i na szybko opuścił ciepłe łóżko, nie dbając o poranną toaletę. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do swojego samochodu, gdzie miała termos z kawą. Niestety, kubek będący zakrętką gdzieś zgubiła i musiała korzystać z kartonowych, podprowadzonych ze stacji Orlen.

Prezydent chciał ruszyć za nią, ale dopadł go jakiś lokalny dziennikarz, prosząc o komentarz w tej bulwersującej sprawie. Słyszała, jak zadaje pytania, a Marian Szatkowski wyćwiczonym głosem udziela odpowiedzi. Na widok dziennikarza twarz włodarza miasta zamieniła się ze wściekłej w poważną, jakby ktoś przesunął palcem po ekranie smartfona. Nie skupiała się jednak na tym. Na pewno gwarantował, obiecywał, wyrażał oburzenie, a może i ubolewanie. Pies go srał.

– Nie mogłaś go po prostu olać? – zapytał Daniel Witczak, stając przy drzwiach jej samochodu.

– No przecież olałam.

– Ale tak z klasą, powiedzieć, że to straszne, ale to nie jest robota dla kryminalnych, ale koledzy na pewno ujmą sprawcę i tak dalej.

– Wiesz co, może przygotuj dla mnie wspólnie z kolegami taki słownik, jak powinnam rozmawiać z lokalnymi władzkami. Kiedy pochylać głowę, spuszczać wzrok, co obiecać i jak się odzywać, żeby nikogo nie urazić. Wiesz, to trudne dla kogoś, kto przybył z zewnątrz i nie rozumie tych wszystkich feudalnych zależności. Gdzieś tam, w innej rzeczywistości, w mieście nazywanym Warszawa, politycy zajmują się tym, do czego ich stworzono: wciskaniem ciemnoty i bogaceniem się. Policja natomiast łapie wszystkich innych. Prosty układ.

– No tak, u nas w Warszawie.

– A żebyś wiedział.

– Oj, Iga, rok tu siedzisz, a ciągle dziwisz się światu.

– Kawy? – zaproponowała koledze z dochodzeniówki, a ten skinął głową.

Wyciągnęła z uchwytu świeży papierowy kubek i nałala mu do połowy. Daniel był naprawdę dobrym policjantem, świetnym kolegą, ale też był stąd, ze Stalowej Woli. Tutaj się wychował i pełnił służbę od pierwszego dnia swej policyjnej kariery.

– W sumie ciekawe, jak ten gość to zrobił. – Policjant wskazał kubkiem zniszczony mural. – Przecież na to kupa farby musiała pójść. Kilkadziesiąt litrów.

– Złapiesz go, jestem pewna.

– Muszę – westchnął z rezygnacją. – Zniszczył wizytówkę miasta.

– Daniel! Przywołuję cię do porządku! – podniosła głos.

– Co?

– Jakie zniszczył? Co ty bredzisz. Zbez-szcze-ścił! – wycedziła, akcentując każdą sylabę. – Powtórz po mnie, bo to ciebie wyjebią.

– Zbezczęścił – powtórzył i zaczął się śmiać.

– Uważaj, żeby nie podniósł ręki na drugi symbol miasta, czyli pomnik wiedźmina – dodała, mając na myśli olbrzymią figurę na największym skrzyżowaniu w mieście, niezmiennie kojarzącą się jej z białowłosym wojownikiem mordującym kolejne hordy potworów.

– To jest pomnik patrioty – odparł, wciąż się uśmiechając.

– Bez kominiarki na głowie i dymiącej racy w dłoni?

Umilkli na chwilę, słychać było tylko siorbanie z kubków.

– Ładna kurtka – rzucił z uśmiechem Daniel, przyglądając się z boku koleżance.

Uśmiechnęła się szeroko i obróciła dookoła niczym modelka.

– Dwa tygodnie temu komendant mi przysrał, że jak taki ze mnie warszawski policjant, to powinnam nosić jak oni skórzaną kurtkę. No to kupiłam.

– Różową? Nie mieli czarnych?

– Jestem kobietą, Danielku, od dzieciństwa pchaną w różowy świat.

– Śliczna – powiedział z uznaniem. – Nadaje ci charakter, wiesz, te czarne włosy, brązowe oczy, uśmiech złościcy i ten róż. Co na to komendant?

– Wkurwiony jak osa. Kosztowała fortunę, ale warto było.

Pamiętała, jak pierwszy raz spotkali się z Danielem, był piątek i siedzieli w małym pokoju socjalnym. Rano ją przedstawiono, informując bez ceregieli, że została oddelegowana z Warszawy do pracy w ich jednostce. Komendant niemal opowiedział, dlaczego tutaj trafiła, że to kara za spapranie ważnej sprawy w komendzie stołecznej i musi teraz odsłużyć swoje, jakieś dwa lata, a potem będzie mogła wrócić do stolicy. O ile niczego znowu nie spieprzy.

W pokoju socjalnym Daniel przedstawił siebie i kolegów, imionami, nazwiskami i ksywami. Ona też powiedziała, że co prawda nazywa się Iga Ziemna, ale niech mówią do niej Gleba. No i mówili. Wszyscy wydawali się mili. Najgorsze, że czas pokazał, że faktycznie tacy byli. W każdym razie po odbębnieniu niezbędnych formalności poinformowano ją, że w piątki zawsze zamawiają wspólny obiad, taka tradycja. Jako jedyna nie zamówiła ryby, tylko schabowego, czym wywołała niemałe poruszenie. Daniel wziął ją pod ramię i z delikatnym uśmiechem wytłumaczył jej szeptem, że przecież jest piątek i nie jemy wtedy mięsa. Myślała, że robią sobie z niej

jaja, że to takie otrzęsiny, zmieni zamówienie i wszyscy zaczną się śmiać i klepać po ramionach, ale nie, on był poważny. Od tej pory zawsze zamawiała w piątki mięso, a w Wielki Piątek na śniadanie przyniosła pęto swojskiej kiełbasy, której zapach unosił się po komendzie cały dzień. Trochę miała do siebie pretensje, że koledzy byli dla niej mili, pomocni i uczynni, a ona musiała być jednak Glebą, tą twardą, wypełnioną ironią i złośliwością dziewczyną. Jednak nie potrafiła inaczej. A może bała się, że pobyt na prowincji ją zmieni i wróci do stolicy inna, miękka, z wygaszoną ambicją?

– A jeśli cię nie wezmą z powrotem do Warszawy? – zapytał teraz Daniel, popijając kawę z papierowego kubka.

– Poproszę o przeniesienie na inne zadupie.

– Jesteś u nas tak jakby za karę, co nie? Jeśli będziesz pyskować Szatkowskiemu, to ten poprosi komendanta, żeby napaskudził ci w papierach. Nigdzie cię nie przeniosą.

– To odejdę.

– Nie zrobisz tego – powiedział z pewnością. – Ty jesteś pies z urodzenia. Ta robota powstała z myślą o tobie, Iga. Jesteś najlepsza.

– Jestem.

– Więc odpuść.

– Wiesz, dlaczego jestem najlepsza?

– Talent?

– Nie, Danielku, bo nie odpuszczam. Nikomu.

– Tylko taką grasz, a tak naprawdę to jesteś fajna dziewczyna. Wszyscy cię lubią na komendzie, a ciebie to wkurwia. Jesteś tutaj w ramach pokuty, chcesz cierpieć, ale ci tu dobrze.

Nie było jej tu dobrze. Żadnych poważnych spraw, chociaż przestępczość dość wysoka i wciąż rosła. W dodatku mieszkańcy uwielbiali załatwiać swoje porachunki za pomocą noży. Wszędzie nos wtykali księża, radni i sam prezydent, który był chorążyym obozu rządzącego. Płaskie, nudne miasto. O tak, nudne. Nudą wiało na ulicach, w knajpach i kartotekach. Idealne miejsce dla kogoś, kto chciał sobie tutaj doczekać do emerytury, ale nie dla niej. Z każdym dniem miała coraz większe poczucie zmarnowanego czasu.

Westchnęła i upiła łyk kawy. Zadzwoił jej telefon, odebrała machinalnie.

– Ziemna – rzuciła do słuchawki.

Głos w telefonie mówił szybko, z ekscytacją, niemal na jednym wdechu. Gdy Gleba się rozłączyła, spojrzała na Daniela.

– Jadę. Mamy trupa.

– Gdzie?

– Kulochwyty. Wiesz, gdzie to jest?

– Ta. Pojechałbym z tobą, ale jedyny słuszny papież czeka na rozwiązanie zbrodni stulecia – westchnął. – Daj telefon. Wbiję ci w GPS.

Podowała mu smartfon, a on zaznaczył miejsce, do którego miała dotrzeć.

– Dzięki. I powodzenia.

Zobaczyła, jak prezydent Marian Szatkowski po skończonym wywiadzie ruszył w ich stronę. Daniel wyszedł mu kilka kroków na spotkanie, ale ten minął policjanta i szedł mocnym, wkurwionym krokiem w jej kierunku. Trzasnęła drzwiami, odpaliła samochód i ruszyła energicznie. Spojrzała z satysfakcją w lusterko wsteczne, jak polityk coś krzyczy i wskazuje swoje buty.

2.

Kulochwyty, Stalowa Wola

Godzina 6.30

Miejsce nazywane przez tutejszych „kulochwydami” okazało się dawną strzelnicą, na której testowano niegdyś świeżo wyprodukowaną broń. Pamiątka pięknych czasów, gdy Stalowa Wola była gigantem produkcyjnym w obszarze broni i sprzętu ciężkiego. Dziś owo ciekawe miejsce stało się nieformalnym punktem spotkań wszystkich chcących zakosztować wszelkiego rodzaju używek oraz szybkiego seksu. Opuszczone betonowe budynki oraz dziko rosnące drzewka i krzaki strzegły wszystkich przed wzrokiem obcych. Same kulochwyty były budynkami z żelbetu o wysokości około dziesięciu metrów, przypominającymi garaże bez bramy wjazdowej, na oko zdolne pomieścić autobus.

Wszechobecne śmieci informowały, że bywalcy mają olbrzymie pragnienie, jednocześnie nie dysponując zbyt dużymi możliwościami finansowymi. Królowały najtańsze piwa, nalewki spirytusowe i szkło po wódkach urągających podniebieniu każdego człowieka posiadającego chociażby ślad kubka smakowego. Taka ilość napojów poszerzających granice poznania skutkowała niesamowitą ekspresją artystyczną, to, co wlało się gębą, wylewało się na ściany głównie w postaci malowideł naściennych opisujących, kto, z kim i w jaki sposób będzie odbywał stosunki płciowe, zdarzały się kąśliwe uwagi dotyczące sytuacji politycznej w kraju i za granicą, jak i wyrazy zwątpienia w krystaliczną i bezinteresowną służbę policji. Jeśli wykreślić wulgaryzmy, nie zostałyby nic prócz jednego serca namalowanego chyba w jakimś porywie romantyzmu. Olbrzymie bramy kulochwytdów były niczym szeroko otwarte betonowe paszcze, czarne, ziejące bezzębnością minionych czasów, którą wypluły i od tej pory głodowały w samotności.

Trup zwisał właśnie z takiej bramy, z kostką lewej nogi obwiązaną łańcuchem, głową w dół, metr nad ziemią. Mężczyzna był ubrany grubo i niechlujnie, buty miał

zniszczone, ewidentnie bezdomny lub włóczęga. Twarz zalana szernią krwią, która szukała jak najkrótszej drogi ucieczki do gruntu z szeroko rozciętego gardła. Spływała na podbródek, przedzierając się przez posklejaną teraz brodę i długie włosy, całość wyglądała jak nieumyty pędzel, zostawiony przez zapominalskiego majstra po remoncie. Prezentował się paskudnie. No i śmierdział tak, jak mają to w zwyczaju wszelkiej maści lumpy – odorem zapomnianych melin, niemytego od lat ciała i lęgnącego się w ich ranach robactwa.

Gleba musiała przyznać, że było w tym coś ze sztuki, ten brudny, okrwawiony trup pasował do tego miejsca, z całym tym rojem much i smrodem włóczęgi, słodkim i wyciskającym łzy z oczu, idealnie komponował się z niszczącym betonem, wymalowanymi kutasami, kulfoniastymi hasłami typu HWDP i JP100%, oszczanymi ścianami i stertami śmieci. Może trafił się jej jakiś morderca z artystycznym zacięciem?

Sam trup skojarzył się jej z jedną z kart tarota, wisielcem, który przecież był przedstawiany dokładnie w taki sposób, powieszony głową w dół za jedną nogę. Byleby to nie był jakiś maniak, który wymyślił sobie oryginalny sposób mordowania zgodnie z tymi kartami. Ile ich tam było, z pięćdziesiąt?

Podeszła bliżej, na miejscu byli już technicy, czterech mundurowych policjantów i Karol Damięcki, funkcjonariusz z jej wydziału w stopniu aspiranta. Młody, ambitny, z ciśnieniem na karierę, pracował raptem od trzech miesięcy i nie trafił jeszcze na świeżego trupa. Niewątpliwie czekała go szybka podróż na wysoki stołek, jego matka była europosłanką, więc zaplecze miał mocne, szybko też zaczęto nazywać go Brukselką. Najgorsze, że podobno gnojek zdawał sobie sprawę ze swoich pleców i nosił dupę stanowczo za wysoko nie tylko jak na gust policjantów z komendy. Gleba akurat mijają się z nim i właściwie do tej pory wymienili raptem parę zdań.

– Pani podkomisarz jeszcze na służbie? – zapytał z uśmiechem. No cóż, była znana z tego, że nie brała nadgodzin i bardzo ochoczo wybierała dni wolne. Przeciwnie niż Damięcki, który siedział w pracy niemal całą dobę.

– Miałam już spadać, ale jest trup, komendant powiedział, że musi się tym zająć ktoś z głową na karku – odparła.

– Ja to wezmę – rzucił szybko. – Pierwszy tu dotarłem po zawiadomieniu.

– Kto zawiadomił?

– Anonim – odparł młody. – Dyspozytor powiedział, że miał wschodni zaśpiew, może jakiś nielegalny Ukrainiec.

– Może.

– To mam brać tę sprawę? – zapytał Karol z pewnością w głosie, która trochę nie spodobała się Glebie.

– Nie – odpowiedziała. Minęła go i podeszła do mundurowych.

– O, Gleba – powitał ją szerokim uśmiechem starszy aspirant Paweł Wierzba. Był chyba dzielnicowym tego rejonu.

– Dzwoniłeś, więc jestem – odparła, odwzajemniając uśmiech.

– Pewnie, że dzwoniłem, bo to coś w sam raz dla ciebie. Martwy żul.

– Tak wysoko mnie cenisz?

– Żul jak żul. – Machnął ręką. – Ale co mu tu zrobiono, dziewczyno kochana. Zwiesili go za nogę, potem podcięli gardło. Sprawili gościa jak wieprzka.

– Oni?

– No w jednego byłoby ciężko. Ziomek waży swoje, całkiem rosły okaz lokalnej fauny, *Lumpus Pijacus*. Nazywali go Posejdon.

– Król mórz i oceanów? – zdziwiła się. – Był marynarzem czy co?

– Nie – zaprzeczył Wierzba. – Rzucił się kiedyś na żonę z widłami.

– Jest fantazja w narodzie – skomentowała Gleba ze śmiechem. – Czyli taki klasyczny miejscowy pijaczek?

– I tak, i nie – odpowiedział Wierzba.

– Pani nie zna lokalnych terenów – wszedł mu w słowo Damięcki. – Tutaj trzeba kogoś swojego, ze stalówki, pani podkomisarz. Ja wezmę tę sprawę.

– A co, zlecenie z Brukseli przyszło? – zapytała Gleba i od razu spojrzała na Wierzbę. – Co dokładnie masz na myśli?

– No bo tu mamy część przemysłową miasta... – powiedział mundurowy, patrząc, jak Damięcki odchodzi szybkim krokiem, mrużąc coś pod nosem. – Może lepiej do niego nie fikać, co? Chłopak może nabruździć.

– Całe życie pod kloszem, przyzwyczajony, że jego życzenia są rozkazem, co nie? – zapytała Gleba. – To tchórz.

– Nawet taki ktoś może być groźny.

– Niech spierdała. – Gleba machnęła lekceważąco ręką.

– Iga, nie zrozum mnie źle, wpadłaś tu z Warszawy, przyjęliśmy cię jak swoją, ale niedługo znowu mykniesz i tyle cię będziemy widzieć. My tu zostaniemy. Z tym dupkiem, jego mamusią i tatusiem, układami i zależnościami.

– Masz rację – westchnęła. – Przepraszam, będę się na nim wyżywać nie w waszej obecności.

– Pokorne dzięki – odparł Wierzba.

– No to mów, co z tym Neptunem?

– Posejdonem – poprawił ją. – Ogólnie to świeży jest w mieście, jakoś tak pierwszy raz widziałem go ze dwa lata temu. Nie kręcił się tutaj, bo to nie miejsce do szwendaczki. Operował raczej na śródmieściu, krążył po parku, koło marketów,

McDonalda, Orlenu. Na kulochwyty to raczej przyjeżdża młodzież na rowerach, skuterach, czasem starsi na ruchanko, żule tu nie bywają.

– Czyli ktoś go przywiózł?

– Na to wygląda. To dobra miejscówka, że tak powiem. Ciemno, daleko od miasta, w pobliżu tylko zakład produkcyjny IKEA, ale tam wiecznie głośno. Nawet jeśliby ktoś krzyczał, to ochrona z zakładu nie zwróci uwagi, bo tu często jest imprezowane.

– Czyli jest zakład produkcyjny, a ten pewnie ma kamery, tak? – zapytała.

– Ma, ale tutaj można dojechać z drugiej strony. Droga przez las na tyle szeroka, że samochód przejedzie.

– Jednak sprawdźcie mi monitoring.

– Czekamy, aż podadzą nam godzinę zgonu, czy sprawdzamy całą nockę?

– Jak masz kim robić, to niech sprawdza całą. Albo czekaj. Podreperujemy lokalne stosunki.

Odwróciła się w kierunku wjazdu na polanę i zobaczyła, że Damięcki siedzi na masce radiowozu z naburmuszoną miną.

– Karol! – krzyknęła.

Chłopak podniósł się i ruszył w jej stronę. Szedł jak na ścięcie, pewnie spodziewał się kolejnych szyderstw i przytyków.

– Serio? – zapytał z westchnieniem Wierzba, widząc, jak chłopak zmierza w ich kierunku, po czym przystaje i prostuje się niczym do komendy „baczość”.

– Zajmiesz się ze mną tą sprawą – poinformowała Gleba Damięckiego. – Faktycznie, potrzebny jest ktoś lokalny. Skocz do zakładu IKEA i zabezpiecz monitoring z tej nocy, rozpytaj ochronę, czy działa się coś szczególnego. Przejeźdź trasę do śródmieścia i zobacz, gdzie są jakieś kamery dające szansę na ciekawe ujęcia. Szukamy samochodu, w którym mogłoby się zmieścić ciało.

– Robi się! – Chłopak skinął głową z entuzjazmem.

– Chcesz być na sekcji?

– Jasne!

– To ogarnij kamery i widzimy się na komendzie. Po obiedzie skoczmy na krojenie, nie sądzę, aby mieli coś pilniejszego do roboty.

– I pamiętaj o Wampirze! – rzucił Wierzba.

Chłopak machnął lekceważąco ręką, po czym zawinął się na pięcie i ruszył dziarsko w stronę radiowozu, za nim podążył jeden mundurowy.

– O czym? – zapytała Gleba.

– Taka legenda krążąca sobie wśród lokalnej patologii – wyjaśnił dzielnicowy. – Jak któryś z meneli albo żuli zaginie, to że niby Wampir na nich poluje. Morduje ich i wrzuca na rynek handlu organami do przeszczepu. Tylko kto by chciał ich wątrobę

albo płuco, litości. Zresztą pieprzą tak od lat, nie znaleziono nawet pół ciała. Ci ludzie często gdzieś wyjeżdżają na inne meliny, czasem umierają w zapomnieniu, trafiają na odsiadkę, różnie bywa.

– No to niech się młody wykaże, ma prosty materiał – stwierdziła Gleba. – Idealny, żeby pouganiać się za wampirami.

– Ile to entuzjazmu w młodym człowieku – zakpił Wierzba, wskazując ruchem głowy w stronę Damięckiego. – Ale serio, sekcja po obiedzie? Aż taka jesteś wredna?

– Namówię go na schabowego, wieprzowina trawi się pięć godzin, ciężko wychodzi – powiedziała. – A ty mów, co tu według ciebie się wydarzyło.

– No nie są to raczej żadne porachunki – odpowiedział Wierzba. – Takie rzeczy załatwiają na melinach, dając sobie po mordach, czasem pójdzie w ruch butelka, bywa, że nóż. Posejdon był przyjazny, nie zaczepiał ludzi, zbierał puszkę, butelki. Właściwie nigdy nie miałem z nim problemów. Nie nagabywał klientów pod sklepami, nie straszył dzieci, pojawiał się na rejonie raczej z rana albo po zmierzchu. Nieszczęśliwy człowiek, któremu w życiu nie wyszło.

– Kim był w dobrych czasach?

– Nie wiem. Właściwie to dość tajemniczy gość. Podobno nie lubił opowiadać o sobie i nie był stąd. Kiedyś się pojawił i już. Opowiedział, jak to żona wygoniła go z domu, bo rzucił się na nią z widłami, no i szybko dorobili mu odpowiednią ksywę. Od tej pory stała szychta na rejonach, coś tam wyżebrać, potem to przepić, gdzieś przenocować. Coś tam zarobić, potem się znieczulić i od nowa.

– A ta żona, co ją zaatakował widłami?

– Tak mówią, ale czy ją ktoś kiedyś widział, tego nie wiem – odparł, wzruszając ramionami. – Ale popytam.

Patrzyli przez chwilę w ciszy na wiszące zwłoki i techników, którzy praktycznie już byli gotowi do rozpoczęcia pracy na miejscu zbrodni.

– Przypomina trochę wisielca z tarota – odezwała się Gleba.

– Nie – odpowiedział dzielnicowy. – Ręce mu zwisają, a powinien mieć zawiązane na plecach, w dodatku wisi za lewą nogę, nie prawą, a druga powinna być zgięta w kolanie, a tutaj po prostu wisi.

– Aspirancie Wierzba, ale mi pan zaimponował w tej chwili – skwitowała ze śmiechem Gleba. – Marnuje się pan w tej przewencji.

– Żona wierzy w te bzdury – odpowiedział dzielnicowy, zdejmując czapkę i drapiąc się po głowie. – Na okrągło ogląda w telewizji kanały z wróżbami. Ja sobie mogę tylko przełączyć na mecz, ale ta i tak zazwyczaj mi mówi, ile będzie, bo podobno wywróżyła sama z kart. Jeden temat ma z koleżankami, więc znam sprawę dość dobrze.

– Mówisz, że bzdury?

– Wyniku meczu nigdy nie trafiła – powiedział, śmiejąc się. – No ludzie kochani. Wystarczy spojrzeć na tych pseudowróżów, wszyscy poubierani, jakby obrobili sklep z ciuchami dla arabskich księżniczek, jaka to wiarygodność? Jeśli ktoś wierzy, że namalowane na kartonikach obrazki przewidzą mu przyszłość, to nie powinien trafiać do telewizji, ale do najbliższej poradni zdrowia psychicznego. Ja rozumiem, że kiedyś tam, w średniowieczu, lud ciemny był i w magię wierzył, ale teraz?

– Skoro nie porachunki, nie jakiś maniak od tarota, to co? – zapytała Gleba.

– Na moje to jednak maniak – odpowiedział Wierzba. – Wypatrzył ofiarę, przywiózł tutaj, zaszlachtował i spokojnie wrócił do bycia poczciwym człowiekiem. W jakimś dużym mieście, może w Ameryce nawet, to pewnie byłby początek ataków seryjnego mordercy, ale nie u nas. W Stalowej, jeśli trafiłby się seryjniak, to byłby nudny jak flaki z olejem.

– I przestrzegaj postu – dodała Gleba.

– To na pewno – zaśmiał się Wierzba. – A co ty myślisz?

– Ktoś tu zadał sobie sporo trudu, żeby nam przygotować to wszystko. – Wskazała budynek i wiszącego Posejdona. – Odłowił go na mieście, brudnego i śmierdzącego. Przywiózł tutaj, zawiesił na łańcuchu, podciął gardło. Zainwestował czas, środki, miał pomysł, nie bał się nakrycia. To nie takie znowu odludzie. Skąd wiedział, że jest tu pusto? Przyjechał wcześniej?

– Seryjny?

– Rzadko atakują mężczyzn, a jeśli już, to najczęściej z podtekstem seksualnym. Mocno bym się zdziwiła, gdyby tutaj zaszła taka okoliczność, oj, mocno. Gdyby to była dziewczyna, młody mężczyzna albo dziecko, to tak, wielce prawdopodobne. No nic, musimy poznać przeszłość naszego Posejdona, może to krwawa zemsta za jakieś jego wyczyny, to bym obstawiała. Może grupka dzieciaków chciała się zabawić i zapolowała na bezdomnego, ale sprawy poszły za daleko? Takie przypadki się zdarzają.

– Można zaczynać? – zapytał szef techników, spoglądając na Glebę.

– Czyńcie swoją powinność – odparła. – A ty chodź, zabierzesz mnie na kawę – powiedziała do Wierzby. – Czeka mnie długi dzień.

Zadzwoił jej telefon, rzuciła okiem na wyświetlacz. Dobijał się jej przełożony, inspektor Franciszek Andrzejczak.

– No i spokój zburzony – westchnęła, odbierając.

Jeszcze nie wiedziała, jak bardzo ma rację.

3.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 9.00

Inspektor Franciszek Andrzejczak, komendant powiatowy policji w Stalowej Woli, był człowiekiem, który lubił konkrety, więc szybko porozumieli się z Glebą co do jej losów w podległej mu jednostce. Ma robić swoje, raczej sprawy poboczne, a po dwóch latach wraca do stolicy. Układ był jasny i, co najważniejsze: zdrowy. Gleba nie przybyła tu zbawiać świata i nikt tego od niej nie wymagał.

Bardzo podobnie sprawy miały się z naczelnikiem wydziału kryminalnego, komisarzem Szymonem Bednarskim. Był to porządny policjant, oddany swej robocie, w dodatku lokalny działacz społeczny, pracował z trudną młodzieżą, ucząc jej boks i organizując obozy sportowe. Nie chciał kłopotów, cenił święty spokój zarówno w pracy, jak i na ulicy. Niestety, zdarzały się ekscesy, jak chociażby trzy trupy po wymianie uprzejmości za pomocą noża między lokalnym elementem w dwa tysiące piętnastym czy atak nożownika w galerii handlowej Vivo zakończony dziewięcioma rannymi i jedną ofiarą śmiertelną. Ale na ogół było spokojnie.

A teraz obydwaj siedzieli w gabinecie komendanta i patrzyli Glebie w oczy, pomlaskując co chwilę i wzdychając. Ich wzrok przyciągała też kurtka, z którą ostatnio się nie rozstawała, jakby to była jej druga skóra.

– Iga, mocny poranek, co? – zapytał naczelnik.

– Chodzi o papieża? – odpowiedziała pytaniem.

– Raczej o prezydenta – powiedział komendant. – Dzwonił i mówił, że okazałaś całkowity brak szacunku i takie tam.

– Mamy trupa – odparła krótko.

– To zwykły żul, pewnie jakieś porachunki między elementem – stwierdził komendant. – Naprawdę nie ma co wnikać. Czasem takie rzeczy się zdarzają.

– No to ciekawie tu u was, jak kierownicy spod Biedronek w walce o śmietniki zarzynają się jak wieprzki. Co będzie dalej? Zaczną sobie podkładać bomby na melinach?

– Sprawę oczywiście trzeba wyjaśnić – oznajmił komendant. – Bezdyskusyjnie. Słyszałem, że zaprzęgłaś do tego młodego Damięckiego. I dobrze. Niech chłopak się wykaże. Idealna sprawa na początek.

– Dokładnie – zgodził się naczelnik. – Aż przebiera nogami.

– No niech robi – powiedziała Gleba. – Trochę się przy mnie nauczy. Chyba że mnie odsuwacie od sprawy? Mam szukać tego, co śmiał podnieść rękę na klejnot Wadowic?

– No nie jest to w twoich kompetencjach, sprawa poszła do dochodzeniówki – stwierdził komendant. – Ale prezydenta mogłabyś przeprosić.

– Kwiaty mam wziąć na fakturę? – zapytała. – Czy woli czekoladki?

– Nie kpij, Iga – sapnął naczelnik. – To ważna persona, po co z nią zadzierać. Jak by nie patrzeć, to nasz przełożony.

– Panowie, dajcie spokój. – Odchyliła się na krzesło. – Nie będę nikogo przepraszać, bo i nie ma za co. Jak on taki wrażliwy, to niech zajmie się pisaniem wierszy, a nie polityką. Od sprawy mnie też nie odsuniecie.

– Nie? – zdziwił się naczelnik.

– Nie – odparła z pewnością Iga. – Jeśli młody coś w niej spierdoli, a jest to bardziej niż pewne, to poleci mu to po całej karierze. Sami wiecie, będą gadali, że to ten, co sobie z żulem nie poradził. Mamusia nie będzie zadowolona. Już na niego mówią Brukselka, musi się wykazać, żeby miał jakiś posłuch. Potrzebuje zatem kogoś, kto z nim pociągnie te sanki.

– To nie przedszkole – zaprotestował komendant. – Jak ja przychodziłem do roboty, to mój naczelnik rzucił mi papiery pierwszej sprawy na stół i powiedział: „Masz łeb i chuj, to kombinuj”. Takie przeszkolenie miałem.

– Iga ma rację, Franek – wtrącił się naczelnik. – To mój wydział i sam wiesz, że młodego chcemy się szybko i bezboleśnie pozbyć. Już podobno na niego czeka jakiś etacik w CBŚP.

– Niech zasługi idą na jego konto – dodała Gleba. – Mnie to do szczęścia niepotrzebne.

– Co się tak spinasz nad tą sprawą, co? – zaciekał się komendant. – Uważasz, że to coś dużego?

– Toż to sam Posejdon został zamordowany w Stalowej Woli – powiedziała teatralnym głosem, wstając. – W mieście, które tylko pokarane rażąca niesprawiedliwością losu nie znajduje się nad morzem, ginie władca mórz i oceanów. Dzielna policjantka rusza do boju, by mityczni bogowie...

– Iga, dorośnij – przerwał jej komendant.

– W dodatku za sprawą stoi legendarny Wampir porywający niewinnych żuli z ich siedlisk. Czy dzielna policjantka...

– Dobra, idź już – westchnął komendant, przerywając jej ponownie. – Działajcie razem, szybko i sprawnie. Zamknijcie to, błagam. Byle przed majówką, bo Szatkowskiemu zaczyna odpierdalać. I daj spokój z tym Wampirem.

– Wedle rozkazu – zaszalowała Gleba.

– Aha, Iga! – Głos komendanta zatrzymał ją z dłonią na klamce. – Przepraszasz prezydenta?

– Zróbcie to za mnie – odparła. – Kupcie mu jakieś czekoladki, kwiaty, może obrazek z Kaczyńskim. Nie wiem, co go tam rajcuje.

Wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi. Zauważyła jednak płochliwe spojrzenia swoich przełożonych, gdy wspomniała o Wampirze. Coś było na rzeczy.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 11.00

– Mam monitoringi – oznajmił Damięcki, wchodząc do pokoju zajmowanego przez wydział kryminalny. – Zaraz wszystkie przejrzę.

– Karolku, daj spokój – powiedziała spokojnie i z uśmiechem. – Wrzuć to komuś z ludzi, kto nie ma nic lepszego do zrobienia. Szukaj takich, co to nie mają na pagonach ani jednej belki. Ty masz lepsze rzeczy do roboty.

– Jakie? – zaciekawiał się.

– Po pierwsze, to papierologia z porannego zdarzenia. Niestety. Pamiętaj, nawet jeśli brałeś udział w strzelaninie, pozbyłeś się gołymi rękami tuzina przestępców, wrywając im języki, wyłupując oczy i przegryzając gardła, wracasz do biureczka, myjesz ręce i ładnie wszystko opisujesz smutnym i bezbarwnym językiem. Nawet James Bond pisał raporty. Jak skończysz, to lecimy na obiad, potem na sekcję Posejdona. Możemy jeszcze skoczyć na te kulochwyty, chciałabym zobaczyć, jak tam się dojeżdża od tyłu.

– Od Przyszowskiej?

– Dokładnie. Następnie wracamy tutaj, aby postawić pierwsze hipotezy. Warto, abyśmy do tego momentu mieli wyniki z przejrzanego monitoringu. Niech spiszą wszystkie samochody od północy, raczej wcześniej nie przyjechał. Szczególną uwagę niech zwrócą na takie, które pojawiają się dwa razy, możliwe, że zajechał chwilę wcześniej na rekonesans. A jak postawimy hipotezy, to idziemy się wyspać, bo jutro trzeba będzie zacząć działać.

– Mogę zostać na noc.

– Nikogo nie przesłuchasz, nie przepytasz. Będziesz tak łąził w kółko po pokoju? Możliwe, że jeszcze kilka nocek zarwiemy przy tej sprawie, szczególnie jak trzeba będzie za kimś łązić.

– Mimo wszystko...

– Nadgorliwość gorsza od faszyzmu, pamiętaj. Sztuka to zrobić, a nie się narobić. Wyśpimy się i jutro pojedziemy powęszyć wśród kolegów z pracy Posejdona. Teraz zrób papiery i widzimy się na obiedzie.

– Gdzie?

– Chińczyk. Ten w galerii.

Wstała od biurka i przetarła oczy. Piekły jak cholera. Nieprzespana nocka dawała się we znaki. Kawy wypila aż zbyt wiele, musiała wytrzymać jeszcze kilka godzin, po sekcji chyba rzeczywiście pójdzie spać.

Wyszła przed budynek i spojrzała w słońce, od razu kichając. Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zakłęta. Zapomniała powiedzieć Albertowi, że nie wróci do

domu po nocce. Był jej obecnym... No właśnie, kim? Opuszczenie stolicy okazało się gwoździem do trumny dla jej związku z poprzednim chłopakiem. Wytrzymali z Kosmą na odległość pół roku, po czym postanowili dać sobie spokój. Nie planowała nowego związku, postanowiła wykorzystać czas na prowincji do podreperowania swoich umiejętności, zapisała się do klubu Kumiko na mieszane sztuki walki. Już na pierwszych zajęciach poznała Alberta, dała się zaprosić na kawę i jakoś tak poszło.

– A ty nie powinnaś być w swoim domu i czekać na mnie? – zapytał Albert. – Wbijam ze śniadaniem, a tu ciemno wszędzie, głucho wszędzie.

– Trupa mamy.

– Kiepska wymówka.

– I ktoś zbezczeszczył mural z papieżem.

– Uuuu, to zmienia postać rzeczy. Coś czuję, że przywrócą karę śmierci.

– Bardzo możliwe. Znajdź Pismo Święte, to szykuje się ukamienowanie. W każdym razie wrócę wieczorem i muszę odespać.

– Czyli nie będzie cię dzisiaj na treningu?

– Nie da rady.

– Dobrze. Walcz z przestępcami i daj znać, jak skończysz. Buziaki.

Rozłączył się. Glebie zawsze imię Albert kojarzyło się z kimś poważnym, może i nawet wykładowcą uniwersyteckim, a nie z gościem walczącym na galach MMA i prowadzącym szkołę walki. Co ciekawe, to kompletnie nie interesowała go jej policyjna robota, nigdy nie dopytywał o szczegóły prowadzonych spraw. W każdej wolnej chwili zabierał ją na długie spacery, tłumaczył zawiłości hodowli pszczół, bo było to jego hobby. Mówił, że po treningach, walkach, najlepiej odpoczywa mu się właśnie z pszczołami, gdzie potrzeba wielkiej delikatności i cierpliwości. Czuła podskórnie, że nie jest im pisane wspólne życie aż po grób, ale był tu i teraz, w przeciwieństwie do Kosmy. Wstydziła się nieco, że traktuje go niemal jak samochód zastępczy, ale on był chyba tego świadomy i nie przeszkadzało mu to, przynajmniej taką żywiła nadzieję.

Wsiadła do samochodu i rozłożyła fotel. Musiała zdrzemnąć się pół godziny. Nauczył jej tego właśnie Albert, *power nap*, czyli krótki, trwający od kwadransa do trzydziestu minut przerywnik w ciągu dnia. Ładował baterie i dawał energię potrzebną do działania w chwilach wzmożonego wysiłku. Nastawiła budzik i zamknęła oczy. Sen uderzył w nią jak pięść boksera.

5.

Restauracja Silver Dragon, galeria Vivo, Stalowa Wola

Godzina 13.30

Przed sekcją miała załatwić Damięckiego wieprzowiną, ale postanowiła dać mu szansę. Jedną. I nieco odpuścić. Tak troszkę. Dlatego poradziła mu zupę, ale Karol zdecydowanie zamówił pad thai z wieprzowiną. No cóż, sam tego chciał.

Gleba była odporna, widziała już wiele sekcji zwłok i trupy w różnym stadium rozkładu, więc żołądek nie powinien sprawić jej niespodzianki. Zamówiła zatem chrupiący filec z kaczki, który przyrządzano tutaj całkiem nieźle.

– Nie było problemów z ustawieniem sekcji na dzisiaj? – zapytał Karol, nalewając im do szklanek wody.

– Już trwa – odparła Gleba, rzucając okiem na zegarek. – Lekarz wieczorem jedzie na jakiś mecz czy coś, więc nieco się spieszy. Wpadniemy już na sam finał. Co nas interesuje, ile waży wątroba Posejdona? Liczy się podsumowanie.

– Myślałem, że będziemy od początku.

– Nic ciekawego.

– Nigdy jeszcze nie widziałem autopsji.

– Napatrzysz się w życiu. Chyba że plotki nie kłamią i szybko awansujesz.

– Zbytek łaski.

– Dlaczego? – zapytała Gleba.

– Zawsze chciałem być policjantem. Rodzice, a właściwie matka bardzo chciała wkroczyć mnie w politykę. Wiesz, wysłać na jakieś studia dobrze wyglądające w życiorysie, prawo albo coś, a potem powoli budować mi pozycję. Niektórzy myślą, że ja tu przyszedłem jej na złość, ale to moje marzenie. Niestety, tutaj też mąci.

– Myślałam, że pomaga.

– Gdzie tam – żachnął się. – Chciałem przeprowadzić się do Gdyni albo Gdańska, lubię morze, ale wsadziła mnie na rodzinne tereny, bo ma tutaj mocne znajomości. Już mi nawija, że policja to za niskie progi, powinienem być w CBŚP albo SOP. Oczywiście jakieś stanowisko za biurkiem, może rzecznik prasowy. Ktoś medialny. A wiesz przecież, jak patrzy się na takiego dupka z nadania...

– Wiem.

– Już tutaj na mnie krzywo zerkają. Że niby Brukselka jestem, bo matka ma stołek w Europarlamencie, sama wiesz. Polityka to nie jest bagno, tylko gówno. Trzeba ciągle za kimś biegać i mu włączyć w dupę, nieustannie. I po co? Myślisz, że jak jesteś ministrem, to się to kończy? O nie, nic z tego. W naszym domu bywają na okrągło najróżniejsi politycy, wszyscy mają te same miny, psa czekającego, aż mu ktoś rzuci patyk. A gdy rzuci, to zagryzą wszystkich, którzy będą chcieli po niego pobiec. To nie dla mnie.

– Ty chcesz być policjantem – powiedziała Gleba chyba nawet i ze zrozumieniem. Tak, doskonale go rozumiała.

– Ja chcę być takim policjantem jak ty. Najlepszym.
– Zmień idola, Brukselko – odparła, uśmiechając się. – Ja wcale nie jestem wzorem do naśladowania.

– To, co mówisz, tylko to potwierdza. Ale ty dobrze wiesz, że jesteś zajebista.

– No nie taka znowu, jak mówisz, za coś mnie jednak wykopali ze stołecznej.

– Za bzdurę.

– Za samowolkę, Karolku. Podczas ważnej sprawy dałam się wykiwać przestępcy tylko przez własną niekompetencję. Gdybym słuchała przełożonych, postępowała według procedur, to nie siedziałabym tutaj z tobą.

– Ale w końcu go złapałaś.

– Tak.

– I zabiłaś.

– Kolejna samowolka.

– A doszłoby do tego, gdybyś postępowała według tych procedur?

Gleba westchnęła. Nigdy nie uważała się za mentorkę, to raczej jej udzielano rad. Co miała powiedzieć temu chłopakowi przed pierwszą ważną sprawą? Spojrzała tęsknie w kierunku kuchni, wypatrując jedzenia, może to pozwoliłoby zmienić temat, ale znikąd nie było ratunku.

– Pamiętaj, Brukselko, jesteśmy służbą mundurową – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Jak chcesz być indywidualistą, to załóż sobie firmę, zostań naukowcem, nie wiem, może piosenkarzem albo blogerem. W policji, zanim wpadniesz na genialny pomysł, zapytaj się kogoś nad tobą, czy wolno.

– Ale u nas pozwalasz sobie na wiele.

– Tak. Bo mi na to pozwalają. Jestem jak dziecko, które wpadło do dziadków na wakacje. Podokucza z tydzień czy dwa i wraca do rodziców. Można mu wiele wybaczyć. Nie idź tą drogą.

– Chcę się dużo od ciebie nauczyć.

– To posłuchaj: przed pierwszą sekcją nie jedz nawet śniadania – powiedziała, gdy wywołano ich zamówienie.

Karol poszedł do lady i wrócił z jedzeniem, postawił przed nimi tacę z parującą zawartością. Obłędnie pachniało i wyglądało niesamowicie, kaczka jeszcze skwierczała na gorącym półmisku. Glebie nie przeszkadzał nawet tłum ludzi przewijających się przez galerię, na służbie w Warszawie nauczyła się ignorować szarą masę przechodniów. Rzuciła się na swoją porcję niczym wygłodniały wilk. Damięcki przyglądał się przez chwilę talerzowi, ale w końcu złapał za widelec.

– Muszę nauczyć cię jeść pałeczkami – stwierdziła Gleba. – No i kolejna wskazówka: jak będziesz rzygał, to zaciskaj zęby, żeby gęste zostało. Szkoda oddawać, zajebicie tu

gotują.

6.

Powiatowy Szpital Specjalistyczny, ulica Stanisława Staszica, Stalowa Wola

Godzina 15.30

Doktor Pawłowski był szpakowatym mężczyzną po czterdziestce, wysokim, wyprostowanym i oszczędnie uśmiechniętym. W pierwszym skojarzeniu przypominał Glebie klasycznego Aryjczyka, który akurat na czas sekcji odwiesił do szafy mundur nazistowskiego esesmana. Skarciła swój niewyspany umysł za takie porównanie i zaraz zrozumiała, skąd się wzięło. W sobotę miała wolne i postanowiła nadrobić czytelnicze zaległości, co poskutkowało odwiedzeniem księgarni. Już na starcie zalała ją fala książek tak zwanej literatury obozowej. Okazało się, że można zapoznać się z przygodami przedstawiciela właściwie każdego zawodu, jaki powstał na świecie, a miał pecha w wyobraźni autora trafić do obozu koncentracyjnego. Był tatuażysta, fryzjer, położna, bibliotekarka, skrzypaczka, farmaceuta, fotograf, szachistka i wiele innych. Dalej było wcale nie lepiej: historie o narzeczonych nazistów, córkach, synach, kochankach. Odwróciła się na pięcie i wyszła z księgarni, stwierdzając, że wróci tam w lepszych czasach.

Akurat gdy weszli do sali sekcyjnej, doktor mył ręce, pogwizdując pod nosem jakąś wesołą melodyjkę. Gdy zobaczył gości, wytarł dłonie papierowym ręcznikiem, uśmiechnął się niedbale i kiwnął głową, wskazując wejście do głównej sali.

– Jest i nasza warszawianka – ucieszył się na jej widok.

– Nie mieliśmy okazji się poznać – odparła nieco zdziwiona Gleba.

– Proszę wybaczyć moje maniere – powiedział i podszedł do niej, podał rękę na powitanie. – Piotr Pawłowski. Tutejszy wielki krojczy!

– Ignacja Ziemia – odpowiedziała i dygnęła niczym uczennica. – Tutejsza wielka łowcza. Jak już zadośćuczyniliśmy konwenansom, to możemy zająć się naszym delikwentem? Zależy nam na czasie.

– Z największą przyjemnością. – Doktor wskazał pokój sekcyjny. – Denat leży sobie i grzecznie czeka.

Przeszli do drugiego pomieszczenia, większego i z dwoma stołami sekcyjnymi. Na jednym z nich spoczywało ciało ofiary, biel skóry zaburzało klasyczne cięcie przez klatkę piersiową i brzuch oraz ciemna szrama na gardle. Posejdon leżał dokładnie umyty i tym razem nie roztaczał odoru włóczęgi, a woń środków odkażających.

– Chcecie sobie popatrzeć? – zapytał lekarz.

– A jest na co? – odpowiedziała pytaniem Gleba.

– No jak macie minutkę, to możemy pobawić się w zgadywanki.

– Brukselka, chcesz się podszkolić? – Gleba zwróciła się do Karola.

– Jasne – odparł i podszedł jako pierwszy do zwłok.

Cwaniak, pomyślała Gleba, czekając, aż zblednie, a może nawet i rzygnie, ale do niczego takiego nie doszło.

– No to bez przydługich akademickich wstępów zadam pytanie: co wam tutaj nie gra? – zapytał patolog.

Gleba podeszła do leżącego na stole trupa i przyjrzała się nagiemu mężczyźnie. Bez zaniebanego ubrania, z umyтыми włosami wyglądał przeciętnie. Zwyczajnie.

– No, Brukselka – powiedziała. – Coś uruchamia twój instynkt śledczego? Budzi w tobie psa?

– A powinno? – Karol spojrzał na Glebę pytająco, pewnie obawiając się czegoś podchwytliwego.

– Zawsze powinno – odparła.

– Nawet jak wszystko wygląda tak, jak należy?

– No wtedy w szczególności.

– A ty już wiesz?

– Mam teorię. Ale wal śmiało. I nie bój się, to nie egzamin.

– Hm... – mruknął chłopak. – No starszy facet z podezrzanym gardłem. Wszystko ma na miejscu. Siniec na kostce, dość duży, to chyba od tego łańcucha.

– Coś jeszcze? – dopytał lekarz.

Karol wzruszył ramionami.

– Trup jak trup – dodał.

– Pani komisarz? – zapytał lekarz. – Uratuje pani honor policji?

Gleba uśmiechnęła się i spojrzała na lekarza. Doskonale wiedziała, do czego zmierza, zarówno ona, jak i on widzieli w życiu wielu pijaczków i bezdomnych na stołach sekcyjnych.

– Podkomisarz – poprawiła patologa. – Aspirant Damięcki powiedział chyba wszystko, co widać. Zdrowy, odżywiony mężczyzna w podeszłym wieku, z widoczną raną na gardle i sińcem na stawie skokowym. Brak jakichkolwiek innych sińców, niewygojonych ran, blizn, owrzodzeń, nawet pryszczycy, więziennych tatuaży czy śladów po odmrożeniach. Nos prosty, nigdy nie połamany w szarpaninie, naczynka niepopękane.

Pochyliła się nad zwłokami i odchyliła górną wargę.

– Komplet zębów – dodała. – Białych i równych. No, typowy żul.

– Brawo – odpowiedział z uśmiechem lekarz. – Coś jeszcze?

– Ma normalną twarz – odpowiedziała.

– Normalną? – zapytał Damięcki.

– Powinien mieć ogorzałą, opaloną – powiedziała Gleba. – Przecież od rana do wieczora szwenda się po śmietnikach.

– Pani podkomisarz, kłaniam się nisko – oznajmił patolog. – Pani sława nie jest ani odrobinę przesadzona.

– Co jeszcze? – Teraz to Gleba zapytała patologa.

– Dodam to, czego nie widać. – Uśmiechnął się. – Wątroba nie jest powiększona, trzustka w porządku. Żadnych owrzodzeń, krwawień czy stanów zapalnych w przewodzie pokarmowym. Śmiało mogę stwierdzić, że ten człowiek nie nadużywał alkoholu, na pewno nie pił go w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przed śmiercią. Jeśli pił, to okazyjnie, ot, lampka wina do obiadu. Bo jadał obiady, dość regularnie.

– Skąd taki wniosek? – zapytał Damięcki.

– Treść pokarmowa w żołądku i jelitach, dodatkowo doszło do wypróżnienia podczas zgonu. Krew. Wszystko w normie, żadnych braków. Alkoholicy przy swojej diecie płynnej zaniedbują regularne i zbilansowane posiłki, a kiepskie odżywianie się skutkuje awitaminozą i anemią. No, chyba że najtańsze alkohole dostępne w osiedlowych sklepikach zostały ostatnio wzbogacone kompletem witamin i mikroelementów, w co wątpię. Nie wspominając, że alkohol wypłukuje z naszego organizmu wszystko, co cenne.

– Czyli to nie był żul? – spytał niepewnie Karol.

– Nie wiem, jaka jest wasza definicja tej... profesji? – Uśmiechnął się lekarz. – Mogę tylko powiedzieć, że śmierdział, zdecydowanie był na bakier z higieną, ale jeśli trafiło mu się takie niezbyt społecznie akceptowane życie, to wiódł je od niedawna i nie był oddany tej robocie w stu procentach. Oszukiwał przełożonych.

– Czyli wyglądał jak bezdomny, zachowywał się jak bezdomny, żył razem z nimi, był nawet przez nich znany, ale nie był jednym z nich – podsumowała Gleba.

– No taki żul amator – dodał patolog. – Daleki od profesjonalizmu. Musiał mieć dobrą melinę, jadał regularnie.

– Dziwna sprawa – powiedziała Gleba.

– No ja tam nie wiem, mówię, co widzę – odparł lekarz. – Ja mam swoje zagadki, wy swoje.

– Ale... Dlaczego? – nie dowierzał Karol. – Po co? Przecież, no, to był menel. Tak? Kto chce tak żyć?

– To był człowiek przede wszystkim – rzucił surowo Pawłowski. – Miał jakąś przeszłość, motywy i prawa wyborcze, panie aspirancie. Takie same jak ja, dajmy na to. Ktoś z boku mógłby stwierdzić, że mój głos jako lekarza jest ważniejszy, ale na karcie do głosowania waży tyle samo. Proszę mi tutaj nie wprowadzać segregacji ludzi ze względu na to, kim są i czym się zajmują, bo dla wielu policjant stoi niżej aniżeli

zul. Podejrzewam, że pani Ignacja szybko rozwikła tę zagadkę. Nawet ciekawi mnie efekt pani śledztwa, nie powiem. Będę mocno zobowiązany, jeśli znajdzie pani chwilę, aby mnie poinformować o finalnych ustaleniach.

– Z przyjemnością – odparła machinalnie Iga. – Przyczyna śmierci?

– Ta jak najbardziej widoczna – odpowiedział lekarz. – Kiedy podrzynano mu gardło, to jeszcze żył. Mógł być ogłuszony, bo ma z tyłu głowy siniec.

– Tego się bałam – stwierdziła.

– Nie rozumiem – powiedział patolog, unosząc brwi.

– Ktoś go odłowił na mieście, przywiózł na odludzie i poderznął gardło. Dużo pracy, sporo zachodu. Wygląda mi trochę na celowy *modus operandi*.

– Seryjny? – zapytał Damięcki, a w jego głosie było aż nadto słychać ekscytację.

– Nie – odpowiedział lekarz.

– Nie? – powtórzył zdziwiony Karol.

– Byłem na kilku szkoleniach i sympozjach, gdzie omawiano działania seryjnych morderców. Żaden z nich nagle nie wstaje z fotela, aby ruszyć na miasto i podrzynać gardła bezdomnym. Formowanie ich działania to bardzo skomplikowany proces, długo ewoluje, przechodzi kolejne stadia rozwoju. Wielu z nich nie morduje brutalnie, a jeśli już to robi, to jest w tym dobry, ociera się o profesjonalizm. Często podczas autopsji można posunąć się do stwierdzenia, że obrażenia zadaje ktoś z wykształceniem medycznym, zawodowy rzeźnik i tak dalej.

– No ma fachowo podcięte gardło – stwierdził Damięcki.

– Przeciwnie, to paskudna i brudna robota – odparł lekarz. – Ktoś użył bardzo dużego noża, ciął nierówno, kilka razy, na różną głębokość, jakby miał pierwszy raz do czynienia z takim zadaniem i go przerosło. Seryjniak mający takie *modus operandi* zacząłby w dzieciństwie od małych zwierząt, męczyłby je, patroszył. Doskonaliłby swoje działanie, może nawet poszedł na medycynę, na pewno doksztalałby się, trenował. Dla niego krew jest czymś mocnym, a ten sposób zamordowania człowieka ważnym. Jeśli złapałby bezdomnego i poderznąłby mu gardło, to byłoby finalne studium rozwoju, poprzedzone latami babrania się w krwi. Tutaj tego nie ma, to był partacz.

– Zemsta – odpowiedziała Gleba. – Chciał to zrobić właśnie w ten sposób. Wystawił ciało na widok publiczny, a seryjni też raczej tego nie robią. Chodziło o dokładnie tego człowieka, to nie był cios na ślepo.

– Nic innego tutaj nie ma, pani Ignacjo – powiedział patolog. – Zobacz pani w raporcie, ale żadnych czynności seksualnych, śladów pobicia, czekamy jeszcze na pełną toksykologię. Może go czymś odurzył. Z mojej strony tyle, a o motywach to już nie ze mną rozmowa.

– Dziękujemy, panie doktorze – powiedziała z uśmiechem. – Sporo nam to ułatwia, wiemy, gdzie zacząć szukać.

– Miłego dnia – odparł patolog, prowadząc ich w stronę wyjścia.

Wyszli przed budynek szpitala, na zatłoczonym parkingu odnaleźli swój samochód i wsiedli do środka.

– Masz mocny żołądek – pochwaliła Karola Iga.

– Nie do końca – odpowiedział, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie. – Takie rzeczy mnie nie ruszają, ale na zapachy jestem szczególnie wrażliwy. Pieluchę dziecku mogę zmienić tylko z zatkanym nosem.

– I do tego przywykniesz.

– Mam nadzieję.

– Zawieź mnie do domu, muszę odpocząć – powiedziała Gleba. – Ogarnij wyniki z monitoringu. Trzeba będzie rozpytać znajomych Posejdona.

– Mam to zrobić?

– Nie, razem tam rano pojedziemy, jest szansa, że wtedy będą w miarę trzeźwi. Ustal, gdzie się kręcił.

– W Stalowej mamy dwa gniazda bezdomnych. Jedno za Biedronką, tą przy Rozwadowskiej, drugie pod wiaduktem przy hali targowej.

– Świetnie – powiedziała Gleba, ziewając. – Odwieź mnie, widzimy się rano, będę o siódmej.

Po drodze jeszcze omawiali ustalenia sekcji, Damięcki mnożył powody, dla których człowiek pędził taki żywot. Opowiadał jej o pisarzu, który pół roku mieszkał z bezdomnymi na dworcu, aby poznać ich zwyczaje i potem opisać to wiernie w książce.

Na miejscu wysiadła z samochodu i wdrapała się na trzecie piętro mieszkania przy Okulickiego. Wzięła szybki prysznic, gimnastykując się w małej wannie przypominającej bardziej kocią kuwetę, zjadła kolację i gdy już usypiała, zadzwonił telefon. Jej matka.

– Jak tam minął dzień, Iguś?

– Dzień jak co dzień – odparła.

Matka przeżywała obecnie żałobę po swojej siostrze, która miesiąc temu zmarła na raka. Od tego momentu poczuła potrzebę kontaktu z córką i dzwoniła do Gleby niemal codziennie. Tak naprawdę to chciała się wyzalić i za każdym razem skrytykować życie swojej córki. Wcześniej miała siostrę, wygadywała się właśnie przed nią, krytykując Ige, no a teraz zostały już tylko we dwie. Gleba godziła się na to, te rozmowy były niemal jak łącznik ze starym życiem, tym warszawskim. Dzięki nim pamiętała, że pewnego dnia wróci do stolicy.

– Jak zawsze nic nie mówisz – stwierdziła matka. – U mnie ten ból nogi się odezwał, rwie jak cholera.

– Może trzeba by pójść do lekarza?

– No nie ma mnie kto zawieźć.

Iga zagryzła wargi i ponownie zdziwiła się sama sobą. Jakikolwiek by nie towarzyszył jej nastrój danego dnia, to gdy dzwoniła matka, jej własny głos zamieniał się w coś obcego, w dziewczynę zmęczoną życiem, przygniecioną troskami i mającą same problemy. Jakby jakakolwiek radość mogła skrzywdzić jej matkę, pogłębić jej smutek i gorzyc życia.

– Nie mogę przyjechać, mam świeżą sprawę.

– Zawsze coś ważniejszego.

– Mamo, to trup.

– No a widzisz, trup. Ciebie tylko zwłoki interesują, ale obce.

– Nie przyjechałam na pogrzeb ciotki, bo mi o nim nie powiedziałaś.

– Klepsydry były na mieście, trzeba się trochę interesować.

– W Stalowej były?

– Jakby cię własna rodzina interesowała, tobyś wszystko wiedziała.

Iga zamknęła oczy. Zegarek na jej nadgarstku zapikał ostrzegawczo i wyświetlił komunikat: „Doświadczasz dużego stresu. Może ćwiczenia oddechowe?”.

– Skończę sprawę, to wezmę urlop i przyjadę do ciebie – powiedziała spokojnie. – Pójdziemy do lekarza.

– I na cmentarz trzeba, na grobie dziadka nie byłam dawno, pomożesz mi posprzątać.

– Nie, nie pomogę – wycedziła. – Muszę kończyć. Dobranoc – rzuciła i rozłączyła się.

Musiała to uciąć, bo za chwilę by się pokłóciły. Czuła, że odziedziczyła jednak swoje geny po ojcu, którego nigdy nie знаła. Chyba dlatego była taka zawzięta i pamiętliwa. Mściwa, o tak. Oficjalnie, w jasne poranki przy słońcu wpadającym do kuchni, nienawidziła się za tę cechę swojego charakteru, ale w mroczne wieczory i ciemne noce jednak to lubiła. Matka taka nie była, pomimo iż dziadek zamienił ich rodzinny dom w piekło, chlał, awanturował się, bił swoją żonę i córkę, to ona mu i tak wybaczyła. Przetnął jej raz biodro, dlatego noga tak ją teraz bolała. Nie podnosił tylko ręki na jedyną wnuczkę, Igę, ale dzieciństwo spędzone w takich warunkach pozostawiło mocniejsze ślady niż lanie pasem.

Wszystko to wracało do niej przy poprzedniej sprawie, na zakończenie której otrzymała pomoc psychologa. Pomogło. Zdziwiająca, ale pomogło. Nie to, że zniknęły jej te obrazy z pamięci, ale gdy z kimś porozmawiała, opowiedziała ze

szczegółami wszystko, co ją spotkało w dzieciństwie, zaczęła czuć do tego dystans. Tak jakby te sprawy trafiły do szuflady, którą mogła otwierać i zamykać, kiedy tylko chce, a nie wysuwającej się z całą zawartością w najmniej odpowiednich momentach.

Dziadek jej nie bił. Biła ją za to matka. Ręką. Paskiem. Kablem, gdy mocno nawywijała. Przecież takie przewinienia jak spóźnienie się ze szkoły zasługują na srogą karę.

Czy ktoś ukarał Posejdona? Za co?

Usnęła.

ROZDZIAŁ 2

26 kwietnia 2023 roku

1.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 7.00

Spojrzała na drzwi do komendy i nagle uderzyła ją myśl, że zmieniała swoje życie. Nie, nie chodziło o przeprowadzkę do Stalowej Woli, ale o zwyczaj. Lubiła w Warszawie siadać wieczorem na balkonie, w upalne dni w samej bieliźnie, popijać ulubione wino, to było takie coś bardzo jej, własne, Iga Ziemna w czystej postaci. Nie Gleba, ale właśnie Iga. Dobrze się wtedy myślało.

W wynajętym tutaj mieszkaniu balkon był tak mały, że nie było mowy o wstawieniu leżaka, nawet gdy siadła na taborecie, to czuła się jak kanarek w przyciasnej klatce. Czar prysł. Za pierwszym razem próbowała się jakoś ułożyć na tym peerelowskim wypierdku, ale nie szło. A to słońce w nos, a to znowu kolana pod brodą, a jak już siadła, to taboret zaczął się nagrzewać i parzyć w nagie pośladki. Gdy wstała, żeby przynieść coś pod dupę, to strąciła łokciem kieliszek z winem i ten zgodnie z prawem ciężenia pofrunął na sam dół i pacnął w trawę. Na szczęście mimo trzeciego piętra nie rozbił się. To był jej ulubiony kieliszek, jeszcze warszawski.

Na domiar złego rano zaczepiła ją sąsiadka pod śmietnikiem i zwróciła uwagę w typowo stalowowolski sposób. Całe chamstwo i oburzenie schowała pod warstwą lukru i zatroskania.

– Nie przewiało pani tam na balkonie? – zapytała starsza, wysoka kobieta z lekką nadwagą.

– Nie – odparła lekko zaskoczona Gleba.

– Całe szczęście. Następnym razem niech się pani ubierze, bo to niezdrowo na nerki, a kolejki do lekarza długie. A i nie przystoi tak paradować na balkonie, to nie plaża.

Gleba minęła ją bez słowa, postanawiając nie wdawać się w dyskusje. Nie kojarzyła kobiety, po co zresztą nawiązywać kontakty z sąsiadami, w Warszawie anonimowość była w cenie, tutaj okazała się towarem deficytowym.

– I to jeszcze policjantka, to wie pani, jak to wygląda – ciągnęła sąsiadka. – Już ludzie mówią, że dzieci spać nie mogą, bo tak głośno muzyka, że i blok obok słyhać.

A na policjanta to skarżyć się nie wypada.

Gleba odwróciła się, stwierdzając, że w sumie dobrze jej zrobi odpyskowanie wścibskiej sąsiadce, nic tak nie poprawia humoru na cały dzień jak soczysty opierdol bliźniego z rana, ale kobieta już szła w stronę klatki, kolebiąc się lekko na boki. Policyjny zmysł od razu kazał zlustrować wredne babsko, jak zaczęła ją Gleba nazywać w myślach. Pulchne paluszki opięte kilkoma pierścionkami, czarne krótkie włosy odsłaniające ozdobione złotymi kolczykami uszy. Babsko, dlaczego masz takie krótkie włosy i wielkie uszy? Żeby lepiej słyszeć, co robi Gleba w mieszkaniu!

– Pani podkomisarz? – zagadnął ją Damięcki, wrywając z zamyślenia. – Kupiłem drożdżówki, skusi się pani? – Podniósł do góry reklamówkę z bułkami. – Od Rostka, najlepsze!

– Gleba. – Podała mu dłoń.

– Brukselka – odpowiedział z szerokim uśmiechem, odwzajemniając powitanie.

– Lubię dystans do siebie – odparła. – I drożdżówki. Tylko u was się tak mówi, wszędzie bułka z serem, a u was to drożdżówka.

– Taki nasz urok. Wszystko inaczej.

– Szkoda, że nie lepiej.

– Zależy, jak patrzeć.

Weszli do środka. W ich pokoju czekał dzielnicowy Wierzba, który wezwał ją wczoraj do ciała Posejdona. Pił kawę z oszczerbionego kubka z logiem policji i po każdym siorbnięciu mruczał z zadowoleniem.

– Powitać – bąknął.

– Smacznej kawusi i miłego dzionka – rzuciła Gleba, wyjmując swój kubek z szuflady biurka.

– No ja bez kawy nieruchawy – odparł dzielnicowy. – Tym bardziej że od świtu była akcja.

– Jaka akcja?

– Kryptonim „Lump” – odpowiedział Wierzba. – O piątej wysłali nas pod wiadukt w centrum na czyszczenie obozowiska bezdomnych.

– Akurat teraz? – zdziwił się Damięcki.

– No a jak? – odparł dzielnicowy. – A kiedy niby? Pół roku ludzie zgłaszali, że jak to tak, w centrum miasta smród, szczyzny i nasrane, po nocach libacje, strach przejść. Nikomu jednak nie chciało się z bezdomnymi szarpać, aż do teraz.

– Premier przyjeżdża, co? – zapytała Gleba.

– Otóż to. Miasto ma być czyste, piękne i pachnące. Wyszukowane jak dziecko na wizytę bogatej ciotki. Tutaj tyle milionów obóz rządzący pakuje, że szkoda gadać. To jak to tak, kolumna oficjeli jedzie, a tu jakiś brudas siura wywali i będzie szczał

w biały dzień? No to zgarnęliśmy ich, śmieciarki podjechały po dobytek, potem puścili wozy do czyszczenia ulic i jeszcze niby odmalować mają.

– Dokąd ich zabrali? – zapytała Gleba. – Mieliliśmy rozpytać o Posejdona.

– Większość przeniosła się do obozowiska. – Wierzba uśmiechnął się i upił spory łyk kawy, mrużąc jak najedzony miś. – Jak spierdalali spod tego wiaduktu, to podpytałem i pomęczyłem, kogo trzeba. Nasz wisielec to był ciekawy gość, nie za bardzo był chętny się bratać z innymi, taki odludek. Nie widywano go na tych ich libacjach. Nie bił się z nikim, nie szarpał, ale jak było trzeba, to wino postawił. Nic za to nie chciał, nawet od Ulki i Kichy, a od nich dwóch akurat wszyscy czegoś... yhm, chcieli.

– Lokalne księżniczki? – domyśliła się Gleba.

– Ta – przytaknął Wierzba.

– Kichy? – zapytał ze zdziwieniem Damięcki.

– Tak na nią mówią, Kicha, bo jak się jej nasmaży kaszanki i postawi z patelnią na stole, to ona się pochyła i je, a reszta...

– Dość – przerwała mu Gleba. – Nie kończ, błagam.

– Bujał się ze Słodkim i Dziwiszem, ich musimy przepytać – dodał Wierzba.

– Słodkim? – zdziwił się ponownie Karol. – A temu też coś stawiali na stole?

– Nie, ma cukrzycę.

– O Dziwisza boję się zapytać – powiedziała Gleba.

– Ma problemy z pamięcią. Potrącił go samochód i od tej pory tak średnio kuma, co się działo nawet i wczoraj. Nic nie pamięta.

– No dobra, pijmy kawę i jedźmy do tych ancymonów, póki jeszcze są na nogach – zakomenderowała Gleba.

– Spokojnie – odparł Wierzba. – Rano są na rejonie, czyszczą śmietniki. Mają swoje rewiry i układy z mieszkańcami i służbami. Potem lecą to sprzedać i zasuwać na obiad do Metalowca.

– Do tego hotelu? – zdziwił się Damięcki.

– Tam są wydawane darmowe posiłki – poinformował Wierzba. – Koło południa obiadek, a potem ruszają się nawalić. Na obiedzie ich dorwiemy. Weźcie parę banknotów, po dwie dyszki.

– Mamy im płacić?

– Za darmo to wiesz, kochaniutki, nawet w mordę trudno dostać. Samo przyciśnięcie nic nie da, tym bardziej że ten Posejdon dość ciekawy typ, jak wynika z sekcji. Jakies konkretne teorie uknułście?

– Był zadbany, żywił się dobrze, nie pił – wyliczała Gleba, prostując kolejne palce dłoni. – Albo był agentem pod przykrywką i infiltrował środowisko bezdomnych, albo

kogoś tam szukał i wtopił się w nich. Jeszcze rozważam taką możliwość, że mógł się ukrywać.

– W tym smrodzie? – skrzywił się Damięcki, jakby właśnie przeszedł obok nich jeden z bezdomnych. – Naprawdę, jest tysiąc lepszych miejsc.

– Może i tak, ale to niegłupie – powiedział Wierzba. – Wszyscy ich omijają szerokim łukiem, odwracają głowy. Nikt o zdrowych zmysłach nie zapuszcza się do ich obozowisk i melin. Nawet my ich męczymy tylko, jak coś nawywijają. Dowodu żaden nie nosi, pewnie większość nawet ich nie ma. Znani są głównie z ksywy, czasem z imienia. Nawet sami o sobie nie za wiele wiedzą.

– I nikt ich nie pilnuje, nie monitoruje jakoś? – zapytał Damięcki.

– My, jako policja, mamy w obowiązku, cytuję zapis, rozeznanie miejsc gromadzenia się osób bezdomnych i zatrzymywanie osób pod wpływem alkoholu do wytrzeźwienia. Czyli musimy sobie radzić z tym najgorszym elementem. Bo bezdomny to nie od razu lump i żul. Ci chcący pomocy trafiają do Brata Alberta albo MOPS-u, ale tam jest jeden warunek.

– Zero alkoholu – powiedziała Gleba.

– Otóż to. Ziomeczki z dzikich noclegowni to już najczęściej najniższy szczebel tej drabiny.

– Dobra, Brukselka, co tam z monitoringu, wyszło coś? – zmieniła temat Gleba. – Bo skoro mamy czas do południa, to musimy się czymś zająć.

– Wytypowaliśmy tylko trzy samochody – odpowiedział Damięcki.

– Nie wiem, czy tylko, czy aż – skomentowała Gleba.

– Tylko. Na początku były dwadzieścia dwa, ale po kolei odrzucaliśmy. Zależy, w którą stronę jechały, to zgrywaliśmy z czasem z monitoringu z kilku kamer przemysłowych. No i tylko sześć nam zostało. Okazało się, że trzy z nich zajeżdżały na bazę do innych firm w okolicy, zostały trzy, które po prostu w danej godzinie przejechały od Przyszowskiej, COP lub Grabskiego.

– A ta ulica Kasprzyckiego? – zapytała Gleba.

– Tam czarna dziura. Są kamery od Huty, ale łapią ulicę z daleka i nic nie widać. Ledwo da się rozpoznać kolor samochodu, nie mówiąc o marce.

– Dobra robota – zauważył Wierzba. – Brawo, młody.

– Gratulacje przyjmę, jak ustalimy te trzy fury – odpowiedział Damięcki, ale widać było, że pochwała starego dzielnicowego sprawiła mu przyjemność.

– Da się to zrobić? – zapytała Gleba.

– Tak, mamy blachy, więc mamy też właścicieli.

Damięcki wskazał na biurko, na którym piętrzyły się wydruki kadrów złapanych przez okoliczny monitoring. Były w różnej rozdzielczości, a co za tym idzie, jakość

wielu z nich pozostawiała wiele do życzenia. Kartki z trzema najbardziej podejrzany samochodami leżały rozłożone obok laptopa i te faktycznie były dość wyraźne. Co z resztą? Przecież samochód mordercy mógł kryć się właśnie w tej stercie rozmazanych i ziarnistych fotografii, jeśli był sprytny, to sprawdził ustawienie kamer i pojechał taką trasą, aby nie zostać uwiecznionym w pełnej okazałości. Wzięła do ręki stos i pobieżnie przejrzała. W tym momencie były bezużyteczne.

– Nie wierzysz, że dobrze przeprowadziłem weryfikację? – zapytał z lekkim wyrzutem w głosie Damięcki.

– Nie... – odpowiedziała z wahaniem w głosie, dopiero po kilku sekundach orientując się, że jej zachowanie młody policjant faktycznie może wziąć za brak zaufania, ale nie o to chodziło.

Wśród odrzuconych wydruków zauważyła samochód, który chyba znała. Numery rejestracyjne były niewidoczne, ale czarne bmw x5 było dość charakterystyczne, w dodatku w szarej plamie przedniej szyby widziała zawieszkę przy lusterku samochodu. Kształt jakby znajomy. Niestety, kierowca był rozmazaną szarością, nic dziwnego, że fotografię wykluczono.

– Jeśli chcesz sama zweryfikować te wydruki, to...

– Nie – przerwała mu, rzucając kartki na biurko. – Dobra robota. Zajmij się tymi trzema samochodami. Brawo.

Gleba złapała mocniej blat biurka. O tak, znała ten samochód, bez wątplenia.

2.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 8.00

Gleba wyszła na parking z głośnym westchnieniem. W ciągu godziny zdążyły ją wyprowadzić z równowagi dwie wiadomości: zdjęcie samochodu, którego akurat tam nie spodziewała się zobaczyć, oraz następujący chwilę po tym telefon od komendanta, nakazujący im stawić się u prezydenta miasta na tak zwanym posiedzeniu połączonych sztabów.

– Co ten dureń sobie myśli?! – komentowała głośno. – Połączone sztaby. Naoglądał się amerykańskich filmów.

Wsiedli do samochodu i ruszyli. Kierował Damięcki, który automatycznie i chyba nawet z radością przyjął rolę ich szofera, Wierzba został w komisariacie. Wyjechali na ulicę, chłopak prowadził dość spokojnie.

– Naszemu prezydentowi marzy się wielka polityka – powiedział. – Plotki chodzą, że szykują go na kampanię prezydencką.

– Marzyciel jebany – rzuciła Gleba. – A ten przed nami co tak jedzie, jakby każdy manewr musiał konsultować ze świętym Krzysztofem? – Wskazała głową samochód

przed nimi. – Może jakiś najebany?

– Rażąco niska inteligencja – odparł Damięcki.

– Co?

– Tablice rejestracyjne RNI, czyli ktoś z Niska. Oni tak jeżdżą.

Zatrzymali się na światłach, kierowca feralnego samochodu uchylił lekko szybę i ze środka wydostała się chmura dymu.

– Jebany! – rzuciła Gleba.

– Ta, podobno... – powiedział Damięcki, ale umilkł w połowie zdania, widząc, jak Gleba wysiada i rusza w kierunku szarego volkswagena passata stojącego przed nimi.

Zapukała w szybę od strony kierowcy, a gdy ta się obniżyła, pochyliła się delikatnie, zniżając głowę.

– Przepraszam, czy pana już do końca popierdoliło? – zapytała spokojnym głosem, ale nawet Damięcki wyczuł w nim całe pokłady wkurwienia tylko czekające, aby eksplodować.

– Co?

– Wiezie pan dwójkę dzieci w samochodzie i pali papierosy, chociaż szybę by pan szerzej uchylił.

– Spierdalaj – warknął mężczyzna i zaczął zasuwac szybę. To był jego błąd.

– A zajebał ci ktoś kiedyś w ryj, buraku? – rzuciła Gleba.

Kierowca zatrzymał szybę i zaczął wysiadać. Policjantka złapała go pod ramię i pomogła mu zdecydowanym szarpnięciem, po czym wykręcając rękę, rzuciła go na jezdnię.

– Gleba, chuju – syknęła.

– Policja! – krzyknął facet.

– A żebyś, kurwa, wiedział – odparła. – Zaraz cię tu przedmuchamy, bo mandat za jazdę bez pasów już dostaniesz. I za napaść na funkcjonariusza.

– Iga – usłyszała za sobą głos Damięckiego. – Zostaw go, śpieszymy się. Nie warto.

– Dzwon po drogówkę.

– Serio, nie warto.

Wstała, facet posłusznie nadal leżał na ziemi.

– Co za chuj – rzuciła i wróciła do samochodu.

Uspokajała oddech, układała myśli w równych szeregach, starała się trzymać nerwy na wodzy. Nie powinna tak się zachowywać, zdecydowanie nie powinna.

Ruszyli.

3.

Urząd Miasta, ulica Wolności, Stalowa Wola

Godzina 9.00

Gleba spodziewała się spotkania w dużej sali, z udziałem szefów wszystkich możliwych służb, a tymczasem w gabinecie prezydenta oprócz niej i Damięckiego byli jeszcze tylko prezydent i komendant Andrzejczak. Kameralnie. Żaden z nich nie siedział, stali oparci o biurko i dyskutowali o czymś zawzięcie. Na ich widok zamilkli, a włodarz miasta sięgnął po gazetę.

– „Krwawa rzeźnia na kulochwytach” – powiedział prezydent, podnosząc tytułową stronę lokalnego dziennika „Wieści”. – A to najdelikatniejszy nagłówek, bo nie tylko nasze dwa lokalne szmatławce piszą o tej sprawie, ale i wszystkie portale informacyjne. Proszę – podniósł wydrukowane artykuły – mamy jeszcze „Rzeźnik ze Stalowej?”, tak ze znakiem zapytania, niby pytanie postawione czytelnikom. Dalej takie cukiereczki jak „Polowanie na bezdomnych”, „Kuba Rozpruwacz w Stalowej – kto następny?”, „Poderznął mu gardło i spuścił krew” oraz najlepsze, słuchajcie, „Krwawy tarocista”. I jeszcze „Powrót Wampira”. No nie ma co, kwiecieście. Mordercy, rzeźnicy, sataniści, czarne msze i inne dobrodziejstwa współczesnego świata. Tezy stawiane są różne, ale każda ma w podtekście jedno: w naszym mieście nie jest bezpiecznie i po zmroku lepiej nie wychodzić na ulicę.

– A o papieżu coś jest? – zapytała Gleba.

Prezydent poczerwieniał, rzucił gazetą o blat biurka.

– Za kilka dni zjawią się tu oficjele – powiedział, cedząc niemal każde słowo. – Ministrowie, najpewniej premier, możliwe, że nawet prezydent. I dwóch biskupów! Mural zdążymy odtworzyć, już jesteśmy dogadani z artystą. Ale jeśli do tego czasu faktycznie ktoś jeszcze zginie, to...

– To będzie szczyt naszej niekompetencji – uzupełnił komendant Andrzejczak. – Musimy do tego czasu zamknąć sprawę.

– I pozbędziemy się bezdomnych – dodał prezydent.

– Ale że pozabijamy? – zapytała Gleba.

– Iga! – krzyknął komendant.

– Już zlikwidowaliśmy melinę pod wiaduktem – powiedział spokojnie prezydent, podnosząc filiżankę z kawą. – Za kilka dni weźmiemy się do tych baraków za Biedronką.

– A co z bezdomnymi? – zapytał szybko Damięcki, widząc, że Iga chce coś powiedzieć.

– W naszym państwie dbamy o każdego obywatela – oznajmił z uśmiechem prezydent. – Każdy, kto urodził się Polakiem, ma zgodnie z konstytucją prawo do godnego życia, i my to życie zapewnimy. Każdy z tych zagubionych obywateli zostanie przez nas otoczony opieką, i to taką, o jakiej może sobie teraz tylko pomarzyć. Umyjemy ich, zbadamy, nakarmimy, kogo będzie trzeba, to położymy w szpitalu.

– Dobrze, że mamy konstytucję – odetchnęła z ulgą Gleba.

– Pomijając wszelkie zapisy ustawowe, to zadbać o bliźniego nakazuje nam chrześcijański obowiązek! – Prezydent znowu podniósł głos. – Tak, chrześcijańska moralność, bo innej w Polsce nie mamy. Tak nauczał największy z Polaków, święty Jan Paweł II, którego wspomnienie ktoś zbezczeszczył. Splugawił ukochaną przez miliony twarz, splamił święte dłonie krwią, dłonie, które wywalczyły nam wolność, którymi błogosławił swojej ojczyźnie. I jak ta ojczyzna mu się teraz odwdzięcza? Jego wizerunek odmalujemy i będziemy go strzec, krew na obliczu i rękach zmyjemy! I będziemy pilnować sumiennie, aby nigdy ponownie się na nich nie pojawiła. Zrozumiano?

– Jak postępy w ustalaniu sprawcy morderstwa? – zapytał nagle komendant, znowu starając się uprzedzić Glebę, ale i przerwać napędzającego się prezydenta.

– Zawężamy krąg osób mogących mieć wiedzę w sprawie – rzucił Damięcki. – Za chwilę jedziemy rozpytać kompanów denata, mamy także wytypowanych potencjalnych świadków zdarzenia. Pracujemy tylko nad tą sprawą.

– Bardzo dobrze – powiedział komendant. – Nadgodziny i środki nielimitowane. Macie mi go złapać. Prokurator Rozwadowska czuwa nad wszystkim?

– Tak jest – odparł Damięcki.

– I dobrze, to zadziorna baba, nie odpuści – skomentował prezydent.

Iga już chciała powiedzieć, co myśli o użyciu słowa „baba”, ale komendant to wyczuł i zgromił ją wzrokiem. W gabinecie zapadła na chwilę cisza. Otworzyły się drzwi i do środka weszła kobieta z tacą i dwoma filiżankami kawy dla nowo przybyłych gości. Postawiła je na biurku prezydenta. Ten usiadł i o to samo poprosił resztę.

– No to teraz już na spokojnie – powiedział. – O co chodzi z tym tarotem?

– Dziennikarskie bzdury – rzuciła Gleba.

– Chodzi o pozycję ofiary – wyjaśnił Damięcki. – Wisiał za jedną nogę głową w dół, pozycja Wisielca z kart tarota.

– Pozornie – dodała Gleba. – Po zapoznaniu się ze szczegółami wychodzi, że ta karta wróżbitów przedstawia ikonicznie mężczyznę wiszącego do góry nogami, to fakt, ale na tym podobieństwa się kończą. Ten od tarota powinien wisieć za prawą nogę, nie lewą. Na karcie jest doczepiony do poprzecznej belki, czegoś na kształt krzyża.

– Tego jeszcze brakowało – wtrącił prezydent. – Żeby mi na krzyżu kogoś powiesili.

– Idąc dalej – kontynuowała Gleba. – W tarocie ma związane za plecami ręce i wisi tak w sumie dobrowolnie, nie jest to dla niego kara. No i nie ma podejrzanego gardła.

– Czyli to wymysły pismaków? – zapytał prezydent. – Nie działa tu żaden maniak?

– Ktoś, kto popełnia takie brutalne morderstwo, jest bez wątpienia maniakiem – odparła Gleba. – Jeśli jednak pyta pan o seryjnego mordercę i czy to się powtórzy, to na dwoje babka wróżyła. Na razie wszystko wskazuje, że to nie seryjny, patolog jest bardzo sceptyczny pod tym względem. Oczywiście jeszcze czekamy na opinię profilerów, powinna dotrzeć w ciągu kilku dni. Jednak może to być załatwianie jakichś porachunków, nie można zatem wykluczyć kolejnej ofiary.

– Byle nie jakiś normalny, porządny obywatel – westchnął prezydent. – Nie teraz.

– No tak, bezdomny to mniejsza strata – rzuciła Gleba z przekąsem. – I chyba nie ma dobrego momentu na morderstwo, tak mi się przynajmniej wydaje – dodała.

Komendant Andrzejczak wstał energicznie, niemal przewracając swoją filiżankę z kawą.

– Panie prezydencie, dziękujemy za spotkanie – powiedział. – Wie pan, obowiązki wzywają.

Machnął głową na dwójkę policjantów, jasno dając im do zrozumienia, że audyencja skończona.

– Dobrze, wracajcie do pracy – powiedział prezydent, wstając. – I pamiętajcie, jeśli mi drania złapiecie przed uroczystościami, to postaram się, żeby to zakończyło się jakimś odznaczeniem. Macie pewnie coś takiego w policji, a jak nie, to coś tam od miasta damy. I dopilnuję, żeby sam premier przypiął ten order. Ładnie to na zdjęciach potem wygląda. No, do roboty.

– Do roboty to jest koń i traktor – odparła Gleba pod nosem, będąc już w drzwiach. – My idziemy do pracy.

Prezydent uśmiechnął się kwaśno i dopił kawę.

4.

Brzeg rzeki San, okolice Stalowej Woli

Godzina 11.00

Nie tak powinna pachnieć wolność i zdawał sobie z tego sprawę. Smród to też zapach, samemu się go nie czuje, ale tym na zewnątrz przeszkadzał. Drażnił przechodniów, ekspedientki w sklepach, dobrych ludzi dbających o takich jak on, wolnych. Dziwne, ale to mu przeszkadzało, nie lubił tych zmarszczonych na jego widok nosów, ludzi przechodzących na drugą stronę ulicy, męczyło go to bardzo. Nie przeszkadzały mu spojrzenia pełne pogardy czy te wypełnione litością, wyzwiska wykrzykiwane przez młodzież czy kamienie rzucone przez dzieci. Chociaż z roku na rok to się uspokajało, dzieci już nie były tak ciekawe świata, nie wypatrywały badawczo wszystkiego wokół, gapiły się w ekrany swoich telefonów, tam znęcały się nad innymi. Lump już nie był atrakcyjnym celem. Tak, to te telefony, potrafił przez cały dzień nie spotkać nikogo, kto by na niego spojrział. Chyba że go poczuł.

- Szwendacz? – zawołał go Dziwisz.
- No?
- A może byśmy tak się wykąпали w tym Sanie, co? Dawno się nie kąpałem.
- Wczoraj się kąpaliśmy – odparł spokojnie.
- A – odparł kolega. – Znowu zapomniałem, co?
- Znowu.

Siedzieli nad Sanem i moczyli stopy w zimnej wodzie. Dobrze to robiło na stwardniałą skórę. Jak się nie bierze codziennych kąpeli, nie zmienia skarpetek co rano i nie ma wygodnych butów, to stopy twardnieją. I pękają.

Ceną wolności jest pogarda zniewolonych. Akceptował ten stan rzeczy, czuł się jak jedyny widzący w tłumie ślepców. Jednak smrodu nie tolerował. Kąpał się, kiedy tylko mógł, no, ale już ubrania nie udawało się tak często zmieniać. Mógłby oczywiście iść do Brata Alberta i tam zamieszkać, prałby sobie rzeczy, żył spokojnie, ale nie byłby wolny. Pojawiłyby się obowiązki, zakazy i nakazy.

- Szwendacz?
- No?
- A obiad jedliśmy?
- Nie. Zaraz idziemy.
- Już ta godzina?
- Tak mi się wydaje. Zgłodniałem.

Nie nosił zegarka. Szczęśliwi czasu nie liczą, co nie? Wolni tym bardziej.

Wyjęli stopy z wody, wytarli je ręcznikiem, który znalazł rano w śmietniku. Kiedyś za taki ręcznik ludzie by się pokroić dali, duży, z kolorowymi wzorami, trochę sztywny, to fakt, ale prawie jak nowy.

- Gdzie jest Słodki? – zapytał Dziwisz.
- Powiedział rano, że musi się wyspowiadać.
- U księdza?
- Albo na komisariacie.
- Pojechało cię? Policji nie znosi. – Dziwisz splunął z pogardą.
- No to raczej u księdza.
- Czemu?
- Boi się, że umrze.

Kolega włożył buty i wstał, popatrzył na niego z góry.

- Jest chory?
- Wczoraj zabili Posejdona. Boi się, że teraz jego zabiją.
- Serio, Posejdona?
- No tak.

– Zapomniałem, co nie?
– No tak, płakałeś nawet.
– Był przechujem.
– Zgadzą się.
– I myślisz, że nas też ktoś zabije?
– Może tak.
– Szwendacz, jak to jest, że zapominam o śmierci przyjaciela, o kąpieli w Sanie, ale nie mogę zapomnieć tego złego, co zrobiłem w przeszłości, co?
– Samochód jebnął cię nie tam, gdzie trzeba.
– Aha.
– Nie myśl już o tym, chodźmy zjeść. Jak ma nas ktoś zabić, to z pełnym żołądkiem.
– Pić mi się chce.
– Deser też będzie, chodź.
Ruszyli. Deptak nad Sanem prowadził ich prosto do miasta. Mieli kawałek, ale i wypoczęte stopy.

5.

Hotel Metalowiec, ulica 1 Sierpnia, Stalowa Wola

Godzina 12.00

Gleba nigdy nie sądziła, że zatęskni za wieżowcami, tymi warszawskimi, paskudnie pięknymi. To tak jak widzisz kogoś w najnowszym mercedesie, który strasznie ci się nie podoba, sama byś takiego nie kupiła, ale jakby ktoś dał, no to biorę.

W Stalowej wieżowce mieli właściwie dwa: Mostostal i Metalowiec. Ten pierwszy roztaczał w środku ulotną woń wspomnień epoki PRL-u, a ten drugi stał sobie jak przysłowiowe widły w gnoju pośrodku płaskiego krajobrazu. Dziesięć pięter, jakie miasto, taki wieżowiec.

Tabliczki reklamowe informowały, że w budynku można załatwić sprawę z ubezpieczycielem, komornikiem czy masażystą, skorzystać z części hotelowej lub zjeść coś w restauracji. Jak się okazało, ten przybytek gastronomiczny realizował także talony z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej na obiady dla najbiedniejszych.

– Ja pierdolę, ani pół ławki – zdenerwowała się Gleba, gdy obchodzili budynek.
– Tu jest, przy torach. –Dzielnicowy wskazał samotną ławkę pod drzewami tuż przy przejściu przez torowisko.
– Co za miejsce. – Kręciła nosem Iga.
– Daj spokój, jak każde inne – rzucił Damięcki.
– O! – ożywił się Wierzba. – Jest gagatek. – Wskazał palcem jakiegoś mężczyznę, całkiem różnym krokiem zmierzającego w stronę budynku.
– Kto to? – zapytał Damięcki.

– Pęksiok – poinformował ich dzielnicowy. – Taki najbardziej rezolutny ze stada. On sprzedał mi informacje o Posejdonie.

Wierzba wstał i machnął ręką w stronę mężczyzny, który wcale nie wyglądał na bezdomnego. Dżinsy, koszula flanelowa, krótkie włosy. Dopiero gdy podszedł, to z bliska można było zauważyć, że strój ma mocno sfatygowany, twarz również zdradzała szybsze zużycie, niż przewidywał producent.

– Dzień dobry, komisarzy – powiedział mężczyzna. – I szanownej pani rączki całuję. – Tu spojrzął w stronę Gleby i zaszczycił ją uśmiechem, pokazując jednocześnie przetrzebione uzębienie, które w Warszawie zwykli nazywać „co drugi występ”. – Szykowna kurteczka – skomentował na koniec.

– Pęksiok, ty tutaj nie szastaj szarmancją – skarcił go Wierzba oschle. – Pani komisarz z samej Warszawy do was przyjechała, więc pokazuj szybko, który to Słodki i Dziwisz.

Mężczyzna popatrzył na dzielnicowego, stał chwilę, jakby jego mózg musiał zaksięgować polecenie i wysłać do odpowiedniego działu. Sprawa chyba jednak została pozytywnie rozpatrzona, bo zaczął się powoli rozglądać, w tempie kojarzącym się Glebie ze światłem latarni morskiej omiatającej wybrzeże i ciemne wody. Zdawało się, że ta inspekcja trwa z godzinę, aż w końcu twarz Pęksioka ponownie rozjaśnił uśmiech, a jego brudny paluch skierował się w stronę nadchodzącej dwójki.

– Dziwisz – zakomunikował.

– Który to?

– Ten mniejszy.

– A ten drugi? – dopytał Wierzba.

– Szwendacz.

– A gdzie Słodki?

– Pewnie zaraz będzie. Nie widzę go.

– Dobra, dawaj tu tego zapominalskiego – poleciała Gleba.

Tym razem podanie zostało rozpatrzone natychmiastowo, bez zbędnej zwłoki. Pęksiok ruszył w stronę nadchodzącej dwójki, zaczął z nimi rozmawiać, po czym złapał jednego z nich za rękaw i przyciągnął do ławki, przy której stali policjanci.

Mężczyzna był niski i Glebie przypominał Dariusza Michalczewskiego u szczytu kariery. Szczupły, lekko napuchnięta twarz ze złamanym nosem, niewysoki, trochę przygarbiony.

– Ty jesteś Dziwisz? – zapytał Wierzba, który postanowił wziąć na siebie ciężar rozmowy.

– Ja – odpowiedź została wypowiedziana niskim głosem, niejako niepasującym do postury.

– Znałeś Posejdona?

– Tak. Zaraz pewnie przyjdzie. Lubi obiady – odpowiedział Dziwisz ze szczerym uśmiechem.

– Ogarnij się, klient nie żyje od wczoraj – rzucił dzielnicowy.

– Nie żyje? – zdziwił się mężczyzna, otwierając szeroko oczy.

– Nie wiedziałeś?

– Ale to był przechuj – powiedział Dziwisz.

– Dlaczego? Jaki był? – zapytał Wierzba.

– Lubił obiady. Czasem postawił piwo.

– Mieszkał gdzieś?

– Co?

– Skup się! – krzyknął Wierzba. – Mieszkał z wami na tym śmietniku czy gdzieś na kwadracie?

– Dajcie mu spokój – usłyszeli nowy głos zza swoich pleców. – Nic wam nie powie.

– Słodki! – ucieszył się Dziwisz. – Zdążyłeś na obiad!

Zza ławki wyszedł mężczyzna z bardzo czarnymi włosami, Gleba miała wrażenie, że one go definiowały, każdy najpierw patrzył na nie, a potem dopiero szedł dalej, ciemna twarz, mocno pomarszczona, wąskie barki, patykowate ręce i nogi. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat.

– Dziwisz, leć mi zająć miejsce w kolejce, co? – poprosił kolegę.

– Lecę! Dobrze, że zdążyłeś. – Mężczyzna z radością ruszył z powrotem w stronę budynku.

– Samochód go trzasnął i klepki mu się poprzestawiały – powiedział Słodki, kręcąc jednocześnie palcem wokół ucha. – Wieczorem znowu nie będzie pamiętał, że Posejdon nie żyje, a może nawet i przy obiedzie. Jakaś tam pamięć krótkotrwała czy coś.

– A co ty taki lekarz jesteś, Słodki, co? – rzucił zaczepnie Wierzba.

– Znał pan Posejdona? – wtrąciła się Gleba, męczył ją zbyt nachalny styl prowadzenia rozmowy przez dzielnicowego. Kiedy trzeba, to trzeba, ale tutaj nie było jak na razie oporów przed rozmową z policjantami.

– No tak.

– Podobno trochę lepiej niż inni?

– Pomógł mi raz, jak zasłabłem od cukrzycy – powiedział Słodki. – Ogólnie lubił pomagać. Każdemu. To nie był taki jeden z nas, wszyscy traktowali go bardziej jak jakiegoś wolontariusza. Wiadomo było, że jak coś trzeba załatwić, to do niego. Pismo do urzędu przygotował, ubranie załatwił, takie tam.

– Czyli co, spokojny, lubiany?

– No taki właśnie, jak nie nasz.

– Pił? – zapytał Wierzba.

– Panie władzo, co pan pyta. – Uśmiechnął się Słodki. – No pił. Ale zawsze swoje!

– Jak to?

– Jak go częstowali, to odmawiał. Miał swoją flaszkę, taką piersiówkę, mówił, że pamiątka z dawnych czasów. Z niej sobie pociągał. Ćwiartkę mieściła, resztą się dzielił. Porządny gość.

– I nie dziwiło was, że tak nie pije z wami? – zapytał Wierzba.

– Że nie z butelki? No wie pan, tutaj każdy coś ma takiego dziwnego. Szwendacz na przykład to lubi się kąpać i myć, na okrągło. Częściej niż panusie z dobrych domów, tak się śmiejemy. Mamy takiego, Chochła na niego wołamy, bo on jak je, to tylko swoją srebrną łyżką, co ją ma po babce, a ta hrabianką była. Gapa znowu nie zje zupy, jak nie wleje do niej setki wódki, wiecznie o to w Caritasie dymy są. Bejca, jak widzi białe bmw, to się moczy, bo go kiedyś gnojki do bagażnika wrzuciły, wywiozły do lasu, łomot spuściły i żywcem zakopały. Dla żartu, rozumiecie. Dobrze, że ziemia zmarznięta, głęboko im się nie chciało kopać i jakoś wylazł.

– Dobra, rozumiemy – przerwał mu Wierzba. – Miał jakiś kwadrat?

– Musowo – odparł Słodki. – Czasem znikał i na tydzień. Niektórzy tak robią, a to gdzieś na melinie utkną, czasem zachorują albo ich coś najdzie nieraz, że życie odmienia i idą, żeby z rodziną się przeprosić. Zawsze wracają. To już nie nasz świat.

– Nie filozuj, Słodki – skarcił go Wierzba.

– No to on jak znikał, to wracał. Zawsze. Góra tydzień go nie było.

– Często znikał? – zapytała Gleba.

– No tak... – Mężczyzna zamyślił się i widać było, że naprawdę chce pomóc. – No raz na jakiś czas, wiecie, jak z tym czasem. Wszystko się zlewa w jedno. No kilka razy do roku, o! – zakończył zadowolony z siebie.

– I nie wiesz, gdzie znikał? – dopytywał Wierzba. – O żonie nic nie opowiadał?

– Żonie?

– Tej, co to ją widłami pogonił.

– Tak tylko opowiadał, to żeśmy go Posejdon wołali.

– Wiesz, jak się nazywał?

– Tutaj się nie legitymujemy, panie władzo. – Słodki się uśmiechnął. – Tu się każdy woła, jak chce.

– Ty w ogóle, kurwa, coś wiesz? – zdenerwował się Damięcki. – Żadnego z ciebie pożytku.

– Siadła zaba na patelni i krzyczy, że ją dupa parzy – odparł niezrażony Słodki. – My nie jesteśmy instytucją pożytku publicznego. I grzeczniej w towarzystwie damy,

mamusia nie uczyła?

Damięcki ruszył w stronę mężczyzny, ale Gleba powstrzymała go ręką jak zawodowy ochroniarz.

– Ktoś go zabił – powiedziała spokojnie. – Boimy się, że sprawca może chcieć dalej mordować.

– Żuli? – zapytał Słodki.

– Tak – odparła Gleba. – Widział pan coś w ten wieczór, gdy zaginął Posejdon? Ktokolwiek coś widział? Musieliście o tym rozmawiać.

– Strach jest – stwierdził mężczyzna.

– Tylko mi tu nie wyskakuj z tym waszym Wampirem, dobra? – uprzedził go Wierzba.

– Gdzie tam Wampir. – Mężczyzna machnął ręką, ale głos mu zadrżał, co nie uszło uwagi Gleby. – To pierdoły opowiadane po pijaku.

– A pije się dużo, co nie? – zapytał Damięcki.

– Niemało – przytaknął Słodki. – Czasem jednak lepiej nie gadać. To tak czasem jest, że się nie mówi, żeby nie wywoływać wilka z lasu. Ale mogę dzisiaj podpytać towarzystwo. Zmobilizować. Tutaj niektórzy są w różnym stanie, wieści ze świata są, no... z innego świata. Co się dziś będzie piło, to bywa problem, a nie co tam Putin majstruje. Postawię jakąś naleweczkę, za pozwoleniem szanownej władzy, to się języki od razu rozwiążą.

– No ja bym wspomógł tę szlachetną inicjatywę – stwierdził Wierzba – ale skąd mam pewność, czy dasz radę się czegoś dowiedzieć, czy nie?

– Bo mi ufają i opowiadają wszystko.

– I nikt ci nic do tej pory nie mówił?

– No... Nic. Ale ja sam widziałem ostatnio taki samochód, który często podjeżdżał pod rondo i stał na zgaszonych światłach. Duża fura. Czarna. Niemiecka. Może to morderca?

Gleba drgnęła. Dzielnicowy chyba czytał jej w myślach, bo wyjął ze swojej teczki trzy zdjęcia samochodów wyłapanych z monitoringu.

– Któryś z tych?

– Nie – odpowiedział mężczyzna.

– Bo takie wasze bajanie o czarnym samochodzie, co porywa bezdomnych – parsknął Wierzba.

Słodki spuścił wzrok i zacisnął pięści. Gleba miała wrażenie, że chce coś odpyskować dzielnicowemu, ale dobrze wie, że to nie ma sensu. Wyjęła z kieszeni sto złotych i wręczyła bezdomnemu, ten zgarnął sprawnie banknot i ponownie zaprezentował uzębienie dziurawe niczym stary płot.

– Dziękuję – powiedział.

– Chcę wiedzieć więcej o tej sprawie – powiedziała. – I o czarnym samochodzie. Słodki kiwnął głową.

– Tylko żebyś jutro pamiętał, o czym tam gadaliście – poinstruował go Wierzba.

– Ma się rozumieć.

– Podejdź jutro do nas na komendę.

– Na komendę? – zapytał niepewnie Słodki.

– Nie bój się, nie zamkniemy cię – uspokajał go dzielnicowy. – A za pomoc potrafimy się odwdzięczyć.

– Odwdzięczyć – powiedział z goryczą w głosie Słodki. – Niech pan powie, panie komisarzu, to, co rano pod wiaduktem zrobiliście, to po co było?

– Oj, Słodki, nie wiesz, jak to jest? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Zrobiliście melinę w centrum takiego ładnego miasta. To jakby piękna kobieta paradowała z pryszczem na nosie.

– Aha – odpowiedział żul ze smutkiem.

– No, spierdalaj tam na zupkę. – Dzielnicowy wskazał mu drogę kiwnięciem głowy. – Smacznego. I widzimy się jutro.

Mężczyzna odmaszerował szybkim krokiem. Gleba patrzyła za nim, a jej wzrok przykuł inny z bezdomnych, ten, który pojawił się na początku z Dziwiszem. Jak go nazwali? Chyba Szwendacz. Siedział na murku z miską zupy i jadł, cały czas przyglądając im się znad talerza. Gdy mijał go Słodki, wstał i wszedł za nim do budynku.

– To rano czegoś się dowiemy – podsumował Wierzba. – Jak będziecie chcieli być przy tym, to dajcie znać, a teraz się odmeldowuję, mam jeszcze trochę roboty.

– Dzięki – odparła Gleba. – I nie mógłbyś być dla nich trochę bardziej...

– Jaki? – zapytał dzielnicowy.

– Każdemu należy się szacunek – odpowiedziała.

– Może w Warszawie – odparł i odwrócił się na pięcie.

– A my co robimy? – zapytał Damięcki, odprowadzając wzrokiem starego policjanta.

– Karol, musimy sobie na starcie wyjaśnić jedną rzecz – powiedziała, spoglądając mu w oczy.

– Jaką?

– Nie lekceważ bezdomnych.

– Ale, Gleba, daj spokój, nic nie wiedzą, ledwo myślą.

– No i widzisz, jak ty gównie wiesz o życiu. To, że ktoś jest bezdomnym, nie oznacza, że jest automatycznie debilem. Fakt, większość tych dreszczy najbardziej

zniszczonych tanim alkoholem słabo kontaktuje, ale opowiem ci o sprawie, która powinna być dla ciebie przestrożą. Posłuchasz?

– Dajesz.

– W dwa tysiące trzecim roku w Krakowie złapano trzyosobową szajkę złodziei wynoszących starodruki z biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Panowie działali przez dwa lata i w tym czasie wytargali z będącej pod pełnym nadzorem placówki ponad sześćdziesiąt grafik i kilka książek. Straty oszacowane na niemal dwieście tysięcy złotych. Wiesz, gdzie panowie się poznali i wpadli na pomysł wspólnego biznesu?

– Nie.

– W noclegowni dla bezdomnych. Wszyscy trzej mieli wyższe wykształcenie, ale w życiu im nie poszło i wyładowali na ulicy. Brakło im na jedzenie i chłanie, więc zaczęli kombinować. Poczytaj sobie w domu o tej sprawie, jaki przemyślny system wynoszenia starodruków wymyślili i jak sprawnie działali. To, że ktoś jest bezdomnym, nie kwalifikuje go od razu do kategorii ludzkiego wraku niezdolnego logicznie myśleć. Każdy z nich może przed nami grać, bo ulegamy w ich mniemaniu stereotypowi powłóczącego nogami chlora, który nie jest w stanie złożyć poprawnie zdania.

– Przyjąłem do wiadomości. Doksztalcę się.

– Mam nadzieję. A teraz czas sprawdzić te samochody.

– Jedno jest przyjezdne, z Leszna. Lokalna komenda ma go sprawdzić. Dwaj pozostali są miejscowi.

– To sprawdzimy tych lokalnych?

– No tak, tylko jest mały problem.

– Zamieniam się w słuch.

Damięcki westchnął, jakby miał jej przekazać co najmniej wiadomość o śmierci członka rodziny. Podrapał się po głowie, rozejrzał niepewnie.

– No, Brukselka, dajesz, co się dzieje? Będziesz mi się oświadczał?

– Nie no – zaprzeczył gwałtownie.

– Nie podobam ci się?

– Pani podkomisarz! – zaczerwienił się. – To znaczy Gleba. Jesteś bardzo piękna, serio, ale...

– Ale to byłby mezalians. Ty, syn europosłanki, ja, zwykła psina, tyle że z Warszawy, więc punkty za pochodzenie.

– Mam dziewczynę!

– Brawo! Uważam, że regularne pożycie seksualne jest gwarantem równowagi psychicznej.

Chłopak znowu się zaczerwienił. Widocznie mógł spokojnie rozmawiać o morderstwach, podciętych gardłach, ale już kwestie damsko-męskie były dla niego niekomfortowe.

– No to mów, o co chodzi – ponagliła.

– No bo ten pierwszy samochód, renault scenic, należy do Adama Kawki, handlarza z hali targowej. Handluje chińskim ciuchem.

– No i co z tego, to jakiś lokalny watażka, pół chuja, pół ptaszka? Mamy się go bać?

– Nie o niego chodzi, to leszcz.

– Na świętą Balbinę, patronkę jakałów, wyduś to z siebie!

– Na kogo?

– Ja pierdołę, taki z ciebie katol, co niedziela w kościele, a nie wiesz, kim była święta Balbina?

– No niby skąd. Dziwi mnie, skąd ty wiesz.

– Miałam bliskie stosunki z niemal księdzem – odparła. – Miał zwyczaj przyzywać różnych świętych, gdy chciał mi dokuczyć. Gdy czegoś nie mogłam z siebie wydusić, to modlił się właśnie do Balbiny.

Kosma, jej poprzedni partner, gość, który porzucił seminarium tuż przed święczeniami i został policjantem. A potem jej kochankiem. A następnie byłym kochankiem.

– Skoro już o tym mowa – odezwał się Damięcki. – No to właśnie ten drugi samochód należy do księdza.

– No i?

– No nie wiem, może być problem, aby z nim porozmawiać.

– Niby jaki? – zapytała, doskonale zdając sobie sprawę, o co chodzi młodemu policjantowi.

W Stalowej podejście do księży nie zmieniło się wiele od tego, jak traktowano ich w średniowieczu. Jedyna różnica to taka, że nie całowano ich w rękę na powitanie, klękając przy tym na ulicy. Chociaż kto wie. W mieście zasługi kleru podkreślano na każdym kroku, a jedyną uczelnią była filia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Księża byli zapraszani na każdą możliwą uroczystość, święcili otwarcie wszystko, co tylko można sobie wyobrazić i co można było oczywiście poświęcić.

– No bo to proboszcz.

– Ojej! – zawołała Gleba, teatralnie łapiąc się za głowę. – I co my teraz zrobimy?

– No to proboszcz mojej parafii.

– Świetnie. Znacnie się, będzie łatwiej ci go rozpytać.

– Ale...

– No co? Łączy was coś więcej niż stosunki parafianin– proboszcz? Byłeś ministrantem?

– Co to ma do rzeczy?

– No wiesz, rozmawia dwóch księży i jeden pyta, ilu tamten miał ministrantów na poprzedniej parafii. Ten odpowiada, że dwóch z pięciu.

– Przestań! Proboszcz Maciejewski jest bardzo w porządku, to ciepły człowiek, bardzo dobry.

– W łóżku?

– Ja pierdolę.

– Spokojnie, Karolku. Dasz radę. To będzie twoje wyzwanie i musisz się przełamać. Kiedyś otrzymałam radę od pewnego starego gliny, że jesteś gotowy do tej pracy dopiero, jak będziesz w stanie przesłuchać własną matkę. Zatem bądź gotowy na wszystko. Ale żebyś sobie to ładnie ułożył w głowie, to najpierw odwiedzimy halę targową.

6.

Hala targowa, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 13.00

Jak w każdy dzień hala tętniła życiem. Pierwowzór współczesnych galerii handlowych w Stalowej miał się bardzo dobrze i można tu było kupić czy załatwić niemal wszystko. Ubrać się od stóp do głów, przy okazji dorobić klucz, coś zjeść i wyjść z kwiatami dla ukochanej lub wieńcem pogrzebowym. Glebie całość przypominała nieco klimatem Bliski Wschód, pełen przekrzykujących się ludzi, mieszanki zapachów tekstyliów, potu i przepalonego tłuszczu. Pawilon handlowy Adama Kawki był bardzo elegancki, wchodziło się do środka przez szklane drzwi, w środku człowieka otaczał miły zapach kwiatów, z postawionego na ladzie radia cicho leciała muzyczka, manekiny poustawiane dookoła prezentowały na sobie gotowe komplety strojów. Bardzo gustownych.

– Pan Adam Kawka? – zapytała Gleba mężczyznę siedzącego za szklaną ladą.

– Tak. W czym mogę pomóc?

Był koło pięćdziesiątki, elegancko ubrany w koszulę z krótkim rękawem w odcieniu morskiej zieleni, dżinsy, włosy miał krótkie, równo przycięte i starannie ułożone. Bardzo przyjemny dla oka, stwierdziła Gleba w myślach.

– Podkomisarz Iga Ziemna, aspirant Karol Damięcki, Komenda Powiatowa Policji w Stalowej Woli – dopełniła formalności, pokazując przy okazji blachę.

– Dzień dobry, jak miło was widzieć – ucieszył się właściciel. – Chodzi o tę kradzież manekina sprzed miesiąca? Znaleźliście złodzieja?

– Nie – odparła Gleba. – To znaczy tę sprawę prowadzą koledzy z wydziału dochodzeniowo-śledczego, my jesteśmy z kryminalnego.

– Aha – odparł Kawka, ale było widać, że jednak struktura organizacyjna policji niewiele mu mówi.

Damięcki położył na ladzie wydruk z monitoringu pokazujący samochód Kawki wraz z powiększeniem tablic rejestracyjnych.

– To pana samochód? – zapytał.

– Tak, mój.

– Proszę spojrzeć na datę i godzinę monitoringu. Pan nim wtedy jechał?

– Tak. – Mężczyzna nieco zbladł i zaczął się pocić.

– Co pan tam robił? – zapytała Gleba.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła jakaś starsza kobieta. Kawka wyszedł szybko zza lady i podszedł do klientki.

– Zamykamy – powiedział, po czym złapał ją pod rękę i wyprowadził ze sklepu.

– Ale ja chciałam... – protestowała kobieta.

– Za godzinkę pani przyjdzie – rzucił, po czym zamknął drzwi, przekręcił zamek i odwrócił kartkę wiszącą na nich tak, aby obwieścić wszystkim, że jest zamknięte.

– Zaraz się rozejdzie, że mnie policja przepytuje – wyjaśnił swoje zachowanie. – Biznes lubi spokój, no a my będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– Zatem? – zagała ponownie Gleba.

– Przejeżdżałem tylko. Lubię tamtędy jeździć, omijam całe centrum.

– W nocy?

– Wiecie, jak już muszę jechać po zmroku, to mnie zawsze gdzieś zatrzymacie i jest dmuchanko, spisywanie. Trwa to długo, strata czasu, to lecę sobie bokiem i mam spokój.

– Rozsądnie – zgodziła się Gleba. – Tylko jest taka sprawa, że jechał pan w jedną stronę, a potem wracał godzinę później. Kamery po drugiej stronie strefy pana nie złapały, co oznacza, że gdzieś się pan zatrzymał.

– Dlaczego pytacie?

– Bo nas to żywo interesuje – odparła Gleba. – Jeśli nie robił pan nic niezgodnego z prawem, to proszę nam powiedzieć co i już znikamy.

– Nie robiłem nic niezgodnego z prawem – obruszył się mężczyzna. – Ale to była prywatna sprawa i nie chciałbym, żeby się, hm... rozeszła.

– Spotkał się pan z kimś?

– Tak. I chciałbym, aby personalia tej osoby pozostały nieujawnione – oznajmił, kończąc twardo swoją wypowiedź.

– Panie Adamie – powiedziała spokojnym, ale równie twardym głosem Gleba. – Dokładnie w tych godzinach na terenie kulochwyłów zamordowano człowieka. Chciałabym potraktować pana jako świadka zdarzenia, ba, marzę o tym, aby mi pan powiedział, że widział kogoś podejrzanego w tym czasie. Jeśli był tam pan z kimś, a ta osoba potwierdzi pana wersję, to mamy jasność, zegnamy się i pewnie więcej nie spotkamy. Jednak będę chciała porozmawiać z tą osobą, może ona coś widziała?

– Nie widziała niczego – zaręczył Kawka.

– Bardzo możliwe – odpowiedziała Gleba. – Jednak muszę ją zapytać osobiście. Jeśli jednak nie poda pan jej personaliów, to wskakuje pan na miejsce numer jeden w rankingu naszych podejrzanych.

– Proszę mi wybaczyć, ale dżentelmeńska umowa nie pozwala mi na ujawnienie tożsamości tej osoby.

– Rozumiem – odpowiedziała z westchnięciem Gleba. – Trudno dziś o prawdziwego dżentelmena. Pana partnerka na pewno będzie wdzięczna, a może nawet i zobowiązana. Zresztą, będzie mogła dość szybko to okazać, bo musimy pana zatrzymać jako podejrzanego. Proszę jej szybko wysłać SMS-a, że od dziś można pana spotkać w areszcie śledczym w Nisku.

– Gdzie?

– Karol, popraw mnie, jeśli się mylę, to chyba przy placu Wolności? – zapytała Damięckiego Gleba.

– Tam damski jest. Zresztą, zamknęli go. Obecnie Rzeszów.

– Fakt. Dziś zatrzymujemy pana do wyjaśnienia, jutro pewnie prokurator podpisze nakaz aresztowania na trzy miesiące.

– Ale jak to? Przecież ja nic nie zrobiłem!

– Karol, czy my zatrzymaliśmy kiedyś kogokolwiek, kto powiedział inaczej?

– Nie przypominam sobie.

– Zachodzi obawa mataczenia, więc zatrzymamy pana do wyjaśnienia. Nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia, a pana samochód jest nagrany na monitoringu, nie jest pan w stanie podać wyjaśnienia swojej obecności na miejscu zbrodni.

– Miejscu zbrodni? – Kawka oparł się o ladę. – Ludzie, w co wy mnie chcecie zrobić?

– Przepraszam, ale nie mamy czasu – odparła Gleba. – Karol, zadzwoń po radiowóz, bo do naszego samochodu podejrzany się nie zmieści.

– Ja mam żonę – zaczął płaczkliwym głosem Kawka. – Ja tak nie mogę...

– Żona ma lepiej, może jakieś widzenia intymne da się załatwić – poinformowała go Gleba.

– Nie o to chodzi. Jak ona się dowie, to koniec. Sklep jest na nią i ja...

– Panie Adamie – powiedziała stanowczo Gleba, widząc, że klient zmiękł. – Mnie naprawdę nie obchodzą pana nocne wyprawy, chyba że mogą być powiązane z wczorajszym zabójstwem. Nie jestem strażniczką moralności, może pan sobie jeździć, z kim chce, i robić, co się panu żywnie podoba. Gwarantuję, że nasza dwójka nikomu nie piśnie słowa o tym, z kim pan tam był i co robił. Nawet na sprawie nie będziecie, a jeśli cokolwiek widzieliście, to i tak wasze zeznania będą spisane osobno, a pana żonie nic do nich.

– Ale moja... koleżanka jest obecnie w Norwegii, rano wyleciała. Pracuje tam.

– Proszę podać jej numer telefonu, poprosimy, aby złożyła zeznania na najbliższej komendzie policji w miejscu zamieszkania, koledzy z Norwegii nam wszystko przekażą. Nie każemy jej wracać do kraju.

Mężczyzna sięgnął za ladę po notes i zapisał coś na kartce. Złożył ją na pół, obtarł oczy i podał kartkę Glebie.

– No i proszę, nie można tak było od razu? Dziękujemy.

Gleba bez chwili zwłoki wybrała numer napisany na kartce, ale nikt nie odebrał. Spojrzała pytająco na mężczyznę.

– Dominika pracuje w szpitalu – wyjaśnił. – Jeśli jest na dyżurze, to nie mogą mieć przy sobie telefonów.

– O której kończy?

– Osiemnasta.

– No to do widzenia. – Ruszyła w stronę wyjścia.

Wychodząc, przekręciła zawieszkę na drzwiach, informując klientów, że sklep znowu jest otwarty.

7.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 14.30

Zanim udali się na rozmowę z proboszczem, wpadli do restauracji Fish & Grill Pub na burgery. Gdy tylko przekroczyli drzwi lokalu, Gleba poczuła się jak w innym świecie. Mała knajpka z tak znudzoną kelnerką za barem, że dawała jej maksymalnie dwie godziny życia, zanim definitywnie umrze z nudów. Zresztą, ich przybycie, jako jedynych klientów tego przybytku, nie przerwało festiwalu nieróbstwa, dziewczyna kompletnie ich zignorowała. Gleba podeszła do baru, zabrała menu i przez chwilę pomyślała, że może z kelnerką jest coś nie tak, może odkryła przejście między wymiarami, bo nadal stała niewzruszona, żując gumę i smyrając po ekranie położonego przed nią telefonu. Gdy usiedli, to z telewizora zawieszzonego na ścianie ryknął jakiś przebój disco polo, do którego, o zgrozo, Damięcki począł przytupywać nogą.

– Wychodzimy – zarządziła Gleba.

– Ale...

– Nie chcę dostać jednocześnie skrętu kiszek, infekcji uszu i zdeptania godności osobistej, a obecnie szczególnie cierpi to ostatnie.

– Przecież...

– Karol! – Zatrzymała się przy barze, rzuciła menu przed dziewczynę i odwróciła się w jego stronę z groźnie wyciągniętym palcem do góry. Co ciekawe, kelnerka nawet nie drgnęła.

– Co?

– Jajco! Jeśli kiedykolwiek puścisz przy mnie taką muzykę, to osobiście naprostuję ci gusta muzyczne. Będzie bolało, ale pociesz się, że jak już wyjdiesz ze szpitala, będziesz innym człowiekiem, z którym nie wstyd wyjść na obiad. Wychodzimy. Znam lepszą knajpę.

Przejechali do dobrze jej już znanej restauracji Heaven & Hell, gdzie można było zjeść bardzo dobrego burgera i popić go znakomitym, czternastodniowym piwem. Obsługa zwracała uwagę na człowieka, w dodatku witała gości uśmiechem.

Gleba podczas posiłku już prawie pękła i miała zakomunikować Damięckiemu, że weźmie na siebie ciężar rozmowy z księdzem, widziała jego skwaszoną minę, jadł bez przyjemności i wzdychał co chwila jak parowóz. Jednak postanowiła wytrwać przy swojej decyzji, skoro chciał się szkolić, niech działa. Policja to nie filmy Vegi, gdzie wrzeszczy się na każdego przesłuchiwanego, to bardzo często rozmowy delikatne, z rodzicami skrzywdzonych dzieci, małżonkami załamanymi po stracie partnera, także osobami na stanowiskach i prominentnymi. Ksiądz proboszcz był naprawdę dobrą wprawką do cięższej roboty.

Po szybkim obiedzie udali się na ulicę Floriańską i Gleba musiała przyznać, że kościółek był niezwykle urokliwy. Drewniana świątynia w centrum miasta, bardzo ładna i skromna, bardziej przypominająca niepozorne kościoły w górach niż przesadnie napompowane bogactwem współczesne betonowe twory. Budynek plebanii był już klasycznym jednorodzinny klockiem postawionym za kościołem. Gdy stanęli kilka metrów przed drzwiami, Damięcki ponownie sapnął z rezygnacją.

– Brukselka, przywołuję cię do porządku! – Uderzyła go w ramię.

– Ja wiem, ale co, jak to on?

– No to z głowy. Zamykamy sprawę, medal, premia, awans.

– Ludzie mi tutaj nie darują, że ich proboszcza...

– Karol! Posłuchaj mnie uważnie. Po pierwsze, to zobacz w nim człowieka, nie księdza. Mężczyznom ciężko przychodzi traktowanie wszystkich na równi, mocno kategoryzują. Baba, to pewnie się nie zna. Bezdomny to gorszy, śmieć, można go

zjebać. No, ale ksiądz to persona, trzeba z szacunkiem. A tu niespodzianka, tak samo może zabić kobieta, bezdomny czy ksiądz i każdy z nich, gdy już trafi za kratki, będzie po prostu więźniem z numerem porządkowym. Nie patrz na koloratkę, ale na człowieka.

– Dobra – rzucił buńczucznie, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Chcesz coś na rozluźnienie?

– Co?

– Czego trzyma się ksiądz podczas seksu?

– Gleba.

– Tornistra! No już, idziemy.

– I to ja niby kategoryzuję, tak? A ty co robisz? Jakaś nienawiść w tobie siedzi względem Kościoła.

– Oj nie, Karolku. Stawiasz tezę, że nienawidzę w sposób szczególny Kościoła i księży, bo opowiedziałam ci dwa dowcipy o nich, niezbyt wyszukane, to fakt, a to błędne myślenie.

– Tak?

– Oczywiście. Ja kocham wszystkich i wszystkim po równo dosrywam. Mam cały zasób docinków i dowcipów o różnych narodach, profesjach, orientacjach seksualnych. Nikogo nie dyskryminuję, każdy zasługuje na to, aby się z niego pośmiać.

– Dobrze, że Polacy to wesoły naród.

– Kpisz?

– Nie, serio. Zobacz popularność kabaretów, głównie śmiejemy się tam z nas samych.

– Kochany, Polak może się śmiać z Polaka, ale nikt inny. W dodatku nie ze wszystkiego. My, Polacy, mamy jakiś genetycznie odziedziczony kij w dupie. Chcemy być uznawani za wesołków i kpiarzy, ale nie daj Bóg ktoś zaśmieje się z nas, to obraza majestatu. Zaraz pozew, skandal, nagonka. Nie znam smutniejszego narodu. Jeśli nie potrafisz śmiać się sam z siebie, to nigdy nie wiesz, czy śmieją się z ciebie, czy do ciebie, i nawet przyjazny uśmiech odbierasz jak cios w mordę.

– Przesadzasz.

– Nie, kochany. Na Zachodzie mają nas przez to za jakichś antysemitów i rasistów.

– Co kogo obchodzi, co myślą o nas inni?

– Daj mi dokończyć. Uważają, że Polacy nienawidzą Żydów czy czarnoskórych. To jest błędne myślenie. Oczywiście, nienawidzimy ich, a także Niemców, Ruskich, Ukraińców, Francuzów, Włochów, ciapatych i wszystkich innych, po równo, nikogo nie dyskryminujemy. A najmocniej nienawidzimy sami siebie, innych Polaków.

Rozmowę przerwał im dźwięk trzaśnięcia drzwi od plebanii. W ich stronę szedł zażywny mężczyzna w sutannie, niewątpliwie ksiądz proboszcz we własnej osobie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powitał nadchodzącego księdza Damięcki.

– Na wieki wieków – odpowiedział kapłan.

Gleba czekała, aż staną naprzeciwko siebie, zaciekawiona, czy jednak młody policjant pocałuje proboszcza w rękę, ale do niczego takiego nie doszło.

– Podkomisarz Iga Ziemna, aspirant Karol Damięcki, Komenda Powiatowa Policji w Stalowej Woli – powiedziała, wyjmując blachę.

– Karolku, czyli służbowo jesteś? – zapytał ksiądz.

– Tak – odpowiedział Damięcki i nastąpiła cisza.

– A co się stało? – odezwał się w końcu proboszcz, bo Gleba twardo milczała.

– Właściwie nic wielkiego – wydusił z siebie Damięcki. – Jest taka sprawa, że samochód księdza proboszcza został nagrany na monitoringu w pobliżu miejsca przestępstwa, a my szukamy świadków zdarzenia, no i może ksiądz proboszcz coś widział. Przyszliśmy tak zapytać, bo szukamy tych świadków. A skoro monitoring, to wie ksiądz proboszcz, trzeba przyjść, taki obowiązek mamy, żeby...

– Mój samochód na miejscu przestępstwa? – zdziwił się proboszcz, przerywając ten wywód bez ładu i składu.

– Dobra, dość tego kolędowania – wtrąciła się Gleba. – Karol, pokaż zdjęcie.

– Tak, już. – Chłopak sięgnął do trzymanej w ręku tekturowej teczki i wyjął wydruk z monitoringu.

– To pana samochód – powiedziała Gleba. – Proszę spojrzeć na datę i godzinę zrobienia zdjęcia i wyjaśnić, co pan robił w tym czasie w okolicach kulochwytów.

– To nie mój samochód – odparł ksiądz.

– Pana – odpowiedziała Gleba.

– To znaczy nie mój osobiście – poprawił się proboszcz. – Należy do parafii, otrzymaliśmy go z darów z Niemiec, tyle że zarejestrowałem go na siebie. Chodzi o zniżki na OC. Używamy go jednak wszyscy, to duże auto, łatwo przewieźć gabarytowe rzeczy.

Albo zwłoki, miała dodać Gleba, ale ugryzła się w język.

– Pan nim jechał? – zapytała zamiast tego.

– Nie tej nocy, na pewno nie ja.

– Proszę podać zatem, kto był kierowcą.

– Hm... Będzie to łatwe, kluczyki są zawieszane w przedpokoju, pewnie wziął je któryś z wikariuszy. Jednak dopiero wieczorem będziemy wszyscy razem, po ostatniej

mszy, a ta jest o osiemnastej. Przy kolacji ustalę, kto jechał tym samochodem, i każę mu stawić się natychmiast u was celem wyjaśnienia.

– Bardzo dziękuję – odparła Gleba. – Niech tylko nie fatyguje się po nocy, proszę o telefon do aspiranta Damięckiego i w razie konieczności wizytę dopiero rano.

– Można zapytać, o co chodzi?

– Oczywiście – odpowiedziała Gleba. – Wczorajszej nocy zamordowano na terenach kulochwytów mężczyznę. Zajmujemy się tą sprawą.

– Posejdona, słyszałem.

– No tak, to małe miasto.

– Nie o to chodzi, ja tym ludziom pomagam w miarę możliwości. Czasem zlecam im prace porządkowe koło kościoła, jak były poprzedniej zimy tęgie mrozy, to przywiozłem kilku do kościoła, żeby nie zamarzli. Pozwoliłem im tu spać. W budynku plebanii nie mamy miejsca, ale w kościele zmieści się dużo osób.

– Może coś więcej pan o nich powiedzieć? – zapytała policjantka nieco zaskoczona.

– Niestety, wszystko, co by was interesowało, jest objęte tajemnicą spowiedzi – odparł ksiądz. – Tak ogólnie to żaden z nich nie miał na sumieniu niczego, co by mogło stawiać go w roli podejrzanego. To w większości zagubieni ludzie, których świat po prostu przerósł. Gdyby ktoś wyciągnął do nich rękę w odpowiednim momencie, ich losy potoczyłyby się inaczej, a teraz to jednak dla większości już za późno, nad czym nieustająco ubolewam.

– Życie... – rzuciła Gleba.

– Otóż to – zgodził się proboszcz. – Jedno słowo, a tłumaczy wszystko. W każdym razie możecie być pewni, że jeszcze dzisiaj skontaktuje się z wami ksiądz, który jechał tej nocy naszym samochodem. Jeśli chcecie, to właśnie o osiemnastej będzie msza w intencji zamordowanego, zamówili jego koledzy.

– Dziękujemy za zaproszenie, aspirant Damięcki przyjdzie z przyjemnością – odparła Gleba.

– Tak, przyjdę – potwierdził szybko policjant.

– To naprawdę dobrzy ludzie – dodał ksiądz. – Mszę chciałem robić za darmo, ale wręczyli mi sto złotych, a to dla nich niebagatelna kwota. Byli tu przed chwilą, minęliście się.

– I przyjął ksiądz? – zapytał Damięcki.

– To dumni ludzie – odparł proboszcz. – Może życie przetrąciło im kręgosłupy, zabiło pewność siebie, poczucie własnej wartości, ale w każdym tli się człowieczeństwo. Zebranie przy sklepach traktują jako pracę, część życia, nawet i konieczność, a nie coś upadającego. Wziąłem te pieniądze, będzie w zimie na herbatę, może jakieś cieplejsze ubrania. Dobro wraca.

– Dobry z pana człowiek – powiedziała Gleba.

– Po prostu człowiek – odparł ksiądz.

Pożegnali się i ruszyli w stronę samochodu. Damięcki w końcu nie wytrzymał i powiedział triumfująco:

– A mówiłem, że to porządny człowiek?

– Mówiłeś. A czy ja sugerowałam coś przeciwnego?

– No...

– No chyba nie. Kazałam ci z nim postępować jak z normalnym obywatelem. To już twój problem, że traktujesz księży lepiej niż innych.

– Ty to wszystko potrafisz tak obrócić, że wychodzę na jakiegoś durnia.

– Nie, Karolku, ja cię uczę życia. Wobec prawa wszyscy są równi. Wiem, że jako syn polityka zdajesz sobie sprawę, że ten komunał można zbyć śmiechem, ale staraj się go trzymać.

Zapadła cisza, wsiedli do samochodu.

– Po co ta msza? – zapytał Damięcki. – To jakaś taka złośliwość?

– Karolu, msza święta jest dla ciebie mistycznym przeżyciem i winieneś hopsasać na nią w radosnych podskokach. Tym bardziej że połączysz przyjemne z pożytecznym, czyli zrobisz zdjęcia wszystkich jej uczestników. Weź nawet na miejsce kogoś z techników, niech stanie na jakimś chórze czy czymś tam i popstryka fotki. Bardzo jestem ciekawa, kto się na niej zjawi.

– Myślisz, że może się pojawić tam morderca, tak?

– Otóż to, Karolku. Po mszy niech proboszcz wskaże ci tego kierowcę, porozmawiasz z nim.

– Sam?

– No, sam. Wyślę ci SMS-em kilka dowcipów na rozluźnienie. Przeczytasz sobie przed rozmową, to pójdzie z górki.

– A nie możesz ze mną?

– Nie chodzę do kościoła, za to bardzo często do kina, a dziś jestem umówiona właśnie na seansik, horror *Martwe zło powraca*.

– W Vivo?

– Tak.

– No to się chyba spotkamy, też będę w kinie – odpowiedział uradowany Karol. – Tylko że idziemy na *Titanica*.

– My?

– No z Matyldą. Moją... dziewczyną.

– No proszę, co za przypadek. Tylko gdy się spotkamy, to żadnych rozmów o pracy, zgoda? Za to z przyjemnością poznam wybrankę twego serca.

– Tak jest.

– No to teraz jedziemy na miejsce zbrodni, muszę zobaczyć ten dojazd od dupy strony.

W samochodzie zaczęła go wypytywać o dziewczynę, ale nie za bardzo chciał się zwierzać. No cóż, pomęczy go w kinie.

8.

Kulochwyty, Stalowa Wola

Godzina 16.00

Okazało się, że dojazd z drugiej strony jest bardzo ciężki i także niezbyt dyskretny. Trzeba było przejechać przez parking jakiegoś zakładu produkcyjnego, później jechało się długą i dobrze widoczną drogą gruntową, bardzo nierówną i błotnistą. Zrezygnowali z wjechania na nią samochodem i ruszyli na piechotę. Z jednej strony drogi był las, druga stanowiła olbrzymią i pustą przestrzeń.

– Ja pierdolę, wszystko wycięli – stwierdził Damięcki. – Tu kiedyś był wszędzie las.

– Takie czasy – rzuciła filozoficznie i z westchnieniem Gleba. – Wycinają lasy na potęgę, bez opamiętania. Kiedyś się mawiało, że nie było nas, był las, nie będzie nas i też będzie las, a jednak rządzący pokazują nam, że gówno prawda.

– Będą tu budować nowy zakład, baterie do samochodów elektrycznych czy coś takiego.

– No cóż, ekologia ma swoją cenę. Tędy nie przejedziemy. Jeśli miał terenówkę, to mógł dać radę.

– A tędy? – Wskazał jej skręcającą w lewo i ginącą w lesie dróżkę.

– Mógł spokojnie przejechać.

– Owszem.

– Szeroka i wyglądająca na używaną. Idziemy.

Po kilku minutach, idąc leśną drogą, wyszli na kulochwyty, które za dnia prezentowały się po prostu przygnębiająco. Opuszczone miejsca mają czasem w sobie pewną nutkę romantyzmu, jakąś aurę tajemniczości, tutaj niczego takiego nie było. Ot, betonowe garaże, brudne i dodatkowo oszpecone pseudograffiti, nawet w wieczornym świetle zachodzącego słońca nie prezentowały się za grosz uroczo. W każdym na środku znajdowała się kupa śmieci, a jeden z budynków posiadał nawet coś w rodzaju miejsca na ognisko. I tutaj niby miały spotykać się parki na intymne schadzki? Trzeba mieć naprawdę niską granicę przyzwoitości i samoocenę sięgającą dna, by oddać się w tym miejscu zmysłowym przyjemnościom.

– Mógł spokojnie tutaj dojechać od tyłu – powiedziała. – Kompletnie niezauważony.

– Mógł. Tak jak i od przodu.

– Tylko na co liczył? Że nikogo nie będzie? Przecież tu co wieczór ktoś imprezuje, co nie?

– Głównie w weekendy – odparł Damięcki. – W tygodniu spokój.

– Też tutaj wozisz swoją pannę?

– Zdarzyło się, a co?

– Nie, nic. To dobrze, że nie tylko księża cię interesują.

– Gleba, odpuść.

– Spoko, już ani słowa o kościele. To powiedz mi, ile jest takich miejsc w Stalowej Woli i okolicach, gdzie można wjechać niezauważonym, powiesić kogoś na łańcuchu i spokojnie się oddalić?

– Całe mnóstwo. Tu była Puszcza Sandomierska, wycięto ją pod miasto. Stalowa Wola to nowy twór, klejnot PRL-u. Z racji rozmachu władzy ludowej powstało tu mnóstwo terenów przemysłowych, część jest dziś opuszczona.

– No właśnie – odparła Gleba. – To dlaczego właśnie to miejsce? Mógł pojechać dalej w te lasy i tam gościa ukatrupić, a zrobił to niemal na naszych oczach, sporo ryzykując.

– Seryjni podobno tak lubią.

– Daj spokój, to nie seryjniak. W dodatku to mit, oni zazwyczaj dość mocno dbają o to, by ich nie złapano, nie wywieszają zwłok w miastach. Nie wszyscy są inteligentni, ale za to na ogół bardzo przebiegli. Chcą zabijać, tak jak ty ze swoją Matyldą uprawiać seks.

Chłopak nie skomentował, chociaż Gleba spodziewała się jakiegoś odpysknięcia, spuścił tylko wzrok.

– Co jest? – zapytała.

– Nie, nic – odpowiedział, przełykając ślinę.

– No mów.

– Czekamy z tym do ślubu – powiedział w końcu, wypuszczając głośno powietrze, jakby zaraz chciał wziąć wdech, by mieć siłę bronić się przed jej docinkami.

– Czyjego? – zapytała Gleba.

– No naszego.

– Wierzę ci. I szanuję.

– Serio?

– Tak. Też kiedyś miałam takiego chłopaka, religijny, porządny, przodownik pielgrzymek, a jak cudnie śpiewał *Barkę*. Podczas pierwszej próby zbliżenia oznajmił mi, że chce z tym poczekać do ślubu. Zgodziłam się.

– I nie jesteście ze sobą?

– No nie, powiedziałam mu, że jak się ożeni, to niech da mi znać.

– Gleba!

– A ty tylko „Gleba” i „Gleba”. Poszerz słownictwo. Wiesz, że taki raper Eminem czytał po kilka godzin dziennie słownik, żeby pisać lepsze teksty?

– Ten koleś to zrobił z szacunku do ciebie.

– Tak, dokładnie. Tego szacunku starczyło na jakiś rok, zalał potem formę jakiejś myszce z oazy. Byłam nawet na ich ślubie, bo zaczęłam prowadzić się z jego kumplem. Ten przynajmniej wolał, jak rozkładałam nogi w łóżku, a nie zginam w kościele. No, chyba że do...

– Gleba!

– No już, wracamy do sprawy, bo mi tu zejdziesz ze wstydu. Na czym stanęło?

– Że to nie seryjniak.

– Bo tak myślę.

– No dobra, to nie seryjniak. Kto zatem?

– Mamy miejsce, dość ciekawe. Mamy trupa, też intrygującego. Sposób śmierci niecodzienny. Trzy klocki, każdy w dziwnym kształcie, ale to powinno nam pomóc. Gdyby ten facet był zwykłym, zapuszczonym bezdomnym, leżał w rowie przy drodze i był uduszony, to dopiero byłoby pod górkę.

Podeszli do miejsca zbrodni. Tylko otoczenie taśmą policyjną wskazywało na fakt, że doszło tu do morderstwa. Krew wytoczona z gardła ofiary była zwykłą ciemną plamą, na pierwszy rzut oka niczym niewyróżniającą się z otoczenia. Technicy po pobraniu próbek zmyli pozostałości płynów ustrojowych.

– Był chłop, ni ma chłopca – skwitowała Gleba.

– Ano.

– A tego napisu nie pamiętam. – Iga wskazała na duże i koślawe graffiti na betonowej ścianie.

– „Wampir wrócił” – przeczytał na głos Karol.

– Rośnie nam miejska legenda.

– Najwidoczniej.

Gleba wyszła na zewnątrz i spojrzała pod nogi.

– Technicy zdali już raport?

– Miał być po południu – poinformował Damięcki.

– Ciekawi mnie jedna rzecz.

– Jaka?

– Co było tutaj. – Wskazała punkt lekko z boku betonowego budynku.

Na trawie był wyraźny ślad po usuniętej murawie. Ktoś wyciął prostokątny kawałek darni o wielkości pizzy. Damięcki stanął i wpatrywał się w czarny fragment odcinający się od zieleni.

- Może coś znaleźli.
 - Wracam na komendę sprawdzić. A ty szykuj się do kościoła. Chcę mieć zdjęcie z wnętrza, takie, aby widzieć, kto i gdzie siedzi na mszy. Dużo zbliżeń.
 - Jasne.
 - Zbliżeń na zdjęciach, nie to, że ty z księdzem, wiesz...
 - Gleba!
 - No, to po mszy widzimy się w kinie. I pamiętaj, nie rozmawiamy o robocie. To jest tak zwana higiena pracy. Balans. Inaczej twoja ponętna dziewczyna rzuci cię szybciej, niż zdążysz mrugnąć.
- Kiwnął głową i ruszył w stronę samochodu.

9.

*Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola
Godzina 17.30*

Oglądanie zdjęć z miejsca przestępstwa zawsze powodowało u Gleby pewien niepokój. Nieokreślony niepokój. Dziwny, bo na miejscu zbrodni, widząc zwłoki, krew, nawet wdychając smród rozkładającego się ciała, działała zadaniowo, wypatrywała szczegółów, nieścistości, tej wąskiej, ledwo widocznej ścieżki biegnącej w bok, która może prowadzić do sprawcy. Gdy trafiały do niej zdjęcia, wszystko się zmieniało. Czy to dlatego, że technicy policyjni raczej rzadko mieli artystyczne zacięcie i skupiali się na szczegółach? Na tych zdjęciach nie było miejsca na uczucia, królowały suche kadry, bez dbałości o barwę, kompozycję i kontekst. Fotografie mówiły jasno: może to jest dla ciebie człowiek, ale dla nas kolejny dzień w pracy.

Te z kulochwyków wpisywały się idealnie w ten schemat. Dobrze naświetlone, bez niedomówień, niedociągnięć, perfekcyjnie bezduszne i pełne szczegółów. Interesujące ją miejsce też zostało uwiecznione, mało tego, zauważone przez technika, bo stał przy nim znacznik numer dziewiętnaście i miarka. Spojrzała na raport i odszukała odpowiednią rubrykę.

19: fragment usuniętego podłoża o wymiarach 28 x 36 cm. Brzegi wycięte ostrym narzędziem o wąskim, krótkim ostrzu (znacznik 20).

20: ślad pozostawiony przez ostrze podczas usuwania podłoża.

Gleba przyjrzała się zdjęciu i faktycznie, ślad w ziemi wyglądał, jakby ktoś ciął niemal żyłką. Czy było to krótkie ostrze? Technik musiał mieć powody, aby tak sądzić. Postanowiła do niego zadzwonić.

- Pani podkomisarz, czym mogę służyć? – zapytał.
- Chodzi mi o raport z miejsca znalezienia tego bezdomnego na kulochwykach.
- Coś nie gra?

– Wszystko jest w porządku. Chciałam tylko dopytać o tę usuniętą trawę. Też to zauważyłeś.

– No tak, nie wiem, czy to jest do sprawy, ale było blisko zwłok, to raz, no i świeża robota, to dwa. Na moje to może mieć związek, bo kto i po jaką cholere miałby tam jechać i wycinać kawałek trawy?

– Co tam mogło być?

– Sam się nad tym zastanawiałem. Coś tam postawił i zostawiło charakterystyczny ślad? Może coś rozlał? Może mu coś wypadło i nie mógł znaleźć w trawie, a wiedział, że my możemy na to natrafić?

– Co na przykład?

– Kolczyk? Jednogroszówka z odciskiem palca? Nie wiem. Powód musiał być.

– Masz jeszcze jakieś uwagi niezawarte w raporcie?

– Ogólnie nie. Dość normalna robota, trup, krew, brak narzędzia zbrodni.

– Dziękuję.

Rozłączyła się i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Kolejna zagadka. Telefon wyrzucił powiadomienie: *18.00 – Norwegia*. Wybrała numer zapisany na kartce przez sklepikarza. Miała pewność, że Kawka zdążył już poinformować swoją kochankę o wizycie policji.

– Halo – powitał ją smutny kobiecy głos.

– Pani Edyta Nowacka?

– Tak, przy telefonie.

– Mówi podkomisarz Iga Ziemia z Komendy Powiatowej w Stalowej Woli. Mam pytanie odnośnie do tego, co robiła pani w nocy dwudziestego piątego kwietnia. Mamy podejrzenie, że może być pani świadkiem w ważnej sprawie.

– Byłam na spotkaniu.

– Z kim?

– Żegnałam się z przyjacielem przed wyjazdem do Norwegii. Przyjeżdżam tu na trzy miesiące i zawsze przed wyjazdem staram się pożegnać ze wszystkimi bliskimi.

– Gdzie miało miejsce to pożegnanie?

– Hm... – Głos kobiety zmienił się ze smutnego na zakłopotany. – Może to zabrzmieć dziwnie, ale na parkingu leśnym za strefą przemysłową. Za zakładami, jak to się mówi.

– Kim był pani przyjaciel?

– Rozumiem, że to zostanie między nami?

– Oczywiście.

– To Adam Kawka. Mogę podać jego numer telefonu.

– Bardzo poproszę – powiedziała Iga, myśląc, że jeśli kobieta chce grać w tę grę, to nie ma sprawy.

– Czy mogę prosić o dyskrecję w tej sprawie? – poprosiła ją Nowacka po tym, jak podyktowała numer Kawki.

– Ależ oczywiście. Pragnę tylko poinformować panią, że zgodnie z artykułem dwieście trzydziestym trzecim kodeksu karnego kto składając zeznanie mające służyć za dowód w postępowaniu sądowym lub w innym postępowaniu prowadzonym na podstawie ustawy, zeznaje nieprawdę lub zataja prawdę, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu.

– Tak, rozumiem.

– Możliwe, że poprosimy panią o złożenie tych zeznań osobiście.

– Oczywiście, nie widzę problemu.

– Zatem dziękuję i życzę miłego dnia.

Rozłączyły się. Rozmowa była sztuczna jak manekiny w sklepie Kawki. No cóż, sprytni kochankowie i ich zdradzani partnerzy, nie jej świat. Oby jak najdłużej.

10.

Kino Helios, galeria Vivo, Stalowa Wola

Godzina 23.30

Gleba w pracy nienawidziła odkładania czegokolwiek na później, za to w życiu prywatnym robiła to notorycznie i była to jej olbrzymia wada, której świadomość miała i nie mogła z nią za cholerę wygrać. Tylko że teraz życie zawodowe mieszało się z prywatnym i wygrała Iga odkładająca wszystko na później, a nie Gleba działająca tu i teraz.

Postanowiła dopiero po seansie i powrocie do domu zapytać swojego partnera, co robiło jego bmw x5 w wieczór morderstwa na drodze koło kulochwyków. Już w momencie wyjścia z domu wiedziała, że to błąd. Kompletnie nie mogła skupić się na fabule filmu. Była pewna, że to nie on zabił, bądźmy poważni, ale coś było na rzeczy. Pojawił się na monitoringu, potem dopiero dwie godziny później w drodze powrotnej. Zdradzał ją? Urwie mu jajca!

Weszli do kina, kupili przekąski, zajęli swoje miejsca i czekali na film. Nie spotkała Damięckiego i jego wybranki, *Titanic* w cyfrowej reedycji leciał nieco wcześniej. W wybranym przez nich filmie dużo się działo, uwielbiała produkcje o superbohaterach, może jako policjantka sama się czuła kimś takim, ale tylko spoglądała na zegarek i odliczała minuty do końca seansu, powrotu do domu i czekającej ją rozmowy. Mieli butelkę wina przywiezioną przez przyjaciół Alberta z Chorwacji, planowali ją wypić, a potem troszkę poświntuszyć, ale bała się, że to nie tak się skończy.

Albert był nieco nerwowy, tak jak kochał walkę w ringu, to nie znosił konfrontacji poza nim. Już raz spięli się o Kosmę, jej byłego, wtedy on po prostu wstał i wyszedł z mieszkania. Bez słowa. Zero dalszej kłótni, krzyków, łez. Facet powinien rozumieć, że kobieta rozpoczyna kłótnię, prowadzi ją i kończy w wybranym przez siebie momencie i on nie można ot tak, po prostu wyjść sobie na samym jej początku.

Film dobiegł końca, wstali i w kinowym holu natknęli się na Karola i Matyldę. Wybranka młodego policjanta była urodziwą kobietą, jasne włosy wpadały w rudawy odcień, błękitne oczy patrzyły na świat z ciętym zachwytem, no, może nie akurat w tej chwili, bo dziewczyna była smutna i miała zaczerwienione oczy, widocznie zamarzający na kawałku deski Leonardo di Caprio zrobił, co do niego należało, i rozczulił ją. Karol za to ziewnął ukradkiem.

Stanęli naprzeciwko siebie, przedstawili się dość sztywno i... zamilkli. Jej partner patrzył badawczo na Karola, ten odpowiadał mu podobnym spojrzeniem, jakby chłopaka zaskoczyło, że Gleba rzeczywiście ma jakiegokolwiek chłopaka. Miał ją za aż tak zimną i niewrażliwą policjantkę bez życia prywatnego?

Krępującą ciszę przerwał telefon Damięckiego. Wyjął aparat, spojrzął na wyświetlacz i zrobił zdziwioną minę.

– Komendant – powiedział spokojnie.

Gleba, tknięta przecuciem, wyjęła szybko swój telefon, który na czas seansu zawsze wyciszała, wyłączając nawet wibracje, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Miała dziesięć nieodebranych połączeń. Dwa od matki, a reszta od komendanta.

Damięcki odebrał i przyłożył telefon do ucha. Zbladł.

– Uderzył znowu – powiedział, opuszczając telefon.

Roześmiani ludzie wychodzili z kina, trącając ich co chwilę ramionami. Zapach popcornu uleciał, Gleba poczuła tylko trupi odór.

ROZDZIAŁ 3

27 kwietnia 2023 roku

1.

Błonia nad Sanem, okolice Stalowej Woli

Godzina 00.00

Błoniom nad Sanem jakiś czas temu nadano rekreacyjny charakter, wytyczając alejki, stawiając latarnie i ogarniając bujną zieleń. Stali na ich początku, do którego dojeżdżało się zza galerii handlowej Vivo, największej atrakcji miasta. Gdy tu docierali, Gleba po prawej miała rozświetloną część parku, a po lewej już ciemne krzaki, w które nawet w dzień nikt rozsądny się nie zapuszczał. Z kina samochodem jechało się całą minutę, ktoś zamordował człowieka dosłownie pod ich nosem.

Zobaczyła radiowozy rozświetlające miejsce dokładnie na wprost ich auta, błyskały światła kogutów, świeciły odbłaskowe kamizelki. Żeby podjechać bliżej, musieli zjechać z alejki i wpadli w gruntową drogę.

– Powoli – powiedziała do Damięckiego, który siedział obok z naburmuszoną miną. – To twój prywatny samochód.

Mruknął coś w odpowiedzi.

Po otrzymaniu informacji wyskoczyli na parking i ruszyli na miejsce zbrodni, a narzeczona chłopaka i partner Gleby wrócili do domów. Albert zaofiarował się odwiedzić dziewczynę.

– Ta twoja oblubienica, Matylda, to nie przepada za twoją robotą, co nie? Na strasznym fochu wyszła.

– Nie.

– Przywyknie?

– Mam nadzieję.

– Mogę z nią pogadać, jak chcesz.

Damięcki spojrzał na nią jakby z gniewem, nie bardzo rozumiała, o co mu może chodzić. Praca w policji to nie był wymarzony zawód dla ojca rodziny, szczególnie jeśli chciał działać w kryminalnej, wielu się o tym boleśnie przekonało na własnej skórze.

– Poradzę sobie – odburknął, zatrzymując samochód.

– Dobra, to leć tam do chłopaków pod radiowóz i dowiedz się, co tu właściwie mamy. Widzę, że jest tam Pawełek, twój kolega, pewnie wszystko ci wyśpiewa. Ja idę do Witczaka.

Niebieskie światło policyjnego radiowozu migało metodycznie, w równym tempie, a z każdym rozbłyskiem zdawało się padać kolejne słowo: Patrz – Mamy – Kolejnego – Trupa. Już od wielu lat Glebie ten odcień niebieskiego kojarzył się ze zbrodnią, nie z błękitnym niebem ozdobionym uroczymi, skłębionymi chmurkami, również nie z cudnym oceanem, nad jaki marzyło się jej kiedyś wyjechać, tylko z trupem, krwią i smrodem.

Każdy kolejny rozbłysk odbijał się od białego pnia drzewa, które w swych gałęziach udzieliło schronienia ptakom w budce lęgowej, a nieco poniżej stało się przystankiem docelowym w drodze życia zamordowanego mężczyzny.

– *Betula pendula* – powitał Glebę Daniel Witczak z dochodzeniówki, z którym ostatnio widziała się pod zbezczeszczonym murałem. – Czyli brzoza.

– No, już myślałam, że chcesz mnie obrazić. Coś ty taki leśnik się zrobił, co?

– Gdzie tam. – Machnął ręką. – Na działkę ostatnio kupowałem i jakoś mi tak nazwa wpadła w ucho, bo ładna. *Betula pendula* – wymówił z namaszczeniem.

Spojrzała na drzewo oświetlone jak na razie tylko reflektorami policyjnego radiowozu. Z niezwykle szerokiego pnia brzozy na wysokości na oko pięciu metrów wyrastała pod ostrym kątem do góry solidna gałąź, a przez nią ktoś przerzucił łańcuch, który zwisał do samej ziemi. Jeden jego koniec tonął w trawie, drugi natomiast został owinięty wokół kostki mężczyzny. Tym razem jednak ofiara nie zwisała głową w dół, a leżała tylko bezwładnie u podnóża drzewa, ale jej jedna noga była uniesiona, jakby mężczyzna postanowił wykonać kilka ćwiczeń w otoczeniu majestatycznego drzewa.

– Chyba masz swoje śledztwo, co? – skomentował Witczak. – Seryjniak jak nic.

– W Stalowej? – prychnęła Gleba.

– Może z Warszawy przyjechał na wieś trochę odpocząć, kto wie – odparł niezrażony. – A co to, mordercy się urlop nie należy? Wszystko ci zabezpieczyłem, nikt nawet nie tknął zwłok oprócz mnie. Sprawdziłem tylko, czy faktycznie klient jest zimny.

– Pełen profesjonalizm.

– Szatkowski będzie w siódmym niebie – stwierdził policjant.

– Dlaczego?

– Medialna sprawa. Wiesz, ten poprzedni trup to był lump, to bruździło, takie niesmaczne było. On śmierdział i wszystkim dookoła śmierdziało. Nie wiadomo, zająć się tym czy nie zająć.

– To był człowiek – weszła mu w słowo Gleba.

– Za życia to on był człowiekiem, ale po śmierci stał się sprawą do rozwiązania.

– Tak samo niechcianą i śmierdzącą jak on sam, co?

– Na to wychodzi. Został wrzucony do kategorii niechcianego kłopotu. Jak ten niezapowiadany gość na Wigilii, jak przyjdzie, to nie bardzo wiadomo, jak postąpić. Z jednej strony tradycja zobowiązuje, a z drugiej lepiej, żeby nie przyszedł, niech zje barszcz i spada.

– Witczak, co wy mi tu próbujecie wmówić, co?

– No że teraz to już seria i ofiarą ewidentnie nie jest bezdomny, a to zmienia całkowicie postać rzeczy. Zaraz się tu zjadą telewizje, najwięksi dziennikarze, prezydent włoży wojskową kurtkę, trochę zmierzwi włosy i będzie grał kierownika pościgu. Dobry jest w te klocki.

Gleba podeszła do zwłok, ale na odległość trzech metrów, nie chciała zdeptać śladów, jednak nawet z tej odległości musiała przyznać rację koledze. To nie bezdomny. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, lekki brzusek piwny, który był doskonale widoczny spod czarnej koszulki. Na nogach miał spodnie moro, ciężkie buty.

– Co tu robił? Widziałam, że ludzie biegają, na rowerach jeżdżą, ale po głównej części, a po co laźł tutaj, w te krzaki? Spacer z psem?

– Wędkarz. Kilka metrów dalej płynie San.

– Gdzie wędkę i cały ten wędkarski ciamadan?

– Na brzegu. Wędkę jeszcze zarzucone. Na nockę pewnie przyszedł.

Gleba pokiwała głową i powędrowała wzrokiem za łańcuchem, który był przerzucony przez solidny konar. Nowy, błyszczący, refleksy niebieskiego światła policyjnego koguta upodobiały go do świątecznej ozdoby choinkowej.

– Strasznie wysoko – stwierdziła. – Trzeba się namęczyć, żeby to zrobić.

– Kawał chłopca musiał być – zgodził się Witczak.

– Bez sensu, zobacz, obok stoi mniejsza brzoźka, po co tutaj laźł?

– Może się bał, że tamta nie utrzyma ciała? Chcesz go obmacać?

– Masz rękawiczki? – Spojrzała w jego stronę z uśmiechem.

– Jasne. – Pogrzebał w kieszeni i wyjął plastikowe opakowanie po jajku niespodziance, a z niego parę jednorazówek. – Baw się. Przyświecę ci. Technika w drodze, zaraz nam rozstawią oświetlenie.

Dotarł do nich Damięcki, był w dużo lepszym humorze niż jeszcze kilka minut temu.

– To stało się może z godzinę temu – powiedział rozgorączkowany.

– Brukselka, uspokój się – rzuciła, widząc, jak mu drżą ręce. – Wiem, że dzisiaj nie spuścisz z krzyża, ale nerwy na wodzy.

– Mamy świadka! – niemal krzyknął. – Spłoszył go podczas wciągania trupa na drzewo. Facet chodzi sobie nad San wypić piwko, akurat skończył i zbierał się do domu, zaśwycił latarkę w telefonie, bo mu wypadły klucze, i jak to zrobił, to usłyszał łupnięcie pod drzewem. Potem ktoś wsiadł na rower i zaczął uciekać w tamtą stronę. – Wskazał ręką kierunek zgodny z biegiem rzeki. – Coś mu jednak błyskało w tej latarce, podszedł pod drzewo i zobaczył łańcuch, no i trupa, więc zadzwonił po nas.

– Dotykał zwłok? – zapytała Gleba.

– Nie. Mówi, że nie zna się na pierwszej pomocy i wydawało mu się, że to już martwy człowiek.

– Niezły fachowiec, my do stwierdzenia zgonu potrzebujemy lekarza – zakpił Witczak. – Ogłosiliśmy już przez radio, że szukamy rowerzysty, podaliśmy lokalizację.

– Ten świadek widział coś konkretnego? – zapytała Gleba.

– Mówi, że to na sto procent mężczyzna, dobrze zbudowany. Bluza, czapka z daszkiem, dżinsy.

– Zawsze to coś – skomentował Witczak.

Gleba włożyła rękawiczki, wcześniej wrzucając do kieszeni dwa pierścionki, które założyła na randkę w kinie. Stała nad zwłokami i spojrzała na Witczaka trzymającego latarkę.

– Gdzie świecisz? – skarciła go. – Sobie świecisz? Mnie świeć.

Policjant zaśmiał się i skierował strumień światła na zwłoki. Gleba bardzo ostrożnie pochyliła się nad denatem. W niezbyt mocnym strumieniu rzucanym przez latarkę ofiara prezentowała się jak postać z horroru. Ciało leżało na brzuchu, ale głowa była przekręcona w bok, jakby mężczyzna chciał tuż przed śmiercią przyjrzeć się napastnikowi. W ciemności nie było widać, ile krwi jest dookoła, czerwień tonęła w morzu czerni. Uniesiona noga wyglądała, jakby mężczyzna piknikował, leżąc na brzuchu, machał sobie bez troski nogami i nagle zastygł w bezruchu. Ale to nie był piknik, łańcuch oplatał nogę w kostce i piął się w stalowoniebieskich refleksach do góry, przechodził przez gałąź i ponownie opadał kaskadą drobnych ogniw w trawę, tuż obok twarzy ofiary. No dobra, czegoś, co niegdyś zapewne było twarzą, teraz jedynie stanowiło jej pozostałość.

– Gardło całe – powiedziała. – Ale z gęby zrobił mu mielonkę.

– Przyjął soczyscie na twarz – potwierdził Witczak.

– Ale ma też rozwalony tył głowy, napastnik musiał poprawić – raportowała dalej Gleba.

– Czyli nie załatwił go jednym strzałem – zgodził się Witczak. – Nawet takie silne uderzenie musi sięść na szczękę lub skroń, żeby odciąć prąd.

– Uwiązany za kostkę, też za lewą nogę – dodał Damięcki wciąż lekko podekscytowanym głosem. – Napastnikowi przerwano, jak wciągał go na drzewo. Pewnie dlatego nie zdążył mu poderznąć gardła.

– Na to wygląda – zgodziła się Gleba.

Delikatnie sprawdziła kieszenie boczne spodni ofiary, w prawej wymacała portfel. Wyjęła go ostrożnie, odwróciła się i podsunęła znalezisko pod światło latarki trzymanej przez Witczaka.

– Oho – powiedziała. – Tym razem pójdzie łatwiej z personaliami.

Otworzyła portfel, w środku znalazła kilka banknotów, w sumie może ze dwie stówki, dwie karty płatnicze i dowód osobisty.

– Henryk Skórzyński – przeczytała.

– Kojarzę gościa – powiedział Witczak. – I to nawet bardzo dobrze. To właściciel okolicznych informacyjnych portali internetowych. Ma ich kilkanaście, w tym te ze Stalówki, Sandomierza czy Tarnobrzega. Dziany gość, niezbyt lubiany. Trochę pieniacz.

– Też go znam – dodał Damięcki. – W naszym domu określa się go pieśczośliwie dziennikarską mendą.

– Ten typ, co? – westchnęła Gleba. – Czyli wrogów wielu.

– Niezliczone rzesze – zgodził się Witczak. – Ale co to ma do rzeczy, jeśli to seryjniak?

– Dajcie spokój z tym seryjniakiem – obruszyła się Gleba. – Dopiero po trzech ofiarach tak można mówić, to raz. A dwa, to jak na mój psi nos nie o to tu chodzi.

– Stalowa Wola ma takie samo prawo do seryjnego mordercy jak Warszawa – obruszył się żartobliwie Witczak.

– Danielku, daj spokój. Pomógłbyś raczej. Widziałam tu monitoring.

– Tak, jest – potwierdził policjant.

– Świetnie. A co się tam świeci? – Wskazała w kierunku miasta.

– Oczyszczalnia ścieków – odpowiedział Damięcki.

– Obok są jeszcze ogródki działkowe, ale o tej porze to już raczej tam nikogo nie ma – dodał Witczak.

– Karol, dzwoń do chłopaków z monitoringu, niech szybko sprawdzą nagrania.

– Dobra.

– A ja pogadam z tym świadkiem koronnym – oznajmiła i ruszyła w stronę błyskającego niebieskim światłem samochodu.

Mężczyzna siedział na tyle dużego radiowozu za odsuniętymi bocznymi drzwiami. Ubrany w spodnie moro i wojskową kurtkę nerwowo miał w palcach niezapalonego papierosa, na oko mógł przekroczyć czterdziestkę, ale niechlujny zarost i przetłuszczzone włosy mogły go postarzać.

– Podkomisarz Ziemia – przedstawiła się krótko Gleba. – Pan jest świadkiem zdarzenia?

– Tak. Hubert Kostecki – odpowiedział mężczyzna, po czym włożył papierosa do ust i zaraz go wyjął.

– Dużo pan wypił? – zapytała na starcie, bo od mężczyzny woniało piwem.

– No piwko, może dwa.

– To piwko czy dwa? Lubi pan się napić w plenerze?

– Żona w domu, wie pani, ten, no...

– Nie pozwala? – weszła mu w słowo.

– No krzywo patrzy. Ale to jeszcze ujdzie, tylko teraz teściowa zjechała na tydzień, a ta to już na widok browara to jebca dostaje. Taki z niej typ, że sama nie pije, ale po alkoholu jej odwala. No to chodzę sobie nad rzeczkę i tam piwko wypiję.

– To ile ich było? Tylko szczerze, panie Kostecki, bo żartów nie ma. Poważna sprawa, widział pan sam.

– Trup – wymówił to słowo z taką mocą, naciskiem na każdą z liter, że Glebę aż przeszły ciarki, jakby nigdy wcześniej go nie słyszała.

– Dokładnie.

– Czteropaczek – powiedział.

Skrzywiła się, miała nadzieję, że koledzy nie przedmuchieli mężczyzny, lepiej, żeby w protokole nie znalazła się informacja o prawie promilu alkoholu we krwi.

– Niech pan opowiada.

– Wstałem, wysikałem się do wody...

– Same istotne rzeczy proszę – weszła mu w słowo.

– No to już miałem wracać do domu, ale po tym sikaniu jak szarpnąłem za spodnie, to mi klucze wypadły. Zaświeciłem latarkę w telefonie i zacząłem szukać, no i znalazłem. Wyszedłem na górę, bo rzeka niżej, usłyszałem łupnięcie, jakby ktoś workiem rzucił. Takim z ubraniami czy coś. Świecę w stronę drzewa i widzę jakieś poruszenie, błysk latarki. Tam często wędkarze siadają, wiem, sam na rybki chodzę, myślałem, że może ktoś z kumpli, to ruszyłem.

– Nie bał się pan?

– Czego?

– Noc, ciemno.

Kostecki patrzył na nią z lekko kpiącym uśmieszkiem, jakby nie rozumiał, o co może jej chodzić. No tak, duży i dorosły mężczyzna, czego ma się bać w nocy nad brzegiem Sanu, na pewno nie gwałtu.

– Niech pan mówi dalej.

– No jak ruszyłem, to tam się jakby zakotłowało i ktoś wsiadł na rower i odjechał.

– Skąd pan wie, że rowerem?

– Odblaski się świeciły na kołach, bo tak to nie miał żadnych lampek. Tyle zobaczyłem, że chłop, chyba taki w moim wieku, nawet podobnej postury. No taki zwyczajny. Kaptur miał. Albo czapkę.

– To kaptur czy czapkę?

– Kaptur – odpowiedział po chwili wahania. – Wtedy pomyślałem, że to jednak nie wędkarz.

– Ten mężczyzna to przejeżdżał obok pana?

– No nie, tam od razu pojechał. – Mężczyzna machnął ręką w stronę krzaków. – Jakby go gonili. Podszedłem do drzewa i...

– Dobrze, zabierzemy pana na komendę, spisujemy na spokojnie zeznania.

– Ale żona w domu czeka.

– Proszę zadzwonić, powiedziec, co pana zatrzymuje.

– Nie uwierzy mi, nie ma chu... To znaczy za cholerę nie uwierzy.

– To ja zadzwonię.

– Pani komisarz, proszę mi wierzyć, że jak usłyszy po drugiej stronie kobietę, to... no wie pani, jakie są baby, znaczy te, kobiety.

– Taka zazdrośnica? – zapytała Gleba.

– Ja jej tłumaczę, że nie ma o co, no bo niech sama pani popatrzy. – Rozłożył ręce ze szczerym uśmieszkiem. – Ja nie Ibisz czy inny Makłowicz, żeby obce baby za mną strzelały oczami. No i gdzie człowiekowi baby w głowie, spokoju by chciał, piwko wypić, na mecz popatrzeć, na rybki skoczyć. Takie pragnienia. Ale gdzie tam.

– Dobrze – westchnęła Iga. – Sierżancie, proszę zadzwonić pod numer podany przez pana i poinformować, że zatrzymujemy do wyjaśnienia – zwróciła się do mundurowego stojącego przy nich.

– Dziękuję – ucieszył się mężczyzna.

– A gdzie pan był w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty kwietnia?

– Przedwczoraj? – zapytał zdziwiony mężczyzna.

– Dokładnie.

– Na rybach. No na nocce znaczy się.

– Nad Sanem?

– Tak, tutaj niedaleko, mogę pokazać. Ostatnia noc wolności, bo wczoraj właśnie teściowa zjechała łaskawie na wizytację, to już nie ma mowy, żeby spokojnie na rybki wyskoczyć.

– Ktoś może to potwierdzić? Był pan z jakimś kolegą?

– Sam. A co?

– Proszę przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów co do dzisiejszego zdarzenia, dobrze? – powiedziała Gleba, ignorując zadane pytanie.

– Chodzi o tego trupa na kulochwytach, tak? – Mężczyzna zbladł, co było widoczne nawet mimo niezbyt mocnego światła w radiowozie. – Tam też był łańcuch.

– Ano był.

Gleba odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę zwłok. Zauważyła, że podjechał samochód techników i mały wóz strażacki. Zaraz będzie tutaj widno jak w dzień, a straż pomoże zdjąć delikwenta.

– Monitoring sprawdzają – poinformował ją Damięcki. – Ale będzie kiepsko, podszedłem pod słup z kamerami. Nie ma obrotowej, są dwie małe umocowane na sztywno. Na moje oko żadna nie łapie tego wycinka.

– Cholera.

– A co ze świadkiem?

– Gównu.

– Ale coś widział?

– Otóż właśnie gównu widział. Mężczyznę w średnim wieku, normalnego wzrostu i budowy ciała.

– No dość ogólny opis – stwierdził Damięcki.

– Pomyśl trochę. W nocy, używając latarki z telefonu, z odległości kilkunastu metrów widział postać na rowerze, w dodatku zakapturzoną. To mógł być każdy. Nawet kobieta. Gdyby napastnik biegł, to jeszcze można odróżnić płeć. Ale w takich warunkach gość po czterech browarach widział gównu i do niczego nam się to nie przydaje. Jedyne, w co jestem skłonna uwierzyć, że to faktycznie mógł być mężczyzna.

– A może to był on? – podrzucił Karol.

– Nie możemy tego wykluczyć, ale wątpię. Nie wygląda na sprytnego, który uknułby aż taką intrygę. Przyjedzie pani prokurator, to zadecyduje, co z nim zrobić. Ja na razie wysłałam go na komendę, tam spiszą jego zeznania.

Spojrzeli na uwijających się strażaków. Glebie od zawsze imponowali, nie znała bardziej profesjonalnej służby w tym kraju. Zawsze działali na sto procent, bez marudzenia i ociągania, jakby każdy z nich urodził się do zadania, które w danym momencie wykonywał. Już po kilku minutach zamruczał generator prądu i miejsce

zbrodni zalało zimne światło, które niczym projektor w sali kinowej zaprosiło ich do mrocznej historii człowieka zamordowanego na nadszańskich Błoniach.

Podeszli bliżej, zderzając się z pozbawionymi cienia detalami zbrodni. Ciało jakby urosło, łańcuch stał się bardziej zimny, krew zalsniła brudną czerwienią. Gleba wyraziła w myślach swą wdzięczność wszechświatowi za to, że była noc i do ciała nie zleciały się jeszcze muchy, że natura nie ruszyła w swój taniec zamkniętego kręgu. Przyzwyczała się już do smrodu ciała, rzadko ruszał ją widok zwłok, ale nienawidziła much krążących wokół trupów. Pamiętała swoje pierwsze oględziny ciała na jakiejś melinie, gdzie tych much było tak dużo, że można je było niemal wybierać wiaderkiem z pomieszczenia. Wtedy jeden stary policjant rzucił sentencjonalnie: uleciała dusza, zleciały się muchy.

– Ale oberwał – stwierdził Damięcki i Gleba musiała się z nim zgodzić.

Twarz ofiary prezentowała się niczym maska postaci z brutalnego horroru, postaci, którą ktoś już niemal zabił, i to w bardzo paskudny sposób.

– Uhuhuh – usłyszeli męski głos. – Ale ktoś napaskudził!

Gleba spojrzała na przybysza i z radością rozpoznała w nim Łukasza Lisickiego, potocznie zwanego Rudym. Dobry fachowiec.

– No trochę roboty będzie – powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

– Macie to cacko, którym oberwał ten przyjemniaczek?

– Nie – odpowiedział Damięcki. – Patrol przeszukał okolicę, ale niczego nie znaleziono.

– Trzeba będzie wezwać nurków – stwierdziła Gleba. – Niech sprawdzą rzekę. Nie sądzę, aby uciekał z zakrwawionym narzędziem zbrodni na rowerze.

– I to ciężkim – dodał technik, pochylając się nad ofiarą.

Światło odbiło się od jego foliowego kombinezonu, pieszczotliwie zwanego „pandą”, a na trupa padł cień. Lisicki przesunął się nieco, aby znowu zobaczyć wszystkie detale w zimnym świetle. Po drugiej stronie drzewa strażacy rozstawili następną lampę i zalała ich kolejna fala jasności.

– Ja bym stawiał na łom albo coś takiego – powiedział technik po chwili oględzin. – Oczywiście zrobimy odlew, ale uderzenie było bardzo mocne i gość oberwał centralnie w nos, także w tył głowy, ale już słabiej.

– Czyli szukamy łomu? – zapytał Damięcki.

– Stawiałbym na coś metalowego – przytaknęła Rudy. – Łom, młotek, obuch siekiery. Na pewno nie gałąź czy kij bejsbolowy. Tyle mogę teraz powiedzieć. To nasz przyjemniaczek, ten z kulochwyków?

– Na to wygląda – stwierdziła Gleba.

Technik złapał za łańcuch i podsunął go sobie przed oczy, jakby chciał go powąchać.

– Inny łańcuch – powiedział.

– To znaczy? – zapytała Gleba.

– Tam był cieńszy. Szóstka. Tu jest ósemka, niby niewiele, ale nie ten sam. Nóweczka, kupiony niedawno, zero zużycia, na tym z kulochwytów widać było oznaki korozji.

– Może tamten mu się skończył – powiedział Damięcki.

– Seryjni nie lubią takich zmian – odparła Gleba. – Ale to może nie mieć żadnego znaczenia.

Na polanę wjechał samochód, zatrzymał się i wysiadły z niego dwie osoby. Prokurator Maria Kolasińska i Witczak.

– Musiałem przywieźć Marynę – uśmiechnął się policjant.

– Oddałam samochód do warsztatu – poinformowała Kolasińska.

Z tego, co wiedziała Gleba, to znali się z liceum, a wieść gminna niosła, że byli nawet parą i poszli wspólnie na studniówkę. Pani prokurator była świetnym fachowcem, bardzo lubianym przez lokalnych policjantów, bo słuchała i rozumiała trud ich pracy, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Nazywano ją Maryną, bo urodę prezentowała iście słowiańską, dokładnie w stylu ukochanej Janosika z kultowego serialu, podobno niegdyś miała długi blond warkocz sięgający do pasa, ale ścięła włosy, przeznaczając je na akcję robienia peruk dla ludzi po chemioterapii.

– Kolejny. – Damięcki pokazał palcem drzewo, dookoła którego kręcili się już technicy.

– Tak w ogóle to cześć – rzuciła prokurator. – Daniel mnie wprowadził w szczegóły. Zatrzymamy tego świadka do wyjaśnienia.

– Chcesz popatrzeć? – zapytał technik, odsuwając się od ciała.

– Widzę wszystko stąd – odparła. – To podobno ten cały Skórzyński?

– Tak – potwierdził Damięcki.

– No to się pewnie doigrał – powiedziała Maryna. – Gdyby nie ten łańcuch i akcja z kulochwytów, to obstawiałabym kogoś wkurwionego na naszego lokalnego dziennikarza śledczego.

– Aż tak wszystkim bruździł? – zapytała Gleba.

– Lubił szukać dziury w całym i jątrzyć – wyjaśniła prokurator. – Jeszcze gdyby trzymał się faktów, to pół biedy, miałby szacunek, bo dopieprzał się do każdego niezależnie od opcji politycznej, ale jak nie miał o czym pisać, to walił artykuły w stylu „Czy ktoś wziął łapówkę za przetarg na nowy park?”. No i pisał, że oczywiście dowodów nie ma, raczej nikt nie wziął, ale wiele kwestii jest zastanawiających. Smród jednak szedł, a on zarabiał.

– Uznajmy ten motyw za wiodący – stwierdziła Gleba.

– A to? – Prokurator wskazała głową łańcuch.

– To będzie wersja numer dwa. Najpierw jednak poszukamy tych, którym naprawdę zaszedł za skórę.

– No nie wiem – skrzywiła się Maryna. – Wolałabym skupić się jednak na wersji, że mamy tutaj maniaka. Jeśli pojawi się trzeci trup i znowu z łańcuchem na nodze, to nie chcę świecić oczami, że poszliśmy w innym kierunku, a tak ewidentne przesłanki olaliśmy.

– Według mnie to seryjniak – stwierdził Damięcki. – Ofiara przypadkowa, zły czas, złe miejsce.

– Wątpię – odparła Iga.

– Gleba, co ty takie uniki robisz? – zapytał ją Witczak. – Mamy dwa trupy, ten sam motyw, obrażenia, przecież to wszystko aż krzyczy do nas, a ty się tak czaisz. Ta sprawa właśnie stała się medialna i głośna. – Wskazał na drzewo i wiszący łańcuch. – Przyjmij ten punkt widzenia, złap tego zwyroła i winduj się z powrotem do stolicy.

Ugryzła się w język, bo chciała im wyskoczyć z argumentem, że w dupie byli i gównu widzieli. Trafiły się im pierwsze w życiu trupy niebędące ofiarami pijackich porachunków i już chcieli kręcić serial o zbrodni stulecia.

– Coś ci nie pasuje, co? – zapytała ją prokuratorka z uśmiechem.

– Tylko jak mi tu wyjedziesz z kobiecą intuicją, to ja za siebie nie ręczę – powiedział Witczak.

Właśnie, o co jej chodziło? Ewidentnie mieli tu do czynienia z kimś, kto postępuje w ten sam sposób, bardzo brutalny i nieco wymyślny. Wszystko wskazywało na działania seryjnego, więc co? Bała się stawić mu czoła? To, że raz dałaś dupy, Glebo kochana, to nie znaczy, że ten też cię przechytrzy. Zobacz, jak spaprał swoją drugą robotę, nie dokończył, nie miał satysfakcji, siedzi pewnie gdzieś w krzakach i się wkurwia na siebie. Co w takiej sytuacji robi? Będzie chciał szybko naprawić błędy i udowodnić sobie oraz wszystkim dookoła, że to był wypadek przy pracy?

– Brak motywu seksualnego, co się rzadko zdarza – powiedziała na głos. – Ofiarami są heteroseksualni mężczyźni, co też jest raczej ewenementem.

– Skąd mamy pewność, że hetero? – wtrąciła Maryna.

– Racja – odparła Gleba. – Ale seryjni celują w kobiety, dzieci, gejów. A my tu mamy dość tajemniczego bezdomnego i lokalnego pieniacza. Szłabym w zbadanie ich przeszłości, ewentualnych powiązań, ludzi, którzy mieli motyw, aby zrobić im krzywdę.

– Nie – ucięła prokurator. – Naszym głównym celem jest zapobiec trzeciej ofierze. Oprzyjmy nasze działania na założeniu, że trafił nam się zwyrol, który poluje na gości po czterdziestce. Może gejów, kto wie, trzeba się przyjrzeć ich życiu prywatnemu.

Takie mamy założenie prowadzonego przeze mnie śledztwa, takie też przedstawię rano na odprawie i pod tym kątem ustalajcie dalsze postępowanie.

Zadzwonił telefon Gleby, po wyjściu z kina wyłączyła wyciszenie i teraz rozbrzmiał z pełną mocą melodią kawałka *Prosto* zespołu Kult.

– Proszę odebrać – powiedziała Maryna. – Ja już skończyłam.

Odwróciła się i ruszyła w stronę techników. Gleba zerknęła na wyświetlacz i westchnęła z rezygnacją. Matka. O pierwszej w nocy? Coś się stało? Odebrała.

– Cześć, córciu – usłyszała słaby głos matki, lekko zabarwiony płaczem.

– Mamo, w pracy jestem – powiedziała, odchodząc na bok i ścisząc głos.

– Dzwonię i dzwonię, nie odbierasz, myślałam, że coś się stało, spać przez to nie mogę, przez to taka cała w nerwach jestem.

– W kinie byłam – rzuciła i od razu tego pożałowała.

– Aha – odparła matka i w tym krótkim słowie było wszystko, począwszy od żalu, przez zazdrość aż po całkowity zawód, że jej córka dobrze się bawi, zamiast przyjechać do matki i w czymś jej pomóc.

– Teraz jestem w pracy, mamy tutaj zwłoki – powiedziała szybko, chcąc zmyć pamięć o tym, że miała czelność wyjść z domu w innym celu niż do pracy.

– No tak, zwłoki – stwierdziła matka. – To pewnie bardzo zajęta jesteś?

– Raczej tak – odparła. – Świeża sprawa, wszyscy wariują.

– Może jak i ja umrę, to wreszcie nieco się zainteresujesz. – Słowa wypowiedziane przez matkę były na granicy płaczu. – W końcu to też będą zwłoki.

– Tylko pod warunkiem, że będzie podejrzenie udziału osób trzecich i stanie się to na moim rejonie – powiedziała i znowu za późno ugryzła się w język.

– Ze śmierci sobie żartujesz. – Westchnienie było tak ciężkie, że pewnie w domu matki zaparowały od tego okna.

– Powiedziałam ci, że wezmę wolne i przyjadę, muszę tylko zamknąć tę sprawę.

– Praca i praca, tylko praca.

– Mamo, muszę kończyć, zadzwonię rano – rzuciła i rozłączyła się, widząc, jak w jej stronę zmierza Witczak.

– Gleba, taka sprawa jest – powiedział i podrapał się po głowie z zakłopotaniem.

– Wal.

– Dzwonił szef i mówił, że najlepiej, jakbyś się zawięła, bo Szatkowski tu jedzie, a jakoś cięty jest na ciebie.

– Nie mógł zadzwonić do mnie?

– Mówił, że zajęte.

Matka, pomyślała Gleba. Zawsze miała talent, żeby zadzwonić w najgorszym możliwym momencie.

– A chuj im wszystkim w dupę! – rzuciła i ruszyła w stronę światła galerii handlowej Vivo.

Witczak zareagował westchnieniem i odprowadził ją wzrokiem aż do chwili, gdy zniknęła za koroną wału.

2.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 1.30

Pieprzona wanna dla chomików. W Warszawie miała porządną prysznic, szeroki, za mleczną szybą, cudo. Tutaj trafiła się wanna, która bardziej przypominała kuchenny zlew, nie dało się w niej położyć, nawet usiąść było ciężko.

Puściła gorącą wodę i poczuła, jak rozluźniają się jej mięśnie, oddech uspokaja, a za tym wszystkim także pokorniej ją myśli. Odsuń na bok wkurwienie na ten stalowowolski światek, Gleba, na tych lokalnych watażków, małomiasteczkowych policjantów, koneksje i cały ten syf. Zrzuć je z siebie, strzepnij jak pies pchły i pomyśl o sprawie.

Rozsądnie jest założyć, że morderstwa są powiązane. Może to nie klasyczny seryjny, ogarnięty jakąś manią wyrachowany morderca, który poluje na podstarzałych gejów. Może i nie. Prędzej ktoś załatwia porachunki, ale wtedy sprawy i tak są powiązane.

Fakt numer jeden. Najważniejszy. Albert Król, czyli jej obecny partner, nie zabił nikogo. Gdy Henryk Skórzyński rozstawał się ze swym cennym życiem, jej oblubieniec siedział obok niej na kinowym fotelu, delikatnie głaskając ją po dłoni. Pozostawała kwestia jego samochodu, ale skłaniała się ku temu, że mógł to być przypadek.

Fakt numer dwa. Druga zbrodnia ułatwi przesianie wszystkich świadków powiązanych z pierwszą sprawą. Sprawdź, gdzie był ksiądz, ten facet od pozamałżeńskich romansów i pozostali. Trzeba przepytac bezdomnych. No i zweryfikować wieści z kościoła.

Fakt numer trzy. Klucz do tych spraw tkwił w przeszłości ofiar. Coś ważnego musiało się wydarzyć zarówno w życiu pierwszego, jak i drugiego mężczyzny, może lata temu, może nie tak całkiem dawno? Tylko co?

Fakt numer cztery. Miała dość Stalowej Woli. Złapie maniaka i zażąda powrotu do Warszawy. Koniec tego dobrego. Jeden miesiąc liczył się tutaj za trzy normalne, jak w piekle. Swoje zatem odpokutowała.

ROZDZIAŁ 4

27 kwietnia 2023 roku

1.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 7.00

Komfortowe cztery godziny snu zleciały tak szybko, że Gleba właściwie nie wiedziała, czy spała, czy też nie. Dużo myślała przed snem, obwiązane łańcuchami trupy rozsiały się wygodnie w jej głowie i za nic nie chciały zwolnić miejsca. Na komendę dotarła jak we śnie i nawet kubek mocnej kawy wręczony jej przez Witczaka nie działał, jak trzeba.

– Jak tam sprawa zamachu na papieża? – zapytała, gdy siedli w salce konferencyjnej, czekając na Damięckiego oraz komendanta i szefa wydziału kryminalnego.

– Ali Agca wciąż na wolności – odparł. – Nie dość, że go nie mamy, to jeszcze kpi sobie z nas w żywe oczy.

– Jak to?

– Farbę kupiono w hurtowni budowlanej w Nisku, to po sąsiedzku. Zamówienie było na nazwisko Wojtyła.

– Ha! – Gleba aż zakrztusiła się kawą.

– Ta, dalej jest jeszcze lepiej. W bloku pojawił się chłopak, powiedział, że będzie na zlecenie spółdzielni malował kominy wentylacyjne. Wyglądał jak fachowiec, poplamiony farbą kombinezon, torba ze sprzętem i tak dalej.

– Portret pamięciowy?

– A pewnie, mamy, dokładnie trzy – westchnął Witczak.

– Czyli nie był sam.

– Jedni widzieli mężczyznę z wąsami i w czapeczce, drudzy gościa z brodą, trzeci jakiegoś z długimi włosami. Arek od portretów powiedział mi, że to ten sam typ, najpewniej się przebierał i na szybko charakteryzował.

– Cwaniak – uśmiechnęła się Gleba.

– O tak, dla niego to była komedia, widać to gołym okiem, no a dla mnie teraz tragedia i dramat. Wszyscy tutaj są żywo zainteresowani tym, co u sąsiada, ale jak im obcy po bloku hula, to gdzie tam. Jeszcze jak powie, że ze spółdzielni, to już w ogóle.

Nikt nie sprawdził, wszyscy pokiwali głowami. Wyobraź sobie, że wwiózł windą farbę, wlaź na dach, klucz dostał od faceta z ostatniego piętra. Przedstawił się jako Ireneusz Kinaszewski z firmy JPGMD z Wadowic.

– Ten skrót znam, Jan Paweł Gwałcił Małe Dzieci, takie rynsztokowe hasło w internecie – powiedziała Gleba.

– Otóż to, takie dno rynsztoka, jeśli mam być szczery. A co do personaliów, to nawiązują do Ireny Konaszewskiej, domniemanej kochanki papieża. To znaczy z czasów, gdy był księdzem. Mieszkał u niej całe lata, SB miało podsłuchy i nagrali podobno, jak konsumowali swój związek. Wszystko podobno.

– Niezły jest. A macie coś z kamer?

– No akurat nic. Pod hurtownią nie mają, bo i nikt ich nigdy nie okradł. Koło bloku jest jedna kamera, ale skierowana na mural, a na wejścia do klatki i parking nie ma. Wszystko według zeznań mieszkańców przywieziono koło piętnastej, akurat był największy ruch, więc nawet trudno jest z innych kamer dojść, kto przywiózł wiaderka z farbą. Zresztą, nie było ich dużo, raptem cztery pojemniki po trzydzieści litrów. Znaleźliśmy je na dachu. Do tego taki sprytny system, coś jak rynna, którą można było spokojnie rozprowadzać farbę po całym muralu.

– Paluchy?

– Gleba, daj spokój, teraz nawet najwięksi debile wiedzą, żeby psocić w rękawiczkach. Żadnych śladów. Zabezpieczyliśmy zapachy, pomogą w identyfikacji ewentualnego podejrzanego, ale to tyle. Utknęliśmy.

– I co, dali cię do mojej sprawy?

– No tak, będziesz miała sporo do roboty. Mam organizować rozpytania. Mural już w naprawie.

– Kompania karna, co? – zaśmiała się.

– Ta – rzucił z westchnieniem.

– Danielku, a powiedz mi, o co chodzi z tym Wampirem. Była taka sprawa czy to tylko gadanie?

– Nie było niczego. Pieprzyli coś bezdomni, że im kolesie znikają. Wyszło podczas akcji poszukiwania młodej dziewczyny, którą wciągnęły prochy. Padła teoria, że może poszła do bezdomnych i tam ćpa, więc ruszyliśmy mocno, prześwieciliśmy ich. Wtedy coś zaczęli pieprzyć, że koledzy znikają i po nich ani śladu, że Wampir. Nikt nic nie widział, nie słyszał, żadnych śladów, zwłok, konkretów. Po prostu jednego dnia przykładowy Ziutek jest w obozowisku, a na drugi dzień znika. Tyle. Był nawet pomysł, żeby tym się zająć, może i twoi koledzy z wydziału coś robili, ale u nas w dochodzeniówce nic. Wiesz, nas kilku jest, coś by było na odprawie.

– A ty co myślisz?

– Bzdury – odparł i pokazał palcem, aby była cicho, na korytarzu rozbrzmiały głosy kolejnych osób.

Do środka wszedł komendant Andrzejczak i szef wydziału kryminalnego Bednarski, towarzyszył im Damięcki. Miny mieli niewesołe, komendant trzymał w ręku parujący kubek, z którego popijał coś małymi łyżkami.

– Jak było u prezydenta? – zapytała Gleba.

– Same wzniosłe komunały – odparł szef wydziału. – Nic, czego możesz żałować. Chciał odsunąć cię od sprawy, ale wybiłem mu to z głowy. Już nie chodzi o to, czy jesteś najlepsza, ale połowa wydziału na urloпах przecież. Nie będę ściągał chłopaków z Chorwacji, są tam z całymi rodzinami, bo na majówkę mają zjechać. No, w każdym razie to mamy gościa złapać, a potem poćwiartować publicznie na rynku. Wcześniej możemy go trochę potorturować.

– Prokurator Kolasińska przyjdzie? – odezwał się Witczak.

– Nie – odpowiedział komendant. – Maryna razem z prezydentem udała się na wywiad do TVP3 na temat bezpieczeństwa w naszym mieście.

– Powiedziała nam, że wczoraj w nocy ustaliliście plan działania – oznajmił szef wydziału. – Coś się zmieniło?

Gleba westchnęła głęboko i zaczęła mówić.

– Zakładamy, że morderstwa są powiązane, głównie przez ofiary. Coś je musiało łączyć, może faktycznie to byli homoseksualiści i nasz klient takich sobie wyznaczył za cel? To będzie chyba dość łatwo potwierdzić lub wykluczyć. Jeśli jednak to nie orientacja seksualna, tylko coś z przeszłości, to czeka nas kupa roboty. Karol zaraz przesłucha księdza z samochodu, tym razem zapyta go także o minioną noc. Musimy sprawdzić alibi Adama Kawki, tego od sklepu z damskimi fatałaszkami.

– Wolałbym, żebyś ty przesłuchała księdza – powiedział szef wydziału.

– Brukselka da sobie radę – zaprotestowała Gleba.

– Oczywiście – zgodził się. – Ale ksiądz go zna, to jego parafia. Będą potem na niego krzywo patrzyli.

– Karol? – Gleba skierowała pytanie do Damięckiego.

– Zgoda – odpowiedział chłopak. – Ja pojedę do Kawki, co?

– Może być – zgodziła się Iga. – A mamy coś z monitoringu?

– Pusto – odparł Damięcki. – Kamery nie są nastawione na ten punkt, a nawet jakby były, to w nocy łapią tylko zasięg na oświetlone miejsca, dalej czarno.

– Szkoda. To faktycznie jedź do Kawki.

– Ja przepatrzę sklepy za tymi łańcuchami – wtrącił Witczak. – Technicy przekazali, że to było piętnaście metrów łańcucha, ponad dwadzieścia kilogramów stali.

– To musiał być kawał paczki – stwierdziła Gleba. – Tutaj ludzie głównie spacerują, jeśli ktoś idzie z torbą czy plecakiem, to mógł wpaść w oko.

– Mógł wyglądać jak wędkarz, nikt nie zwróci na takiego uwagi.

– Chyba że inny wędkarz – zauważyła Gleba. – Pewnie znają się jak łyse konie.

– Dopytam w lokalnym związku wędkarskim, niech podzwonią po tych wszystkich moczkiwach, może któryś akurat na ryby jechał.

– A co z tym wczorajszym świadkiem? – zapytała Gleba. – Przesłuchaliście go rano?

– Jeszcze nie – odparł Damięcki. – Pani prokurator zatrzymała go do wyjaśnienia. Ale gość nie ma nam za złe, śniadanie sobie chwalił i pytał, czy może na dłużej u nas posiedzieć.

– Głupi jakiś? – zdziwił się komendant.

– Teściowa mu się na chałupę zwała – wyjaśnił Damięcki. – A u nas spokojna nocka była, ciepła.

– To załatwię go po księdzu – zaofiarowała się Iga. – I po tym bezdomnym. Jak tam na niego mówią?

– Słodki – podpowiedział Damięcki.

– A właśnie! – Gleba nieomal palnęła się w czoło. – Jak było wczoraj na mszy? Coś ciekawego? Masz zdjęcia?

– Garstka ludzi, z tych bezdomnych też niewielu – odparł Damięcki. – Zostawię ci wydrukowane zdjęcia na biurku.

– Świetnie.

– Dobra, to ty sobie, Iguś, przesłuchuj, a my ogarniemy resztę, co nie, młody? – powiedział Witczak, wstając od stołu.

– Iguś? – zdziwiła się Gleba. – Pchasz się w gips, Danielku.

– Chciałem cię nastroić bojowo przed przesłuchaniami.

– Udało ci się. Dawać mi plebana! – krzyknęła, wstając.

Witczak i Damięcki spojrzeli wymownie na siebie, jak rodzice mający do czynienia z niesfornym dzieckiem.

– Gleba, proszę... – zaczął Karol, ale Iga uciszyła go gestem ręki.

– Pełny profesjonalizm! – odparła z powagą.

Może i ton jej głosu mówił jedno, ale zadziorny uśmiezek zdecydowanie co innego.

2.

Plac przed Komendą Powiatową Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 7.30

Słodki patrzył na drzwi strzegące wejścia do budynku policji i zdenerwowanie okazywał chyba całym sobą, kręcił się niespokojnie w miejscu, co chwilę przecierał usta, pokasływał. Tutaj zwyczajna taktyka nie przyniesie skutku, zazwyczaj

wystarczyło udawać nieco otumanionego, trochę przygłupiego, lekko podpitego, żeby policja dała mu spokój. Ale dziś to nie przejdzie. To nie murek w parku, miejscówka pod wiaduktem czy zbieranie drobnych pod marketem.

– Dobrze, że się umyłeś – powiedział Szwendacz. – Wstyd byłoby iść takim usyfionym na przesłuchanie.

– Tam mają takiego węża z wodą i myją, jak trzeba – oznajmił spokojnym głosem Dziwisz. – Pamiętam. Rozebrali mnie i umyli, ale jaka woda zimna była, to ojejku. Powiedzieli, że jak mi zimno, to mogę sobie pobiegać.

– Ksiądz mi pozwolił na prysznic, w tym kiblu koło kościoła – powiedział Słodki. – I dał mi czyste rzeczy. I kazał mówić prawdę. Powiedział, że to jak spowiedź, że to ważne.

– Ciepła woda tam była? – zapytał Dziwisz. – Nie lubię zimnej.

– Cieplutka. Ksiądz proboszcz to porządny gość.

– Dostał stówę wczoraj na mszę, to i porządny – powiedział Szwendacz. – A mogliśmy spokojnie przepić.

– Posejdon by się ucieszył – stwierdził Słodki. – Lubił Boga.

– Ale najwidoczniej Bóg nie lubił jego – zakpił Szwendacz. – Jak skończył?

– Może jest już w niebie.

– Wiesz co, Słodki, ja ci powiem, jak to jest. Jak umiera ktoś znany, zdolny, dajmy na to muzyk, to piszą w gazetach, że Bóg pewnie potrzebował go do swojej orkiestry i takie tam dyrdymały. A do czego potrzebował Posejdona? Żeby mu kasę sępił pod Biedronką? Księża to lepiej robią, a jest ich tam bez liku.

– Kto nie żyje? – zapytał Dziwisz.

– Posejdon – odparł Słodki.

– Ojej – zasmucił się mężczyzna. – To ten Wampir go zabił?

Pytanie zawisło w powietrzu, żaden z mężczyzn nie skomentował, z zasady nikt w to nie wierzył, ale po co o tym gadać?

– Słodki, słuchaj. – Szwendacz podszedł do kolegi i położył mu rękę na ramieniu. – Ty wiesz, co masz mówić. Uzgadnialiśmy wczoraj.

– Ale ksiądz kazał szczerze, jak na spowiedzi...

– Przecież nie każemy ci kłamać. Tylko nie mów wszystkiego.

Słodki zadreptał niespokojnie w miejscu, spojrzał na kolegę, potem na drzwi komendy, znowu na Szwendacza.

– A jak będą mnie bić? – zapytał.

– Daj spokój, nie te czasy. Jako świadek idziesz. Pamiętaj, policja to nie są nasi przyjaciele. Co zrobili wczoraj pod wiaduktem? Ilu dostało po plecach? Pokazywał ci Mietek siniaki?

– No pokazywał – przytaknął Słodki i znowu nerwowo przetarł usta. – Dlatego pytam, czy będą bić.

– Nie. Ale widzisz – powiedział Szwendacz, rozkładając ręce – daj komuś mundur, to od razu z niego zwykły chuj wylezie. Pamiętaj o tym. Myślisz, że będą pilnować, żeby nikt nas nie dorwał? W dupie nas mają. Będą uroczystości, zjadą się oficjele i to o nich się martwią. Nami zajmą się tak jak właściciel pchłami na ukochanym psie. Idź, rznij głupa i mów tylko to, co ustaliliśmy.

Szwendacz popchnął go lekko w plecy i Słodki ruszył w stronę komendy policji.

3.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 8.00

– Dzień dobry! – powitała księdza Gleba, siadając po drugiej stronie stołu i stawiając na nim kubek z kawą.

– Szczęść Boże – odpowiedział młody kapłan dość słabym i nieco drżącym głosem.

Był duży, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, nadwagę, ale taką miłą dla oka, zwiastującą biesiadną rubaszność, czarne jak smoła włosy, delikatny ciemny zarost. Twarz wydawała się stworzona do uśmiechu, o czym świadczyły kurze łapki w kącikach oczu i ogólna aparycja, taka świetlista, jak mówiła jej matka. Jak ktoś taki wchodzi do pokoju, to od razu świat jaśnieje, jakby łąziło za nim wszędzie słońce. Ze wszystkim kontrastowała czarna koszula z koloratką.

– Michał Żyra, wikariusz przy parafii pod wezwaniem Świętego Floriana, tak? – zapytała Gleba do protokołu.

W pokoju siedział posterunkowy, który na bieżąco notował rozpytanie, miał w obowiązku także pouczyć świadka o procedurach oraz grożących mu konsekwencjach prawnych w razie podania nieprawdy.

– Zgadza się – odpowiedział ksiądz miękim, aksamitnym głosem, wręcz stworzonym do radia.

Kosma opowiadał jej, że takiego sposobu modulacji uczono w seminarium. Nabywało się specjalnej barwy głosu, prawidłowego akcentowania, emisji. Ksiądz na kazaniu miał brzmieć jak ktoś lepszy, wykształcony, z wyższych sfer, tych niebieskich dokładnie.

– I to pan użytkował samochód należący do parafii w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty kwietnia?

Znowu przypomniała sobie Kosmę, który prowadził głównie sprawy powiązane z duchownymi i lubił o nich mówić. Radził, że jeśli przesłuchuje księdza, to ma mówić do niego per pan, to wytrąca ich z równowagi, burzy spokój, wprowadza w strefę dyskomfortu.

- Zgadza się.
- W jakim celu?

Ksiądz poruszył się niespokojnie na krześle, rozejrzał płochliwie, odchrząknął. *No tak, to ten moment, gdy zacznie kłamać*, pomyślała Gleba.

- Odchudzam się – powiedział w końcu.
 - Jeżdżąc po nocach samochodem? – zapytała. – Co to za nowa dieta cud?
 - Nie, to nie tak – powiedział z uśmiechem. – Chodzi o bieganie. Biegam, żeby rzucić parę kilo. Nie ma mowy o diecie, nasza gosposia gotuje dla wszystkich i zjeść trzeba wszystko, bo inaczej awantura. No to jeżdżę po zmroku za zakłady, tam parkuję i robię sobie takie przebieżki.
 - Nie można normalnie, po mieście?
 - Żeby parafianie widzieli?
 - A od kiedy to wstyd ćwiczyć?
 - No mi trochę wstyd. Żeby taki grubas truchtem się toczył po mieście. No nie bardzo.
 - Lepiej w nocy po lesie?
 - Ja jestem z Podlasia. Las dla mnie to jak dom, wolę niż miasto. Mam latarkę czołówkę, telefon ze sobą, jakby coś się stało. Ale cóż tam w sumie może się wydarzyć, ludzi nigdy nie spotykam, częściej sarny.
 - Czyli biegał pan, tak?
 - Zgadza się, wyjechałem za zakłady, zaparkowałem na takim dzikim parkingu leśnym, poszedłem biegać, wróciłem gdzieś po godzinie.
 - Widział pan kogoś tej nocy?
 - Ludzi to nie, ale stał tam samochód. Duży, taki van.
 - Był ktoś w środku?
 - Nie zaglądałem. Ale chyba tak, bo takie blade światło padało z niego. No i... Hm...
 - Śmiało, proszę się nie krępować.
 - Bo bujał się ten samochód. Wie pani, chyba tam ktoś sobie zajechał na amory. Więc po cichu wyjechałem, nawet światel nie zapalałem, żeby mnie nie widzieli.
 - Samochód był tam, zanim pan przyjechał, i został po pana wyjeździe?
 - Tak.
 - Pamięta pan markę, kolor?
 - Tylko tyle, że był spory.
 - Któryś z tych? – Gleba wyjęła z teczki zdjęcia z monitoringu.
- Ksiądz bez wahania pokazał na wydruk z samochodem Adama Kawki.
- Ma pan coś do dodania? Widział pan kogoś po drodze?

– Wiem, o co chodzi, o to morderstwo na kulochwytych – oznajmił ksiądz. – Wczoraj wieczorem odprawialiśmy mszę w intencji ofiary. Myślałem o tym dużo, ale niczego szczególnego sobie nie przypominam.

– Często pan biega?

– Staram się regularnie.

– Działa to? Spadają kilogramy?

– Powoli coś zaczyna się dziać – powiedział ksiądz z uśmiechem. – Pewnie dieta by pomogła, ale gdyby mnie pani widziała miesiąc temu, to ho, ho! – Poklepał się znacząco po sporym brzuchu.

– Wczoraj też pan biegał?

Zamilkł. Spochmurniał.

– Też.

– W tym samym miejscu?

– Tak.

– I o tej samej porze?

– Tak. Podobno regularność to podstawa przy treningach.

– I po tym morderstwie nie boi się pan?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Dobrze, proszę zostawić mi numer telefonu, gdybym chciała o coś dopytać. Dziękuję za poświęcony czas. Posterunkowy zaraz pokaże panu gotowy protokół, proszę go przeczytać i podpisać.

– Oczywiście.

Gleba wstała i opuściła pomieszczenie.

4.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 8.30

Słodki wszedł do pokoju wskazanego mu przez młodego policjanta z gołym pagonem, nawet bez jednej belki. No tak, do przesłuchania takiego męta nie wyślą kogoś wysoko postawionego.

Pokój przesłuchań był jasno oświetlony i nawet prezentował się całkiem przyjaźnie. Policjant wszedł za nim do środka, grzecznie wskazał krzesło, uśmiechnął się i poinformował, że pani podkomisarz zaraz przyjdzie. Aha, czyli jednak ktoś znaczny. Podkomisarz to chyba oficer. Potem policjant zapytał się, czy woli kawę, czy też herbatę. Kawę mają z ekspresu, prawdziwą. No to chciał. Słodki Jezu, słodki jak grzech, kiedyż on ostatnio pił taką prawdziwą kawę? Gorzką, mocną, z tym posmakiem... Właśnie, jakim? Pamiętał w ogóle, jak smakuje kawa?

Policjant wyszedł, a do środka weszła pani podkomisarz. Pamiętał ją z wczoraj, była pod Metalowcem razem z tym wkurwiającym dzielnicowym i jeszcze takim młodym i umięśnionym policjantem, tyle że teraz nie miała na sobie różowej kurtki, a czarny podkoszulek.

– Dzień dobry! – zawołała wesoło.

Chciał odpowiedzieć, ale zaschło mu z nerwów w gardle. Przełknął ślinę, przetarł usta.

– Dzień dobry – odpowiedział i w pomieszczeniu bez mebli usłyszał swój chrapliwy głos.

Kurwa mać, pomyśli, że jest niemiły.

– Kawka już się robi, a ja mam bułeczki z serem. – Podniosła do góry papierową torbę. – To znaczy drożdżówki, najlepsze, od Rostka.

Zaburczało mu w brzuchu na widok wyłożonych na talerzyk rumianych bułeczek. Kiedy ostatnio jadł śniadanie, takie prawdziwe, ze świeżym pieczywem?

– To tak można? – zapytał trochę po głupiemu, zdawał sobie z tego sprawę, ale go nieco onieśmieliła.

– Śniadanie zjeść? – zapytała zdziwiona. – Trzeba, to podobno najważniejszy posiłek dnia. Ja dzisiaj jeszcze nic nie jadłam, to postanowiłam, że zrobimy sobie takie wspólne. Posterunkowy przyniesie kawę i zje z nami. Myślał pan, że czym karmią się policjanci? Jękami przesłuchiwanym?

– Nie no, to nie tak – plątał się w odpowiedzi.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł policjant z trzema kubkami na plastikowej tacy. Odłożył je kolejno na stolik, obok postawił mleko i cukier, po czym usiadł razem z nimi.

– Posterunkowy Skoczylas będzie protokołował – poinformowała go policjantka, słodząc kawę. – To poważne zeznania i wszystko trzeba potem podpisać.

– Trzeba przysięgać na Biblię?

– To tylko w filmach. U nas za składanie fałszywych zeznań nie grozi wieczne potępienie, ale zgodnie z artykułem dwieście trzydziestym trzecim kodeksu karnego kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu.

Słodki nie skomentował, tylko mocniej ścisnął łyżeczkę, aby nie rozsypać cukru podczas słodzenia kawy.

– Pan się nazywa Wincenty Kłós – zaczęła policjantka, a jej oczy wciąż były roześmiane i przyjacielskie.

– Tak – odpowiedział, słysząc imię i nazwisko, które tak rzadko ktoś wypowiadał.

– Ma pan już nieważny dowód osobisty, i to od dwóch lat.

– Tak?

– Nie robią przeszkód w opiece społecznej z wypłatą świadczeń?
– Znają mnie tam już, nie każą pokazywać dowodu.
– Mili ludzie.
– Bardzo. Tam sporo awanturników przychodzi, krzyczą na te panie, a to przecież ich praca, nie ze swojego dają i nie zabierają, jak się im podoba, to co na nie krzyżeć?
– A mówią na pana Słodki.
– No tak.
– Przez cukrzycę?
– No tak. Ale to ta lekka, że bez insuliny.
– Panie Wincenty, to może lepiej się doleczyć, do szpitala pójść. Widzę, że ma pan tu zameldowanie wpisane, w Pysznicy. Dlaczego pan się włóczy po tej Stalowej?
– Dom na córkę przepisałem, zaraz po śmierci żony – powiedział, przypominając sobie czasy, gdy zawsze miał świeże ubranie i jadał regularne śniadania. – Ona wyjechała do pracy na Wyspy, dom wynajęła, a ja...
– Ale nie wymeldował się pan?
– No nie.
– Może pan przecież tam wrócić.
– No... – bąknął i napił się kawy, żeby zyskać na czasie.
Wszyscy święci, jakież to był smak. Kiedyś pijał taką kawę, może nawet lepszą. Aksamitna gorycz przelała mu się po języku, już po chwili przegoniona słodyczą dwóch łyżeczek cukru, które wsypał do kubka. Czerni. Czerni królowała mu w ustach, moc uciekała w kąciki ust, cierpł język, otwierały się oczy. Prawdziwa kawa.
– Co tam się wydarzyło, panie Wincenty, że nie chce pan wracać? – zapytała policjantka, delikatnie pochylając się w jego stronę.
Przełknął ślinę. Miał żonę, Ewelinkę. Przypomniał sobie, że po jej śmierci córka przyprowadziła swojego narzeczonego, a ten z nimi zamieszkał. Nie protestował, Ewelinka pewnie by się nie zgodziła, ale córka zawsze umiała sobie omotać tatusia wokół palca. Potem powiedzieli mu, że chcą otworzyć firmę, w grę wchodzi duże pieniądze i najlepiej wziąć kredyt pod zastaw domu. Przepisał go na nich. W domu zaczęli bywać różni ludzie, eleganccy, on zawadzał. A to źle, bo pił piwo przed domem, a klienci akurat przyjechali, rąbał drewno, to też źle, bo hałasuje. Nie chciał stać młodym na drodze, więc wyprowadził się do miasta, do kolegi, który widział jego rozterki. I było dobrze, bo kolega miał dom, a obok przybudówkę mieszkalną, ładną i dobrze wyposażoną. Sam pływał na statkach, więc często wyjeżdżał i Wicek miał pilnować wszystkiego. Tyle że kolega dostał zawału na pełnym morzu, dom przejęła rodzina i kazali mu się wyprowadzić. Jak wrócił do Pysznicy, to córki nie było, a w domu mieszkali obcy ludzie. Pogonili go. Nie miał do niej nawet numeru telefonu,

bo stary komórkowy już należał do kogoś innego. I nagle minęło chyba dziesięć lat od tamtego momentu.

– Życie się wydarzyło – powiedział, przełykając ślinę, poczuł łzę w kącie oka.

– Może pan poprosić miasto o pomoc, mieszkanie socjalne dadzą, podreperuje pan zdrowie.

– Na to przyjdzie czas na starość – odpowiedział, śmiejąc się chrapliwie, miał już przecież ponad sześćdziesiąt lat.

– Jakby pan potrzebował pomocy, to proszę tu przyjść i poprosić Igę – powiedziała policjantka. – Albo Glebę.

– Dziękuję.

– No to przejdźmy do sedna, dowiedział się pan czegoś dla nas, panie Wincenty?

Spojrzał łapczywie na leżące przed nim drożdżówki, policjantka, widząc to, podsunęła w jego stronę talerzyk, sięgnął po jedną.

– Strach jest po tym, co się Posejdonowi stało – powiedział. – Dziwnie strach działa na ludzi, niektórzy zaczęli pić więcej, inni przestali.

– Wampir? – rzuciła, starając się być poważna.

Mężczyzna spojrzał na nią, potem na protokolanta, zlustrował kubek z kawą i drożdżówkę z serem.

– Jak by go nie nazwał... – odpowiedział w końcu. – Byłem za dawnych czasów w teatrze, z żoną jeszcze, taka wycieczka z zakładu pracy i tam aktor mówił, że jak byśmy na różę nie mówili, będzie pachnieć tak samo, co nie?

– No dobrze – zgodziła się spokojnie Iga. – A czy ktoś coś widział? Słyszał? Może o tym czarnym samochodzie?

– E tam, pani komisarz. – Słodki machnął ręką. – Przecież sam pan dzielnicowy mówił, że to bujdy, jak z tą czarną wołgą bywało, że ludzi porywa.

– On tak mówił – zgodziła się Gleba. – Ale ty chyba w to nie wierzysz, co nie?

– Sam już człowiek nie wie, w co wierzyć. Może i jakiś był, ale nocą to one wszystkie czarne, jak koty.

– A jaki to był samochód? Jakiej marki?

– Szwendacz mówił, że bmw.

– To jeden z was?

– Tak. Z nas – odpowiedział ponuro i zauważył, że policjantka się poruszyła.

My i oni. Wy i my. Nas i was. To o tym mówił mu Szwendacz wiele razy. Dla nich jesteśmy innym gatunkiem, podlejszym. Żyjemy obok nich, z boku reszty świata, i gdybyśmy zniknęli – tak dajmy na to, że jednego dnia znikają wszyscy bezdomni tego świata, żule co do jednego rozplývają się w powietrzu – to nikt by nie zapłakał, a wielu odetchnęłoby z ulgą, a i powietrze byłoby czystsze, mniej rzeczy do

śmierdzenia. Dlaczego córka się do niego nie odzywa? Ze wstydu. Która dziewczyna chciałaby mieć takiego ojca, łachmytę ubranego w smród i brud? Pewnie ma już dzieci, ładne i mądre, kąpie je codziennie, stroi w śliczne wdzianka. Gdyby minęli się dziś na ulicy, to czy poznałaby go? Wątpliwe.

– O samochodzie już słyszeliśmy, to cenna uwaga – powiedziała policjantka, uśmiechając się.

– To mógł być on? – zapytał Słodki i ugryzł drożdżówkę.

– Oczywiście. Musimy go znaleźć. Proszę mi opowiedzieć więcej o Posejdonie.

Słodki przełknął z trudem kawałek bułki, zbliżało się najgorsze, to, przed czym przestrzegał Szwendacz.

– No co tu gadać. Był, jaki był. Każdy jest jakiś, znaczy inny, on był też inny.

Umilkł i ugryzł szybko kolejny kęs drożdżówki. Jakaż była dobra, kruszonka rozpływała się tą mączną słodkością, o której już zapomniał, tak smakowało przeszłe życie. Ewelinka piekła w niedzielę ciasto drożdżowe, potem po obiedzie jedli je, popijając herbatą z miodem, w lecie siedzieli przed domem, w zimie przy kominku. Nikt nie piekł takiego drożdżowca jak jego żona.

– Czyli jaki? – zapytała policjantka.

Odpowiadaj tylko na pytania, przestrzegał go Szwendacz. Nie rozgaduj się, mów krótko. Pamiętaj. No i pamiętał. I nie wspominać o Wampirze, bo można się ośmieszyć.

– No inny.

– Pił?

– Tak, ale tylko swoje.

– Nocował z wami? Pod wiaduktem? Czy w tym obozowisku za Biedronką?

– Rzadko, prawie nigdy.

– Czyli miał jakieś inne lokum.

– Chyba miał.

– Chodził do Brata Alberta? Słyszałam, że proboszcz od Świętego Floriana czasem udziela schronienia potrzebującym.

– Tam nie chodził – odparł Słodki.

Mógł ich kierować na złe tory, ale przecież pójdą i dopytają, nie daj Boże samego księdza, i wtedy on, Słodki, wyjdzie na łgarza. Nie Szwendacz, tylko właśnie on.

– To był bardzo piękny gest z daniem na mszę za kolegę – powiedziała policjantka, podsuwając mu kolejną drożdżówkę. – Sto złotych to kupa szmalu. Mogliście za to urządzić małą stypę, upić kilku kolegów, podpytać, jak chciał dzielnicowy Wierzba.

Na wspomnienie nielubianego policjanta nieco się wzdrygnął. Traktował ich jak śmieci, jak te pchły na psie, o czym wspominał Szwendacz, ale ta policjantka była

całkiem inna.

– Nikogo nie trzeba było upijać, proszę pani – powiedział, wzdychając. – Każdy chce pomóc. Wszyscy lubili Posejdona. Jedni dlatego, że postawił butelkę, drudzy, bo im pomógł, potrafił opatrunek zrobić, nawet ranę zszyć, nawet jak ja zemdlałem po spadku cukru, to mnie zabrał na dwa dni...

Kurwa! Właśnie o tym mówił Szwendacz, żeby krótko odpowiadać, bo jak się człowiek rozgada, to się zapomni. No i się zapomniał.

– Dokąd? – zapytała łagodnie policjantka.

– No do mieszkania takiego.

– Opiekował się panem?

– Mówił, że muszę nabrać sił, że mi równowaga musi wrócić jakaś. Karmił dobrze, nawet kroplówkę miał. Jak w przychodni.

– I nie zdziwiło to pana?

– No zdziwiło. Ale prosił, żeby nikomu nie mówić.

– I powiedział pan komuś?

– Każdy może mieć swoje tajemnice. Nie mamy domów, rodzin, grosza w kieszeni i szacunku od reszty ludzi, sekrety to jedyne, co nam pozostało.

Powiedział o tym mieszkaniu tylko jednej osobie, Szwendaczowi.

– Gdzie było to mieszkanie? – dopytywała tymczasem policjantka.

– Ja nie wiem, nie pamiętam.

– Panie Wincenty, zna pan przecież Stalową Wolę, to małe miasto. Nie pamięta pan? Może wsiądziemy w radiowóz i pojeździmy po mieście, zobaczy pan coś charakterystycznego. Stację benzynową, jakiś wieżowiec, może szpital?

Drgnął przy tym ostatnim i już wiedział, że Szwendacz będzie zły. Nie lubił, jak on był zły, działy się wtedy różne dziwne rzeczy.

– No koło szpitala to było – powiedział w końcu.

– Jak ulica? Pamięta pan pewnie.

– Narutowicza – odpowiedział.

Uśmiechnął się, w końcu kamień spadł mu z serca, poczuł prawdziwą ulgę. Teraz dopiero zrozumiał, że to nie na Szwendaczu mu zależało, ale na proboszczu. Obiecał mówić wszystko jak na spowiedzi i tak zrobi. Przecież nikt się nie dowie, te protokoły to raczej tajne są, tak mu się przynajmniej wydawało.

– Jak wyglądał blok?

– To było osiedle Ogrody – odparł.

A potem opowiedział wszystko. Gdy już skończył mówić, miał czyste sumienie i pełny żołądek. Tak powinno być każdego dnia, tak przecież kiedyś było. Z Ewelinką.

– Panie Wincenty, jeszcze jedno – powiedziała policjantka i położyła przed nim duże zdjęcie.

– To z wczorajszej mszy – zauważył.

– Dokładnie. Proszę mi teraz powiedzieć, kto jest kto, a ja sobie to wszystko zanotuję, dobrze?

Zgodził się. Pokazywał palcem kolejne twarze, wyraźne i kolorowe, i mówił, że ten to Dziwisz, ten to Pęksiok, tamten Goga, inny Pryton. Dopiero na samym końcu, gdy palec policjantki zawisł nad mężczyzną z zaciętą miną, z westchnieniem powiedział, że tego to nazywają Szwendacz.

5.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 9.30

Posterunkowy przyglądał się Glebie uważnie i z jakąś taką podejrzliwością. Ewidentnie chciał o coś zapytać, ale chyba brakowało mu odwagi.

– No pytaj, bo ci zaraz dupę rozerwie z emocji – zachęciła go w końcu.

– Mam iść jeszcze po bułki do Rostka? Bo ten żul zjadł wszystkie i jeszcze na drogę zabrał.

– Za twoje jadł?

– No nie. Tylko nie wiem, czy dla tego Kosteckiego to będziemy milutcy, kawka i bułeczki, czy też na ostro, jak z księdzem wikariuszem?

– Posterunkowy Skoczylas – westchnęła Gleba, przeczuwając, że oto zyskała kolejnego wroga i po raz kolejny musi tłumaczyć to samo. – Gdy wkładasz mundur, to nie ma znaczenia, czy człowiek naprzeciw ciebie ma na sobie sutannę, czy śmierdzące łąchy. Najważniejsze jest to, co wie i ile z tego uda ci się wyciągnąć. Najprostszą metodą przesłuchania jest delikatna zmiana traktowania, uczciwego obywatela potraktuj oschle, bo nie tego się spodziewa, osiedlowego oprycha ze współczuciem, męża bijącego żonę ze zrozumieniem. To teatrzyk. Jak dla mnie facet podnoszący rękę na swoją partnerkę nie zasługuje nawet, by go opluć, ale mogę być dla niego w pokoju przesłuchań najmiłą kobietą świata, bylebym dostała na papierze to, na czym mi zależy. Jeśli będę go poniżała, krzyczała na niego i tak dalej, to nic nie powie, bo nienawidzi kobiet, uważa je za coś podlejszego od karalucha. Mało tego, jest święcie przekonany, że nie robi niczego złego, bo przecież jak się baby nie bije, to wątroba jej gnije. Jedyny sposób, żeby przestał to robić, to ujebać mu rękę, a ta boli tak samo, gdy ktoś ci ją łamie z uśmiechem, jak i ze złością.

– To, rozumiem, zagranie z tym Słodkim – powiedział posterunkowy.

– Dzielnicowy Wierzba traktuje jego i resztę bezdomnych jak śmieci. Czy słusznie? Nie ja jestem od kwestionowania jego metod, mimo iż mi się nie podobają. Gdybyśmy

tutaj na niego skoczyli, to mielibyśmy gówna, a nie cynk o mieszkaniu i identyfikację niemal wszystkich obecnych w kościele.

– Ale dla księdza to była pani podkomisarz wyjątkowo niemila – skomentował Skoczylas. – A tu wypada okazać trochę szacunku. Przecież ksiądz i tak nie skłamię, bo mu nie wolno.

– Z katolikami jest ten problem, że mogą kłamać jak najęci, bo potem polecą do konfesjonału i po problemie. Prywatnie możesz go nawet po niedzielnej mszy za uszkiem podrapać, ale na służbie to dla ciebie jest Michał Żyra, potencjalny świadek, a może nawet i podejrzany w sprawie z artykułu sto czterdziestego ósmego kodeksu karnego.

– Podejrzany? – prychnął policjant.

– Jeśli tego nie rozróżniasz, to złą firmę wybrałeś. Grzej do seminarium, pewna robota, też mundur, no i szacunek. A teraz wołaj Kosteckiego.

– Tak jest – odburknął Skoczylas i ruszył po świadka.

Gleba weszła do pokoju przesłuchań i spojrzała w lustro, za którym ustawiła kamerę. Chciała sobie potem wszystko na spokojnie obejrzeć, a szczególnie jak zachowywał się każdy z dzisiejszych gości podczas podpisywania protokołu przesłuchania.

6.

Ogródek Jordanowski, Stalowa Wola

Godzina 10.00

Doktor Henryk Jordan założył w trakcie zaborów swój pierwszy ogród, by krzewić wśród dzieci i młodzieży wartości patriotyczne pod pozorem zabawy i obcowania z naturą na świeżym powietrzu. Dziś w Stalowej Woli dzieci z przybytku stworzonego według jego koncepcji mogły nauczyć się jedynie przekleństw od przesiadujących tutaj pijaczków i pobawić pozostawionymi przez nich pod ławkami butelkami po całej gamie alkoholi, głównie tych najtańszych. Patriotyzmu trochę też, bo część pijących miała na sobie koszulki głoszące treści bliskie sercu każdego Polaka. Zapadnięte asfaltowe alejki, żałośnie prezentujący się plac zabaw, zdewastowane ławki otoczone potłuczonymi butelkami i pogniecionymi puszkami, kolorystycznie wzbogacone kiepami po petach, nie przyciągały rodzin, ale wielbicieli podłego alkoholu i niezdrowego stylu życia jak najbardziej.

– Niczym się nie przejmuj – powiedział Szwendacz, podając Słodkiemu butelkę z nalewką wiśniową, jego ulubioną.

– Właśnie, nie ma się co smucić – dodał Dziwisz, patrząc łakomie na pięknie mieniący się czerwienią płyn zamknięty w przezroczystym szkle.

Słodki, trzymając butelkę, zastanawiał się, czy może to nie jest dobry moment, żeby spróbować zmienić swoje życie, wrócić do dobrych czasów. Pójdzie do księdza proboszcza, powie mu o tym, że ma córkę, że chce się z nią spotkać i potrzebuje pomocy. Na pewno mu pomogą. Smak czarnej kawy i serowych drożdżówek wciąż w nim grał, jak usłyszana rano w radiu wesoła piosenka, która zostaje z nami na cały dzień.

– Masz. – Podał butelkę Dziwiszowi, nie przykładając jej nawet do ust.

Tego nie trzeba było dwa razy zachęcać. Może i nie pamiętał, co robił godzinę temu, ale uzależnienie sięgało dużo dalej niż pamięć, było wytatuowane pod skórą, w mózgu, nie dało się go usunąć byle wypadkiem.

– A ty co? – zapytał go Szwendacz.

– Nie mogę, za bardzo zdenerwowany jestem.

– Nakłamałeś im, i dobrze – powiedział Dziwisz, poklepując go po ramieniu. – Zapomnisz szybko, ja tam niczego nie pamiętam i jak mi z tym dobrze.

Oblizał się z głośnym mlaśnięciem i przechylił butelkę, przelewając całą zawartość do swojego brzucha, a kiedy już ostatnia kropla spłynęła z szyjki, zamruczał z błogością.

– Chodzi ci o tego plebana, co nie? – zapytał Szwendacz. – Pierdolił ci o tym, żebyś gadał jak na spowiedzi, i teraz bania zryta, co nie? Sumienie cię ruszyło. W chuj w porę. Przecież my kłamiemy cały czas, pod sklepem nie mówisz, że na wino zbieramy, ale że na bułkę.

– Ale to policja.

– Policją to są dla ludzi w garniturach. – Szwendacz podniósł głos. – Dla tych tam, w pięknych domach na kredyt. Dla ludzi, co posiadają samochody, rodziny i uśmiechy, dla nich jest policja i ich pilnuje, żeby ten uśmiech im z gęby nie zszedł. Dla nas to są psy, a my dla nich szczury, bo tak nas traktują, jak pies szczura. Bo nie mamy kredytów, samochodów, domów i uśmiechów, więc nie ma czego pilnować. Przestań się tu pierdolić z myślami, napij się. A jak nagle zacząłeś przejmować się życiem w grzechu, to idź do tego klechy i się wypowiedaj, a potem wracaj i żyj dalej.

– Masz rację – odparł Słodki. – Pójdę.

– Idź. Najważniejsze, że nie puściłeś farby.

– Najważniejsze...

Wstał z ławki, spojrzął na swoje ręce, czyste po raz pierwszy od tak dawna, na spodnie i koszulę, wyprane i nieprzepocone. Co z tego, że nie były nowe, jego życie też było stare, ale nie musiało przez to być brudne i śmierdzące. Ruszył w stronę kościoła, z postanowieniem poprawy, powie księdzu, że nie kłamał, powiedział policji

wszystko i nie chce już tak żyć. Zobaczy córkę, odzyska dom. Odzyska życie. Właśnie to było najważniejsze.

7.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 11.00

Damięcki do pokoju zajmowanego przez wydział kryminalny wszedł niemal z drzwiami. Na widok Gleby uzupełniającej papiery uśmiechnął się i usiadł z rozmachem na wolnym krześle.

– Coś taki radosny z rana? – zapytała, podnosząc głowę znad raportu. – Jakieś spotkanie z Matyldą po drodze?

– Lepiej! – odpowiedział niezrażony jej kąśliwym przywitaniem. – Chyba coś mam.

– Sprawa rozwiązana?

– Nie no, aż tak dobrze to nie ma, ale według mnie to może być król targowiska, władca świata damskich fatałaszków, Adam Kawka.

– Po czym wnosisz?

– Nie ma alibi na poprzednią noc. Mówi, że jeździł z nerwów po mieście. Zapytałem w jakich rejonach, żeby sprawdzić nagrania z monitoringu i potwierdzić, ale nie był w stanie powiedzieć.

– No proszę, tym razem nie ma żadnej kobiety, która potwierdzi jego alibi?

– Powiedział, że pojechał w to miejsce, gdzie spotyka się ze swoją kochanką, tą z Norwegii, bo musiał sobie wszystko przemyśleć. Boi się, że sprawa się rypnie i jego skoki w bok się wydadzą.

– Zatrzymałeś go?

– No nie – powiedział Damięcki i mina mu zrzedła.

– Może zrobimy to wieczorem.

– Dlaczego wieczorem?

Gleba schowała kartkę z raportem do tekturowej teczki, zamknęła ją i spojrzała Damięckiemu w oczy.

– Karolku, możemy porozmawiać szczerze?

– No chyba cały czas tak rozmawiamy, co nie?

– Tak, ale chodzi mi o pewne ustalenia. Chciałabym zawrzeć z tobą dżentelmeńską umowę.

Damięcki poruszył się niespokojnie na krześle, zmrużył oczy i zaczął się jej podejrzliwie przyglądać.

– Gleba, jeśli to coś niezgodnego z prawem, to ja...

– Głupiś – zaśmiała się.

– Więc o co chodzi?

– Chcesz rozwiązać tę sprawę, tak?

– No jasne. A ty nie?

– Chcę. Zdajesz sobie sprawę, że sam byś tego nie ogarnął?

Zmieszał się nieco i znowu zakręcił na krześle. Oj tak, mężczyznom przyznanie się do takiego faktu raczej nigdy nie przechodzi przez gardło.

– No tak – powiedział w końcu.

– Dobrze mi się z tobą współpracuje. Naprawdę bardzo nieźle rokujesz jako policjant i jak chyba zauważyłeś, uczę cię wszystkiego, co sama potrafię.

– Yhm – łyknął komplement, co zaowocowało słabym uśmiechem.

– Tobie potrzebna jest ta sprawa i jej rozwiązanie. Im będzie głośniejsza, tym dla ciebie lepiej. Dlatego nie pcham się do prezydenta na te spotkania, chociaż w normalnych warunkach bym mu nie odpuściła. Niech widzi tam ciebie, bądź twarzą tej sprawy. Złapiemy tego mordercę, zapniesz mu kajdanki na nadgarstkach, raporty napiszemy tak, że ja właściwie robiłam to, co mi zleciłeś. Odbierzesz premię, awans, może jakieś odznaczenie. Potem parę wywiadów, jakiś obiad z politykami, tak to się toczy. Mama będzie z ciebie dumna, pójdziesz wyżej. Obydwoje doskonale zdajemy sobie sprawę, że tego potrzebujesz. Im większa sprawa, tym mocniejsze potem echo, a ona już jest duża. Bardzo duża. Jak wskoczy trzeci trup, czego kurewsko nie chcę, ale jest to niestety prawdopodobne, będzie jeszcze większa i bardziej medialna. Potrzebujesz tego.

Damięcki powoli skinął głową, poprawił się na krześle i pochylił w stronę Gleby.

– A czego ty potrzebujesz?

Mądry chłopak.

– Ja chcę wrócić do Warszawy – odpowiedziała bez wahania. – Do swojego komisariatu, mieszkania, balkonu i kieliszka wina.

I do Kosmy, dodała w myślach.

– No to chyba zgarnięcie zasług za tę sprawę pozwoli ci wrócić, co nie?

– Nie, kochany – odparła z westchnieniem. – Wylądowałam tu przez decyzje polityczne i tylko ktoś dobrze postawiony może mi załatwić szybszy powrót.

– Moja mama – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Brawo, Jasiu! – Ona też się uśmiechnęła. – Mówiłam, nieźle rokujesz.

– Umowa. – Wyciągnął rękę przez stolik.

– Tak szybko się zgadzasz? – zdziwiła się.

Obawiała się, że będzie musiała go przekonywać, że ostro zareaguje na pomysł, aby prosić matkę o przysługę.

– Mama jest przymierzana po powrocie z Brukseli na ministra sprawiedliwości. Wiesz, partia ma zawsze plan na rok do przodu, na wypadek jakiejś dymisji i tak dalej.

Nikt jej nie odmówi w tak, hm, drobnej sprawie. Dla nich tam, na górze, Iga Ziemna to tylko nazwisko na papierze, pod którym trzeba złożyć podpis.

– No to umowa. – Uścisnęła mu rękę.

– To co robimy dalej, wyszło ci coś z przesłuchań? – zapytał uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Ksiądz kłamie, dam sobie rękę uciąć – oznajmiła, otwierając teczkę z protokołami przesłuchań. – Coś ukrywa albo kogoś kryje. Może proboszcza? Nie wiem, ale na pewno wali grubą ściemę ze swoim odchudzaniem i bieganiem. Przeczytaj.

Podowała mu protokół podpisany przez wikarego.

– Jak go podpisywał, to pocił się, jakby faktycznie właśnie skończył maraton – powiedziała. – W dodatku miał na sobie starą koszulę, kołnierzyk już zaczyna blaknąć, opiętą koszulę, a chwalił się, że przez miesiąc sporo zrzucił.

– Co może ukrywać?

– Spokojnie, dowiemy się. Kolejny był ten bezdomny, Słodki. Ten znowu opowiadał wszystko, jak na spowiedzi. Mamy zamiar na mieszkanie należące do Posejdon, zaraz tam jedziemy.

– O kurwa! – skomentował Damięcki, sięgając po kolejny protokół.

– Otóż to. A nasz świadek z wczoraj, niejaki Hubert Kostecki, to najmniej winna osoba, jaką spotkałam. Najpewniej jeszcze dziś go puścimy, chociaż on gorąco protestuje. Nie płacze się w zeznaniach, nie jest zdenerwowany, ciągle opowiada to samo.

– To co dalej? Jedziemy do tego mieszkania?

– Karolku, powiedz mi, co byś zrobił teraz? – zapytała, patrząc mu w oczy. – Mamy faceta z targu, wikarego i świadka zdarzenia. Mamy wrażenie, że niektórzy z nich mijają się z prawdą co do tego, gdzie i o której byli oraz co robili. Jaki powinien być nasz następny krok?

– Docisnąć ich? – zapytał niepewnie.

– To dobre, ale czasochłonne – zgodziła się. – Natomiast żyjemy w pięknym dwudziestym pierwszym wieku i mamy technikę w służbie sprawiedliwości. Co każdy człowiek, no, może oprócz bezdomnego, nosi w kieszeni?

– Telefon. – Uśmiechnął się Damięcki.

– Otóż to. Dzwonź do Maryny i poproś, żeby załatwiła nam logowania komórek Adama Kawki oraz jego kochanki, księdza Michała Żyry i dla kompletu wczorajszego trupa, Skórzyńskiego. Zakres czasowy od godziny dwudziestej w dzień pierwszego morderstwa do dziś rana. Dajmy na to do ósmej.

– Dziś?

– Zobaczmy, co robili tuż przed składaniem zeznań.

– Mogę puścić z naszego systemu – powiedział.

– Prokuratura ma lepszy, dodatkowo poproś Marynę, żeby zadzwoniła do swojego człowieka, wiem, że takiego ma, żeby nam to zrobili na cito. Chciałabym mieć komplet, gdy wrócimy z mieszkania Posejdona.

Damięcki wstał i wyjął smartfon z kieszeni.

– Robi się!

– Czekaj nas jeszcze wizyta w domu wczorajszej ofiary – dodała. – Mówisz, że to pieniacz?

– Tak. I rozwodnik, było o tym głośno. Raczej nikogo w domu nie zastaniemy.

– Miał przy sobie klucze? Sprawdzaleś, co dokładnie przy nim znaleźli?

Powinna to zrobić sama, ale... No właśnie, ale nie zrobiła. Takie zaniedbania jej się nie zdarzały.

– Tylko to, co w portfelu.

– Nie miał telefonu przy sobie? Kluczy?

– No klucze miał w plecaku wędkarskim, ale telefonu nie było.

Gleba przygryzła wargę. Zlecenie na telefon ofiary powinna puścić wczoraj w nocy, w końcu sprawca mógł go mieć przy sobie, może ma do tej pory nawet. Co się z nią działo? Błędy, jeden za drugim.

– Dobra, to ustaw jeszcze strażaków na awaryjne otwieranie domu, gdyby klucze nie pasowały. Tak na szesnastą powiedzmy.

– Zgoda.

– I skoro to pieniacz, to poproś może tego posterunkowego Skoczylasa, żeby nam załatwił historię jego spraw w sądzie z ostatnich dwóch lat. Podejrzewam, że był tam częstym gościem.

Gleba wstała i ruszyła do wyjścia. Zamykając za sobą drzwi, słyszała, jak chłopak rozmawia z prokuratorką Kolasieńską.

Pierwszy raz postanowiła skorzystać z czyichś układów, żeby załatwić własną sprawę. Czy czuła do siebie obrzydzenie? Trochę tak. Ale z drugiej strony miała pewność, że nie wytrzyma w tym mieście choćby miesiąca dłużej.

8.

Plebania parafii św. Floriana, ulicy Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 11.00

Słońce sprawia, że chce się żyć. Podobno niegdyś ludzie czcili słońce, mając je za boga prawdziwego, i Słodki wcale się im nie dziwił. Słońce rozjaśnia dni, odgania demony, a te ongiś hasały sobie po nocach i kusiły, sprowadzały na złą drogę.

Słodkiemu słońce towarzyszyło od samego rana i teraz, gdy przekraczał próg plebanii, nadal mu kibicowało, czuł to w każdym promieniu.

– Szczęść Boże – powitał młodego wikarego, chyba był to ksiądz Michał, o ile go pamięć nie myliła.

– A tak – odpowiedział ksiądz, patrząc gdzieś ponad głową Słodkiego. – Szczęść Boże.

– Ja do księdza proboszcza – poinformował go Słodki niepewnie, bo wikary wyglądał na nieco oderwanego od rzeczywistości.

– Jest – odpowiedział ksiądz. – Gdzieś tu jest, chyba w kościele. Może. Tak. Chyba tak.

Wikariusz ominął go i ruszył w stronę drzwi świątyni. Słodki nie wiedział, czy ma iść za nim, czy też po prostu został zignorowany. Na szczęście z kłopotu wybawił go trzask zamykanych drzwi od plebanii. Odwrócił głowę i zobaczył proboszcza z uśmiechniętą miną.

– Chciałem się wypowiedzieć! – rzucił Słodki, orientując się, że się nie przywitał z księdzem, ten jednak nadal z uśmiechem wskazał mu drzwi kościoła i ruszył w jego stronę różnym krokiem.

9.

Mieszkanie na osiedlu Ogrody, Stalowa Wola

Godzina 12.00

Osiedle Ogrody jedynie nazwę miało uroczą, gdyż okazało się małym placykiem, dookoła którego ktoś pobudował niskie budynki mieszkalne, najpewniej w czasach tuż po transformacji, gdy przysłała moda na różnego rodzaju krągłości i kolumny. Gleba podejrzewała, że architekt dostał ambitne zadanie do zrealizowania: ani jednego kwadratowego budynku i nasrać tyle kolumn, ile się da, dodatkowo niech wszystko będzie różowe albo niebieskie. Albo takie i takie.

Blok, który zapamiętał Słodki, mocno rzucał się w oczy dzięki wściekle różowej elewacji i nie można było go pomylić z żadnym innym. Klatka prowadziła do niego jedna, mieszkań było raptem cztery, dwa na parterze i kolejne na piętrze.

Zgodnie ze wskazówkami podeszli do pierwszych drzwi po prawej. Gleba energicznie zapukała i poczuła delikatną ekscytację, chociaż tak naprawdę spodziewała się, że otworzy jakaś zapracowana pani domu, wycierająca ręce w lnianą ściereczkę, i poinformuje ich, że coś im się kompletnie pomyliło, nie wie, o co im chodzi i kto zacz Posejdon. Potem trzeba będzie Słodkiego wsadzić do fury i przywieźć tutaj, aby odświeżył sobie pamięć i pokazał im właściwe mieszkanie.

Zapukała ponownie, tym razem tak mocno, że aż echo poniosło się po klatce schodowej. Damięcki spojrział na nią z uśmiechem, a potem przyłożył ucho do drzwi i wzruszył ramionami.

Usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi, ale tych z naprzeciwka. Ukazała się w nich starsza kobieta ubrana na czarno, począwszy od bluzki, przez spódnicę i na pończochach skończywszy. Żałoba, pomyślała Gleba.

– Doktora Budzińskiego nie ma – powiedziała, spoglądając na nich. – Jeśli jakaś przesyłka, to można u mnie zostawić, bo bywa tu rzadko.

– Dzień dobry – odezwał się Damięcki. – My nie z poczty, ale z policji, mamy sprawę do doktora.

– Policji? – spytała podejrzliwie kobieta i cofnęła się nieznacznie do mieszkania.

Wyjęli legitymacje i pokazali je sąsiadce, a Karol przedstawił ich zgodnie z protokołem bardzo spokojnym, niemal uroczystym głosem.

– Malwina Bielecka – przedstawiła się kobieta. – No to doktora nie ma – dodała.

– Mieszka tu sam? – zapytała Gleba.

– Tak raczej pomieszkuje. Kupił to mieszkanie pod gabinet lekarski, no, ale wiadomo, przeszedł na emeryturę i tak zostało. Przyjeżdża raz na jakiś czas, często w nocy. Posiedzi kilka dni i wyjeżdża. Wiedzą państwo co? – Podeszła krok bliżej i zniżyła głos do szeptu.

– Co? – zapytał również ściszym głosem Damięcki.

– On to chyba ma kochankę – powiedziała, rozglądając się czujnie na boki. – I do niej jeździ.

– Skąd takie przypuszczenie? – zapytała Gleba. – Widziała ją pani?

– Nie, ale zawsze, jak miał wyjechać, to kąpał się, mył, pranie długie robił. Potem wsiadał w samochód i jechał.

– Pani Malwino – odezwała się spokojnie Gleba. – A od czego on był doktorem? Jakiej specjalizacji?

– Ginekolog – odparła tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– A może pani powiedzieć, czy to on? – Gleba pokazała jej zdjęcie Posejdona wykonane w sali sekcyjnej. Było dobrze naświetlone i wyglądał, jakby spał.

– No on – odparła, potakując głową. – Strasznie mu z tą brodą źle było, przed emeryturą zawsze ogolony, w garniturze, z teczuszką przy boku jechał do szpitala, bo pracował w Sandomierzu. Taki elegancik. Ale potem przestał o siebie dbać. Że też go ta baba chce, co za czasy. Jak ja byłam młoda, to się mówiło, że chłop to powinien być na trzy „Ł”: ładny, łogolony i łogoniasty.

– Mam przykrą wiadomość – powiedział Karol z takim współczuciem w głosie, jakby informował co najmniej najbliższą rodzinę. – Ale doktor Budziński nie żyje. Przyszliśmy właśnie sprawdzić jego mieszkanie.

– O Jezusie Nazareński! – Kobieta złapała się jedną ręką za serce, a drugą zakryła usta. – Co mu się stało?

– To właśnie próbujemy ustalić – odparła Gleba. – Będziemy musieli wejść do mieszkania, nie ma pani przypadkiem kluczy?

– Mam – odpowiedziała. – Oczywiście, że mam. Bardzo mi ufał, zostawiał parę złotych za to pilnowanie, a jak na dłużej do tej baby wyjeżdżał, to żebym posprzątała nieco.

– Otworzy pani? – zapytał Karol. – Jak nie, to będziemy musieli strażaków wzywać, drzwi wyważać. Szkoda.

– Już idę.

Zniknęła na chwilę w swoim mieszkaniu i wyszła z pękiem kluczy, przemaszerowała nieco kaczym chodem przez klatkę schodową i otworzyła im drzwi do mieszkania doktora.

– Wszelkie dokumenty to trzyma w swoim biurku, w gabinecie – poinformowała ich. – Ja tam wchodzić nie będę, ciasto mam w piekarniku, dopilnować muszę.

– A czy możemy do pani potem zajrzeć, zostawić klucze i zapytać o kilka rzeczy? – zapytała Gleba.

– Zapraszam – rozpromieniła się kobieta. – Akurat ciasto świeże, czekoladowe. Jutro wnuki mają zajrzeć, ale to im upiekę drugie.

Odwróciła się i szybko podreptała do swojego mieszkania, zostawiając ich samych. Zamknęli za sobą drzwi. Mieszkanie było czyste i schludne, przedpokój, z niego wejście do kuchni, po prawej do pokoju, po lewej do kolejnego. Zamknięte drzwi najpewniej prowadziły do łazienki.

– Ja od lewej, ty od prawej? – zapytała Gleba, wkładając rękawiczki.

– Może być.

Weszła do małego pokoju, który najpewniej był wspomnianym gabinetem. Pod oknem stało solidne biurko, chyba nawet z litego drewna, na nim monitor, jeszcze starego typu z solidnym zadem, obok klawiatura i myszka. Trzeba będzie chyba podrzucić sprzęt technikom, a najlepiej to ich tutaj sprowadzić.

Usiadła na skórzanym obrotowym fotelu i położyła dłonie na biurku. Ależ wygodna miejscówka, nie to co stare i rozklekotane krzesła na komendzie, i to nieważne, czy Stalowa Wola, czy też Warszawa, wyposażenie zawsze wołało po pomstę do nieba. Pochyliła się na lewo i sięgnęła do rzędu szuflad, zaczęła je kolejno otwierać. Notesy, stare kalendarze, wizytówki jeszcze z czasów praktyki potwierdzały, że mieli do czynienia ze Stefanem Budzińskim, lekarzem medycyny o specjalizacji ginekolog-położnik. Stare bloczki recept, pieczętka zamknięta w malutkim metalowym pudełeczku. Gdy była dzieckiem, w przychodni patrzyła wręcz z namaszczeniem, jak jej pani doktor wyjmowała z takiego pudełeczka płaską pieczętkę, chuchała na nią i przybijała na recepcie. Marzyła, żeby kiedyś taką mieć. No nie udało się.

W szufladzie na samym dole znalazła dowód osobisty Posejdona, zarówno ten nowy, jak i jeszcze archaiczny książeczkowy. Było tam także prawo jazdy oraz dowód rejestracyjny samochodu, czarnego jeepa grand cherokee z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Sprawdziła przegląd i ubezpieczenie OC, wszystko było aktualne. Zabrała komplet dokumentów, wcześniej chowając je w koszulkę segregatora, również znalezioną w biurku.

Uruchomiła komputer stojący na podłodze, maszyna radośnie zaszumiła, budząc się do życia, na ekranie monitora zobaczyła logo systemu Windows, a po chyba minucie okienko do wpisania hasła użytkownika. Czyli jednak będą musieli zająć się tym technicy.

Oprócz biurka pod jedną ze ścian stał regał z książkami, głównie z zakresu medycyny, niektóre tytuły były po angielsku. Do tego trochę polskiej klasyki, wszystko wydane w twardej oprawie i ze złotymi tłoczeniami na grzbiecie. Sienkiewicz, Mickiewicz, Słowacki. Druga ściana była ozdobiona oprawionymi w ramkę dyplomami, chyba związanymi ze studiami i kursami specjalistycznymi. Wisiało tu także kilka zdjęć, ale żadne nie przedstawiało doktora Budzińskiego, prędzej jego przodków. Czarno-biała fotografia prezentowała dumnego mężczyznę w sile wieku z bokobrodami, kolejna pochodziła z późniejszych czasów, bo fotografowany miał już garnitur i krawat, patrzył gdzieś w dal, może było to zdjęcie do dowodu? Zajrzała jeszcze za zasłony, pod fotel stojący w rogu pokoju, podwinęła dywan, z którego uniósł się kurz.

Nic. Zwyczajny gabinet człowieka z klasą, a może raczej starej daty. Wszystko solidne, skóra i drewno. Nigdzie nie znalazła karafki z alkoholem czy też popielniczki na cygaro, a przecież idealnie pasowałyby do tego gabinetu.

Gleba przeszła do kuchni i tutaj również nie było czegokolwiek wzbudzającego podejrzenia. Wyposażona prosto, ale gustownie i praktycznie. Meble z drewna w naturalnym kolorze, pasujące do tego blaty i stół. Na kuchni gazowej stał czajnik, niczym dowód, że nie jest to jedynie mieszkanie pokazowe, ale ktoś tu bywał, miewał chęć napić się dobrej, gorącej herbaty. Otwierała po kolei szafki, natrafiając na szklanki, mąki, cukry, herbaty, garnki, przyprawy. Wszystko w bardzo skromnych ilościach, doktor raczej nie przepadał za gotowaniem.

Przeszła do salonu, po którym buszował Damięcki. Akurat spokojnie przeglądał szafę z garniturami.

– Masz coś? – zapytała.

– Ubrania, pościel, skarpetki, majtki – raportował. – Garnitury, koszule, wszystko wyprane i wyprasowane. Żadnych brudnych rzeczy. Zajrzałem do łazienki, zwyczajne przybory toaletowe, brak lekarstw. Pusty kosz na pranie.

– Zwyczajne mieszkanie normalnego człowieka – powiedziała Gleba.
– Otóż to. A co u ciebie?
– Komputer, ale zahasłowany. Znalazłam dokumenty, w tym dowód rejestracyjny. Trzeba tu wezwać techników i podać dane samochodu, może gdzieś go namierzą.
– Tu jest parking podziemny, może ma wykupiony.
– Nie znalazłam kluczyków – powiedziała Gleba. – Raczej gdzieś nim pojechał. Ale sprawdzimy.

– To co, wzywać pomoc?

– Tak. Powiedz im, że będziemy czekali w mieszkaniu naprzeciwko.

W czasie, gdy Damięcki dzwonił po techników i zlecał poszukiwania samochodu, Gleba przeszła się jeszcze po mieszkaniu, ale nic specjalnego nie rzuciło się jej w oczy. Może znowu coś przegapiła, jak zdarzało się jej w ostatnich dniach? Stawała się nieuważną policjantką? Złą policjantką?

– No to chodźmy na ciasteczko – zarządził z uśmiechem Damięcki.

Przeszli do mieszkania sąsiadki, zamykając za sobą drzwi na klucz. U Malwiny Bieleckiej czuć było życie w niemal każdym kącie. Ubrania na wieszakach, grające radio, szum pralki, złożona gazeta na półce, spakowane w worek śmieci w korytarzu. Mnóstwo czynności zaczętych i czekających na swój wielki finał, codzienne drobnostki składające się na wielkie słowo: życie. Królował jednak zapach pieczonego ciasta i świeżo parzonej kawy, który chyba każdemu kojarzył się z definicją domu rodzinnego.

Gospodyni zaprowadziła ich od razu do salonu, w którym na przykrytym białym obrusem stole czekało zgrabnie pokrojone ciasto, dzbanek z kawą i piękne filiżanki.

– Proszę siadać – zarządziła pani Malwina. – Jeśli jesteście głodni, to mogę też przygrzać gołąbki. Wnuczek je uwielbia, więc zrobiłam na zapas.

– Dziękujemy, po obiedzie jesteśmy – odpowiedział szybko Damięcki. – Ale ciasto prezentuje się niesamowicie. Pani przepis?

– A tam. – Machnęła lekceważąco dłonią gospodyni. – Zwykle czekoladowe. Ja to wolę sernik, no, ale wnusiu to tylko czekolada i czekolada.

Usiedli, a Gleba pozwoliła sobie od razu napełnić filiżanki kawą. Ciasto też ją kusiło, ale kawa po słabo przespanej nocy dużo bardziej.

– Piękna zastawa – pochwaliła gospodynię, a ta aż pokraśniała.

– Z Bolesławca – poinformowała ich. – Taka moja mała mania. Urodziłam się tam i dostałam w spadku po mamie duży zestaw, teraz sama zbieram. Emerytura skromna, ale co miesiąc kupuję sobie jedną rzecz. Zawsze uważałam, że dobra kawa wymaga odpowiedniego naczynia, smakuje wtedy o niebo lepiej.

– Zgadzam się – odparł Damięcki z pełnymi ustami. – A ciasto przepyszne.

– Spakuję panu do domu – powiedziała pani Malwina. – Ale doktora szkoda – powiedziała w końcu, siadając między nimi.

– Owszem – zgodziła się Gleba.

– I co tam, znaleźliście coś państwo w mieszkaniu? Ja się zajmowałam nim na czas nieobecności, ale w rzeczach nie grzebałam, no i nic podejrzanego nie widziałam. Doktor to mi się odwdzięczał, jak mógł. Nawet przynosił czekoladki, świeże warzywa i owoce, szczególnie czereśnie i śliwki. Mówił, że z działki, ale wiem, że na targu kupował, raz go podejrzałam. Żadnej działki nie miał.

– Bardzo szarmancki – przytaknęła Gleba.

– Grzeczny i uśmiechnięty – skwapliwie potwierdziła sąsiadka. – Więc było coś w mieszkaniu?

– Nic szczególnego – odpowiedziała Iga. – Opowie nam pani coś więcej o doktorze? Kiedy przeszedł na emeryturę? Przecież nie był stary, mógł spokojnie praktykować.

– Dawno. I stało się to niejako przymusowo, w sumie smutna historia. I dziwna. Pytałam go raz czy dwa, ale nigdy nie chciał o tym opowiadać. Chyba go to wszystko przybiło. Jego dziadek był lekarzem, jeszcze we Lwowie. Potem trafił do Kowar, po wojnie znaczy się, stąd też jakoś się z doktorem zgadaliśmy, bo to Dolny Śląsk, no a ja z Bolesławca. Ojciec jego też był lekarzem.

– Rodzinna tradycja – wtrącił Damięcki.

– Otóż to. Więc jak doktor przeszedł na emeryturę, to zmarkotniał. No, a potem zaczął jeździć do tej lafiryndy.

Gleba uśmiechnęła się pod nosem, jak błyskawicznie tajemnicza kobieta, której ich gospodyni nawet nie widziała na oczy, awansowała z kochanki na lafiryndę.

– Wie pani, dlaczego przeszedł na emeryturę? – zapytała.

– Jemu kazali przejść – odpowiedziała i sama sięgnęła po filiżankę z kawą. – Różnie mówili, że był pijany, jak odbierał poród, i zmarło dziecko i matka, a że potem wyszło, że też skrobanki robił. Afery nie było na cały kraj, bo po cichu mu kazali odejść, odebrali prawo wykonywania zawodu. W Stalowej to nikt nie wiedział, bo to w Sandomierzu było. Ja się zorientowałam, bo zaczął ciągle w domu bywać, a to lekarz, to wiadomo, bez przerwy na dyżurach.

– Wie pani, kiedy to było? – zapytała Gleba.

– Oj, będzie z dziesięć lat temu. Nie, dalej, może i dwadzieścia.

– A ta kochanka, to kiedy się pojawiła?

– To niedawno, będzie ze dwa lata.

Spojrzeli na siebie z Damięckim. Dokładnie wtedy, gdy wśród bezdomnych pojawił się tajemniczy Posejdon.

– Pani Malwino, czy doktor miał jakąś rodzinę? – zapytała.

– Żony i dzieci to nie miał. Taki klasyczny stary kawaler. Ojciec to już chyba nie żyje, raz coś tylko o nim opowiedział, jak spytałam o te portrety powieszony w gabinecie, stąd wiem, że on z rodziny lekarzy. Ale to tyle, nigdy więcej o nich nie wspominał.

– Odwiedzał go ktoś? W urodziny albo imieniny?

– Gości nie miewał, poczta bardzo rzadko przychodziła. Samotnik. – Pokiwała ze smutkiem głową. – Jak wyjeżdżał, to tylko do tej baby.

– A gdzie parkował samochód? – zapytał Damięcki.

– Na parkingu podziemnym, ale jak ostatnim razem wyjechał, to właśnie samochodem. Taki duży, czarny, terenowy. Wiem, bo akurat śmieci wynosiłam, jeszcze mi pomachał.

– Kiedy to dokładnie było?

– Będzie ze dwa tygodnie.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Gleba wstała szybko od stołu.

– To do nas – powiedziała. – Koledzy z komendy przyjechali, muszę im otworzyć mieszkanie doktora.

– Będziemy zbierać ślady – dodał Damięcki.

– Myślicie, że ktoś go zamordował? – zapytała pani Malwina, odkładając filiżankę na stół.

– Nie możemy tego wykluczyć – odpowiedział jej Karol i też się podniósł.

– O Jezusie Nazareński. – Przyłożyła w znanym już mu geście dłoń do ust. – Może to jacyś bandyci? Złodzieje?

– Proszę się nie bać, nic pani nie grozi – uspokoił ją.

Ruszył również na klatkę i dołączył do Igi. Wręczyli technikom klucze, zlecili szczegółowe przeszukanie mieszkania łącznie z zabezpieczeniem komputera stacjonarnego. Gdy skończyli, na klatce schodowej dopadła ich jeszcze pani Malwina i wręczyła Karolowi zapakowane w folię aluminiową ciasto.

– Pan to jest taki sam jak mój wnusiu – powiedziała mu na odchodne.

Spojrzeli na siebie i zrozumieli się bez słów, wnusia też trzeba będzie sprawdzić.

10.

Dom Henryka Skórzyńskiego, ulica Karola Szymanowskiego, Stalowa Wola

Godzina 16.00

Ulica Szymanowskiego znajdowała się lekko z boku Stalowej Woli, całkiem niedaleko galerii handlowej Vivo i Biedronki, za którą urządzili sobie obozowisko bezdomni. Po obydwu stronach wąskiej uliczki ciągnął się szereg domków jednorodzinnych w ciasnej zabudowie, stawianych w swobodnym PRL-owskim stylu,

czyli co i gdzie komu pasowało. Wykończenie również było z tamtych czasów, czyli tym chata bogata, co ukradnie tata.

Gdy jechali, padło pytanie, na które Gleba czekała i nawet trochę się dziwiła, że młody tak długo się z nim czai.

– Co się stało, że cię tu przysłali? – zapytał niby od niechcienia.

– Nie wiesz?

– Są plotki, takie gadanie po kątach, nic więcej.

– I co mówią?

– Że zaważyłaś sprawę. Ważną sprawę.

– O proszę, ciekawe.

– Polityczną.

– No tak, polityka. Twoje podwórko.

– Jak nie chcesz, to nie mów.

– Powiem. Postanowiłam zostać twoją mentorką, a to będzie ważna lekcja. Pamiętaj, zawsze patrz na fakty, nigdy nie kieruj się uprzedzeniami czy osobistymi pobudkami. Ja tak zrobiłam i dostałam po dupie.

– Wiesz, staram się...

– Nie przerywaj! – warknęła. – Słuchaj, kurwa, i się ucz. Pies ma słuchać, a szczekać tylko wtedy, gdy jest potrzeba, a nie kłapać w kółko ozorem. Brukselka, naucz się słuchać. Na przyjęciach rodzinnych, grillach, w sklepie, u fryzjera, dentysty, w poczekalni, autobusie. Ćwicz słuchanie, bo nie ma dla policjanta nic ważniejszego, niż umieć słuchać. Jak wiesz, co chcesz usłyszeć, to będziesz też wiedział, jakie chcesz zadać pytanie. Zrozumiano?

– Tak.

– Spotkałam na swojej drodze, jeszcze jako młoda policjantka, asa wydziału, prawdziwą legendę. Próbował mnie zgwałcić.

– O kurwa.

– Spokojnie, nie udało mu się.

– Co za szczęście.

– Widzisz, tak to jest w tym waszym męskim świecie. Jeśli kobieta nie została zgwałcona, to miała szczęście. Jeśli ktoś zgwałci faceta, to ten miał kurewskiego pecha, ale jeśli kobieta w jakiś sposób uniknęła gwałtu, to miała szczęście. Ja pierdołę, co za świat.

Zapadła na chwilę cisza, której Damięcki nie śmiał przerywać. Słuchał albo nie wiedział, co powiedzieć.

– Podczas ostatniej sprawy spotkałam tego drania ponownie – powiedziała w końcu, przerywając ciszę. – Pojawił się znikąd, znowu mieliśmy wspólnie prowadzić

śledztwo. Ja, zamiast w pełni skupić się na sprawie, zaczęłam szukać zemsty, chciałam dojechać gnidę.

– Zrozumiałe – powiedział Karol, gdy Iga na chwilę zamilkła.

– Niby tak – westchnęła. – Jednak gdybym odłożyła zemstę w czasie, to sprawy pewnie potoczyłyby się inaczej. Ale nie, Iga się uparła i nie przegadasz. Posłuchałam serca, nie rozumu, drażyłam tam, gdzie nie trzeba, a sprawa wbrew pozorom była prosta. Skomplikowałam ją sobie i przez to może nawet zginął ktoś, kto nie powinien. Stąd lekcja dla ciebie: odrzuć uczucia, skup się na sprawie, nie na uprzedzeniach. Jeśli nie potrafisz, to przekaz śledztwo komuś innemu. Nie patrz, czy ktoś nosi sutannę, bo uczono cię szacunku dla niego, czy też śmierdzącą kapotę, bo gardzisz takimi ludźmi. Jeden i drugi może mieć motyw, a na pewno mają po dwie ręce.

– A ten gwałciciel? As policji?

– Znalazł się taki pisarzyna, który to wszystko opisał. Straszna cegła mu z tego wyszła, kup i przeczytaj. Tytuł *Postrach*.

– Nie czytam książek.

– Boś głupi.

– Dlaczego?

– Dlaczego jesteś głupi? Bo nie czytasz. A dlaczego nie czytasz? Boś głupi.

– Gleba!

– Jesteśmy – powiedziała. – Ładny dom.

Faktycznie, nieco się wyróżniał. Czarna dachówka wyglądająca na nową, ładne drzwi na taras obudowany drewnianym płotkiem, w głębi podwórka garaż z bramą uchyloną, dostępu do wszystkiego broniła kuta czarna brama i utrzymana w tym samym stylu furka.

– Czuć pieniądz – skomentował Damięcki.

Gleba podeszła do furki i dopasowała klucz z zestawu znalezionej przy Skórzyńskim. Weszli na podwórko, przystając na chwilę. Jeśli właściciel miał psa, to teraz powinien nastąpić moment, gdy zwierzę ruszy z interwencją.

– Dzień dobry! – usłyszeli za to zza ogrodzenia po lewej.

Powitał ich mężczyzna w średnim wieku w odzieży roboczej, wycierający dłonie w ścierkę. Przy jego nodze stała kosiarka i mały kanister z benzyną.

– Dzień dobry – odpowiedział Damięcki.

– Heńka nie ma w domu – poinformował ich sąsiad.

– A gdzie jest? – zapytała Gleba.

– Może na rybach – odparł mężczyzna. – Chociaż na nocki głównie chodził, ale może mu się pozmieniało. Kurier był rano i się dobijał, paczkę ja przyjąłem. Od tej pory na podwórku jestem, tobym widział, jak wraca.

Podeszli do ogrodzenia, wylegitymowali się i przedstawili. Sąsiad schował ścierkę do kieszeni spodni, mina mu nieco zrzedła.

– Stało się coś? – zapytał poważnym głosem.

– To dopiero ustalamy – zbyła go Gleba. – Pan Skórzyński mieszkał sam?

– No tak, żona go zostawiła rok temu, od tej pory sam.

– Ma psa?

– Gdzie tam, zwierząt nie lubił – skrzywił się sąsiad. – O mojego Antona to też się rzucał. Czyli o psa. – Wskazał głową w stronę kojca w rogu podwórka.

Gleba wyciągnęła głowę, ale nie zobaczyła za ogrodzeniem żadnego zwierzaka.

– Zdechł – poinformował ją sąsiad. – Kilka dni temu.

Oczy mu zaślniły, widocznie mocno przeżył utratę pupila.

– Kiedy pan widział po raz ostatni Skórzyńskiego? – zapytał Damięcki.

– Nie wiem, będzie ze dwa dni temu? – bardziej zapytał, niż odpowiedział. – Wie pan, jak to po sąsiedzku, człowiek mija się cały czas.

– Coś tu się działo przez te ostatnie dwa dni? – odezwała się Gleba. – Wizyty, nocni goście?

Mężczyzna podrapał się w głowę, jakby faktycznie grzebał w pamięci brudną ręką.

– Wczoraj w nocy, jak wracałem do domu, to stał tu czarny samochód. SUV. Postął chwilę i pojechał. Niby nic, ale teraz, jak pytacie, to niby czemu miał pod domem Heńka stać?

– Jakiej marki?

– Nie wiem, aż tak to mu się nie przyglądałem.

– Jak się pan nazywa?

– Jacek Wójcik – odparł ostrożnie sąsiad. – Będziecie mnie wzywać na jakieś przesłuchanie?

– Na ten moment to nie jest konieczne – odpowiedziała Gleba. – Dziękujemy za informacje.

Zapisała nazwisko mężczyzny w notesie i ruszyli do drzwi domu Henryka Skórzyńskiego. Otworzyli je bez problemu i weszli do środka, nie było potrzeby wzywania strażaków.

– Kawał chałupy – westchnął Damięcki. – Trochę nam zejdzie.

– Pobieźnie przepatrzymy – powiedziała Gleba. – Sprawdźmy wszystkie pomieszczenia, żeby nie okazało się, że trzymał jakieś dzieci w piwnicy i policja przegapiła.

Zadzwoił telefon Damięckiego, ten natychmiast odebrał. Słuchał przez chwilę, po czym się rozłączył.

– Znaleźli samochód doktorka – poinformował. – Holują go na parking policyjny.

– Alleluja – ucieszyła się Gleba. – Nareszcie coś do przodu. Kroczek po kroczku. Gdzie stał?

– Na parkingu pod Vivo.

– Pod latarnią najciemniej.

– Otóż to – zgodził się Damięcki. – To co, do roboty?

Włożyli rękawiczki i podzielili się zadaniami. Karol zaczynał od piwnicy, Iga od strychu.

– Praca w policji – westchnął chłopak. – Miały być pościgi, strzelaniny, praca pod przykrywką, a nie grzebanie w ciuchach.

Gleba tylko się uśmiechnęła i ruszyła na górę. Miała wrażenie lekkiego déjà vu, jakby znowu była w domu doktora Budzińskiego vel Posejdona. Wszystko zwyczajne. Żadnego trupa w kanapie, dziwnych zapachów, standardowe meble, nieco większy bałagan, ale w końcu doktor był starym kawalerem, od zawsze sam musiał utrzymywać porządek w dużo mniejszym mieszkaniu, a Skórzyński jako rozwodnik dopiero się tego uczył.

Strych nie był przygotowany do zamieszkania, tylko betonowa posadzka i tony kurzu. Piętro składało się z trzech pokoi i łazienki. Pomieszczenia były raczej pokojami gościnnymi, łóżko, stolik nocny, szafa, regał, wszystko na wpół puste. Łazienka też nie nosiła śladów używania, kurz na armaturze, zaschnięte zakrętki kosmetyków.

Na parterze spotkała się z Damięckim, który na jej widok rozłożył ręce.

– Piwnica pusta. Ogrzewanie gazowe, więc nawet nie ma sterty węgla, pod którą mógł coś ukryć. Trochę kartonów, pralnia, wszystko w porządku. Trupów brak. Ale jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Zeszła za nim do piwnicy oświetlonej żółtym światłem żarówki pod sufitem. Damięcki wskazał jej drewnianą skrzynkę.

– Karma dla psa? – spytała, podnosząc coś, co przypominało olbrzymią parówkę, narysowana na ciemnej folii morda labradora zachęcała do zakupu karmy marki Azor. – Przecież nie miał psa.

– Nie tylko – powiedział Karol. – Jeszcze to. – Tym razem to on sięgnął do skrzynki i wyjął małe kartonowe pudełko.

– Troxan?

– Widać, że pani podkomisarz nie żyła na wsi – zaśmiał się. – Trutka na szczury. W granulkach. Idealny zestaw do pozbycia się kłopotliwego psa sąsiadów.

– Czyli to taka sąsiedzka miłość. Dobra, idziemy dalej. – Odłożyła karmę na miejsce.

– Bał się kogoś? – Damięcki wskazał na pojemnik z gazem pieprzowym używanym do samoobrony. – Albo miał przy sobie, jak podawał psu ostatni posiłek w razie, gdyby psiak go chciał zaatakować.

– Gaz normalna rzecz – odpowiedziała mu Gleba, kierując się z powrotem na parter domu.

Ruszyli wspólnie przez kolejne pomieszczenia, spora kuchnia, łazienka, bardzo duży salon. Dopiero tam natrafili na coś, co ich zainteresowało. Olbrzymia przeszklona szafa, podobne czasem widywało się w urzędach. W środku znajdowały się segregatory ułożone pieczołowicie jeden obok drugiego. Przy dolnych półkach widniała karteczka „Archiwalne”, na środku „W toku”, a na górze „Przyszłe”. Gleba otworzyła szklane drzwi i na chybił trafił wyjęła pierwszą teczkę ze środkowej półki.

Kartonowa okładka była podpisana zamasyście „Przetarg na Ogródek Jordanowski”. W środku znaleźli kopie pozwu sądowego, pismo z datą rozprawy i dziesiątki stron wydruków. Z pozwu wynikało, że Henryk Skórzyński dopatrył się kilkunastu nieprawidłowości w przetargu na rewitalizację tego obiektu i skierował wszystko do sądu.

– Miał rozmach – skomentował Damięcki, przypatrując się szafie.

– A jakże, mamy tutaj całą szafę motywów.

– A jeśli to faktycznie seryjniak?

– To mamy całą szafę szczęściarzy, którym się upiekło.

– Tylko nie mów, że będziemy musieli to wszystko przejrzeć – westchnął chłopak.

– Spokojnie, nie my, a ty – pocieszyła go Gleba. – I zrobimy to dopiero, gdy wykluczemy udział tego samego sprawcy. Zresztą, mamy na dziś jeszcze kupę roboty. Zadzwonź do techników i poinformuj ich, że jak skończą z mieszkaniem doktorka, to mamy kolejne zlecenie. Chcę mieć te wszystkie tečky na komendzie, łącznie z szafą.

Gleba odsunęła się o kilka kroków i zrobiła zdjęcie mebla.

– Po co to? – zapytał Damięcki.

– Wolę mieć swoje foto. Czasami ludzie układają z książek na półkach wzory, różne są zboczenia. Niech mi tę szafę zapakują w folię albo coś i zawiozą do nas.

– Już osiemnasta – stwierdził Damięcki. – Rano pewnie się do tego wezmą.

– Nie pali się. I niech poszukają komputera, bo go nigdzie tu nie widziałam.

Karol wyjął telefon, a Gleba wyszła przed dom. Sąsiad na jej widok przerwał mycie kosiarki i ruszył do ogrodu.

– Co się stało z Heńkiem?

– Ma pan telefon do jego żony?

– Do Natalii? Tak, mam. O ile nie zmieniła, bo z rok nie rozmawialiśmy.

Wyjął z kieszeni spodni smartfon i podyktował numer.

– Henryk Skórzyński nie żyje – poinformowała go Gleba. – Muszę zawiadomić małżonkę. Miał dzieci, matkę, ojca?

– Tak, syna mają, mieszka z Natalią. Rodzicie nie żyją, ojciec miał wypadek samochodowy, matka raka.

– A pana pies to jak zdechł?

– Jak to pies – odpowiedział jej sąsiad. – Rano go znalazłem sztywnego na podwórku.

– I co pan z nim zrobił?

– Do weterynarza oddałem. Chciałem zakopać w ogródku, ale pies był rasowy, zarejestrowany, nie wolno takich rzeczy robić. Szkoda, bo w sumie to członek rodziny, człowiek by czasem chciał sobie go odwiedzić.

Gleba skinęła głową, po czym się odwróciła się bez słowa i wybrała numer do byłej żony Skórzyńskiego. Nienawidziła przekazywać złych wieści.

11.

Parking policyjny, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 18.00

Samochód doktora prezentował się pięknie. Bardzo zadbany, bez śladu korozji, czuć było powiew amerykańskiego snu.

– Musi być wart kupę kasy – skomentował Damięcki. – To właściwie zabytek.

– No, jakbyś taką karocą przewiózł Matyldę po wsi, to u-la-la.

– Gleba!

– Już jestem grzeczna.

– Samochód już otwarty. To starość, żadnych wymyślnych zabezpieczeń, chłopaki otworzyły patykiem.

Gleba kiwnęła głową, znała nazwy narzędzi do otwierania samochodów jeszcze z pracy w Warszawie. Patyk, flamaster, ptaszek, łamacz, dziabąg. Współczesne kradło się „walizką”, nie trzeba było siły i znajomości zamków, wystarczyło podejść pod drzwi mieszkania właściciela auta, mając nadzieję, że zostawił kluczyk w przedpokoju, skopiować jego sygnał wysyłany bez przerwy do auta, a potem podejść i otworzyć zdalnie samochód. W środku złodziej łączył się z systemem, autoryzował tym samym sygnałem, zagłuszał lokalizator GPS i po robocie. Sprawny fachowiec potrzebował minuty na odjechanie nowym autem, szczególnie jeśli było japońskie, bo te kradło się najłatwiej. Koledzy pokazywali jej, jak w nowej maździe wystarczy odchylić nadkole, by dostać się do komputera pokładowego.

– Panie przodem. – Karol wskazał jej drzwi samochodu.

Oprócz rękawiczek włożyli też czepki, żeby nie zostawić włosów na tapicerce. Gleba złapała za klamkę i wsunęła głowę do wnętrza. Uderzył ją zapach czystości, a na

siedzeniu kierowcy nie znalazła nawet najmniejszego okruszka, deska rozdzielcza też wyglądała na świeżo czyszczonej.

– Bezdomnym się powodzi – skomentowała.

Damięcki buszował po drugiej stronie, zaglądał pod fotel, otworzył schowek w desce rozdzielczej. Robił to szybko i metodycznie, cicho coś pogwizdując.

– Czysto – oznajmił.

– Tył – zarządziła Gleba.

Na tylnej kanapie też próżno było doszukać się choćby odrobiny brudu, zajrzeli pod gumowe dywaniki, obmacali siedzenia, nic.

Sytuacja uległa zmianie, gdy zabrali się do bagażnika. Na samym brzegu leżała skórzana kosmetyczka, a w niej znaleźli dwa zestawy plastikowych trytytek montażowych, bardzo duże i nieco mniejsze. Jednak większość sporej przestrzeni bagażowej zajmowały dwa spore plastikowe pojemniki, kwadratowe, każdy o wysokości niemal metra. Gleba złapała za ten bliżej niej, ale ani drgnął, okazało się, że ma spód podklejony rzepami, które zapobiegały przemieszczaniu się ładunku po olbrzymim bagażniku. W końcu z trzaskiem wyjęła pojemnik z samochodu i postawiła na podłodze.

– Ubrania – powiedziała, zdejmując wieko skrzyni.

W plastikowym wnętrzu leżały równo złożone dżinsy, czyste skarpetki, bokserki, buty mokasyny, koszulka i czarna bluza. Do tego trzy paczki mokrych chusteczek higienicznych. Na poskładanym ubraniu leżał skórzany portfel, a w środku kilkaset złotych w nowych banknotach.

– Ale z tego wali – powiedział Damięcki, krzywiąc nos i odsuwając się od drugiego pojemnika.

Faktycznie, było czuć, że trzymano w nim coś śmierdzącego, teraz pojemnik był pusty.

– W tym odkładał czyste rzeczy, przebierał się w śmierdzące z drugiego pojemnika i szedł do bezdomnych – powiedziała Gleba.

– Tylko po co? Przecież od tego smrodu można się zrzygać.

– Widocznie miał dobry powód, a do wszystkiego można się przyzwyczać. Jak miał dość, to przychodził tutaj, przebierał się i wracał do domu.

– Czyli to nie był taki klasyczny menel – stwierdził Damięcki i jakby posmutniał.

– To coś zmienia?

– Nie, tu nie chodzi o status społeczny, tylko że sprawa zaczyna być skomplikowana. Myślisz, że ktoś miał motyw związany z jego przeszłością?

– No, Brukselko, miało być łatwo i przyjemnie, a okazuje się, że jednak trzeba będzie się narobić. Bywa. Na pocieszenie powiem ci, że jeśli poznamy motyw, to

o sprawcę będzie łatwo.

– Czyli uważasz, że nie był przypadkową ofiarą?

– Sorry, jednak chyba nici z seryjnego. Idź do domu, zrób kolację Matyldzie, obejrzyjcie jakieś romansidło, posmyrajcie się i widzimy się rano.

– Przecież my nie mieszkamy razem.

– Ale już klękałeś?

– Co?

– Oświadczałeś się? Znając ciebie, to włożyłeś garnitur ze studniówki, może nawet mundur galowy, kupiłeś bukiet czerwonych róż i teatralnie padłeś z hukiem na kolana, błagając swoją wybrankę o rękę.

– Nie.

– No to oświadczyć się.

– Zrobiłem to, ale nie tak, jak mówisz. Ty chyba się za dużo filmów naoglądałaś. Zwyczaj nakazuje, aby poprosić o rękę matkę dziewczyny na zaręczynach w jej domu. Kwiaty należy wręczyć nie tylko narzeczonej, lecz także mamie, ojcu odpowiedni podarek, wszystko winno odbywać się w obecności obydwu rodzin.

– I tak zrobiłeś?

– Owszem. Zamieszkamy razem po ślubie.

– Dobrze, to jedź do niej i zabierz ją na spacer. To chyba wolno wam robić?

– Tak, ale kwestia jest innego rodzaju. Mamy jeszcze przejrzeć dziś wyniki z lokalizacji telefonów. Idziemy.

– Daj spokój, sama to zrobię.

– Gleba, też masz życie osobiste i tego łobuza, który nie wyglądał wczoraj w nocy na najszcześliwszego, gdy prosto z kina pojechaliśmy na miejsce zbrodni. We dwójkę pójdzie nam dwa razy szybciej. Chodź, robimy i do domu.

Skinęła głową i się uśmiechnęła. Damięckiemu mogło wydawać się, że z powodu zaofiarowanej pomocy. Nic z tych rzeczy, to był gorzki uśmiech. Widziała, jak chłopak wpada w tę robotę po uszy. Widziała Matyldę, która czeka na niego każdej kolejnej nocy nad wystygłą kolacją lub w równie zimnym łóżku, a on ściga kolejnych przestępców, bo przecież jak nie on, to kto? Kolejna historia kolejnego policjanta wykolejającego swoje życie.

12.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 19.00

Gdy wracali na komendę, to Gleba poinformowała byłą małżonkę Skórzyńskiego o jego śmierci. Ta była smutna, powiedziała, że jest za granicą na wyjeździe służbowym, ale natychmiast wraca do kraju. Zasiedli z Brukselką do małego biurka

z kubkami świeżo zaparzonej kawy, uzgadniając, że po sprawdzeniu logowań telefonów wrócą do domów i poświęcą większą część nocy na wynagrodzenie swoim partnerom wczorajszej sytuacji.

– Chyba lepiej będzie przy mapie, co? – zaproponował Damięcki, wskazując zawieszony na ścianie plan miasta.

– Zdecydowanie – zgodziła się Gleba, wyjmując z szuflady biurka kolorowe karteczki samoprzylepne, którymi lubiła sobie zaznaczać ważne fragmenty w czytanych materiałach.

– Zaczniemy od truciela psów – zaproponował Damięcki. – Wczorajszej ofiary.

– Kolor zielony niech będzie – zdecydowała Gleba.

Dyktowała Karolowi godziny, a ten przyklejał wąskie karteczki we wskazanych miejscach na planie miasta. Gdy skończyli, spojrzeli na mapę.

– Facet wyszedł z domu, przemieścił się nad San i tyle – skomentował Damięcki. – Zasiadł nad wodą i ktoś mu dał w łeb.

– No to miał odpoczynek na rybach, tym razem wieczny – powiedziała Gleba.

– Teraz nasz lowelas – ożywił się Damięcki, spoglądając na kartkę. – Adam Kawka.

– Kolor różowy – zarządziła Gleba.

Data, godzina, miejsce na mapie, kolejne karteczki w odstępach co trzydzieści minut lądowały na planie miasta.

– Wszystko się zgadza – powiedział chłopak. – Przyjechał na parking leśny tuż przy kulochwytach, przebywał tam przez dwie godziny, potem wrócił do domu, na drugi dzień powtórzył wyjazd i wrócił. Zgodnie z zeznaniami.

– Żona się ucieszy – mruknęła Gleba. – To teraz jego kochaneczka. Kolor żółty.

Powtórzyli proces i już na samym początku uśmiechnęli się obydwójce. Kartki wskazywały Stalową Wołę, owszem, ale nawet nie zbliżyły się do interesującego ich rejonu. Kochanka Adama Kawki spędziła pół nocy w miejscu zamieszkania, a potem udała się do Warszawy, a stamtąd do Norwegii.

– Mamy naszego podejrzanego – rozpromienił się Karol.

– Przyznam szczerze, że nie obstawiałam tego konia – powiedział Gleba. – Chociaż czego się można było spodziewać? Oszukiwał żonę, to i nam nakłamał bez mrugnięcia okiem.

– Ciekawe, jak się wytłumaczy.

– Postraszymy go odpowiednim paragrafem, no i tę jego gołąbeczkę też. Zadzwoń do niej, jak będzie potrzeba, postraszę ekstradycją do Polski.

– Gleba, myślisz, że to on mógł zabić? – zapytał całkiem poważnie Damięcki.

– Nie pierwszy przypadek, gdy morderca na pierwszy rzut oka muchy by nie skrzywdził.

– Cholera, nieźle.

– Dawaj, Brukselka, jedziemy z wikarym, dobrze nam idzie. Z szacunku, jakim darzysz stan duchowny, dam mu niebieską kartkę. Mój ulubiony kolor.

Pierwsza karteczka wylądowała na ikoncy kościoła, kolejne już na znanym im parkingu leśnym.

– Przynajmniej ten nie kłamie – skomentował Karol.

– No nie wiem – odparła Gleba, patrząc na wydruk.

Przez kolejne dwie godziny ksiądz nie ruszył się z miejsca, a niebieska karteczka pokrywała się idealnie z różową. Zgodnie z zeznaniami miał biegać wtedy po lesie, biorąc pod uwagę jego kondycję i tempo poruszania, powinien przetruchtać jakieś sześć do ośmiu kilometrów.

– Może w kółko biegał – podzuciła Gleba.

– Dawaj kolejne godziny – odparł sucho Damięcki.

Ksiądz wrócił do kościoła, ale następnej nocy powtórzył wycieczkę i ponownie niebieska karteczka wylądowała obok różowej.

– No to mamy do porozmawiania z obydwoma – oznajmiła Gleba.

Damięcki nie był zadowolony.

13.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 20.30

Damięcki tak skutecznie naciskał Glebę, aby zaczęli weryfikację od Adama Kawki, że ta pękła i poszła mu na rękę. Sama sobie wyjaśniła, że może jest uprzedzona do księży, tak jak i jej kolega beznadziejnie zarażony szacunkiem do nich, więc odpuściła. Najpierw jednak zadzwonili do Norwegii, telefon milczał. Potem do Adama Kawki, ten także nie odbierał. Pojechali do niego, ale dom był pusty. Pozostał wikary.

– Nie wiem, dlaczego dałam ci się na to namówić – denerwowała się Gleba. – Powinniśmy przysłać po niego radiowóz, ściągnąć go oficjalnie do nas i tam przesłuchać.

– To nie morderca – tłumaczył jej Damięcki, według swoich wyliczeń chyba już po raz trzeci.

– Podał nieprawdę na protokół, znał konsekwencje – odparła.

– Zatem wiszę ci przysługę – powiedział. – Robisz to dla mnie i mojej chrześcijańskiej społeczności. Może okazać się, że to błąhostka, a mówiliby o tym na mieście kilka lat, że wikarego psiarnia zgarnęła z plebanii, a skoro policja i ksiądz, to pewnie chodzi o pedofilię. Nie niszczy mu życia.

– Może masz rację – przyznała niechętnie.

– Mam – odpowiedział. – Przecież wiesz, że jak teraz pęknie i przyzna się, to pierwszy mu założę kajdanki.

– Mam nadzieję – mruknęła. – Ja pukam, ty mówisz – rzuciła i załomotała do drzwi plebanii.

– Dzwonek jest – upomniał ją, na co zareagowała jeszcze mocniejszym waleniem w drzwi.

Otworzyła im starsza kobieta w podomce, w prawej ręce trzymała przez kuchenną ściereczkę metalowy kubek z parującą zawartością.

– My do księdza Michała Żyry – poinformował ją Damięcki.

– Po ostatnią posługę? – zapytała kobieta. – To zapraszam.

– Oby nie – rzuciła pod nosem Gleba.

Przeszli przez sień i przedpokój, w którym wisiały na wieszakach same czarne bluzy i lekkie kurtki. Na stojaku po prawej stały równo ułożone czarne buty, a w kącie, w eleganckim wiaderku kilka parasoli. Oczywiście czarnych.

– Poczekać państwo – poprosiła gosposia, po czym weszła na wprost do kuchni, odstawiła kubek, wróciła do nich i otworzyła drzwi po prawej.

Usłyszeli odgłos rozmowy i po chwili wyszedł do nich proboszcz. Przystanął, wyraźnie zdziwiony, spojrzał z wyrzutem na gosposię.

– Państwo są z policji – oznajmił, na co kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– Zrobić im herbaty? – zapytała.

– Zaraz wychodzą – odparł proboszcz.

– Ja z chęcią napiję się czarnej, earl grey, jeśli jest – powiedziała Gleba. – Dla aspiranta Damięckiego wody. Zimnej.

– Jak mi wiadomo, ksiądz Żyra był u państwa rano i składał wyjaśnienia – powiedział z wyrzutem proboszcz.

Gleba spojrzała na Karola, ale ten tylko poczerwieniał na twarzy. Westchnęła z rezygnacją i postanowiła przejąć pałeczkę.

– Był, składał i jest kilka niejasności – powiedziała. – Możemy z nim porozmawiać?

Proboszcz spojrzał na nią, zacisnął usta, potem przeniósł wzrok na Damięckiego, ale ten uparcie milczał.

– Zapraszam – powiedział w końcu ksiądz i wskazał im drzwi pokoju, z którego przed chwilą wyszedł.

Przeszli przez nie i znaleźli się w obszernym salonie, którego głównym meblem był okrągły stół, za którym siedziało czterech księży spożywających kolację. Był wśród nich pulchny wikary, który na widok gości odstawił kubek na stół i – pomimo niezbyt mocnego światła Gleba mogła przysiąc, że zbladł.

– Księżę Michale – oznajmił oficjalnie proboszcz. – Państwo z policji mają do ciebie kilka pytań, chcieliby porozmawiać.

– To może w moim pokoju. – Wikariusz zaczął podnosić się od stołu, ale zatrzymał się niczym zaczarowany, gdy tylko proboszcz uniósł rękę.

– Nie, tutaj porozmawiacie – zarządził. – Dokończymy kolację w kuchni.

Słyszając to, pozostali księża karnie wstali, zabrali swoje kubki i talerze, po czym w ciszy opuścili salon.

Proboszcz wskazał im miejsca przy stole, delikatnie się skłonił i sam wyszedł. Gleba i Damięcki usiedli.

– Co się stało? – zapytał wikary, a w jego głosie dało się wyczuć, że wypowiedział to krótkie zdanie ze ściśniętym gardłem.

Iga milczała. Obiecała sobie, że odezwie się dopiero, gdy Brukselka ewidentnie polegnie na rozpytaniu księdza. Cisza się przedłużała i była to w sumie jedna z dobrych metod przesłuchiwania, milczenie i patrzenie podejrzanemu w oczy w oczekiwaniu, aż ten zacznie mówić. Rozpruje się, jak to mawiało się w światku.

– No bo... – zaczął Damięcki niemrawo.

Zaraz klęknie i poprosi o błogosławieństwo, pomyślała Gleba, widząc, że Karol kompletnie się zaciął.

– Co pan faktycznie robił w nocy, o którą pytałam podczas rozpytania na komendzie? – odezwała, bo już nie mogła wytrzymać. – O poprzedniej.

– Przecież... – zaczął wikary, ale Gleba weszła mu w słowo.

– Przecież mówiłem, byłem w lesie, biegałem, chcę zrzucić parę kilo – powiedziała szybko, przedrzeźniając jego głos. – To założmy, że kłamanie mamy odhaczone, a teraz, dla odmiany, poopowiadamy sobie prawdę. I dodam, że to nie jest konfesjonał, tutaj nikt nie odpuka i nie powie „idź i nie grzesz więcej”. Jeśli w przeciągu kilku minut, powiedzmy, że dziesięciu, bo ja lubię okrągłe liczby, nie usłyszę prawdy, to odjedziemy stąd z przytupem. We trójkę. Z kajdankami na twoich nadgarstkach, a wszystko w myśl artykułu dwieście trzydziestego trzeciego kodeksu karnego, który daje mi obecnie podstawę do wezwania dużego radiowozu, największego, jaki mamy, aby zapakował cię w blasku migających świateł i odwiózł do aresztu. Na sygnale. No to co?

Ksiądz opuścił nieco głowę, zadrżała mu powieka, przełknął głośno ślinę, nabrał powietrza, ale w tym samym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła gosposia z tacą, na której stał kubek z herbatą, dzbanek z wodą i szklanka. Postawiła to wszystko zgrabnie na stole, dołożyła spodek z delicjami i szybko ulotniła się z salonu.

– Zatem na czym skończyliśmy? – zapytała Gleba. – Na łamaniu przykazania, którego tam, Karolu?

– Ósmego – odpowiedział natychmiast Damięcki.

– No ty się faktycznie nadajesz na mundurowego raczej innej formacji – skomentowała.

– Ale ja tam naprawdę nikogo nie mordowałem – wydusił ksiądz.

– Zarówno pierwszego ze wspomnianych wieczorów, jak i drugiego przyjechałeś na parking. Do pierwszego się przyznałeś, do drugiego nie, i tu już mamy pierwsze poświadczenie nieprawdy. Nigdzie nie biegałeś, bo logowanie telefonu wskazuje, że od godziny dwudziestej drugiej do północy przebywałeś na parkingu. Raczej nieruchomo.

– Yhm – mruknął niezrozumiale ksiądz.

– Biegałeś? – zapytała oschle Gleba.

– Telefon został w samochodzie.

– Na komendzie mówiłeś, że masz go ze sobą, aby wezwać pomoc, słuchasz audiobooków i jest to zapasowa latarka.

– Tak, ale zapomniałem słuchawek, więc nie było sensu zabierać telefonu.

– Dwa dni z rzędu zapomniałeś?

– Tak się złożyło.

– Dobrze, wierzę ci – odparła Gleba, na co Damięcki spojrzał na nią szczerze zdziwiony.

Ależ mu nie wierzyła, mogli zaświadczyć o tym wszyscy święci patrzący na nich ze ścian salonu, a także Maryja i Jezus Chrystus we własnej osobie, którzy także znaleźli tutaj swoje miejsce. Kłamał jak najęty i albo miał cholernie dobry powód, albo wydawało mu się, że koloratka wyzierająca z trudem spod jego napuchniętej szyi jest niczym strój superbohatera, który ochroni go przed odkryciem prawdy. Może i działało to na parafian, może nawet i na miejscowych policjantów, ale najwidoczniej z Glebą się jeszcze nie spotkał.

Ksiądz nie odpowiedział, tylko delikatnie się uśmiechnął, Gleba natomiast odwróciła się w stronę Karola.

– Zleć do prokurator Kolasińskiej sprawdzenie lokalizacji telefonu wielebnego z ostatnich dwóch miesięcy. Jeśli chociaż jedno z tych wskazań nie będzie wskazywało na wspomnianą aktywność fizyczną, poproś o wystawienie nakazu aresztowania tymczasowego na trzy miesiące.

– Dobrze, już dzwonię. – Karol wyjął telefon z kieszeni.

– A ja tylko dodam, proszę księdza, że aresztowanie przez mundurowych to kiepskie widowisko dla wiernych. Obydwoje wiemy, co sobie pomyślą: policja i ksiądz,

o co mogło chodzić, pewnie o pedofilię.

– Kiedy ja naprawdę... nikogo nie zabiłem – wydukał wikary łamiącym głosem.

Otworzyły się drzwi do salonu i do środka wszedł proboszcz. Zacięta mina pokazywała jego kiepski humor niczym wielka tablica świetlna.

– Przepraszam najmocniej, że przerywam – powiedział mocnym głosem. – Bardzo proszę, aby państwo dosłownie na minutkę wyszli do kuchni, ja muszę zamienić słowo z księdzem Michałem.

Gleba i Damięcki spojrzeli po sobie, w sumie to teraz nie powinni spuścić księdza nawet na sekundę z oczu, jednak Iga nie sądziła, by pulchny kapłan zdążył im czmychnąć. Wstała i kiwnęła głową na Karola, który chyba przeżywał całą sprawę mocniej niż przyciśnięty przez nich Michał Żyra. Minęli proboszcza, widząc, jak pod nieco obwisłą skórą policzków pracuje mu szczęka. Zgrzytał zębami, denerwował się, zauważyła Gleba, no i bardzo dobrze, miał powody.

Stanęli w korytarzu, nie weszli do kuchni, w której obecnie królowała gosposia, dolewając młodym księżom herbaty z dzbanka.

– A jak ucieknie? – zapytał szeptem Damięcki.

– No to go dogonisz – odpowiedziała. – Zresztą jak to, ksiądz i ucieczka? Myślisz, że może mieć coś na sumieniu?

– Gleba, nie kpij, błagam cię. Jestem wierzący, mam szacunek dla kapłanów, ale ten tutaj kłamie jak z nut.

– No i co z tym zrobisz? Myślisz, że dojedziesz go swoim maślanym wzrokiem, czerwieniem się i poceniem? A może dukaniem pytań?

Drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie i wyszedł z nich proboszcz, spojrzał na nich z bliska, czuć było w jego przyspieszonym oddechu aromat cynamonu, może lubił go dodawać do herbaty?

– Ksiądz Michał wszystko wam powie – oznajmił i ruszył po schodach na piętro.

Weszli natychmiast do salonu i zobaczyli wikarego, który ocierał łzy z policzków. Siedli na krzesłach, Gleba głęboko westchnęła. Gdy ksiądz zaczął mówić, tylko się uśmiechała, ale za to aspirant Karol Damięcki słuchał i nie wierzył własnym uszom.

14.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 20.45

Słodki wyszedł z kanciapy, jak nazywano tutaj budynek gospodarczy. Po spowiedzi porozmawiali sobie z proboszczem od serca i dostał propozycję tymczasowego zakwaterowania na plebanii w zamian za prace porządkowe. Trochę się wahał, ale ksiądz wyjaśnił mu, że ktoś musi go pilnować przez najbliższe dni, bo inaczej wróci do

nałogu i dawnego życia, tego śmierdzącego beznadzieją, a tego przecież nie chciał. Prawda?

Kanciapa. Garaż, skład narzędzi i pomieszczenie mieszkalne na górze, całkiem przyjemne i przytulne. Pokoik z łóżkiem i małym telewizorem, minikuchnia i łazienka. Co prawda gotować sobie nie musiał, dostał zaproszenie na kolację wspólnie z księżmi, ale dziś podziękował. Miał do załatwienia ważne sprawy, jak choćby zamknięcie pewnego rozdziału swojego życia, musiał iść na stare graty i zabrać kilka rzeczy, które zostawił w obozowisku. A po drugie, przemożnie chciało mu się chlać. Capnąc za butelkę pełną podłego trunku i pić, jakby jutra miało nie być, aż poczuje łzy w oczach, drętwienie języka spowodowane kiepskim spirytusem dodawanym do nalewek, odruch na granicy wymiotów będący sygnałem, że winda zaspokojenia dobiła do ostatniego piętra.

Pragnienie męczyło go do tego stopnia, że zaczęły mu latać ręce, zrobiło mu się duszno, pot zalewał mu czoło i kark, a suchość w ustach sprawiała wrażenie, że zaraz język rozsypie się niczym ulepiony z sypkiego piasku. Nie mógł taki zasiąść do wspólnej kolacji, nie utrzymałby kubka z herbatą, nawet chwytając go obiema dłońmi. Wstyd. Poczul go pierwszy raz od tak dawna...

Podskórnie wiedział, że do tego dojdzie, pili przecież na okrągło, wlewali w siebie najtańszy alkohol jak biesiadnicy na uczcie boga Bachusa, niczym nieskrępowany rausz. Krótka przerwa koło południa, żeby jakoś wyglądać podczas odbierania darmowego obiadu, ale i to nie zawsze, czasem nałóg był silniejszy. Prawda jest taka, że jak chlejesz, to jedzenie schodzi na drugi plan. Kurwa, wszystko schodzi na dalszy plan, regularne posiłki, rodzina, inni ludzie, cały świat staje się spłowiałą tapetą odklejającą się od mokrych od taniego alkoholu ścian zrujnowanego domu, który do niedawna był twoim życiem. Dziś to ruina do wyburzenia z tobą w środku, zbędnym lokatorem.

Każdego dnia odnawiali ten alkoholowy limit kredytowy, a dziś smutny i bezczelny bankier przyszedł po odsetki. Pieprzona windykacja życiowych błędów, i to w najgorszym możliwym momencie, gdy postanowił ułożyć sobie życie na nowo, a właściwie wrócić do tego, co było dobre.

Musiał wyjść z kanciapy i zaczerpnąć świeżego powietrza, bo inaczej po prostu weźmie i umrze, wszystko pierdolnie, rozwali, zanim zostało na dobre poskładane.

Zobaczył dwójkę policjantów na podwórku, tę miłą panią podkomisarz i jakiegoś młodzika. Jego też kojarzył, nieco przez mgłę. Ten sposób chodzenia, jakby lekko wybijał się z palców. Chyba widzieli się pod Metalowcem, tak, był tam wspólnie z tym wrednym dzielnicowym. Tylko czego tu chcieli?

Ksiądz Michał, to na pewno o niego chodziło, dlatego dziś był taki struty, chociaż na co dzień miły i uśmiechnięty. Coś mu zabrało uśmiech, schowało do pudełka na dnie szafy i wyjęło nowy, z napisem troski. Ale skoro ta dwójka tu się pojawiła, to mogło chodzić tylko o sprawę Posejdona, tylko że...

To nie mógł być ksiądz, na pewno. Słodki... widział. Tylko co? Coś pamiętał z tej nocy, pili akurat wino brzoskwiniowe, bo zazwyczaj nie schodziło i w delikatesach zrobili na nie promocję. Kurwa, to pamiętał, ale nie o to chodziło, musiał przypomnieć sobie coś całkowicie innego. Czarny samochód. Człowieka. Posejdona.

Ręce przestały mu drżeć, ale nawet tego nie zauważył. W ustach znowu pojawiła się ślina, zaczął się mocniej pocić. Głowa pracowała, zapomniała na chwilę o nałogu, próbowała odkopać to jedno wspomnienie, tak ważne.

Czuł się, jakby ktoś wysypał przed nim setkę zdjęć z rodzinnego albumu i kazał mu znaleźć to jedno jedyne, ledwie wspominając, co na nim może być. Za dużo obrazów, za bardzo zatarte, mgliste. Szukaj zdjęcia! Znajdę je, tylko pozwólcie mi się skupić i nie gaście światła w pokoju. Może małe łyżeczki wina by pomogły? Uspokoił myśli. Przecież dziś może troszkę się napić, przypomnieć sobie, co trzeba, a od jutra zacząć to prawdziwe nowo-stare życie. Da radę!

Nie. Napijesz się, to przegrasz, nic ci się nie rozjaśni. Myśl. Myśl! Myśl, kurwa!

Kto tam był? Kogo widziałeś? Wampira? Co robił? Posejdon wsiada do samochodu. Czyjego? Kto za kierownicą?! Kurwa, kto kieruje?! Kto jest kierowcą?!

Szwendacz. Był tam z nim Szwendacz! Może on będzie pamiętał.

Ruszył w drogę, a ręce znowu zaczynały mu drżeć.

Byle tylko nie ulec.

Byle się nie napić.

15.

Ulice Stalowej Woli

Godzina 21.15

Glebie z jednej strony było nieco żal Karola Damięckiego i faktu, że trochę runął mu świat, ale z drugiej strony chciało jej się śmiać na wspomnienie jego miny, gdy ksiądz Michał Żyra wyjaśniał, co tak naprawdę porabiał na parkingu leśnym niedaleko kulochwytów.

Jechali samochodem przez miasto, zmierzając do jej mieszkania, chłopak kierował i każdy jego ruch, naciśnięcie gazu, hamowanie, manewr na drodze był gwałtowny i wręcz kipiał złością.

– Jednak musisz przyznać – mówiła, starając się nie wybuchnąć śmiechem – że to miły i dobrze wykształcony człowiek. Różnych określeń mógł użyć, ale ten ładnie i spokojnie... jak to powiedział?

– Daj spokój – burknął Damięcki.

Ale Gleba nie miała najmniejszego zamiaru dawać nikomu spokoju. To był ciężki dzień, uwieńczony malutkim sukcesem, zamierzała trochę odreagować.

– Spotykałem się na tym parkingu z pewnym mężczyzną w celach intymnych – przedrzeźniała aksamitny głos księdza.

– Gleba...

– Co? No co? Nie wiem kompletnie, o co ci chodzi. Jest gejem i już, dla mnie to żaden problem, a ty nie powinieneś być zdziwiony. Można mu zarzucić kiepski gust, ale miłość nie wybiera.

– Gleba.

– Według badań liczba homoseksualistów wśród księży w Stanach Zjednoczonych to od dwudziestu pięciu do czterdziestu procent. Nie sądzę, żeby w Polsce ten odsetek jakoś diametralnie się różnił. To jest kompletnie nieistotne.

– Dla mnie jest.

– Ja wiem, ideały zawsze upadają z hukiem, szczególnie te osadzone na pomnikach. Jednak ostudź emocje, przypomnij sobie, o czym ci mówiłam, jak to zaburza logiczne myślenie. Ksiądz Michał Żyra to gej i szczęść mu Boże! Najważniejsze jest jednak co innego.

– Sprawa.

– Otóż to – niemal krzyknęła Gleba. – Wreszcie klei się nam ta wersja, pasuje do innych klocków. Nawet podał Adama Kawkę jako swojego partnera seksualnego. Spotkali się pierwszej nocy na szybki numer, a poprzedniej, żeby omówić alibi i ogólnie dodać sobie otuchy. Wolałbyś, żeby we dwóch zamordowali Posejdona?

– No nie.

– Orientacja seksualna nie jest i, mam nadzieję, nigdy nie będzie w Polsce karalna. Wszyscy mówią, że to dobry ksiądz, chwalą go, co cię obchodzi, z kim spędza czas wieczorami? Przeróżające jest to, że dwóch dorosłych mężczyzn musi szlajać się po jakichś krzakach, zamiast pójść ze sobą do kina czy do hotelu.

– Jeden ma żonę, drugi jest kapłanem – rzucił Damięcki.

– Masz rację, to poniekąd zahacza o moralne szambo, ale nie widnieje w kodeksie karnym, a tylko to nas dziś interesuje. Pomódl się za nich, jeśli to ci pomoże, a potem wracamy do roboty.

– Jaki jest plan? – zapytał oschle.

– Dziś fajrant, zjeżdżamy do domów. Kochanka wikarego dociśniemy już jutro, mam nadzieję, że księżulo dotrzyma słowa i nie będzie się z nim komunikował.

– Dziękuję – bąknął Karol.

– Za to, że odpuściłam mu pociągnięcie do odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań pod warunkiem zawieszenia kontaktów z Kawką do czasu, gdy my z nim pogadamy?

– Tak.

– Daj spokój, sądy i tak są przepełnione, co będziemy im jeszcze dokładać roboty.

– Mimo wszystko to dla mnie dużo znaczy.

– Spoko. Jutro z rana Kawka, a potem jedziemy do Sandomierza pogadać w szpitalu, za co wyleciał doktor Stefan Budziński. No i musimy jeszcze uściślić jedną kwestię, o której wspominała Maryna.

– Jaką? – zaciekawiał się Damięcki, a w jego głosie coraz mniej pobrzmiewała złość.

– Doktorek był starym kawalerem, Henryk Skórzyński rozwodnikiem. Może też byli homoseksualistami? Mielibyśmy jakiś wspólny mianownik.

– Technicy sprawdzają ich komputery, co nie?

– Tak.

– Więc wejdą na pewno w historię przeglądarki. To powinno nam coś o nich powiedzieć.

– Uczulę na to chłopaków – stwierdziła Gleba. – A teraz do domu. To miał być wieczór dla naszych drugich połówek, a wyszło jak zawsze.

Zerknęła na telefon, miała jedną wiadomość na komunikatorze od Alberta, wielkie czerwone serce, i było to miłe. Ale pod ikonką słuchawki widniały cztery nieodebrane połączenia od matki.

A miał być spokojny wieczór.

16.

Obozowisko bezdomnych, Stalowa Wola

Godzina 22.00

Zadziwiająca, ale zapach mu przeszkadzał. Czuł smród. Odór. Wystarczył jeden dzień w czystych ubraniach i bez alkoholu, żeby do tego doszło? Słodki wytłumaczył to sobie w ten sposób, że brak alkoholu wyostrzył mu zmysły. Jego wewnętrzny diabeł szukał okazji do napicia się, więc dał mu superwęch, czuły słuch i ostry wzrok, aby jak najszybciej znalazł odpowiednie źródło ukojenia.

– A jednak – powitał go Szwendacz siedzący na porzuconym przez kogoś starym telewizorze.

Teren obozowiska bezdomnych wielu mieszkańców traktowało jako śmietnik, na który można było przywieźć zalegające graty. Szwendacz bujał się lekko i palił papierosa, smród najpodlejszego tytoniu było czuć z daleka.

– Słodki! – ucieszył się Dziwisz, wychodząc z krzaków, zapinał rozporek. – Baliśmy się, że nie wrócisz. Gdzie byłeś?

– U księdza był – odpowiedział mu Szwendacz. – Nie spodobało się nowe, czyste życie? – zapytał z przekąsem, lekko bełkocząc.

– Musisz mi pomóc – powiedział Słodki, ignorując zaczepkę.

– A może tego ci brakowało? – Bezdomny schylił się i zza swojego siedziska wyciągnął butelkę wina.

Słodkiemu momentalnie zaschło w gardle, a jego organizm, podły zdrajca, zaczął zalewać mu usta śliną. Ręka automatycznie uniosła mu się w kierunku butelki, ale powstrzymał się.

– Szwendacz, musisz mi pomóc przypomnieć sobie, co widzieliśmy tej nocy, gdy zginął Posejdon – rzucił twardo.

– On nie żyje? – zdziwił się Dziwisz. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nic nie widzieliśmy – odparł bezdomny.

– Byliśmy pijani – powiedział Słodki. – Ale widzieliśmy. Czarny samochód, terenowy, i jakiegoś człowieka. Kojarzę.

– A ja nie – usłyszał ostrą odpowiedź. – To była ciepła i wesoła noc.

– Byliśmy tam, ja, ty i Dziwisz – kontynuował Słodki. – Posejdon odszedł na chwilę, widzieliśmy mężczyznę, a potem odjeżdżający samochód.

– Może to ci poprawi pamięć? – Szwendacz ponownie podniósł w jego stronę butelkę.

– Przestań, skup się – zdenerwował się Słodki. – Zamordowali naszego przyjaciela.

– Przyjaciela?! – krzyknął Szwendacz. – Nic o nim nie wiesz! O nikim tutaj niczego nie wiesz. Spierdalaj stąd!

– Ale... – Słodki aż cofnął się o pół kroku.

– Wypierdalaj! Do tego swojego księdza. Niech cię myje, karmi i czesze jak swojego psa. Wypierdalaj!

Słodki zaczął się wycofywać. Przestraszył się. Tak naprawdę, poczuł strach. Przecież jeszcze wczoraj to było także jego miejsce.

Szwendacz przechylił butelkę i wypił duszkiem zawartość, po czym beknął przeciągle i podniósł się z telewizora. Spojrzał w jego stronę i mimo półmroku Słodki wiedział, że on nie żartuje.

ROZDZIAŁ 5

28 kwietnia 2023 roku

1.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 7.00

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się, co według jej własnego pojmowania świata równało się temu, że będzie miała dziś dobry humor przez cały dzień. Na plus przemawiał wczorajszy przebieg spraw i wreszcie jakiś krok naprzód w śledztwie, no a na minus zdecydowanie fakt, że nie oddzwoniła wieczorem do matki. Naprawdę nie miała chęci wysłuchiwać jej stękania, narzekań i pretensji. Marzyło się jej, aby ta zadzwoniła z takim humorem i nastawieniem, jakie towarzyszyło Glebie właśnie dziś po przebudzeniu, całe wiadro optymizmu, pokłady radości, uśmiech szeroki niczym jasna, długa i prosta Trasa Łazienkowska.

Usłyszała pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek, siódma rano. Co za czort? Czyżby nie zrozumieli się z Damięckim i młody funkcjonariusz już po nią przyjechał, pełen werwy i chęci naprawiania świata?

Rozejrzała się za szlafrokiem, ale próżny trud, przeklęty łach leżał pewnie w tym magicznym miejscu, w którym chowają się wszystkie potrzebne rzeczy, by wychynąć z czeluści wtedy, gdy już o nich zapomniano.

Rzuciła okiem przez wizjer i zobaczyła bukiet czerwonych róż. Nienawidziła tych kwiatów stosownych dla cioć i babć, ale jej obecny partner uważał je za szczyt romantyzmu i lansu. Przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

– Kurier? – zapytała. – O tej porze? Co pan przywiózł?

– Dziewięćdziesiąt kilogramów namiętności – odpowiedział Albert i wszedł do mieszkania.

– A to zapraszam. – Odsunęła się na bok i zamknęła drzwi.

Mężczyzna rzucił kwiaty na podłogę, po czym złapał ją pasie w momencie, gdy lekko podskoczyła, obejmując go nogami. Zaczął ją całować, niosąc w stronę sypialni, po czym delikatnie opadli na łóżko. „W ubraniu na pościel? Ignacja, myśl trochę!”, usłyszała głos matki, ale to, co robił z nią Albert, szybko wypchnęło z głowy wszelkie rady dawane jej w życiu przez rodzicielkę, zarówno te lepsze, jak i gorsze. Jego mocne

ręce i zdecydowany język wyłączyły cały świat i zaprosiły tylko na jedną projekcję pełną rozkoszy, podniesionych głosów, szybkich oddechów i jęków.

Gdy skończyli, leżąc w skołtunionej pościeli, podniósł się szybko i rzucił do drzwi.

– Śniadanie! – krzyknął. – Zostawiłem na klatce.

Usłyszała dźwięk przekręcanego rygła, a potem stanowcze „dzień dobry” wypowiedziane dobrze jej znanym głosem wścibskiej sąsiadki, która to ostatnio udzielała jej rad pod śmietnikiem. Albert wrócił do sypialni, śmiejąc się.

– No to chyba polubiliśmy się z twoją szanowną sąsiadką – powiedział.

Spojrzała na niego. Był nagi, trzymał w dłoniach papierową torbę z piekarni, zasłaniając nią te części ciała, które przed chwilą najmocniej się napracowały.

– Mam tutaj tak zszarganą opinię, że nawet twoje świecenie zaganiaczem na klatce mi nie zaszkodzi – skomentowała, wstając z łóżka. – Ty śniadanie, ja kawa – zarządziła.

– Tak jest, pani podkomisarz!

Weszli do małej kuchni, klasycznej dla gierkowskich bloków, za małej nawet dla jednej osoby, ale było coś miłego w ciągłym mijaniu się, objaniu i wchodzeniu sobie w drogę. Gdy zasiedli w końcu do stołu, mając przed sobą kubki z kawą, twarożek ze szczypiorkiem i rzodkiewką oraz świeże pieczywo, Gleba postanowiła załatwić dręczący ją problem. Gdy już otwierała usta, Albert sam nawiązał do tematu.

– Jak śledztwo? – zapytał, co nieco ją zdziwiło, bo nigdy nie interesował się jej sprawami zawodowymi.

– Powoli do przodu – odpowiedziała. – Dlaczego pytasz?

– Nie pamiętam, aby jakakolwiek sprawa tak cię wciągnęła.

– Fakt. Chyba dlatego, że to pierwsze poważne śledztwo, jakie mi się tutaj dostało.

– Lubisz wyzwania – stwierdził. – Rozkwitasz przy nich, to widać. Jak bokser przed ciężką walką zyskuje dodatkową motywację, stara się przekroczyć ludzkie możliwości. U ciebie jest podobnie.

– Chyba masz rację.

– Mam. Cieszy mnie to.

– Serio?

– Jesteś tu niemal od roku i wreszcie coś ci się tutaj spodobało. Szkoda, że trupy, ale zawsze coś. Zaczynam myśleć, że uśmiech pojawia się na twojej twarzy tylko wtedy, gdy kogoś mordują, a co za tym idzie, będę się musiał nieźle nakombinować, żeby częściej widzieć cię uśmiechniętą.

Byłe się nie oświadczał, przemknęło jej przez myśl. W związkach zawsze przerażała ją myśl, że jej chłopak odwali publiczną szopkę z oświadczyniami w jakiejś restauracji albo nie daj Boże na koncercie czy w kinie. Jej ukochany Nocny Kochanek daje czadu

na scenie, aż tu nagle pojawia się na niej Albert, mrugając porozumiewawczo do wokalisty, łapie za mikrofon i wśród wiwatów publiczności pomieszanych z gwiazdami prosi ją o rękę. Koszmar! Słyszała o takich akcjach i na samą myśl wpadała w stan przedzawałowy. To już wolałaby takie oficjalne zaręczyny, o jakich opowiadał jej Damięcki.

– Myślałam, że interesuje cię ta sprawa, bo się w niej pojawiłeś – rzuciła szybko w jakiejś dziwnej reakcji obronnej.

– Ja? – zapytał. Był szczerze zdziwiony, aż odstawił kubek.

– Mamy zrzuty z monitoringu z pierwszego morderstwa – powiedziała. – Jest tam kilka samochodów kręcących się po nocy w okolicy, w tym twój. Nie widać blach, ale przy lusterku wiszą rękawice bokserskie, a znam tylko jedno bmw x5, które takowe posiada.

– Chodzi o tego trupa na kulochwytach?

– Tak.

– Możliwe. Czasem mnie nosi po nocy.

– Albert, co tam robiłeś?

– Dorabiam na Uberze.

– Przestań.

– Iga, nie robiłem niczego złego.

– No to się pochwal.

– Przepraszam cię, ale to moja sprawa – odparł sucho i schował się za kubkiem kawy.

– Twoja? – zapytała ostro, dużo ostrzej, niż powinna.

– Tak. Jeśli mi ufasz, to powinna wystarczyć ci deklaracja, że nie miało to żadnego związku z morderstwem na kulochwytach oraz że nie było to nic nielegalnego.

– Tu nie chodzi o zaufanie – wycedziła słowo po słowie. – To nie jest wypytywanie zazdrosnej dziewczyny, tylko rozpytanie na okoliczność potencjalnego udziału w czynie zabronionym.

– Pani podkomisarz, jeśli jest to część oficjalnego śledztwa, proszę wezwać mnie do komendy policji.

– Serio, musimy odstawiać takie szopki?

– Iga, siedzimy w twoim mieszkaniu, jemy śniadanie, stygniemy po dobrym seksie. Jak dla mnie to są tak zwane stosunki partnerskie, rozmawiamy jak chłopak z dziewczyną, zaufanie powinno być w tym przypadku podstawą. Jeśli chcesz mnie pytać o alibi na czas tego zdarzenia, postępuj oficjalnie.

Zobaczyła jego zmrużone oczy znad kubka, cyniczny uśmiech. Wiedziała, że nie ustąpi, znała go już na tyle, ale oczywiście ona była Glebą, która nigdy nie odpuszcza,

była pierdolonym wzorem nieodpuszczania, niezależnie, czy chodzi o złapanie mordercy, czy rozbicie związku.

Wstała od stołu, rzuciła kubkiem i talerzem do zlewu. Resztkę kawy chlusnęła po ustawionych tam talerzach, pozostawiając czarny ślad jej wkurwienia.

– Dziękuję za śniadanie – powiedziała chłodno. – Mam nadzieję, że smakowało.

Albert wstał i bez słowa ruszył do drzwi. Kiedy zamknął je za sobą, odczekała jeszcze chwilę, a potem stanęła na środku salonu i krzyknęła głośno na całe gardło jedno słowo, które każdemu Polakowi pozwala nie zwariować.

2.

Plebania przy parafii pw. św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 7.30

Słodki miał sen i sam ten fakt go przeraził. Nie pamiętał, kiedy ostatnio śnił, właśnie tak po ludzku, z porannym wspomnieniem, ulotnym, gdy sen niemal blaknie na twoich oczach, nieważne, czy piękny, czy też przerażający, ale całkowicie już niepotrzebny. Odmienny od pijackiego widu, gdy nie wiadomo, co się dzieje naprawdę, a co tylko w głowie, choć i tak wszystko przypomina bełkot zamroczonego alkoholem człowieka. Z przerażeniem, ale i ze wstydem uświadomił sobie, że nie jest w stanie przypomnieć sobie swojej ostatniej trzeźwej nocy, ta była pierwsza od dawna, piękna. Choć sen był straszny, tylko to wiedział, ale nie potrafił sobie go za cholere przypomnieć, dokładnie jak tej sytuacji z Posejdonem.

Był spocony, jakby wyszedł spod prysznic, i cholernie chciało mu się chlać. Nie, nie pić, ale właśnie chlać. Wypił duszkiem szklankę wody zostawioną na noc przy łóżku, ale to nie był ten rodzaj pragnienia, który można ugasić czymś bez procentów, o nie, tutaj sytuacja wymagała czegoś mocniejszego, opatrzonego banderolą.

Wstał i zakręciło mu się w głowie, musiał przytrzymać się szafy i poczekać, aż pokój przestanie robić fikołki. Zegarek stojący na parapecie wskazywał siódmą trzydzieści. Musiał wziąć się w garść, zająć się robotą. Tak, wykąpie się, potem pozamiata przed kościołem, może coś skosi, cokolwiek, byle nie myśleć o chlaniu.

Przypomniał mu się wczorajszy wieczór i rozmowa ze Szwendaczem, to, jak na niego naskoczył. O co chodziło, czy faktycznie o fakt, że postanowił zmienić swoje życie, a więc natychmiast stał się obcy? A może jednak jego niedawny kompan o czymś wiedział, może sam się bał?

Mimo wszystko musiał dziś iść tam ponownie, zabrać swoje rzeczy, nie było tego wiele, ale wszystkie były pamiątkami. W tym paskudnym życiu miały stanowić kotwicę niepozwalającą wypłynąć na pełne morze zagubienia, chciał mieć je teraz przy sobie. Zdjęcie córki, drugie z własnego ślubu i klucze od domu. Zamki

zmieniono, ale czuł, że tylko dzięki nim będzie w stanie otworzyć tunel do dawnych czasów. Musiał to wszystko mieć.

Poszedł do ubikacji i rzuciło go na kolana, zaczął wymiotować do muszli klozetowej. Organizm oczyszczał się z tego, co jeszcze do niedawna płynęło w jego żyłach, było wdechem i wydechem. Niegdyś serce biło tylko po to, aby sprawnie rozprawdzać alkohol po organizmie.

Zanucił piosenkę, która idealnie pasowała do tej chwili, mimo iż jej słowa odbijały się echem od wnętrza muszli klozetowej.

*Byłaś serca biciem,
Wiosną, zimą, życiem,
Marzeń moich echem,
Winem, wiatrem, śmiechem.*
Nadszedł czas zmian.

3.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 8.30

Gleba poszła najpierw do archiwum. Mogła wszystko sprawdzić w bazie elektronicznej, ale nie chciała, aby pozostał jakikolwiek ślad po jej wyszukiwaniu. Możliwe, że ktoś ustawił sobie alert na wpisane przez nią sekwencje wyszukiwania. Wolała uniknąć pytań.

Półki z aktami były dobrze oświetlone, materiały ładnie posegregowane. Miała do przejrzania tylko jeden rok, ten przed jej przybyciem do Stalowej Woli, za jej bytności nikt nie wspominał sprawy Wampira, a była niemal na wszystkich odprawach.

Przeglądała teczki jedną po drugiej, było ich raptem kilkadziesiąt, więc mogła zajrzeć do każdej. Przecież mogli nadać tej sprawie dowolny kryptonim. Po godzinie pracy stwierdziła ze smutkiem, że Witczak miał rację, nikt oficjalnie nie zajmował się sprawą zaginięć bezdomnych.

Opuściła archiwum i weszła do pokoju zajmowanego przez kryminalnych, nie spodziewając się zastać nikogo, wszak codziennie rano mieli meldować się u prezydenta Mariana Szatkowskiego, z którego to obowiązku była na szczęście zwolniona. Postanowiła zadzwonić do matki, zanim wszyscy się zejdą, i na spokojnie pomyśleć, czy wzywać Alberta do złożenia wyjaśnień. Zaskoczyła ją obecność dzielnicowego Wierzby, który powitał ją z uśmiechem.

– No nareszcie – powiedział. – Czekałem na was i czekam.

– Nie wiem, jak tam na rejonie, ale my, poważni policjanci, musimy co rano spowiadać się najwyższemu z równych – odpowiedziała, zajmując miejsce przed swoim komputerem i wieszając różową kurtkę na oparciu krzesła.

- Szatkowskiemu?
 - We własnej nieskromnej osobie.
 - To gdzie reszta?
 - Właśnie się spowiada. Ja jestem *persona non grata*.
 - Słyszałem, że napyskowałeś panu prezydentowi.
 - Ja tylko wykazałam brak uległości wybranemu w, miejmy nadzieję, demokratycznych wyborach urzędnikowi publicznemu. Nie pozostaję z nim w zależności służbowej, więc, jak to mówią, chuj mnie to nic nie obchodzi.
 - Dobra, do rzeczy – westchnął Wierzba. – Nie przyszedłem tu obgadywać naszego dobrodzieja, ale poinformować, że jest jakieś poruszenie wśród bezdomnych.
 - W związku z morderstwami?
 - Możliwe. Jednak bardziej bym tu spoglądał w stronę ostatniego czyszczenia tego obozowiska pod wiaduktem. Podnoszą się głosy, że mają wszystkich wyłapać i wywieźć na czas majówki. Myślę, że może dojść do jakiegoś oporu z ich strony. To nie mój rewir, ale rozmawiałem z Łukaszem Popławskim, który jest tam dzielnicowym. Sam do mnie przyszedł, bo ma zaplanowaną na jutro operację i idzie do szpitala, a ja mam przejąć za niego tamte rejony.
 - Czyli bezdomni będą bronić swoich domów?
 - Ironizujesz, ale może do tego dojść.
 - Przyjdźcie w nocy, jak śpią wszyscy pijani, nawet się nie zorientują, że ktoś ich przeprowadził na drugi koniec Polski.
 - Oj, wiesz, że to nie takie proste.
 - No a w czym mogę ci pomóc?
 - Jest tam taki jeden, mówią na niego Szwendacz. Może byś go zatrzymała na jakiś czas w związku z twoją sprawą, co? To taki jakby ich nieformalny przywódca. Wiesz, w każdej grupie prędzej czy później wyodrębnia się lider i jakaś hierarchia.
 - Serio? Mam zamykać niewinnego człowieka ot tak, dla uspokojenia nastrojów?
 - Utnij łeb smokowi, a padnie. Zresztą, kto mówi, że jest niewinny, na pewno ma coś za uszami.
 - Chcesz, to go sobie zatrzymuj, mnie w to nie mieszaj. Mamy już pewien punkt zaczepienia i jest co robić.
 - Gleba, jeśli ktoś ma coś wiedzieć o tym Posejdonie, to właśnie ten menel. Przyskrzynie go, wrzucicie na wydobywcy, trochę skruszeje, na pewno coś powie.
 - Mamy dziś w planach kilka wizyt, jeśli ten Szwendacz wypłynie, to go zgarnę, ale jeśli nikt o nim nie wspomni, to wybaczą.
- Wierzba nie wyglądał na zadowolonego i Gleba w ogóle mu się nie dziwiła. Pewnie uważał, że będzie to formalność, coś w rodzaju niewinnej przysługi, pierdoły. Na

szczęście niezręczną sytuację przerwał Damięcki, wchodząc do środka z uśmiechem na ustach.

– Krótko męczył was cysorz – powitała go.

– Nie miał czasu, coś tam mu wypadło. Wykorzystałem to i pojechałem do naszego... – zamilkł i spojrzał na Wierzbę, a ten chyba zrozumiał aluzję w lot, bo wstał i burknął pod nosem coś na kształt pożegnania, po czym wyszedł z pokoju.

– Byłeś u Kawki? – zapytała Gleba.

– Tak, nie dawało mi to spokoju. Jeśli chciałaś być przy tym, to przepraszam.

– Daj spokój, opowiadaj.

– Potwierdził wszystko. Poinformowałem, że mamy zeznania innego świadka, i chyba wiedział, o co chodzi, bo coś burknął, że no tak, nie mógł się do niego dodzwonić. Zapytał, czy nic mu nie jest, jego partnerowi. I wiesz co, Gleba?

– No co, mój dziwiący się światu młodzieńcze?

– On mi powiedział, że przeprasza, ale chyba się zakochał i uczucie zmało mu umysł.

– No i?

– To starszy facet i no wiesz...

– Chcesz mi powiedzieć, że nie wypada się zakochiwać gejom czy starszym ludziom?

– To nie tak.

– Okej, mówił coś jeszcze ciekawego?

– Nie.

– I niech zgadnę, interesowało go tylko to, żeby żona się nie dowiedziała?

– Otóż to.

– Co za dupek.

– Ano dupek, cóż zrobić.

– Dobra robota, Brukselka. Sprawileś się. Komenda z Leszna sprawdziła trzeciego klienta, który nawinął nam się pod monitoring. Przypadkowy gość, temat zamknięty. Walnijmy po kawie i jedziemy do Sandomierza.

– Jasne.

– A coś wczoraj z Matyldą wyjaśniałeś?

– No nie było czasu.

– To dziś kończysz robotę o szesnastej, potem jedziesz do kwaciarni, kupujesz wielki bukiet róż i przeznaczasz wieczór tylko jej, rozumiano?

– Ale...

– To polecenie służbowe, Karolku. Wiem, że towarzyszy ci nieznośne przeświadczenie, że bez ciebie ten świat się zawali, ale ja na to nie pozwolę. Zbliża się

ta pieprzona majówka i dobrze wiesz, że przez trzy dni nie zobaczysz domu na dłużej niż na kilka godzin snu. Zabierz ją na spacer, może na dobrą kolację, potem pocałujcie się trochę bez języczka, przytulaski albo noski-eskimoski i rano wracasz do roboty.

– Dobra.

Wskazała mu kubki na kawę, ten zrozumiał polecenie w lot i ruszył w stronę ekspresu. Gleba podniosła telefon, ale nie było żadnej wiadomości od Alberta. Ani od matki.

4.

Szpital Specjalistyczny Ducha Świętego, ulica Zygmunta Schinzla, Sandomierz

Godzina 10.30

Sandomierski szpital znajdował się na wzgórzu z dala od malowniczej starówki, a dojeżdżając do niego, mijało się centrum pogrzebowe, co najpewniej nie nastrajało optymizmem przyszłych pacjentów.

– Uroczo – skomentowała Gleba, gdy przejeżdżali obok parkingu zapełnionego czarnymi karawanami, nad którymi królował zdobny powóz konny. – To dla ekologów czy wielbicieli tradycji?

– Najwidoczniej dla jednych i drugich – odparł Damięcki. – Ogólnie ten szpital nie ma najlepszej renomy, sandomierzanie raczej uciekają leczyć się do Tarnobrzegu, Stalowej Woli, a nawet Niska.

Zajechał na parking, ciasny i zatłoczony do granic możliwości. Dziwne, że przed hipermarketami zawsze dało się wygospodarować odpowiednie miejsce na parkingi, a przed szpitalami jak kraj długi i szeroki można było stracić zdrowie właśnie na próbach zostawienia samochodu w pobliżu wejścia.

– Znasz drogę? – zapytała Gleba, gdy wysiedli.

– Leżałem tu kiedyś na ortopedii – odpowiedział Karol.

– Prowadź – poleciła.

Szpital wyglądał, jakby budowały go cztery ekipy jednocześnie, a każda zaczęła w innej stronie świata i miała własny pomysł na to, jak ma wyglądać efekt. Przeszli wzdłuż jednego skrzydła, potem przez parking karetek i zaraz po przekroczeniu szerokich drzwi i minięciu portierni, ku kolejnej uldze Igi, trafili do gabinetu dyrektora, znajdującego się na parterze. Uprzedzili go wczoraj o wizycie, więc powinien ich oczekiwać.

– Przygotowałem akta osobowe doktora Budzińskiego – poinformował ich, gdy już wymienili uprzejmości, odmówili kawy i podziękowali za wodę.

– Dziękujemy – powiedziała Gleba. – Chcielibyśmy je przejrzeć, a jeśli znajdzie się w nich coś ciekawego, to je skopiować.

– Nic się w nich ciekawego nie znajdzie – odparł dyrektor. – Nie znałem doktora Budzińskiego, nie miałem okazji z nim pracować. Sam z ciekawości wczoraj zagłębiłem się w jego dane osobowe i przebieg kariery, jednak nie ma tam nic ciekawego poza tym, że rozwiązano z nim kontrakt za porozumieniem stron.

– Mamy inne informacje – wtrącił Damięcki.

– Wiem, rozmawialiśmy o tym wczoraj, znam podłoże waszego zainteresowania, stąd też moje zdziwienie, że nie ma o tym ani słowa w aktach. Mało tego, pozwoliłem sobie skontaktować się z Okręgową Izbą Lekarską, według ich zapisków doktor Budziński po prostu przestał praktykować.

– I nie doszło do żadnego błędu lekarskiego? – zapytała Gleba. – Skandalu, zaniedbania? Naprawdę?

– Oficjalnie nic takiego nie miało miejsca – odpowiedział dyrektor z uśmiechem.

– A nieoficjalnie?

– Mamy taką pielęgniarkę, która pracuje tutaj już czterdzieści lat, pani Pelagia. Mówią na nią wszyscy Pelka. To jedyne wiarygodne źródło nieformalnej historii naszej placówki. Pozwoliłem sobie nieco ją podpytać.

– Z jakim skutkiem? – Gleba spojrzała na niego z ciekawością.

– Doktor Budziński był wspaniałym lekarzem, jednak bardzo źle znosił wszelkiego rodzaju porażki zawodowe, które niestety są wpisane w naszą profesję. Jeśli nastąpiły jakieś komplikacje przy porodzie, nie uratowano pacjentki, to wpadał w mocną depresję, potrafił nie pojawić się w pracy kolejnego dnia.

– A mówią, że lekarze są bez serca – skomentowała Gleba.

– I to był powód? – zapytał z niedowierzaniem Damięcki.

– Po części tak – odpowiedział dyrektor. – Otóż to wszystko się nasilało, aż pewnego dnia trafiła do niego młoda pacjentka z poważnymi komplikacjami ciąży bliźniaczej. Niestety, nie udało się uratować jednego z dzieci, a sama matka zmarła w nocy. Doktor Budziński... no cóż. Nie wiem, jak dalece można wierzyć temu, co mówiła pani Pelka, ale znaleziono go w kostnicy w sytuacji niedwuznacznej ze zmarłą pacjentką.

– Co? – nieomal krzyknął Damięcki.

Gleba również spojrzała z niedowierzaniem na dyrektora szpitala. Nekrofilia była bardzo rzadkim schorzeniem i raczej nie pojawiała się ot tak, znienacka. Ale czy to teraz ona nie dopuszczała myśli, że ktoś tak poważny jak lekarz w trzecim pokoleniu może dopuścić się takiego czynu? Czy nie przed takim właśnie rozumowaniem przestrzegano nie dalej jak wczoraj Damięckiego?

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała spokojnym głosem. – Ale czy jest możliwość, aby to potwierdzić?

– Wydaje się nierealne, wiem – zgodził się z nimi dyrektor. – Jednak sam tak pomyślałem i dziś zadzwoniłem do dwóch lekarzy, którzy według akt osobowych pracowali na oddziale w tym samym czasie. Z przykrością muszę stwierdzić, że obydwaj potwierdzili te doniesienia. Z racji zasług doktora Budzińskiego ustalono, że przestanie praktykować do czasu uporządkowania swoich problemów psychicznych.

– Rozumiem – powiedziała Gleba, kiwając głową. – Czy możemy jednak sprawdzić akta osobowe?

– Oczywiście – odparł dyrektor. – Skopiowałem je dla państwa, są w tej teczce. – Przesunął w ich kierunku pękaty pakunek. – Jeśli chcecie porównać je z oryginałem, to mogę zostawić was na chwilę. Mnie wzywają obowiązki.

– Wystarczą kopie, dziękujemy – powiedziała Iga. – Czy akta tej pacjentki również są dostępne?

– Hm... – Lekarz zmarszczył czoło. – Zasadniczo to wszelkie informacje o pacjentach stanowią dane wrażliwe i przez RODO nie mogę ich ujawniać bez specjalnego upoważnienia.

– Ale? – zapytała z uśmiechem Gleba, gdy dyrektor na chwilę zawiesił głos. – Coś czuję, że musi być jakieś „ale”.

– Sprawa mnie tak zaintrygowała, że sam musiałem sprawdzić te akta – powiedział ściszym głosem.

– Coś ciekawego?

– Błędu lekarskiego się nie dopatrzyłem, pacjentka była pierworódką, niedożywiona, osłabiona, trafiła do szpitala nieco za późno. Są tam też dane lekarza patologa przeprowadzającego autopsję, niestety nie żyje, zginął w wypadku samochodowym jakiś czas temu.

– Czyli znowu nic podejrzanego? – zapytał tym razem Damięcki.

– Tragiczny przypadek, ale nic niezwykłego z medycznego punktu widzenia. Dziś pewnie byśmy ją uratowali. W każdym razie nie znalazłem nic w tych aktach, co by mogło narażać dobre imię pacjentki czy jej rodziny. Dołączyłem jej teczkę i akt zgonu. Proszę tylko, aby to nigdzie nie wyszło, do jakiejś prasy, rozumiecie państwo.

– Oczywiście – odpowiedziała Gleba. – Bardzo dziękujemy.

– Jeśli będziecie potrzebowali jeszcze jakichś informacji, to proszę się nie krępować, służę pomocą.

Opuścili gabinet, zabierając kopie akt, i wyszli ze szpitala przez zatłoczony o tej porze korytarz. Wsiedli do samochodu, Damięcki tradycyjnie za kierownicę, Iga otworzyła teczkę z aktami.

– Ale że z trupem? – powiedział Karol z wyraźnym niesmakiem.

- Widzisz, a ty się jeszcze rano gejami przejmowałeś. Jest tu jakaś dobra kawiarnia? Chciałabym przejrzeć papiery, zanim wrócimy do Stalowej.
- Bo to jedna – rzucił chłopak i włączył się do ruchu.

5.

Obozowisko bezdomnych, Stalowa Wola

Godzina 12.00

I że ten smród nigdy mu nie przeszkadzał? Serio? Nie mógł w to po prostu uwierzyć, już podchodząc pod obozowisko, kręciło człowieka w nosie, a im był bliżej, tym ciężiej mu było wytrzymać.

Słodki specjalnie wybrał południe na godzinę swej wizyty na dawnych śmieciach, czyli porę obiadową. Ci, którym chciało się pofatygować do opieki społecznej po talony na obiady, właśnie stali przed Metalowcem, odbierając ciepły posiłek, reszta krążyła po mieście w poszukiwaniu puszek i innych skarbów, zebrała pod sklepami albo zajmowała się równie pasjonującymi czynnościami, ale w większości powoli zbliżali się do momentu, gdy będzie można się w końcu spokojnie nawalić.

W obozowisku było kilka osób, wszystkie znał z twarzy, ale złapał się na tym, że nie z imion. Zwyczajowo mieszkało tu zaledwie kilka osób, szczególnie zimą, ale wiosną i latem populacja nieco się zwiększała. Teraz dołączyli ci wygnani spod wiaduktu.

Minął kilka skleconych ze śmieci budek, jeden stary namiot i postawioną na ceglach przyczepę kempingową Niewiadów, hit PRL-u, obecnie najbardziej ekskluzywny apartament na tej dzielnicy zajmowany przez Szwendacza. Słodki natomiast pomieszkiwał ostatnio w czymś, co było chyba kiedyś warzywniakiem stojącym na targu, ale z niewiadomych przyczyn mały pawilon przywieziono tutaj i zostawiono. Może ktoś chciał się go po prostu pozbyć i nieświadomie dał początek małemu, śmierdzącemu miasteczku?

Wszedł do środka i od razu skierował się do swojej skrytki, słoika po kawie schowanego w rogu pomieszczenia. Odrzucił paczkę styropianu, ukradzioną niedawno z budowy, trzymał ją tu na czas zimy, świetnie się na tym spało. Słoik był na swoim miejscu, cały owinięty folią aluminiową, dokładnie tak, jak wszystko zostawił. Schylił się po mały plecak wojskowy, który towarzyszył mu w ostatnich latach życia. Stwierdził, że żał mu się z nim rozstawać, wiernie służył mu o każdej porze roku. Otworzył klapę, wrzucił słoik do środka i zamarł. Cisza. W środku przecież były klucze, powinny zagrzechotać o szkło.

Wyjął słoik, zdarł folię aluminiową i zastygł z przerażenia. Szklany słoik był pusty. Nie, nie całkiem, w środku znajdowała się pomięta kartka z napisanym wielkimi literami jednym słowem: „ZDRAJCA”.

Szwendacz! Ta myśl uderzyła go mocno, ale strach nigdzie nie uciekał, nie przerodził się w gniew, bo zdawał sobie sprawę, że siłą nic nie wskóra. Nie umiał się bić, nie pokona swojego dawnego kolegi, który zupełnie nieoczekiwanie stał się wrogiem. Może go przekupi? Czym? Jego sytuacja finansowa była tragiczna, mógłby pożyczyć kilka złotych od proboszcza, ale Szwendacz nie był typem, który dałby się kupić. Zabrał jego pamiątki i miał w tym cel, tylko jaki?

Cholera, znowu chciało mu się chlać. Przez ostatnie lata tani alkohol był odpowiedzią na wszystko, na każdy problem. Normalnie ludzie często świętują przy butelce wina, zatem oni wiecznie świętowali, znajdując coraz to nowe okazje, najczęściej otwarcie zaropiałych oczu, którymi strasznie płasko widzi się świat. Gdzie tam wojny, kryzysy, kursy franka czy cena ropy, pierzchajcie, rzeczy nieistotne! Nie, nie ma co do tego dorabiać szumnej ideologii, pili, bo tylko tak dało się żyć w tym smrodzie i na granicy ludzkiej przyzwoitości, w warunkach, które urągają wszystkim stworzonym przez ludzi standardom. Pili, zabijając w sobie chęć powrotu do normalnego życia, sprowadzając ową normalność do pełnej butelki, potem pustej butelki, a finalnie bełkotliwego niby-życia.

Szczury żyją w kanałach i śmietniskach, przez co nas brzydzą, jednak dla nich jest to naturalne środowisko bytowania. Tym właśnie byli, szczurami.

A teraz musiał załatwić z jednym szczurem ważną kwestię.
Kwestię życia i śmierci.

6.

Stare Miasto, Sandomierz

Godzina 12.00

Nie jechali długo, kilka minut i Karol zaparkował pod Bramą Opatowską, oznajmiając, że są na miejscu. Wstyd przyznać, ale mimo niemal roku spędzonego w Stalowej Woli, która znajdowała się raptem pół godziny drogi od Sandomierza, nie odwiedziła tego pięknego miasta. W pracy tylko śmiano się, że tam za duża przestępczość i policjantów zsyła się tam za karę albo na szkolenie, żeby Ojciec Mateusz nauczył ich rozwiązywać sprawy i grać w szachy.

Przeszli przez gwarny rynek, który wydał się Glebie dziwnie mały, a może to hordy turystów snujące się między jego pierzejami powodowały takie uczucie. Damięcki wyjaśnił jej, że tłumy przyciągnął zbliżający się długi weekend, normalnie do Sandomierza wpada się tylko w tygodniu, i to najlepiej, gdy jest zimno i paskudnie, wtedy można na spokojnie wypić kawę i zjeść coś dobrego.

– Na obiad to tylko do Lapidarium, świetne burgery, albo do Bistro Podwale, najlepsza kuchnia w mieście.

– To dokąd mnie zabierasz? Tylko wiesz, coś na kieszeń policjanta, bo pewnie tu byle rosół kosztuje stówę.

– Miała być kawa, idziemy do Iluzjonu, najlepsza szarlotka z sandomierskich jabłek. Pod kawkę idealna.

Przeციłi rynek na skos i dotarli do niepozornej kamieniczki z kilkoma stołami wystawionymi na chodniku. Wolny był najmniejszy stolik w rogu, kelner dość szybko się zjawił, zamówiła zgodnie z zaleceniem czarną kawę i szarlotkę podawaną z gałką lodów.

– I jak akta? – zapytał Karol, gdy kelner zniknął we wnętrzu kawiarni.

– Dopiero rzuciłam okiem. – Wręczyła mu teczkę opisaną imieniem i nazwiskiem Dorota Chmiel. – Masz, pomożesz. Zobacz, czy jest gdzieś adres dziewczyny, no a oprócz tego może coś ci wpadnie w oko. Ja się biorę za doktorka nekrofila.

Akta dziewczyny nie były zbyt grube, zaledwie kilka kartek, Damięcki przeglądał je bardzo uważnie i notował w telefonie. Teczka osobowa doktora Budzińskiego była z kolei obszerna, ale większość z dokumentów wydawała się bezużyteczna. Informacje o wykształceniu, odbyte staże, kursy i specjalizacje. Większość z sandomierskiego szpitala, kilka z terenu całego kraju. Awanse, przydziały, nagrody, podwyżki, a na sam koniec informacja o rozwiązaniu stosunku pracy za porozumieniem stron. Ani jednej uwagi co do pracy, nagany czy zażalenia ze strony pacjenta. Gdyby nie plotki zasłyszane od zasłużonej pielęgniarki, mogłoby się zdawać, że doktor był niemal kryształową postacią.

Na stoliku wylądowało ich zamówienie. Gleba upiła łyk gorącej kawy i z zadowoleniem spojrzała na talerz z szarlotką. Lekko parowała, towarzyszące jej lody delikatnie się roztopiały, zachęcając do jak najszybszego rozprawienia się z ciastem. Tak też zrobiła.

Szarlotka była idealnie skomponowana, niczym delikatny mazurek Chopina, w punkt, jak to się mawia. Słodkie ciasto łagodziło kwasowość jabłek, kruszonka przyjemnie strzelała słodyczą w zębach, całość przegryzana zimnymi lodami powodowała prawdziwą burzę doznań, raz mroziła język, po chwili rozgrzewała usta, uderzała jabłkową kwaskowością, po chwili słodkością spieczonego ciasta.

– Matko Bosko Szarlotkowo! – skomentowała Gleba. – Ależ to, kurwa, dobre. Przenosimy śledztwo do Sandomierza, natychmiast.

– Daj spokój, zadupie, chujem tu wieje.

– Brukselko, od kiedy przeklinasz?

– Faktycznie, w towarzystwie damy zdecydowanie nie wypada.

– Ale kuchnię mają genialną. Zabierasz tu swoją Matyldę na randki?

– Bywa. Sandomierska starówka to modne miejsce, jest gdzie pospacerować, cyknąć fotkę.

– I pewnie wychodzą urocze zdjęcia, takie w sam raz dla zakochanych?

– Masz rację. W całej mojej miłości dla Stalówki muszę przyznać, że romantyzmu tam nie ma za grosz. Człowiek chciałby mieć wspólne zdjęcie z narzeczoną, żeby oprawić w rameczkę, no a tutaj jest pięknie.

– Mój ty romantyku, nie poznaję kolegi! To miłe, urocze wręcz, że kilkanaście tysięcy par każdego roku robi sobie tutaj wspólną fotkę, czując się wielce oryginalnymi podróżnikami i niesamowitymi romantykami.

– Oho, przyszła pani cyniczna, pogromca dziecięcych uśmiechów, niszczyciel dobrej zabawy. Powiedz lepiej, czy znalazłaś coś w papierach? – Zmienił temat na bardziej wygodny.

– Nic i wszystko – odpowiedziała. – To był bardzo dobry lekarz, ambitny, kursy, szkolenia, przebieg pracy bez zarzutu. Niemożliwe, żeby z takimi skłonnościami nikt wcześniej nie zauważył odchyień od normy. Nawet ta plotkująca pielęgniarka by napomknęła, że wszyscy o tym wiedzieli, bo doktor zachowywał się dziwnie, aż się w końcu wydało. A tu nic z tych rzeczy. Mówiąc krótko, nie wierzę w tę nekrofilję.

– Ale przecież się nie bronił – zauważył Karol. – Gdyby był niewinny, spokojnie wygrałby w sądzie, myślę nawet, że wszystko by zostało ukrócone jeszcze na etapie oskarżeń.

– Zgadza się. Zatem coś tu nie gra. Może ta dziewczyna będzie kluczem do rozwiązania.

– Dużo fachowych terminów, które nawet ciężko mi przeczytać – powiedział Damięcki, podnosząc teczkę. – Ale z grubsza wszystko zgadza się z tym, co opowiadał dyrektor. Poród, komplikacje, zgon.

– Adres dziewczyny masz? Jeśli to blisko, to może pojedziemy.

– Jest. Ulica Ogrodowa.

– Zaraz, a co stało się z dzieckiem? Cięża była bliźniacza, jedno z dzieci nie przeżyło, ale drugie przecież tak.

Damięcki otworzył teczkę i przewertował kartki, ale po chwili pokręcił przecząco głową.

– Ani słowa.

– Ciekawe. Powinien być jakiś wypis albo coś, tak mi się wydaje. Zadzwoń do naszego dyrektorka.

Wyjęła wizytówkę wręczoną jej w gabinecie i wybrała numer, rozmówca jednak nie odbierał. Umawiając spotkanie, wspominał, że ma dziś napięty grafik, pewnie miał jakieś ważne spotkanie. Napisała do niego SMS-a z pytaniem o dziecko Doroty

Chmiel. W czasie, gdy próbowała się dodzwonić, Karol zapłacił rachunek, informując ją, że dzisiaj stawia. Nie kłóciła się za bardzo, w końcu to nie była randka.

– Jedziemy na Ogrodową – zarządziła, gdy wstali od stolika. – Zobaczymy, czy rodzina Chmielów dalej mieszka pod tym adresem.

– Bliźniak, który przeżył – powiedział z namysłem Damięcki. – Myślisz, że to on się mści albo coś?

– Karolku, naczytałeś się za dużo kiepskich kryminałów – odpowiedziała. – I co, może mu się wydaje, że ten drugi cały czas żyje i z nim nawet rozmawia? To nie horror klasy C, to życie. Rozwiązanie będzie bardzo prozaiczne, zobaczysz.

Wrócili do samochodu, przedzierając się przez mrowie ludzi snujących się wolnym krokiem brukowanymi uliczkami, stojących w kolejkach po lody, w większości jednak uśmiechniętych. Gleba nie lubiła urlopów i romantycznych wypadów. Raz chłopak zabrał ją do Zakopanego i z dumą wprowadził na Krupówki, spodziewając się najpewniej, że oniemieje z zachwytu, a Gleba poczuła się jak w warszawskiej galerii handlowej Złote Tarasy, tłum ludzi, a po lewej i prawej tylko sklepy znanych sieciówek. Gdy zapytała, kiedy pójdą w góry, mocno się zdziwił, liczył, że będą chodzić sobie od knajpki do knajpki, a potem gzić się w hotelu. Jej kpiąca uwaga, że równie atrakcyjnie, za to dużo taniej byłoby odwiedzić dowolną galerię handlową, spowodowała, że się obraził i wrócili do Warszawy, a związek został zakończony za porozumieniem stron.

Kosma za to zabierał ją motocyklem na wycieczki w różne dzikie miejsca. Na początku nieco się bała, ale później pokochała jazdę na moto. Zaraz, Gleba, stop! Jaki Kosma. Zapomnij! Teraz jest Albert, którego chyba będziesz musiała oficjalnie przesłuchać.

Ruszyli spod Bramy Opatowskiej, ale tylko okrążyli park miejski i znowu po kilku minutach byli na miejscu. Wąska uliczka z dwupiętrowymi ni to blokami, ni kamieniczkami, otoczona zielenią, nawet i przytulna.

– To chyba będzie ta klatka. – Wskazał drzwi Karol, wysiadając.

Podeszli do wejścia, ale nie było żadnego domofonu. Chłopak nacisnął kłamkę, ale drzwi okazały się zamknięte.

– Państwo do kogo? – powitał ich głos z góry.

Z okna na pierwszym piętrze wyglądała starsza pani w pofarbowanych na lekki odcień niebieskiego włosach. Duże okulary sprawiały wrażenie, że jest strasznie wszystkiego ciekawa, a już szczególnie celu ich wizyty.

– Szukamy państwa Chmielów – poinformowała ją Gleba.

– Coś się stało? – zapytała kobieta.

– Mamy do nich kilka pytań – odpowiedział Damięcki. – Jesteśmy z policji. – Pokazał jej odznakę.

– A to już schodzę – powiedziała kobieta i zniknęła w mieszkaniu.

Musieli czekać dobre dziesięć minut, zanim zgrzytnął zamek w drzwiach do klatki schodowej i pojawiła się w nich wysoka, choć lekko przygarbiona postać.

– Zamykamy na klucz, bo tu tylko sześciu lokatorów – wyjaśniła kobieta na wstępie. – Sami starsi, każdy ma klucz, a przynajmniej żadne Jehowe nie łążą.

– Zrozumiałe – bąknęła Gleba.

– O Chmielów wam chodzi? – zapytała kobieta, wskazując zieloną ławkę przed blokiem.

Podeszli do niej, staruszka usiadła, Damięcki obok niej, dla Gleby nie starczyło miejsca. Zresztą zauważyła, że Karol budzi w staruszkach jakiś rodzaj instynktu opiekuńczego i rozmawiają głównie z nim. A może dla starszego pokolenia policjant to mężczyzna, a kobieta nie jest na tyle kompetentna, aby mogła prowadzić sprawy kryminalne? A może powinna zostawić w samochodzie swoją różową kurtkę.

– Mieszkają tu nadal? – zapytała Gleba.

– Oj, już dawno nie, będzie kilka lat. To chyba jakoś przed tym wirusem mieszkanie kupili Ozorkowscy, co to on jest dentystą, no to pieniędzy ma. Matkę tu przywieźli, bo mieszkanie na parterze, park blisko, do sklepu też niedaleko. Jeden minus taki, że do przychodni daleko, ale po nią przyjeżdżają.

– Wyprowadzili się? – zapytał Karol.

– A o którego z Chmielów się dokładnie rozchodzi?

– O Dorotę. Ta, co przy porodzie zmarła – odparł szybko chłopak.

– A tak, straszna tragedia – posmutniała kobieta. – Biedna to była rodzina, nie przelewało się, ale za to porządna. Rysiek, ojciec znaczy się, nie pił, do roboty chodził. Danuta, żona jego, to trochę latawa była, lubiła wypić, potańczyć, bardzo ładnie śpiewała. Głos miała jak ta Villas, jak się na Ryśka darła, to całe osiedle słyszało. I tak sobie żyli, jedną tę córkę mieli, oczko w głowie. Zawsze grzeczna, w niedzielę do kościoła chodziła, a ładna jak z obrazka. Kręciło się chłopaków sporo wokół niej, ale nie patrzyła za żadnym. Nawet się martwiła Danusia, że córka to chyba się nie ożeni, że z nią coś nie tak, ale w końcu się kawaler pojawił. No i zaraz potem zaciążyła.

– Kto był ojcem? – zapytała Gleba.

– Tego nie wie nikt. Miała kawalera, ale strasznie się z tym kryła, a i on też tajemniczy, nigdy nie przychodził, ona się stroiła i szła gdzieś na miasto, stamtąd ją zabierał. Podobno starszy i elegancki. Ale z bliska nikt go nie widział, tylko jak w samochodzie siedział, dużym i czarnym, strasznie się kryli. Mnie się wydaje, że to on był ojcem. No a potem przyszedł ten rok, co się im wszystkim życie zawało.

Najpierw Dorotka zaciążyła i nawet było z tego radości. To już nie te czasy, że jak bez ślubu dziewczyna zachodziła w ciążę, to się ją na wieś wysyłało, żeby sąsiedzi nie widzieli, bo wstyd. Brzuszek rósł i wszyscy pomagali, warzywa z działki sama przynosiłam, żeby witaminki miała. Ona radosna też była. Później coś się porobiło, trafiła do szpitala i Pan Bóg zabrał ją i dzieci.

– Obydwoje? – zapytał szybko Karol.

– Tak. No i potem... Ech, szkoda gadać. Danka strasznie krzyczała po pogrzebie, w takie histerie wpadała, a głos miała, oj, miała, już mówiłam. Karetkę do niej wzywali, aż w końcu Rysiek powiedział, że ją do siostry na wieś wywiózł. Gdzieś w Lubelskie. A tam... No podobno podcięła sobie żyły i już. Po Dance.

– A Ryszard?

– Ten? – westchnęła ciężko kobieta. – Rozpił się strasznie. Jeszcze jakiś czas łąził, marniał w oczach, potem nagle przestał tu przychodzić. Nie wiem, co się z nim stało. Chyba umarł, bo przecież mieszkanie ktoś kupił, to ktoś musiał sprzedać. Może w jakimś urzędzie się dowiedziecie. W końcu wy policja, to tam kartoteki macie na wszystkich.

Mimo kilku kolejnych pytań nie dowiedzieli się niczego konkretnego. Kobieta nie знаła adresu rodziny na Lubelszczyźnie, nikt inny się nie pojawiał w mieszkaniu. Podziękowali sąsiadce pechowej rodziny, Damięcki jeszcze dla porządku poprosił ją o personalia i wrócili do samochodu.

– Tajemniczy kochanek to ani chybi nasz doktor – stwierdził, gdy wsiedli do auta.

– Też jestem tego zdania. Prawdopodobny scenariusz, który mi się tworzy w głowie, to wielka miłość, niespodziewana ciąża, Budziński odbiera poród, ale na stole umiera jego ukochana i jedno z dzieci. Nie miał ogólnie zbyt mocnej psychiki, więc totalnie świruje. Schodzi do kostnicy, kładzie się obok ciała swojej ukochanej, ktoś go na tym nakrywa, robi się afera. Nikt nie wiedział, że byli razem i jest ojcem, on znowu załamany nie broni się, życie traci sens.

– Nawet się to klei, ale pozostaje kwestia dziecka, które przeżyło. Zakochany ojciec po prostu je porzuca?

– Dlaczego nie? Jak widać, doznał takiego szoku, że całkowicie zaprzestał praktykować i został... no właśnie, kim? Półmencem? Musimy ustalić, co się stało z dzieckiem. Ile miałoby teraz? Dwadzieścia lat? Zadzwoń do dyrektora szpitala.

– Okej, a ja zlecę ustalenie miejsca pobytu Ryszarda Chmiela.

Obydwoje złapali za telefony, Damięcki wysiadł, żeby nie przeszkadzać Glebie w rozmowie, bo tym razem dyrektor odebrał niemal od razu.

– Pani komisarz. – Głos mężczyzny był mocno naładowany pozytywnymi wibracjami, a Glebie nie chciało się go poprawiać, dla cywilów niemal każdy policjant

bez munduru był komisarzem. – Wiadomość od pani kompletnie mnie nie zaskoczyła, sam zaciekałem się dalszymi losami tego dziecka, bo mniemam, że w tej sprawie pani dzwoni?

– Tak.

– Dobrze zgadłem. Otóż jak tylko wyszliście, to zadałem sobie to pytanie: co się stało z ocalałym bliźniakiem, tym bardziej że nie ma o tym słowa w papierach. Natychmiast zacząłem poszukiwania.

– Widzę, że wkręcił się pan w sprawę.

– Jeśli kiedyś los spłata mi figła i będę szukał nowej pracy, rozważę karierę detektywa – zaśmiał się do słuchawki dyrektor. – Otóż wyjaśnienie całej sprawy jest banalnie proste, dziecko przeżyło i jako wcześniak spędziło sporo czasu w inkubatorze, a później zgodnie z wolą rodziny zostało oddane do adopcji.

– Coś więcej na ten temat?

– Mam jedynie wypis ze szpitala, dziecko w dwunastym tygodniu życia opuściło nasz ośrodek w stanie bardzo dobrym zgodnie z wymogami procedury adopcyjnej. Nic więcej nie wiem, drugi raz do nas nie trafiło. Ksiądz sprawujący opiekę duszpasterską nad szpitalem ochrzcił je zaraz po urodzeniu, bo rokowania były kiepskie. Dziecku nadano imię Adam.

– Adam Chmiel – wypowiedziała na głos Gleba.

– Jeśli chodzi o ustalenie dalszych losów dziecka, to niestety nie będę mógł pomóc. Obstawiam jednak, że procedurę przeprowadzał dom dziecka w Łoniowie.

– Dziękuję panu bardzo za zaangażowanie – powiedziała Gleba, rozłączając się akurat w momencie, gdy Damięcki wsiadł do samochodu.

– Załatwione – oznajmił. – Wracamy do Stalówki? W firmie czekają na nas kompletne raporty techników oraz szczegółowe wyniki autopsji. Aha, podobno chłopaki zrobili odlewy silikonowe ran na głowach i przygotowali listę narzędzi, których mógł używać sprawca.

– Albo sprawcy.

Damięcki westchnął z rezygnacją i pokręcił głową, chyba nadal marzył mu się seryjny morderca. Uruchomił samochód i skierował się wzdłuż parku w stronę wyjazdu z miasta.

7.

Ogródek Jordanowski, Stalowa Wola

Godzina 13.30

Słodki bał się nadchodzącej konfrontacji, ale była nieunikniona. O tej godzinie jego dawni towarzysze najpewniej siedzieli w swoim stałym miejscu i oddawali się nasączeniu swoich organizmów tanim alkoholem. I nie mylił się.

Na zacienionej ławce siedział Szwendacz, sztywny i naburmuszony jak zwykle, obok niego nieodłączny Dziwisz, a za nimi na soczyście zielonej trawie spał kolejny z kompanów, Pęksiok. Ten zawsze na początku miesiąca miał trochę gotówki, nikt nie dociekał źródła, ważne, że wyrażał chęć, aby ją przepijać ze swymi kompanami. Szczurami.

– Słodki! – ucieszył się na jego widok Dziwisz. – Nie byłeś na obiedzie – zauważył ze smutną miną.

– Nasz przyjaciel jada teraz u księdza dobrodzieja – skomentował Szwendacz.

Lekko bełkotał, widocznie alkohol zrobił swoje, inaczej sprawa miała się z Dziwiszem, po nim nigdy nie było widać, aby coś wypił, aż w pewnym momencie go odcinało i zasypiał.

– Otworzyli tam stołówkę? – zapytał się Dziwisz.

– Dla kapusiów – zarechotał Szwendacz. – A może nasz przyjaciel inaczej płaci za jedzenie, skoro księża nie odróżniają kobiety od ministranta, to może i na bezdomnego któryś się skusił, kto wie, niezbadane są wyroki boskie.

– Masz coś mojego – rzucił twardo i zdecydowanie Słodki.

– Honor?

– Moje pamiątki – odparł Słodki, nie dając się wciągnąć w pyskówkę.

– Tam nie ma nic twojego. To dla twojego dobra, musisz zostawić swoje dawne życie, inaczej się nie wyrwiesz, uwierz mi.

– Nie pierdol. – Nawet nie podniósł głosu, ale sam poczuł moc swoich słów. – Po prostu to oddaj.

Szwendacz nic nie powiedział, schylił się po stojącą przy nodze butelkę z czerwoną zawartością, powoli ją podniósł, niejako z namaszczeniem przetarł szyjkę, po czym upił bardzo duży łyk.

– Czego chcesz? – zapytał w końcu Słodki.

– A co masz? – odpowiedział pytaniem, ocierając usta.

– Skoro to zabrałeś, to dobrze wiesz, czego ode mnie chcesz.

Szwendacz popatrzył na alkohol, przekazał butelkę Dziwiszowi, który przyjął ją z radością niemal taką, jaką okazuje dziecko ojcu za wręczoną olbrzymią porcję lodów.

– Przyjdź do mnie w nocy, do przyczepy – powiedział w końcu. – Dobijemy targu.

– I dasz mi w końcu spokój?

– Dam ci wszystko, co tylko chcesz. – Szwendacz uśmiechnął się szeroko, ukazując zepsute zęby.

Słodki skinął głową, zacisnął pięści i odwrócił się na pięcie. Nie, nie miał chęci rzucić się na swojego nowego wroga, ale wyrwać z rąk Dziwisza butelkę i wlać w siebie zawartość. Przemożnie chciało mu się chlać.

8.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 15.00

Gleba spoglądał na Damięckiego i widziała jego zdenerwowanie. Zerkał co chwila na zegarek i przebierał nogami, wiercił się na krześle i coś burczał pod nosem.

– Możesz wyjść wcześniej, jak chcesz – powiedziała. – Dokąd zabierasz swą oblubienicę?

– Właśnie nie mam żadnego pomysłu – odpowiedział, przygryzając wargę.

– A co ona lubi?

– No to, co wszyscy.

– Czyli? Jakąś specyficzną muzykę? Może jest fanką Dawida Podsiadły? Lubi horrory? Modelarstwo? Piłkę nożną? Pływanie synchroniczne? Musi coś być.

– Właściwie to normalna dziewczyna.

– Może czyta książki?

– Raczej nie.

– Czyli nie wiesz, co lubi – stwierdziła.

– Muzyka to taka z radia. Filmy głównie romantyczne. Sportu nie uprawia, nudzi ją.

– Tańczy?

– No byliśmy raz na weselu – odpowiedział zmieszany.

– Tańczyła?

– Coś tam tańczyliśmy.

– Zabierz ją na tańce. Nie znam kobiety, która nie lubi tańczyć.

– W Stalowej? Przecież tu nic nie ma.

– No to jedźcie gdzieś do klubu, może do Rzeszowa, przecież to rzut kamieniem.

Skrzywił się nieco i pospiesznie otworzył kartonowe pudło, które czekało na nich w pokoju.

– Coś wymyślę – rzucił.

– Dobra – odpowiedziała zrezygnowana. – Co tam mamy?

– Odcisk numer jeden – oznajmił, wyjmując worek strunowy z pudła.

Sięgnął po odlew z czerwonego silikonu i położył go na stole. W worku była też kartka z opisem techników. Zarówno kształt odlewu, jak i ich uwagi wskazywały na mały łom. Końcówka sześciokątna, ostre krawędzie rany.

– Łom? – zdziwiła się Gleba.

– Na to wygląda – zgodził się Damięcki.

– Trzeba będzie przeszukać okoliczne sklepy i spróbować dopasować odlew do asortymentu.

– Zajmę się tym.

– Poczekaj, pokaż drugi worek.

Damięcki wyjął z pudła odlew oznaczony dwójką. Był podobnej wielkości, jednak kształt miał całkowicie inny, widać było na pierwszy rzut oka, że mieli do czynienia z całkowicie różnymi narzędziami zbrodni.

– Rurka? Pręt? – zgadywał chłopak.

– Co tam opisali chłopcy? – Gleba wskazała kartkę.

– Tępa końcówka młotka ciesielskiego – przeczytał Damięcki.

– Hm... W takim razie masz dwa fanty do sprawdzenia.

– Jasne.

– Dwa różne narzędzia zbrodni – podsumowała Gleba. – Ale styl działania podobny, atak na uboczu, uderzenia w tył głowy, potem łańcuch i poderżnięcie gardła.

– W pierwszym przypadku mówiłaś, że ofiarę zabrano z miasta i wywieziono na kulochwyty – zauważył Damięcki.

– Takie poczyniliśmy założenie, nie mamy na to żadnych dowodów – powiedziała. – Nasz Posejdon to nie był zwyczajny żul, nadal nie wiemy, dlaczego przebywał z bezdomnymi, może bywał także w okolicach strefy.

– A co sądzisz o różnych narzędziach zbrodni?

– Sama nie wiem, nie mamy żadnych informacji od profilera. Niegdyś byli traktowani niemal jak szamani, dzisiaj kolejki do ich opinii jak na zabieg w NFZ. Ale teraz skup się na wieczorze, spisz raport z dziś i koniec. Ja jeszcze pogrzebię za tym samobójstwem matki Doroty. Pomyślę też nad jakimś romantycznym wieczorkiem dla was dwojga.

– Gleba, daj spokój.

– Niestety, nie mogę. Starzeję się i chyba jako stara panna łapię syndrom wścibskiej ciotki kojarzącej pary. Jeszcze zanim skończysz z raportem, to sprawdź, czy nie przyszło coś w kwestii tych rozpraw sądowych Henryka Skórzyńskiego. Właśnie, jak tam moja szafa? Przywieźli ją w komplecie?

– Zabezpieczyli dom. Jak chcesz, to jedź tam i wertuj, powiedzieli, że niczego tu nie przywiozą, nie ma tego gdzie postawić.

– Lenie cholerne – mruknęła Gleba. – Dobra, kończ robotę i spadaj.

– A ty nie chcesz spędzić wieczoru ze swoim wojownikiem?

– Ciekawski pies do studni wpadł – odparła. – Proszę się odmeldować.

Kiwnął głową i ponownie spojrzał na zegarek.

9.

Kościół św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 15.30

Słodki znalazł w końcu spokój w chłodnym wnętrzu kościoła. Tutaj nie ciągnęło go na chłanie, może to przez chłód, może wskutek specyficznego zapachu parafiny i kadzidła? W każdym razie znajdował tu spokój, a tego mu było teraz najbardziej potrzeba. Poczul nawet chęć wyznania się, chociaż od wczoraj przecież nie nagrzeszył.

Usłyszał jakieś szuranie, odwrócił się i zauważył księdza Michała, który który szedł w stronę ołtarza.

– Szczęść Boże – powitał go.

Kapłan tylko kiwnął głową i uśmiechnął się blado.

– Będzie ksiądz może spowiadał?

– Nie, dziś nie – odpowiedział wikariusz i zatrzymał się na wysokości ławki zajmowanej przez Słodkiego, spojrzął na niego i usiadł obok z ciężkim westchnieniem.

– Pytałem, bo chyba potrzebuję spowiedzi. Tak mnie uspokaja.

– Ja... Nie wiem, czy mogę jeszcze spowiadać. Sam powinienem oczyścić się z grzechu.

– Rozumiem – powiedział Słodki, chociaż tak naprawdę nie rozumiał. Jakie grzechy mógł mieć ten młody, wiecznie uśmiechnięty ksiądz? Jakie troski? Jakie pragnienia? Bo to przecież pragnienia pchały do grzechu, a właściwie troski związane z niemożnością ich zaspokojenia. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Ale nie zrobię tego – oznajmił z westchnieniem kapłan. – Spowiedź ma tylko wtedy sens, gdy podczas wyznania grzechów czujemy skruchę i chcemy się zmienić, nie grzeszyć więcej. To nie jest tak, że można coś ukraść, potem się wyznawać i kolejnego dnia znowu coś ukraść, bo przecież ponownie pójdziemy do spowiedzi. Wielu ludzi myśli, że spowiedź to bezwzględny reset, ale nic z tych rzeczy. A ja, cóż, raczej nie przestanę grzeszyć. Nawet w swój grzech nie bardzo wierzę.

Słodki nie miał pojęcia, o czym mówi ksiądz Michał. Coś go musiało dręczyć, coś równie mocnego, z czym borykał się obecnie Słodki.

– Może pójde po księdza proboszcza? – zaproponował.

– Dałem Bogu całe życie, całą moją miłość – mówił dalej wikary. – Zawsze byłem tym radosnym księdzem, takim z gitarą, który zaraża miłością do Boga. Czułem Boga wszędzie i widziałem go w każdym człowieku i małym cudzie, pięknej pogodzie i równo padającym deszczu, w zamglonym szczycie góry i ośnieżonym krajobrazie, dosłownie każde mrugnięcie okiem było dla mnie nowym momentem poszukiwania Boga. Myślałem, że gdy zostanę księdzem, to on odwzajemni tę miłość, bo będzie to moje ostateczne oddanie. Myliłem się. Bóg nie jest miłością, bo nie może być nią ktoś, kto nie odwzajemnia twojego uczucia lub stawia warunki dla swej miłości.

Słodki milczał, bał się powiedzieć cokolwiek, czując, że to nie jest rozmowa dla niego, nie ten poziom.

Wikary zamilkł, wyjął różaniec i począł się modlić. Szeptał kolejne słowa, a z jego oczu płynęły łzy. Słodki przełknął głośno ślinę, wstał i cicho wyszedł z kościoła. Uderzyło w niego z całą mocą słońce i znowu cholernie chciało mu się pić.

Sięgnął bezwiednie do kieszeni i trafił na mały kartonik. Wyjął go i przypomniał sobie moment, gdy ta miła policjantka wręczyła mu wizytówkę, zapewniając, że może dzwonić, kiedy tylko chce, ona mu pomoże. Problem był taki, że nie miał telefonu. Ruszył na plebanię, pewnie ktoś mu pożyczy aparat. Musiał porozmawiać z policjantką, opowiedzieć jej, że Szwendacz widział coś, podobnie jak on. Niech wezwą go na świadka i przepytają.

– To pan – powitała go gospoia. – Odgrzać obiad? Nie je pan z nami, nie smakuje, jak gotuję?

– To nie tak – zaprzeczył. – Czuję się tutaj trochę taki... jak by to powiedzieć... nie na miejscu.

– Niepotrzebnie. Każdy jest tu mile widziany. Co pan najbardziej lubi jeść? Ugotuję na jutro.

– Uwielbiam jajka sadzone z młodymi ziemniakami i zsiadłym mlekiem – wypalił, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Kuchnia akceptuje zamówienie. – Mrugnęła do niego kobieta. – Ulubione danie zawsze poprawia humor.

– Ksiądz Michał chyba także tego potrzebuje – powiedział Słodki.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Odwróciła się i nałała do szklanki kompotu, przesunęła ją po stole w jego kierunku.

– Jemu może pomóc tylko Bóg – powiedziała oschle.

Wziął od niej szklankę i wypił duszkiem, kompot był bardzo smaczny, ale niestety przypominał swoim smakiem nalewkę pijaną w parku.

– Czy mogę stąd zadzwonić? – zapytał, ocierając usta grzbietem dłoni.

– Aparat jest w przedpokoju. – Kobieta pokazała w kierunku wyjścia.

Kiwnął głową w podziękowaniu i ruszył w stronę czerwonego aparatu wiszącego na ścianie, podniósł słuchawkę, sprawdził, czy jest sygnał, po czym wybrał numer.

10.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 16.00

Telefon zawibrował Glebie w kieszeni i przez chwilę poczuła chęć, aby go nawet nie wyjmować, nie patrzeć na ekran, bo pewnie zobaczy matkę albo Alberta, a nie chciała

rozmawiać z żadnym z tych dwojga. Zwyciężyła jednak policyjna obowiązkowość i została nagrodzona, bo zobaczyła obcy numer, na dodatek stacjonarny.

– Pani podkomisarz Iga Ziemia? – usłyszała słaby męski głos.

– Przy telefonie.

– Tu Słodki – poinformował ją rozmówca. – To znaczy Wincenty Kłos. Nie wiem, czy pani kojarzy?

– Oczywiście. W czym mogę pomóc?

– Miałem dzwonić w razie potrzeby. Nie przeszkadzam?

– Absolutnie. Proszę mówić.

– Od dwóch dni nie piję – powiedział rozmówca, a w jego głosie czuć było zmianę, stał się mocniejszy.

– Moje gratulacje – odpowiedziała Gleba, jednocześnie przeglądając raporty z sekcji zwłok.

– Dziękuję. Pomaga mi ksiądz proboszcz, złoty człowiek. Ale ja w innej sprawie. Otóż wydaje mi się, że ja mogłem coś widzieć tego wieczoru, gdy umarł Posejdon.

Gleba zamknęła teczkę i rzuciła ją na stół. Drzwi do ich pokoju otworzyły się i stanął w nich Damięcki z plecakiem zaczepionym na jednym ramieniu. Machnął jej na pożegnanie, ale zawołała go nagłym gestem i pokazała na telefon. Zamknął za sobą drzwi, a Gleba włączyła tryb głośnomówiący.

– Co takiego pan widział?

– Otóż jak przestałem pić, to tak powoli pamięć mi się nieco odświeża. Tego wieczoru to piliśmy sobie w komplecie, ale w pewnym momencie Posejdon poszedł w krzaki, pewnie za potrzebą, i zniknął. Wydaje mi się jednak, że ja kogoś widziałem tego wieczoru, mężczyznę, takiego wysportowanego.

– Pamięta pan jego twarz, ubranie, cokolwiek?

– Niewiele właśnie – odparł ze smutkiem mężczyzna. – Ale wydaje mi się, że jeden z moich kolegów widział. Mówią na niego Szwendacz.

– Coś kojarzę – powiedziała Gleba.

– Ja z nim porozmawiam jeszcze dzisiaj, ale chyba trzeba będzie go przesłuchać.

– Gdzie go znajdę?

– Dziś to chyba nie będzie w stanie rozmawiać, jest nieco... no pił.

– Możemy go zabrać na dołek i rano będzie gotowy – odparła.

– Nie. – W głosie mężczyzny zabrzmiało niemal przerażenie. – Ja przyjdę rano, przed ósmą, i pojadę z panią, pokażę, gdzie go można znaleźć.

Gleba spojrzała na Damięckiego, a ten pokiwał głową z aprobatą, pokazał na zegarek i wyszeptał.

– Jutro, proszę.

No tak, najpierw namówiła go na wieczór z Matyldą, a teraz miała mu go zepsuć? Jeśli chłopak usłyszy, że dziś pojedą zawinąć tego menela, to zostanie, nie odpuści.

– Dobrze – odparła Gleba. – Ale umówmy się, że przyjedziemy po pana na plebanie o siódmej rano, zgoda?

– Tak, bardzo dobrze – odpowiedział Słodki z wyraźną ulgą w głosie. – Będę czekał. Dziękuję pani podkomisarz, bardzo dziękuję.

Rozłączyli się.

– Leć już – powiedziała Gleba. – Przecież nie rozwiążę sprawy bez ciebie.

– Dzięki. – Uśmiechnął się szeroko. – Chwilę temu dzwoniłem do Matyldy i zabieram ją do Rzeszowa. Skoczmy na zakupy, potem jakąś kolację, ona już się szykuje, gdybym teraz zadzwonił...

– Spoko, spadaj. Baw się dobrze. Ja mam co robić – powiedziała, wskazując teczki na biurku.

Damięcki wyszedł z pokoju, salutując jej. Gleba usiadła za stołem i wróciła do wertowania raportów od patologa. Po skończeniu tej niezbyt porywającej czynności planowała wyskoczyć jeszcze do domu Skórzyńskiego i przyjrzeć się szafie pełnej tekturowych teczek, podskórnie czuła, że rozwiązanie może znajdować się właśnie tam, a leniwi technicy nie przywieźli mebla do ich magazynu. No cóż, kazał pan, musiał sam.

11.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 16.15

Słodki odłożył słuchawkę i spojrzał na gosposię, która patrzyła na niego z pełną aprobatą.

– Nie jest łatwo zacząć nowe życie – powiedziała. – Życzę panu szczęścia.

– Dziękuję – odpowiedział. – Wicek jestem. Wincenty.

– Małgorzata – odpowiedziała kobieta i podała mu rękę. – Ale mówią na mnie Majka. Mam nalewkę na bruderszaft... – urwała w pół słowa, zdając sobie sprawę z walniętej gafy. – Ale przecież mówiłeś tej policjantce, że już nie pijesz.

– Z chęcią bym wypił na początek tak miłej znajomości, ale może kiedy indziej. Pewnie znajdzie się okazja.

– W takim razie zrobię ci na kolację jajka z młodymi ziemniakami, koperkiem i zsiadłym mlekiem. Niech to będzie nasz brudzio.

– Zgoda – odpowiedział z uśmiechem.

Ona również się uśmiechnęła. Kiedy ostatnio jakaś kobieta z nim rozmawiała, ot tak z przyjemności i do tego uśmiechając się? Nie pamiętał. Mimo wieku była piękną kobietą, a jej uśmiech jeszcze to podkreślał. Zaczął się jej przyglądać i z każdą kolejną

sekundą dostrzegł jej zgrabną figurę, obfity biust, roześmiane oczy. To rozpoczynanie życia na nowo było całkiem przyjemnym doznaniem, wiele rzeczy odkrywał na nowo i jakby przeżywał je znowu po raz pierwszy.

No i bardzo chciało mu się chlać.

12.

Dom Henryka Skórzyńskiego, ulica Karola Szymanowskiego, Stalowa Wola
Godzina 18.00

Siedziała w samochodzie, sprawdzając jeszcze na telefonie skrzynkę mailową, bo przyszło jej przed chwilą powiadomienie o nowej wiadomości. Mail zawierał listę spraw sądowych, w których Henryk Skórzyński był pozwanym lub oskarżycielem, i musiała przyznać, że spis był imponujący. Z ostatnich czterech lat uzbierało się ich około trzydziestu. Wiadomość dotarła do niej w idealnym momencie, mogła ją porównać z teczkami w szafie ofiary znad Sanu. Szczególnie ciekawiły ją zbiory odnoszące się dopiero do planowanych rozpraw, możliwe, że działanie mordercy było uderzeniem wyprzedzającym, a nie zemstą, ktoś mógł chcieć go uciszyć.

Schowała telefon do kieszeni, złapała za podręczną saszetkę, w której miała małą latarkę, rękawiczki jednorazowe i klucze do domu Skórzyńskiego.

Przeszła przez furtkę i rzuciła okiem na podwórko sąsiada, ale tym razem było puste. Otworzyła drzwi domu i skierowała się na piętro. Mimo słońca za oknem zaświeciła światło w pokoju, włożyła rękawiczki i zabrała się do przeglądania zawartości szafy. Technicy zdjęli już odblaski palców z drzwiczek, ale jeśli trafi na jakąś podejrzaną teczkę, to nie chciała zamazywać ewentualnych śladów. Możliwe, że ktoś po zabójstwie Skórzyńskiego zjawił się tutaj i sprytnie zacierając ślady, usunął tylko jedną kartkę z interesującej go teczki. Ostrożności nigdy za wiele.

Rzuciła okiem na zgromadzone dokumenty i musiała przyznać, że może Skórzyński był pieniaczem i lokalnym strażnikiem spraw wszelkich, w domu miał nabałaganione, ale w aktach porządek umiał zachować. Sprawy archiwalne lub toczące się były posegregowane według sygnatur, osobno te z wydziału karnego, cywilnego, pracy i gospodarczego. Jak widać, spektrum działania Skórzyńskiego było dość szerokie.

Teczki na samej górze, te dotyczące spraw przyszłych były znowu posortowane alfabetycznie. Gleba czytała kolejno: „Ambony”, „Amfiteatr”, „Bank”, „COP”.

Nagle usłyszała szmer na dole. Wyraźny, jakby ktoś przesunął po podłodze jakiś przedmiot. Odwróciła się powoli i spojrzała pod nogi. Podłoga była wyłożona panelami, nie powinny skrzypieć. Zdjęła rękawiczki i sięgnęła pod pachę do kabury z bronią, jej różowa kurtka miała ten plus, że idealnie maskowała noszony pistolet. Zastygła w bezruchu z dłonią na skórzanym zatrzasku i nasłuchiwała. Cisza zaczęła jej dudnić w uszach, przeraziła się szybszym biciem własnego serca. Zrobiła krok do

przodu, głównie po to, aby przerwać ten marazm, nie czuć się jak mała dziewczynka w nawiedzonym domu, sparaliżowana przypadkowym dźwiękiem.

Przesłyszała się? Technicy zostawili otwarte okno i może to ono napędziło jej stracha? Nie, dziś był bezwietrzny dzień, to nie mogło być okno.

Skrzypnięcie podłogi, ale nie pod jej nogą, szcęk klamki.

Tak, dobrze słyszała. Powinna teraz głośno krzyknąć, że jest z policji, może to ktoś z rodziny, chociażby żona powiadomiona o śmierci męża przyjechała dopełnić formalności. Musiała to sprawdzić.

Przeszła do korytarza i spojrzała w dół. Nic. Spokój. Cisza. Nikt nie skradał się po schodach, żeby ją zaatakować. No dobra, żarty się skończyły. Spodziewaj się dobrego i bądź przygotowana na najgorsze. Wyjęła pistolet z kabury, Beretta APX przyjemnie leżała w dłoni. Dostała ją od Kosmy jako prezent pożegnalny przed opuszczeniem Warszawy.

Oby tylko schody nie zatrzeszczały, pomyślała, schodząc krok za krokiem z lufą pistoletu skierowaną w podłogę. Schody jej nie podpadły, dzielnie znosiły jej ciężar, a ona z każdym krokiem widziała większy obszar holu na parterze. Miała jakieś cztery schodki do pokonania, gdy zobaczyła, co jest nie tak. Drzwi do piwnicy były uchylone.

Zeszła niżej, uważnie stawiając kroki, i nie było już mowy o niesfornym wietrze, uchylonym oknie, duchach czy zabłąkanych kotach, ktoś był w domu Henryka Skórzyńskiego i grasował po piwnicy. Słyszała kroki na betonowej posadzce, przesuwanie sprzętów. Podeszła do samych drzwi i nachyliła się w stronę szpary, może dotrą do niej jakieś strzępki rozmów albo cokolwiek, co pozwoli jej ustalić, czy ma do czynienia z jedną, czy dwoma osobami.

Usłyszała plusk, to jej telefon powiadomił o nowej wiadomości na komunikatorze. To był cichy plusk, sama ledwo go słyszała, ale w tym pustym domu zabrzmiał jak kamień zrzucony z mostu do jeziora w spokojny dzień.

Zakłęła, sięgnęła po smartfon, żeby go wyciszyć. Problem polegał na tym, że miała ustawioną blokadę ekranu na odcisk palca kciukiem z boku aparatu. Kciukiem prawej ręki, w której właśnie trzymała pistolet. Przełożyła go do lewej dłoni, którą przecież też mogła spokojnie strzelać, spojrzała na ekran i bardziej poczuła, niż zobaczyła, że jest atakowana. Zapach, ostry, jakby potu i brudu, a potem świat zapłonął. Usłyszała syk i jednocześnie oczy zaczęły jej prawie wypływać. Gaz pieprzowy. Znała to uczucie, dostała się kiedyś podczas zabezpieczania marszu niepodległości pod chmurę takiego gazu, gdy koledzy z prewencji traktowali ją pseudonarodowców.

Odruchowo chciała strzelić, ale coś ją przyblokowało, nie nacisnęła spustu, zadziało się jednak co innego, ostatni rok treningów w klubie walk Alberta. Kopnęła przed siebie, spodziewając się zastać tam przeciwnika. Co prawda uczono ją, aby raczej

sprowadziła go do parteru, ale w tym celu musiałyby odrzucić pistolet, no i jeśli napastnika by przed nią nie było, mogła spaść do piwnicy.

Ale był. Poczuła, jak noga wchodzi w ciało, nie miękkie, pod stopą wyczuła pękające żebro, usłyszała wydech powietrza i jęk, głośny, płaczący.

Niestety, była kompletnie oślepią, bardzo chciało się jej trzeć oczy, a zdawała sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Cofnęła się o krok, aby dać sobie chwilę, i postanowiła, że jeśli zobaczy w płonącej światłości zalewającej jej oczy chociażby sylwetkę przeciwnika, to naciśnie spust.

Ciekawe, dokąd ją tym razem przeniosą.

Przeciwnik jednak miał inny plan na tę walkę i przewagę tego, że wszystko widział.

Gdy unosiła pistolet, poczuła, jak coś ją uderza w przedramię i po ułamku sekundy w klatkę piersiową, straciła równowagę i upadła na plecy. W normalnych warunkach zrobiłaby przewrót przez bark i momentalnie się podniosła, ale w ciasnym holu ograniczały ją schody, o które walnęła z jękiem. Teraz to ona straciła dech i chyba złamała żebro.

Podniosła się, zasłaniając gardą twarz, ale kolejny cios nie nastąpił, w rozmazanym świecie wypełnionym łzami nie pojawiała się żadna sylwetka. Przeciwnik zniknął, pożegnał go trzask zamykanych drzwi.

Gdzie była kuchnia? Chyba po lewej, złapała się ściany i posuwając się po niej, dotarła pod kuchenny zlew, puściła zimną wodę i wsadziła twarz pod lodowaty strumień. Ulga była natychmiastowa, ale zdawała sobie sprawę, że ból wróci, gdy tylko podniesie głowę.

Minutę później zakręciła kran i złapała rolkę ręczników papierowych, wytarła dokładnie twarz. Cały czas robiła to, trzymając pistolet w dłoni. Oczy piekły jak cholera, ale nie było tragedii, wypłukała pieprz, ból przejdzie pewnie dopiero nad ranem. Schowała broń do kabury.

Wróciła pod klatkę schodową. Telefon, ten pieprzony zdrajca, leżał przy wejściu do piwnicy. Podniosła go i zobaczyła na ekranie chmurkę z feralną wiadomością. Damięcki przesłał jej zdjęcie z rynku w Rzeszowie. Selfiaczek. Stał ze swoją Matyldą, szczęśliwy jak szczeniaczek, i tulił swoją narzeczoną, a ta dawała mu soczystego buziaka w policzek.

– A żebyście się nie posrali z tego szczęścia – rzuciła gniewnie Gleba.

Wyszła przed dom, ale po napastniku nie było ani śladu. Cisza i spokój leniwego wieczoru na przedmieściach. Wróciła do domu i skierowała się do piwnicy, która chyba musiała mieć jakieś znaczenie, skoro tajemniczy intruz ją przeszukiwał. Ekipa techniczna w swoim raporcie nie wspomniała o niczym szczególnym, nie znaleźli tu żadnej skrytki czy sekretnego pomieszczenia.

No cóż, będą musieli poszukać jeszcze raz. Wyjęła telefon i zadzwoniła na komendę.

13.

Dom Henryka Skórzyńskiego, ulica Karola Szymanowskiego, Stalowa Wola

Godzina 19.00

Łukasz Lisicki spoglądał na Glebę z lekkim niedowierzaniem, a może nawet i z podziwem, oczy nadal jej łzawiły i sama nie wiedziała, co właściwie maluje się na twarzy technika.

– Widzisz, gdybym przywiózł tę szafę do naszego magazynu, to nie doszłoby do tego wszystkiego. – Zatoczył ręką łuk, pokazując wnętrze domu. – A tak to mamy kluczowy ślad.

– Rudy! – krzyknęła na niego. – Oślepiłam i mam chyba złamane żebro! Gość mógł mnie zabić.

– Złego diabli nie biorą – rzucił.

– Czy ty do czegoś podchodzisz na poważnie? – westchnęła.

– Tak, do swojej pracy, a noszenie szaf nie zalicza się do moich obowiązków służbowych. Luzuj, Warszawka, bo złość piękności szkodzi, a u ciebie naprawdę nie ma czym szastać. Sama dobrze wiesz, że ten pomysł z szafą był kompletnie bez sensu. Sprawdziliśmy ją na miejscu, żadnych skrytek. Klient trzymał wszystko na wierzchu.

– A piwnica?

– Sprawdzimy jeszcze raz, ale też niczego podejrzanego w niej nie było. Wszystko skatalogowaliśmy, obfotografowaliśmy. Daliśmy próbki trutki na szczury i karmy dla psów do analizy. No, ale teraz mamy to. – Wskazał na krwawy ślad na futrynie drzwi do piwnicy. – Jak mu przywaliłaś, to musiał się skaleczyć, łapiąc równowagę.

– Są jakieś paluchy? – zapytała z nadzieją.

– Owszem, mamy aż trzy – odpowiedział z uśmiechem. – Na moje to złapał się tak. – Zademonstrował chwyt na framudze. – Zatem będzie miał skaleczony prawy nadgarstek.

– Wreszcie coś.

– Myślisz, że to ten klient od trupów?

– Możliwe. Zobaczymy. Jeśli nie, to odpowie za napaść na policjanta.

– Zaraz wrzucimy go na bęben – oznajmił Rudy. – Może coś wyskoczy. Krew już posłaliśmy do analizy. Cukru mu nie sprawdzimy, ale DNA wyciągniemy.

– Super – odparła Gleba, przecierając oczy mokrą gazą. – To teraz sprawdźcie mi piwnicę, on musiał tam czegoś szukać.

Rudy w odpowiedzi tylko skinął głową i zszedł na dół. Gleba ponownie przetarła oczy i syknęła z bólu. Chyba trzeba będzie sprawdzić to żebro. Pokuśtykała do samochodu.

14.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 20.00

Słodki postanowił pójść na spotkanie ze Szwendaczem nieco wcześniej, głównie po to, aby pokazać mu, że nie będzie grał na jego warunkach. Był kwiecień, właśnie zaczynało się ściemniać, ale gdy tylko opuścił swoją kanciapę, to odwaga natychmiast go opuściła. Wrócił do malutkiej kuchni i sięgnął do szuflady po nóż. Musiał mieć jakąś broń, a na plebanii raczej niczego lepszego nie znajdzie. W garażu na dole była co prawda siekiera, duży sekator, nożyce do żywopłotu i kilka innych potencjalnych narzędzi do obrony, nawet stara kosa, ale jak by wyglądał, maszerując z czymś takim przez miasto? Nóż musiał wystarczyć.

Był spory, dość ostry i groźny, nawet w niewprawnych do walki rękach. Wystarczyło złapać za tępy koniec, a ostry wbić w przeciwnika, prościzna, nawet debil to potrafi. Oby do tego nie doszło, Boże miłosierny, oby nie.

Jednak lepiej mieć i nie użyć, niż nie zabrać i żałować.

Z tym postanowieniem wyszedł ponownie przed kanciapę i wciągnął w płuca wiosenne powietrze. Cholera, kolejna nowość, zapomniał już, jak to jest cieszyć się dobrą pogodą, spokojnym wieczorem czy chociażby zapachem lasu. Albo wypalanych liści jesienią. Tak, ten zapach kojarzył mu się najmocniej z dzieciństwem, gdy babcia grabiła liście i wypalała je, a potem wrzucali do żaru ziemniaki i jedli je jeszcze gorące, parzące w język, przesadnie posypane solą, w większości z przepaloną skórką. Nie było folii aluminiowej, i dobrze, ziemniak taki powinien być, niemal spalony, aby spod czarnej, zwęglonej skorupy można było wygrzebać smaczną zawartość. To jak z ludźmi, jak dobrze poszukasz, to znajdziesz coś wartościowego, nawet u takiego Szwendacza.

Tej jesieni będzie grabił i wypalał liście, a potem piekł ziemniaki, tak jak dawniej. Był tego pewien.

15.

Szpitalny Oddział Ratunkowy Powiatowego Szpitala Specjalistycznego, ulica Stanisława Staszica, Stalowa Wola

Godzina 20.15

Na szczęście zebro nie było złamane. Lekarz dyżurujący na SOR przyjął ją poza kolejnością, w końcu była na służbie, ale też znali się już z widzenia dość dobrze. Bywała tu często, pamiętała tydzień świąt bożonarodzeniowych, gdy wizytowała szpital pięć dni z rzędu, prosząc o wyniki obdukcji, robiąc rozpytanie, a raz nawet pacyfikując jakiegoś nawalonego pacjenta, bo akurat miała najbliżej i przyjęła

wezwanie. Co do lekarza, to pamiętała, że nieustannie podrywał wszystkie dziewczyny, a może był po prostu miłym gościem?

Obmacał jej żebra i w żadnym z ruchów nie zauważyła niczego niestosownego, a bywali lekarze, którzy potrafili sobie pozwolić na nieco zbyt wiele w stosunku do swoich pacjentek. Przepłukał jej także oczy i zalecił, aby chociaż dzień czy dwa oszczędzała je, na przykład nosząc przyciemniane okulary.

– Gaz nie jest taki groźny, ale dostałaś z bardzo bliskiej odległości – powiedział, notując coś w papierach. – Dam ci krople do nawilżania, pomogą, po co się męczyć.

– Najważniejsze, że żebro całe – odparła. – Aha, i jakby zjawił się u was ktokolwiek uskarżający się na podobne dolegliwości, to dajcie znać. Przywaliłam mu z kopa i poczułam pod stopą, jak pęka żebro, jestem pewna.

– Groźna z ciebie babka – powiedział z uśmiechem.

– Wiem, a dodatku potrafię przywalić. Wracając do naszego klienta, to ma także rozwaloną prawą dłoń.

– Będziemy mieli na niego oko.

– Powiedz mi, kojarzysz nazwisko Budziński? Był lekarzem.

– Pierwsze słyszę. Na którym oddziale?

– Nie w tym szpitalu, tylko w sandomierskim.

– To tym bardziej. Nie wszystkich u nas nawet znam, wiesz, wielu wpada tylko na dyżury, ciągną fuchy w kilku placówkach. Ale jak ci zależy, to podpytam, czemu nie. Co w zamian? Jakaś kawa może?

– Może – odpowiedziała Gleba i wstała z krzesła z cichym sykiem.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

– Wino.

– O proszę. Z chęcią sam dostarczę.

– Dziękuję, ale nie dziś. Muszę wrócić do tego domu, gdzie mnie tak gorąco przyjęto. Mam tam spotkanie z kilkoma dociekliwymi facetami sprawdzającymi dla mnie piwnicę.

– Twoja strata – westchnął lekarz. – To do zobaczenia.

Gleba wstała i spojrzała na plakietkę doczepioną do fartucha lekarza, Patryk Stawiarz. Cholera, tyle razy się widzieli, a nie znała nawet jego imienia.

– Tak, Patryk – powiedział z uśmiechem. – Nie tak piękne jak Ignacja, ale też ładnie.

Wyszła, posyłając mu uśmiech na do widzenia.

16.

Obozowisko bezdomnych, Stalowa Wola

Godzina 21.00

Dla Słodkiego to miejsce było jeszcze niedawno niemal domem, a na pewno czymś w rodzaju azylu, do którego nikt z normalnych mieszkańców miasta nie chciał nawet się zbliżyć. Dziś sam czuł się jak intruz, idąc przez ciemną noc w stronę starej przyczepy kempingowej. Oświetlał sobie drogę latarką zabraną z kanciapy i starał się zbyt głęboko nie oddychać, bo zapach nie należał do najprzyjemniejszych. Widział gdzieś rozpalone ognisko, niewielkie, podniesione głosy oznajmiały, że nadszedł czas na wieczorne Polaków rozmowy, bełkotliwe i pełne życiowych prawd, do których nikt się nigdy nie zastosuje.

Drzwi do przyczepy były otwarte, a przed nią siedział Szwendacz. Oświetlała go blada poświata rzucana przez dwie lampy ogrodowe ładowane energią słoneczną, najpewniej ukradzione z ogródków działkowych.

– Jesteś – rzucił zmęczonym głosem. – Cieszę się, że jesteś.

– Oddasz mi moje rzeczy? – zapytał Słodki.

– Tak, są tutaj. – Wskazał na stolik obok siebie. – Sprawdź, czy jest wszystko.

Słodki podszedł nieufnie, spodziewając się jakiegoś ataku, zacisnął dłoń na ręczce noża trzymanego w głębokiej kieszeni spodni. Zanim tu wszedł, to próbował kilku sposobów na jego noszenie, za paskiem, pod koszulą, nawet w rękawie, ale każdy z nich był cholernie niewygodny. W końcu po prostu wsadził nóż do kieszeni i trzymał dłoń na trzonku.

Wziął do ręki zawinięte w brudną szmatkę fanty i ze zdziwieniem spostrzegł, że niczego nie brakowało.

– Czego chcesz w zamian? – zapytał.

– Niczego – odpowiedział Szwendacz.

– To po co było to wszystko?

– Chciałem, żebyś tu jeszcze wrócił, wszystko sobie przemyślał. Porzucasz wolność, to warte zastanowienia.

– Wolność? – zdziwił się Słodki. – Czym jest ta wolność? Walczymy o przetrwanie, żeby nie umrzeć z głodu, nie zamarznąć zimą.

– To się nigdy nie zmieni, Słodki. Człowiek będzie walczył o przetrwanie, to jest w naszej naturze, ale zrzuciliśmy kajdany konwenansów, zależności, nadzór urzędników, nikt nie ma nad nami kontroli.

Słodki nieco się zdziwił, bo od kiedy to jego kolega potrafił się tak pięknie wysławiać? Poszperał w pamięci, ale nie przypominał sobie, aby ten chwalił się swoją przeszłością.

– Porzuciliśmy to wszystko – zgodził się ze Szwendaczem. – I jak tu byłem rano, to pomyślałem, że jesteśmy jak szczury, które żyją na śmietniku, pogardzane przez resztę, ale same są w rajach. Jednak nie jest tak, jak mi się wydawało. Szczury nie

porzucają się w potrzebie. Zamordowano Posejdona, jednego z nas, a nikogo to nie obchodzi. To my powinniśmy być tymi, którym najbardziej będzie zależało na wyjaśnieniu zagadki jego śmierci, a tobie nawet nie chce się zastanowić, co widziałeś tej nocy, gdy go zabrano i zaszlachtowano jak świnie.

– Szczury? – zdziwił się Szwendacz. – Nie, nie jesteśmy szczurami, nie upadliśmy tak nisko. Wiesz, gdzie szukać szczurów, całych stad? O tam, gdzie świecą światła miasta. Tam ich ciągnie, to jest ich śmietnisko, pełne smakołyków i gór, na które można wejść, kolejnych kołowrotek, w których można biegać.

– Czyli co, jesteście tacy sami?

Szwendacz wstał, nie chwiał się, nie był pijany, mówił wyraźnie. Nabrał powietrza i zanucił piosenkę, której melodię Słodki bardzo dobrze znał, on ją nucił niemal codziennie pod nosem, ale nigdy nie było słów, aż do teraz.

– Szczury. Poprzez ciemne korytarze ich gonitwa nie ma końca. W świetle celów, a nie marzeń, z piedestału szczura strąca szczur kolejny¹.

– Piękne – wyrwało się Słodkiemu. – Nie wiedziałem, że umiesz śpiewać.

– Zawsze umrzesz bogatszy o tę wiedzę, a to coś. Idź już, Słodki. Może kiedyś wrócisz, może nas już nie będzie. Ale teraz już idź.

Szwendacz odwrócił się i wszedł do przyczepy, zamknął za sobą drzwi. Słodki teraz się zorientował, że cały czas nieustannie zaciskał dłoń na rękojęści noża. Bardzo spoconą dłoń. Co go przeraziło? Nieznana twarz kolegi? Przecież każdy z nich miał jakąś przeszłość, jakąś zwrotnicę kierującą go na ten właśnie tor i kogoś, kto ją przesunął. Może Szwendacz był artystą? Poetą? Znanym muzykiem?

Ruszył do wyjścia z obozowiska, zegnały go odgłosy dobiegające z biesiady urządzonej przez dawnych kompanów przy ognisku, ale cichły z każdym krokiem, znikwały jak jego przeszłość, wystarczyło odważnie iść w wybranym kierunku, by ta cichła i zblakła.

Drzwi od przyczepy otworzyły się ponownie, tym razem gwałtownie, i w bladym świetle ogrodowych latarenek można był dostrzec postać mężczyzny trzymającego coś w ręce, coś, co wyglądało na długie, ciężkie i groźne. Ale Słodki nie mógł już tego dostrzec, wracał do swojego nowego życia.

17.

*Dom Henryka Skórzyńskiego, ulica Karola Szymanowskiego, Stalowa Wola
Godzina 21.00*

Podjechała pod dom Skórzyńskiego, z ulgą witając zapalone światła w środku i dwa wozy techników na podwórku. Faktycznie, Rudy traktował swoją robotę poważnie, mimo dość swobodnej postawy i wrodzonej bezczelności fachowcem był dobrym, dopóki nie skończył czynności, nie spoglądał na zegarek.

Na ławce przed domem siedział jakiś mundurowy i palił spokojnie papierosa, kiwnął Glebie na powitanie. Nie pamiętała, jak się nazywał, od razu stwierdziła, że nie będzie się za bardzo bratać z załogą stalowowolskiej policji, wszak nie zamierzała tu zostać na długo.

Po wejściu skierowała się do piwnicy, w której Rudy i dwóch z jego ekipy skrupulatnie przeczesywali pomieszczenie centymetr po centymetrze.

– Jak tam? – zawołała do nich.

– Uroczyście melduję, że przeszukanie zakończone sukcesem – odpowiedział Lisicki.

– Znaleźliście coś? – zapytała z ożywieniem w głosie.

– Wtedy to byłaby porażka – stwierdził. – Oznaczałoby, że daliśmy dupy za pierwszym razem, przeoczyliśmy coś, a to niedopuszczalne!

– Rudy, zlituj się – powiedziała, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Litość? Nie okazuję! Wybacz!

– Żadnych skrytek, sejfów, zamurowanych trupów?

– Nic. Faktycznie, klient tu grzebał, ale bez zbytniego planu, przesuwał rzeczy na ślepo. Pamiętam ustawienie sprzętów, pudeł i regałów. Mało tego, mam taką manierę, można nazwać ją zboczeniem, że zanim wejdę do jakiegoś pomieszczenia, to robię sobie fotki poza protokołem. Wiem, nadgorliwość gorsza od faszyzmu, ale taki mam styl. W każdym razie sprawdziliśmy rzeczy poprzesuwane przez tajemniczego gościa zgodnie ze stanem ze zdjęcia i nic. Potem ponownie sprawdziliśmy dokładnie pozostałe i też dupa. Czekamy jeszcze na georadar, przejedziemy nim posadzkę i dla pewności podwórko w poszukiwaniu anomalii, może faktycznie coś jest zakopane.

– Dziękuję – powiedziała Gleba.

– Panowie, słyszeliście, podziękowania z samej stolicy. Warto zarywać noce! – zaśmiał się Lisicki w kierunku swoich współpracowników.

– Ciekawe, co dalej – dodał jeden z techników. – Może sam pan prezydent uściśnie rękę?

Gleba z uśmiechem uniosła środkowy palec do góry i ruszyła w stronę wyjścia z piwnicy. Gdy była na górze, dokładnie w tym samym miejscu, co podczas starcia z napastnikiem, usłyszała cichy plusk. Spojrzała na wiadomość. Kolejne zdjęcie od Damięckiego. Siedzieli z Matyldą przy stoliku w jakiejś kawiarni i jedli wspólnie jedną porcję lodów. W tle zachodziło piękną czerwienią słońce. Ale się z Karolka zrobił romantyk.

Ruszyła po schodach na górę, też miała randkę, ale tym razem z szafą pełną dokumentów.

Plebania parafii św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 22.00

Proboszcz Chlebowski uwielbiał ciepłe noce, szczególnie te wiosną, ale dziś nie mógł w żaden sposób docenić tego daru zesłanego przez stwórcę. Ostatnio nie działało się dobrze, policja ich odwiedzała za często, parafianie już zaczęli plotkować.

Nie podobał im się też fakt, że pomagał bezdomnemu. Nie po to dawali na tacę, coraz mniej zresztą, żeby wydawał na jakichś przybłędów, jak usłyszał podczas spowiedzi. A gdzie miłość bliźniego? Gdzie nauki Chrystusa? Był księdzem z powołania, uczciwym, dbał o swoją reputację, nawet nie spoufalał się z parafiankami, żeby ludzie nie gadali. Samochodem jeździł starym, żeby nie kłuło w oczy. Pomagał, jak mógł, a i tak było źle.

Teraz jeszcze doszedł problem z księdzem Michałem. Wiedział doskonale o jego upodobaniach i sam nie widział w nich niczego złego, wszak Jezus nigdy nie potępiał homoseksualistów, tylko w Starym Testamencie chciano ich karać śmiercią, ale ta księga pełna była absurdów, sprzeczności i po prostu głupot. Skoro na jej podstawie potępiano kochających nieco inaczej, to dlaczego zgodnie z księgą powtórnego prawa nie karano kobiet ubierających się jak mężczyźni? Czego jeszcze tam zakazywano? Noszenia ubrania z mieszanki wełny i lnu, siania w winnicy dwóch gatunków roślin, orania naraz wołem i osłem, zalecano mordowanie zdradzających się małżonków, kamienowanie u bram miasta kobiet, które w momencie ślubu nie były dziewicami, i mnóstwa totalnych bzdur.

Największym jednak problemem był fakt, że zarówno młody wikary, jak i Wicek nagle zniknęli, ksiądz nie pojawił się na kolacji, co było do niego niepodobne, a Słodki zaraz po niej zniknął. Dowiedział się o tym od gosposi po powrocie na plebanie, gdyż dziś niemal do samej nocy jeździł z wizytami do tych, którzy byli obłożnie chorzy i sami nie mogli udać się do kościoła w celu przyjęcia komunii czy spowiedzi.

– Jak to ich nie ma?

– Ksiądz Michał nie przyszedł, a przecież lubi sobie podjeść, nawet jak miał nie zjawić na kolacji, to prosił, żeby mu zostawić w lodówce albo piekarniku, zależy, co było. A pan Wicek to zjadł, podziękował, a potem kręcił się niespokojnie koło kanciapy, aż w końcu takim nerwowym krokiem wyszedł przed furtkę i tyle go widzieli. No i do tej pory nie wrócił.

– A ksiądz Michał był po południu?

– Tak, wziął samochód, gdzieś pojechał i już na kolację nie wrócił.

– Skaranie boskie z nimi – powiedział proboszcz. – Człowiek się nie żeni, a czuje, jakby dzieci pilnował.

To było jakieś dziesięć minut temu. Teraz proboszcz sprawdził kanciapę, ale nowego lokatora ani widu, ani słyhu. Obawiał się, że pękł i poszedł napić się z dawnymi towarzyszami. No trudno, nic nie poradzi, zaoferował mu, co tylko mógł, ale czasem wszystko to zdecydowanie za mało, jeszcze musi coś w głowie człowieka przeskoczyć, jakaś zapadka, by mógł odmienić swoje życie na lepsze.

Podjął decyzję, że zrobi samochodem kółko po mieście w poszukiwaniu Słodkiego czy też Wicka, jak go już nazywała gospoia. Złapał za uchwyt od bramy garażowej i zatrzymał się w pół ruchu. Spojrzał za budynek plebanii, gdzie parkowali drugi samochód, ten, który zdradził wstydliwą tajemnicę księdza Michała. Stał na swoim miejscu, co trochę go zdziwiło. Gospoia wspominała, że gdzieś pojechał. Podszedł do auta, zajrzał do środka, ale było puste.

Spojrzał w stronę okna pokoju zajmowanego przez młodego księdza, ale ciemność za szybą wskazywała, że raczej go nie ma w domu. Na wszelki wypadek postanowił sprawdzić, wszedł do budynku, potem podszedł pod jego pokój i zapukał cicho, a potem jeszcze raz, nieco głośniej, gdyż nie było żadnej reakcji. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi, ale pokój był pusty, dla pewności zaświecił światło. Pusto.

Wyszedł z domu i skierował się do kościoła. Po ostatnich wydarzeniach młody ksiądz bardzo dużo się modlił, nawet dziś o świcie proboszcz zastał go leżącego krzyżem przed ołtarzem. Dobrze, modlitwa pomaga, jeśli się w to nie wierzy, to nie trzeba było zostawać księdzem.

Złapał za klamkę drzwi, był to jego ulubiony moment, gdy zostawiał za sobą cały świat, zapachy, odgłosy ptaków, szum miasta, wszystkie troski i smutki i łapał w nozdrza atmosferę świątyni, surowego drewna, parafiny palącej się w lampkach, świec, kurzu i tysiąca oddechów, jakie wydawali z siebie wierni podczas ostatniej mszy, śląc modły do Boga.

Dzisiaj jednak dołączył do tego inny zapach, nieprzyjemny, ostry, niekojarzący się z domem pańskim, lecz raczej latryną. Przełknął ślinę i oparł się o drzwi, zakręciło mu się w głowie. Już to czuł, podskórnie wiedział, że czeka na niego coś, czego bardzo nie chciał zobaczyć, za żadne skarby świata.

Pchnął drzwi i w migotliwym świetle świec zobaczył coś, co na zawsze miało zachwiać jego wiarą.

19.

Dom Henryka Skórzyńskiego, ulica Karola Szymanowskiego, Stalowa Wola

Godzina 22.30

– Kawka dla pani podkomisarz – powiedział Łukasz Lisicki, wchodząc do pokoju, w którym przeglądała zawartość szafy. Trzymał w dłoniach dwa brązowe kartonowe kubki.

– Ojej, a czymże sobie zasłużyłam?

– Nie chcemy, żeby potem w Warszawie mówili o nas, że na wschodzie to chamy. Chłopaki jechały z georadarem, to zamówiliśmy dla wszystkich. Czarna, z cukrem, tak jak pani podkomisarz pija na co dzień.

– A skąd wiesz?

– Pani podkomisarz raczy żartować – odpowiedział Rudy z uśmiechem. – Zwyczajnie pani szanownej są szeroko komentowane. Chłopaki ustaliły już wszystko, począwszy od kawy, a na perfumach skończywszy. Najlepsi śledczy w kraju.

– Jestem pod wrażeniem – odparła, odbierając z wdzięcznością kubek kawy. – Powiedz mi, czy swój zwyczaj fotografowania każdego pomieszczenia zastosowałaś, sprawdzając także to pomieszczenie?

– Widzę, że przechodzimy do rzeczy. Otóż tak, mało tego, poleciłem sfotografować bardzo dokładnie ułożenie teczek. W pierwszym zrywie, który na szczęście szybko mi przeszedł, chciałem faktycznie targać tę szafę do naszego garażu. Nie nieślibyśmy jej z zawartością, więc konieczne byłoby odtworzenie układu na miejscu.

– Możesz mi pokazać te zdjęcia?

– Czegoś brakuje?

– Robiłam sama foto, ale miałam ustawioną za małą rozdzielczość i w dodatku jest nieco ruszone.

– Idę po laptop.

Lisicki zszedł na dół, a Gleba spróbowała kawy, była naprawdę niezła. Na kubku nie było żadnej informacji co do tego, skąd pochodziła. Usłyszała kroki technika na schodach, w tej samej chwili zadzwonił jej telefon. Nieznany numer. Odrzuciła połączenie.

– Mam. – Rudy szedł do niej już z rozłożonym komputerem. – Otóż i zdjęcie.

Gleba spojrzała na nie i przeniosła wzrok na szafę. Górna półka, sprawy przyszłe. Zaczęła je liczyć, czternaście segregatorów. Spojrzała na ekran komputera, piętnaście. Poczła podniecenie, miała rację. Ktoś tutaj sprzątał po sobie.

Telefon zadzwonił ponownie, ten sam numer. Przesunęła szybko palcem po ikonice zielonej słuchawki.

– Halo – rzuciła do telefonu.

– Tu ksiądz Jan Chlebowski, proboszcz parafii Świętego Floriana. – Głos rozmówcy był ciężki, oddychał głęboko, jakby zaraz miał się udusić. – Była pani u nas wczoraj.

– Zgadza się – odpowiedziała nieco zdziwiona. – Wszystko w porządku?

– Nie, niestety, ale nie – odparł. – Musi pani do nas przyjechać.

– Proszę powiedzieć, co się stało. Potrzebuje pan karetki?

– Proszę pani, potrzebuję pomocy, ale nie medycznej – odpowiedział, ale jego oddech zdawał się sugerować coś zgoła innego.

– Gdzie pan jest? Na plebanii? Wezwę karetkę.

– Nie! – krzyknął ksiądz, a w jego głosie było słychać nie złość, ale strach.

– W takim razie proszę powiedzieć, co się stało.

– Nie potrzebuję pomocy medycznej. Potrzebuję dyskrecji.

Opowiedział Glebie, co się stało, a ta oddała laptopa Lisickiemu i ruszyła na dół, szafa będzie musiała poczekać.

20.

Kościół św. Floriana, ulica Floriańska, Stalowa Wola

Godzina 23.00

Przerazająco spokojnie. Tak tu właśnie było i Gleba zdawała sobie sprawę, że takie połączenie słów nie za bardzo ma sens, bo czy spokój sam w sobie może być przerażający? Otóż, kurwa mać, może.

Drewniany kościół, podświetlony żółtym światłem, księżyc uparcie człapiący w stronę pełni, cisza nocy, błysk oddalonej jeszcze od miasta wiosennej burzy, to wszystko powinno stanowić raczej przyjemny zestaw, i może nawet tak było, o ile człowiek nie wiedział, co zastanie w środku. A Gleba wiedziała. I nie, w sumie to nie było cicho, szumiały te cholerne drzewa otaczające kościół, zbliżała się burza i pojawił się wiatr, na razie delikatnie porywisty, ale wypełniający okolicę tym nieznośnym, rwanym szumem. Strach przed burzą mamy w genach, jeden z tych pierwotnych lęków, więc i pierwsze jej zwiastuny również napełniają nas podskórnym niepokojem.

Ksiądz stał przed kościołem, sklejonny z mrokiem tak mocno, że można go było wziąć z daleka za element budynku. Widział, jak podjechała, ale nie wyszedł jej naprzeciw, stał nadal w swojej plamie ciemności, jakby szukając schronienia przed brutalną prawdą, ale co się miało wydarzyć, to się przecież wydarzyło, i żadna kryjówka nie miała prawa się sprawdzić. Gleba odkryła jego obecność tylko dzięki światłom samochodu, którymi omiotła go przez chwilę.

Gdy wysiadła i ruszyła w jego kierunku, zdała sobie sprawę, że jest tu jeszcze jeden dźwięk, narastający z każdym krokiem, najbardziej upiorny ze wszystkich. Głośne sapanie księdza, które w mniej więcej co dziesiątym oddechu wzbogacało się jakby o rżenie, zupełnie jakby emocje kapłana złapały się jego płuc i krzyczały „nie puszczę”.

A tak poza tym to przerażający spokój.

– Dziękuję – powitał ją proboszcz. – Bardzo pani dziękuję.

– To wszystko na nic – powiedział Gleba. – Jeśli jest tak, jak pan mówi, to i tak niezbędne będzie powiadomienie pozostałych służb.

– Chodźmy – rzucił ksiądz, nie wdając się w dyskusję.
– Stop! – syknęła Gleba. – Proszę już niczego nie dotykać.
– Ale ja wcześniej otwierałem drzwi.
– Zatem wystarczy – dodała, po czym szybko włożyła rękawiczki jednorazowe, złapała za klamkę i otworzyła je.

– W głębi kościoła – poinformował ją ksiądz. – Za przedsionkiem.

Minęła małe pomieszczenie, irracjonalnie zastanawiając się, czy ksiądz nie będzie miał jej za złe, że nie umoczyła palców w święconej wodzie i nie wykonała znaku krzyża. Złapała bardzo delikatnie za kolejną klamkę i weszła do środka. Kościół był ledwie oświetlony, najmocniej wzrok przykuwały dwie figurki w jego głębi, stojące po bokach świątyni, przedstawiające Jezusa i jego matkę, a mieniące się błękitnym blaskiem. Ołtarz w głębi także był podświetlony, ale nie dane jej było lepiej mu się przyjrzeć, bo widok zasłaniało ciało księdza Michała Żyry wiszące na linie.

Nic nie wskazywało na kolejną ofiarę ich mordercy, ksiądz wisiał na sznurze, który był doczepiony do złotego żyrandola zwisającego z sufitu. Klasyczny brelok. Lina zamiast łańcucha, szyja zamiast kostki, sina twarz i wytrzeszczone oczy zamiast poderżniętego gardła, mocz skapujący z butów zamiast krwi, smród kału. Podczas żegnania się z życiem w ten sposób puszczają zwieracze, więc okoliczności robią się paskudne, a śmierć nie patrzy, czy kała zapuszczone mieszkanie, czy też posadzkę kościoła.

Gleba zlustrowała otoczenie, widać było przewróconą drewnianą ławkę i krzesło obite czerwonym materiałem na środku kościoła. Sapanie stojącego za nią księdza niosło się przez pustą świątynię niczym odgłos nawalającego klimatyzatora.

– Ja... – odezwał się proboszcz niepewnym głosem. – Tak go znalazłem i od razu po panią zadzwoniłem.

– Nie próbował go pan ratować?

– Ja wiem, jak wygląda nieboszczyk, było mi także już dane w życiu widzieć samobójcę. Tylko że to nie był nikt bliski. Bałem się, że to może być sprawka tego mordercy.

– Dlaczego?

– Sama pani wie, ksiądz Michał był tam tej nocy, a po drugie, ostatnio kręciliście się tutaj, może ktoś go obserwował i chciał uciszyć, upozorować samobójstwo?

– Można tu zaświecić lepsze światło? – zapytała Gleba, podchodząc bliżej.

– Tak, już – odparł proboszcz, ruszył kilka kroków i po chwili żyrandol, na którym wisiał wikariusz, zapłonął jasnym światłem. Skojarzyło się to Glebie z bożonarodzeniową choinką, która rozświetla dekorację, w tym przypadku jedną gigantyczną bombkę.

– Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

– Mieszkał z nami od dwóch dni taki bezdomny, mówili na niego Słodki.

– Kojarzę, Wincenty Kłós.

– Zgadza się.

– I co z nim? Myśli pan, że to on? – Gleba stanęła niemal metr od trupa, uważając, żeby nie wejść w małą kałużę moczu zaprawionego kałem.

– Także zniknął. Zjadł kolację i przepadł.

– Ciekawe rzeczy dzieją się na waszej plebanii – skomentowała.

– Zaczęło się wszystko, odkąd pani się zjawiała.

Gleba odwróciła się w stronę księdza i spojrzała na niego z politowaniem.

– Serio? – zapytała. – To ja tu przyjeżdżam z dobrej woli, a ksiądz mi tutaj wyjeżdża z takim pieprzeniem? Kto jest winien grzechu? Grzesznik czy ten, kto ów grzech odkryje?

– Przepraszam.

– Niestety, będę i tak musiała powiadomić prokuraturę, trzeba wykluczyć sprawstwo osób trzecich.

– Ja wiem, doskonale rozumiem i absolutnie nie proszę o jakiegokolwiek odstępstwo od procedur. Proszę zawiadomić wszystkich, tylko zależy mi na tym, żeby nie było wokół tego wielkiego szumu, tych błyskających świateł i tak dalej. Z szacunku dla księdza Michała, to był bardzo dobry kapłan.

– Tylko szkoda, że gej, czyż nie?

– Dla mnie to nie ma ani nie miało najmniejszego znaczenia. Wiedziałem o tym od początku, byłem jego spowiednikiem. Jeśli rozejdzie się, że popełnił samobójstwo, i to jeszcze w kościele, to...

– Samobójstwa wśród księży to obecnie plaga, jeśli można tak powiedzieć – westchnęła Gleba. – Mam znajomego, który troszkę mi to naświetlił, opuścił seminarium tuż przed święczeniami. W diecezji tarnowskiej, w której pełni posługę jego przyjaciel, w ciągu sześciu lat samobójstwo popełniło aż ośmiu kapłanów, dwóch w swoich kościołach, jeden utopił się w beczce z deszczówką. Same drastyczne przypadki. Może jednak warto to nagłaśnić, a nie zamiatać pod dywan, jak inne rzeczy?

– Nie do mnie należy decyzja – odpowiedział proboszcz. – To chyba także nie czas i miejsce na takie rozważania.

– Zawsze jest zły czas i złe miejsce – odparła Gleba. – Ale dobrze, zrobię to, o co mnie pan prosi, bo jest pan dobrym człowiekiem. Do tego nie potrzeba koloratki, ale od kogo, jak nie od księdza, ludzie wymagają dobroci i złotego serca?

– Dziękuję – odpowiedział z ulgą proboszcz. – A gdy już kurz opadnie, to zapraszam na kawę, z chęcią porozmawiam o tym wszystkim. – Tu zatoczył łuk ręką. – Bardzo bym nie chciał jeszcze raz znaleźć się w podobnej sytuacji, stracić jakiegokolwiek kapłana.

– Muszę zadzwonić – oznajmiła Gleba, wyjmując telefon.

– A co pani myśli? – zapytał, zastępując jej drogę. – To samobójstwo?

– Wszystko na to wskazuje – odparła. – Jednak do samobójstwa zawsze ktoś doprowadza, ale jak w tym przypadku skazać na więzienie ludzką ciemnotę i uprzedzenia?

Ksiądz nie odpowiedział, ale jego oddech ponownie przyspieszył. Ruszyła w stronę drzwi. Mimo wszystko jakoś dziwnie było jej używać telefonu w kościele.

21.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 1.00

Dwie godziny później padła na łóżko, tak najnormalniej w świecie, na twarz. Prysznic weźmie rano. Mieszanka zmęczenia i emocji w końcu zwyciężyła. Za dużo się tu działo, za szybko.

Na szczęście wszyscy, począwszy od policji, a na prokuraturze kończąc, wykazali się daleko idącym zrozumieniem i sprawa w kościele została załatwiona dość dyskretnie. Oczywiście to wszystko wyjdzie prędzej czy później, pewnie już jakaś wieść gminna tłuła się po mieście, ale to nie jej zmartwienie.

Jej zmartwienia, jeśli wymieniać w kolejności, prezentowały się następująco.

Martwy Posejdon i tajemnica doktora Budzińskiego.

Martwy Henryk Skórzyński i jego szafa z brakującą teczką.

Napaść w jego domu.

Kosa z Albertem.

Kolejny nieodebrany telefon od matki.

Tęsknota za Kosmą.

Za oknem zaczęła się burza.

Usnęła.

22.

Szwendacz

Gdzieś

W ciemności nie widać kolorów, tak to już jest. Nie wierzycie? To wejdźcie do ciemnego pokoju i wyćcie dobrze wzrok. Szwendacz nie musiał tego robić, wiedział, że na rękach ma krew. Dla pewności polizał jedną z nich.

Krew.

Bez wątpienia.

Wampir?

Westchnął głęboko, może nawet z ulgą. Czyli to już koniec.

A może jeszcze nie?

ROZDZIAŁ 6

29 kwietnia 2023 roku

1.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 5.00

Pierwsza burza rozpętała się o piątej nad ranem. Grzmoty huknęły nad miastem, niebo rozerwało na dobre, jakby ktoś postanowił wreszcie zmyć ludzi z powierzchni ziemi, wszystkich, razem z ich grzechami, nienawiścią i zawiścią. Także tych z dobrymi uczynkami, ale czy ich było znowu aż tak wielu?

Pioruny waliły jak oszalałe, macały ziemię, jakby chciały zbadać każdy jej cal, wciąż nienasycone. Wieczorem tego samego dnia Gleba stwierdziła, że ta burza o świcie chyba tak nastroiła wszystkich, naładowała skumulowaną energią uwolnioną z ciężkich chmur, że później sami tworzyli pomniejszych burze. Mniejsze, ale groźniejsze.

Ten mały koniec świata wyrwał ją z łóżka, zostawione na noc otwarte drzwi balkonowe kłapały niczym paszcząka jakiegoś smoka i z każdym kęsem pożerały firanki, rolety i zasłony. Na wpół śpiąc, podbiegła do balkonu, aby pokonać owego potwora, a gdy go w końcu okiełznała, to na miasto spadło morze wody.

Spojrzała na ciepłe łóżko, stwierdzając, że sen jest dość mocno przereklamowany. Wydawało się jej, że spędziła pod prysznicem jakieś sto lat, a co najmniej dożywocie, potem nastawiła kawę i sięgnęła po swój laptop. Nie zapalała światła w mieszkaniu, niemal nieprzerwane błyski piorunów i huk grzmotów uspokajały ją.

Wyświetliła zdjęcia przesłane jej przez Rudego. Górna półka szafy z aktami, odszukała miejsce, gdzie stała wcześniej brakująca teczka. Ostatnia. Alfabetyczne ustawienie wskazywało, że musiała to być litera „Z”, „Ż” lub „Z”. Zgadzało się. Powiększenie fotografii zrobionej w dniu, gdy weszli do mieszkania Henryka Skórzyńskiego, jasno pokazywało, że brakuje teczki opatrzonej hasłem „Zoźza”.

Natychmiast uruchomiła przeglądarkę i zaczęła szukać tego hasła w internecie w kontekście Stalowej Woli. Nic konkretnego. Jakiś sklep internetowy ze świecami, film o tym tytule, definicje i znaczenie samego słowa. Dowiedziała się na przykład, że zoźza to choroba źrebiąt i młodych koni, a także dzieci bytujących w złych warunkach

higienicznych, po śląsku to inaczej sos, a na koniec oczywiście potocznie tak mawiano o nieuprzejmej, trudnej w obyciu kobiecie.

Żona. Przecież się rozwodził. Zbierał kwity na żonę? Trzeba będzie sprawdzić. Czyżby to wskazywało na małżonkę? Zleciła morderstwo? W czterdziestu procentach spraw o morderstwo winnym okazuje się współmałżonek, więc to mógł być dobry strzał. Skoro się rozwodzili, to w grę wchodził podział majątku, a jeśli posiadał jakieś materiały obciążające, a ona o tym wiedziała, to mieli motyw.

Zgłodniała. Lodówka była pusta, chociaż nie, ostatnim bastionem spożywczym okazał się pokrojony w plastry żółty ser, na który rzuciła się łapczywie. Wczoraj śniadaniem poratował ją Albert, ale dziś raczej nie mogła na to liczyć. Rzuciła okiem na zegarek, dochodziła szósta. Postanowiła pojechać na komendę, po drodze kupi jakieś bułki. Walnie kolejną kawę i poszuka akt z rozprawy rozwodowej Henryka Skórzyńskiego.

Ile burz ją dzisiaj czeka? Albert, z którym w końcu wypadałoby wyjaśnić zarówno kwestię jego nocnej wycieczki, jak i ich wczorajszą kłótnię. No i matka. Kiedyś myślała, że w wybranym przez nią życiu to pogoń za mordercą będzie najcięższa, a jednak życie przygniatało człowieka mocniej. Dlaczego jeszcze nie powstała taka gałąź nauki jak „codziennostyka”? Wykłady z układania sobie relacji na linii dziecko–rodzic czy po prostu człowiek–człowiek ewidentnie wiele by w życiu ułatwiły.

2.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 7.00

Udało się jej kupić świeże bułki i mały pasztet. Przeniosła je schowane pod kurtką na komendę, nawet za bardzo nie zamokły w mocnym deszczu. Tak, zdawała sobie sprawę z tego, że to nie był szczyt zdrowej i zbilansowanej diety, ale niech za taką biorą się ci, którzy spokojnie przesypiają całe noce i mają czas na przeliczanie kalorii i innych takich bezceństw. Gdy pracowała w Warszawie, wielokrotnie namawiano ją na przejście na wegetarianizm i nawet uważała to za dobry pomysł, ale na przeszkodzie stawały jej dwa aspekty. Po pierwsze, w jej pracy nie było czasu na pichcenie czegokolwiek, czasem zostawało się na nocki, bo sprawa tego wymagała, i szybkie żarcie śmieciowe było jedynym ratunkiem. No dobra, to nie był powód, a wymówka. Powodem tak naprawdę był fakt, że uwielbiała smak mięsa, a za dobrze zrobionego steka była w stanie zapłacić każde pieniądze.

Tak myśląc o steku, smarowała pasztetem drobiowym świeżą bułkę, gdy do pokoju socjalnego wpadł Damięcki.

– Kurwa mać! – krzyknął. – Dlaczego wczoraj nikt mnie nie wezwał?!

– Ale po co od razu ta kurwa? – odparła Gleba niezrażona jego wybuchem.

- Gleba, do chuja, pominęłaś mnie, nie taka była umowa!
- Oho, ktoś jednak wczoraj nie zaruchał – skomentowała.
- Co to ma do rzeczy?
- Śniadanie jadłeś?
- Co?
- Faceci są prości w obsłudze, jeśli są wkurwieni, to trzeba im dać zupy albo dupy – powiedziała. – Nakarmić cię mogę, kupiłam więcej bułek, cieniej naniosę pasztetu na wyrób piekarniczy i będzie. Co do drugiej kwestii to niestety, nie moje kompetencje, tutaj radź sobie sam, chociaż jak to mawiał święty Łukasz, ręką konia nie oszukasz.
- Zrób mi kanapkę – poprosił spokojniejszym głosem.
- Proszę. – Wręczyła mu swoją, na której dodatkowo wylądował plaster pomidora ukradzionego ze wspólnej lodówki.
- Nic ci nie jest? – zapytał, pocierając grzbietem dłoni nos. – Podobno oberwałaś w domu Skórzyńskiego.
- Trochę mnie potłukł – odparła. – Mocniejszy wpierdol dostaję na treningach.
- A oczy?
- Jak dwa błękity – odpowiedziała.
- Co? Gazem przecież dostałaś.
- Oj, Brukselka, wyjdź ty trochę poza disco polo. Wszystko w porządku. Nie wzywałam cię, bo nie było w sumie potrzeby, samobój wikarego ewidentny, wykluczaliśmy udział osób trzecich. Będzie trzeba chyba porozmawiać z szanownym konkubentem wielebnego, bo mogło dojść do nakłaniania do popełnienia samobójstwa.
- Zlecić zabezpieczenie rozmów z komunikatorów Żyry i Kawki?
- Już to zrobiłam wczoraj, mamy telefon księdza. Ale zadzwoń do Maryny i poproś o wgląd do sprawy rozwodowej Skórzyńskiego. Wygląda na to, że nie jest jeszcze na wokandzie, bo teczka nie miała sygnatury sprawy, a tylko hasło „Zoźza”. I ta teczka zaginęła z szafy. Możliwe, że było coś jeszcze, bo ten, kto mnie napadł, szukał czegoś w piwnicy, nie na górze.
- Rozwód, co? – westchnął Damięcki. – Prosty motyw.
- Na pewno nie była to żona, napadł mnie mężczyzna. Zakładając jej udział, to musiała kimś się posłużyć.
- Kochanek?
- Możliwe. Karolku, zleć prześwietlenie jej numeru, billing za ostatni tydzień, dodatkowo lokalizację. Dziwne, że jej tu jeszcze nie ma.
- Przecież wiesz, że była za granicą. Dziś ma przyjechać, samolot ląduje w Jasionce koło południa, więc pewnie możemy się jej spodziewać koło godziny czternastej.

– To mamy chwilkę. Dokończ śniadanie, zleć Marynie, co trzeba, i działamy dalej. Przejrzemy przesłane z Rzeszowa raporty od techników z komputerów i telefonów Posejdona i Skórzyńskiego. Musisz mieć jakieś mięso na herbatkę u prezydenta.

– Odwołana – odpowiedział z uśmiechem. – Okazuje się, że na majówce będzie jednak przedstawicielstwo rządu, więc zjeżdża tu SOP na inspekcję. Każdy, kto ma w tym mieście coś do powiedzenia, będzie z nimi łąził i udawał mądrego.

– I nie zawracał nam niepotrzebnie dupy – dodała Gleba.

– Nasi nie byli zadowoleni, ale co zrobić.

– No i super. Zanim jeszcze przyjedzie żona Skórzyńskiego, to powęszymy za Słodkim. Zaginął równo z samobójstwem wikarego, to może być połączone.

– Doktor Budziński?

– Opuścimy go na trochę. Zostawimy sobie na kolację. Najpierw gasimy małe pożary.

Gorzej, że tu wszystko płonie i nie za bardzo wiadomo, co gasić, pomyślała Gleba.

3.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 9.00

Dwie kawy później nie mieli zbyt radosnych min. Mocno liczyli na jakieś znaleziska w komputerach i telefonach ofiar, a technicy przesłali raport informujący o tym, że nie było tam niczego ciekawego.

Doktor Budziński sprzętu używał właściwie tylko do gry w szachy i zapis jego gier informował, że był całkiem niezły w te klocki. Przeglądał czasem wiadomości lokalne i to była jego jedyna aktywność internetowa. Co ciekawe, biorąc pod uwagę prowadzone przez nich sprawy, technik sprawdził nawet, czy doktor czytywał artykuły Skórzyńskiego na lokalnych portalach, ale zdarzyło mu się to raz czy dwa.

U Skórzyńskiego jedynym wartym odnotowania faktem był folder z pornografią, ale całkowicie legalną i dość klasyczną. No cóż, samotny mężczyzna, nic dziwnego. Dziwił brak jakiegokolwiek zaszyfrowanego dysku czy danych przetrzymywanych w chmurze, przecież dziennikarz musiał mieć jakiś back up swoich materiałów. Technicy sprawdzili logi programu do edycji tekstu i potwierdzili, że były na nim wielokrotnie uruchamiane pliki z nośnika zewnętrznego.

– Może tego szukał napastnik? – podsunął Damięcki. – Dysku zewnętrznego.

– Albo małego pendrive'a – stwierdziła Gleba. – Można na nich zmieścić całkiem dużo danych.

– Może trzymał go w swojej redakcji?

– Sprawdzili mi to, pracował wyłącznie z domu, nie miał żadnych prywatnych rzeczy w redakcji, nawet kubka na kawę. W domu natomiast nasi nic nie znaleźli,

a ostatnio przeszukali piwnicę bardzo szczegółowo, nawet z użyciem georadaru.

– Nie miał go też przy sobie – dodał Damięcki. – Zatem jest piekielnie dobrze schowany albo...

– Ktoś go zabrał – uzupełniła Gleba.

Dobiła ich już kompletnie ostatnia kwestia, czyli zapis rozmów na komunikatorze Michała Żyry z Adamem Kawką. Telefon księdza wczoraj zabezpieczyli technicy, a dziś kryminalni mieli go na biurku i mogli swobodnie przeglądać jego zawartość. Kochankowie rozmawiali ze sobą na szyfrowanym komunikatorze i było tam więcej serdeczności i romantyzmu, niż Gleba przerobiła z jakimkolwiek swoim partnerem. Te wszystkie serduszka i wyznania miłości strasznie denerwowały i zniesmaczały Damięckiego, ale dla niej nie było w tym nic dziwnego. Miłość nie zna płci. Gdy w historii wyszukiwania przeglądarki trafili na gejowskie porno, to już było za dużo dla chłopaka i poprosił, aby sama dokończyła. Nic innego nie znalazła.

– Mam maila od operatora komórkowego – powiedział Damięcki, gdy ona kończyła przeglądanie telefonu nieszczęsnego księdza. – Billingi i dane lokalizacyjne żony Skórzyńskiego z ostatniego tygodnia.

– Szybko – stwierdziła Gleba. – To lubię.

– Jak idzie zlecenie z prokuratury, to jest petarda.

– I co mamy?

– Ostatni tydzień spędziła we Wrocławiu, potem transfer do Niemiec, zgodnie z informacjami, jakie dostaliśmy.

– Czyli mamy jasność chociaż co do tego. Billingi?

– Kupa połączeń – westchnął Damięcki. – Posortuję numerami.

Zaczął przeglądać dane przesłane przez operatora. No cóż, znajomość arkusza kalkulacyjnego, jak widać, przydawała się nie tylko w korporacji, lecz także w policji. Gleba odłożyła telefon księdza, ze smutkiem potwierdzając informacje od techników, że niczego podejrzanego tam nie ma. Tymczasem Damięcki obrócił krzesło w jej stronę i się uśmiechnął.

– W ciągu tygodnia łączyła się z dwunastoma różnymi numerami – oznajmił, co chwilę zerkając na ekran komputera. – Siedem z nich ma dokładnie takie same pierwsze sześć cyfr, sprawdziłem na stronie jej firmy i to jest ich numeracja, więc wszystkie służbowe. Jeden na lotnisko, drugi do wrocławskiej restauracji z sushi, trzeci do korporacji taksówkarskiej. Zostają dwa. Z pierwszym z nich ma jedno połączenie, krótkie. Z drugim natomiast trzynaście rozmów, żadnych SMS-ów. Co ciekawe, wszystkie po godzinie szesnastej. Tych dwóch ostatnich nie znalazłem w sieci, są prywatne.

– Jakies połączenia w dzień śmierci jej męża?

– Wtedy akurat ani jednego połączenia oprócz służbowych. Za to dzień później już tak.

– Namierz ten telefon.

– Jasne.

– Spokojnie, to może być nowy partner, matka, ktokolwiek.

– Jestem spokojny – odpowiedział Damięcki. – Nadal uważam, że mamy tu seryjnego, i z chęcią przyjmę wiadomość, że ten numer należy do koleżanki, z którą Skórzyńska musiała omówić wszystkie ważne rzeczy. Każda z was ma jakąś psiapsiółkę, co nie?

Gleba nie skomentowała, nigdy nie była mocna w utrzymywaniu przyjacielskich relacji z koleżankami. Przez wiele lat jej jedyną przyjaciółką, powierniczką i kochanką zarazem była policja. Westchnęła i spojrzała na Damięckiego.

– Do seryjnego, mój kochany, potrzebujemy trzech trupów – westchnęła. – Wikarego pod to nie podciągniemy.

– Kwestia czasu.

– Karol, nawet tak nie mów – powiedziała, podnosząc głos. – Wiem, że marzy ci się taka sprawa, szczególnie u progu kariery, ale jesteśmy tutaj, by chronić, a nie czekać na rekordy stulecia. Zrozumiano.

– Tak jest.

Zadzwoił telefon chłopaka, więc ten z miną zwiastującą ulgę odebrał. Porozmawiał chwilę dość urzędowym i suchym językiem, więc Gleba domyśliła się, że to prokuratura lub sąd.

– Skórzyński wniósł pozew o rozwód z orzeczeniem winy po stronie żony – poinformował. – Sprawa dopiero czeka na wokandę. Pozew nie jest dostępny w wersji cyfrowej, jeśli chcemy się z nim zapoznać, to zapraszają nas do sądu.

– Jedź i sprawdź go, sfotografuj, co trzeba. Chcę rzucić okiem. Ja pojadę do Kawki poinformować go o śmierci wikarego.

Uśmiechnął się z wdzięcznością. Mężczyźni to jednak dziwne stworzenia. Jeśli są stuprocentowymi hetero, to traktują każdego geja, jakby ten tylko czyhał na ich zadek.

4.

Sklep Adama Kawki, Hala targowa, Stalowa Wola

Godzina 10.00

Sklep był zamknięty, jednak podniesiona roleta antywłamaniowa informowała, że ktoś jest w środku. Gleba złapała za klamkę i szarpnęła kilka razy, po drugiej stronie w zamku zakołysały się klucze. Zapukała i ku jej radości w sklepie pojawił się Adam

Kawka. Ruszył w stronę drzwi, przekręcił klucz i wpuścił ją do środka. Był ubrany schludnie, uczesany i ogolony, ale wyraźnie czuć było od niego alkohol.

– Czego znowu ode mnie chcecie? – zapytał łamiącym głosem.

Czyli wiedział.

– Przyjechałam pana poinformować o wczorajszych wydarzeniach – powiedziała, żałując, że po prostu nie odwróciła się i nie odeszła sprzed zamkniętych drzwi.

– Ja już wszystko wiem. Wczoraj się dowiedziałem, zadzwonił do mnie w nocy proboszcz.

– Proboszcz? – powtórzyła bezmyślnie, ale mocno ją to zdziwiło.

– On o nas wiedział i chyba rozumiał to wszystko. – Wzruszył ramionami Kawka. – Przyszedłem tu, bo... ja w domu nie mogłem. Żona, dzieci, sama pani wie. A to jakby mi umarł... – Mężczyzna pochylił głowę, ruszał nerwowo oczami na boki, jakby na podłodze szukał właściwego słowa.

– Rozumiem.

– Tylko co mi po tym? – westchnął. – My wcześniej potrzebowaliśmy zrozumienia. On był gotów zrzucić sutannę, ale to było przecież bez sensu. Co mieliśmy zrobić? Zamieszkać sobie wspólnie w wynajętym mieszkanku i chadzać za rączkę po mieście? Wyjechać? Dokąd? Za co żyć? Do Holandii może? Ja już za stary na takie atrakcje jestem.

Kawka podszedł do lady i wyjął zza niej litrową butelkę wódki, nalał sobie do kubka i wychylił jednym haustem.

– Chce pani? – zapytał, wskazując butelkę.

– Nie. Pan też nie powinien pić. Może lepiej z kimś porozmawiać? Mogę panu polecić współpracującego z nami psychologa.

– Proszę się nie martwić, nic sobie nie zrobię. Ja jestem poważnym człowiekiem, biznesmenem, klasą średnią, znanym społecznikiem, mam żonę, dzieci, płacę podatki. Nie mogę sobie pozwolić na samobójstwo.

Zadzwonił telefon Gleby, odruchowo sięgnęła do kieszeni.

– Przepraszam – powiedziała, zerkając na wyświetlacz, dzwonił Damięcki.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, przecież świat się nie zatrzymał. Po stracie pedała tylko rower nie pojedzie, reszta sobie doskonale poradzi – rzucił z goryczą w głosie.

Odrzuciła połączenie, ale Kawka ruszył w jej kierunku i otworzył sklepowe drzwi, znacząco dając do zrozumienia, że chce zostać sam. Wyszła i oddzwoniła.

– Nie uwierzysz, co jest w pozwie rozwodowym – rzucił do telefonu bez żadnych wstępów Damięcki.

– Wal.

– Skórzyński oskarża swoją małżonkę, że od lat go zdradzała. Zgadnij, jakie konkretne nazwisko pada?

– No jak powiesz, że doktora Budzińskiego, to...

– Nie! – wszedł jej w słowo. – Jacek Wójcik.

– Coś mi to mówi.

– Powinno. – W głosie chłopaka dało się słyszeć ekscytację. – To sąsiad Skórzyńskiego, ten od otrutego psa. Nie zdziwię się, jak ten numer telefonu, z którym łączyła się trzynastokrotnie Skórzyńska, należy właśnie do niego. W każdym razie już dzwoniłem do Maryny z prośbą o dane z jego telefonu.

– Brawo ty! Wyrabiasz się.

– Ale nasza prokuratorka ma mnie już dość.

– Spokojnie, rozwiążmy sprawę, to jeszcze poklepie cię po ramieniu.

– Nie no, powiedziała, że sama zadzwoni do Telekomu, ma tam jakiegoś swojego znajomego, wyciągnie dane w pięć minut. To co, podjadę pod ciebie i jedziemy zawiązać klienta?

– Wstrzymaj konie. Nie będziemy tego robić we dwójkę. Zakładając, że to Jacek Wójcik zamordował Skórzyńskiego, to jest niebezpieczny. Możliwe, że to on mnie zaatakował.

– Wzywamy czarnych?

– Bez przesady, ale trzeba poinformować górę i skrzyknąć ludzi, zablokować ulice wyjazdowe z osiedla. Podejrzewam, że siedzi w domu i umiera ze strachu, że go złapiemy.

– Chyba że to on dokonał też poprzednich morderstw. Wtedy raczej sumienie go nie rusza – powiedział Damięcki.

– Przyjedź po mnie, zaczniemy organizować realizację.

Wyszła z hali targowej i odetchnęła świeżym powietrzem. Nienawidziła zapachu czystej wódki, za bardzo przypominał jej rodzinny dom, gdzie mogło braknąć pieniędzy na jedzenie, ale nie na papierosy i wódę. Właśnie, miała oddzwonić do matki, ale rozmowy z nią były długie i męczące, będzie to musiało poczekać do wieczora.

Pod halę podjechał Damięcki, wsiadła szybko do środka. Deszcz już nie padał, ale ulice nadal były pełne wody. Tradycyjnie po każdym dużym deszczu zalewało przejazd pod wiaduktem, gdzie nie tak dawno jeszcze urzędowali bezdomni. Wystarczyło kilku ludzi i jedna ulewa, aby pozbyć się miejskiego problemu i smrodu po nim.

– Jedź pod jego dom – zarządziła Gleba. – Przypilnujemy go, zanim nie zjedzie się reszta.

– Dobra, to dzwoń po ludziach.

– Czekaj – powiedziała, podnosząc palec, bo jej telefon zaczął błyskać fleszem. Pomna wczorajszych wydarzeń, całkowicie wyłączyła dźwięki i wibrację. Najwyżej przegapi jakieś wiadomości, ale trzeba uczyć się na błędach.

– Ziemna – powitała rozmówcę.

– Piękne nazwisko – usłyszała niski głos. – Tu doktor Patryk Stawiarz. Miałem szaloną przyjemność dbać o twoje zdrowie tej nocy. Ach, cóż to była za noc, pełna...

– Kojarzę – rzuciła, przyciszając jednocześnie głośność kciukiem, Damięcki nie musiał za dużo słyszeć.

– Na to liczyłem – odpowiedział lekarz. – Miałem dzwonić w dwóch przypadkach, aby zaproponować wspólną kawę lub gdyby pojawił się ktoś z opisanymi przez ciebie objawami po kopnięciu w żebra. Otóż tak się składa, że nastąpiły obydwie z powyższych.

– Kto to?

– Jeśli chodzi o kawę, to ja.

Była podniecona przyspieszającą akcją i zdenerwował ją ten flirt, ale z drugiej strony podobała się jej jego bezczelność.

– Obecnie interesuje mnie tylko ten drugi – odparła.

– Mężczyzna, rasy białej, po czterdziestce. Po fachowym badaniu przeprowadzonym przez stosowanie ucisku palcami podejrzewam złamane dwa żebra. Ma też lekko podgojoną ranę szarpaną prawej dłoni. Silne uczucie klucia w piersiach, żebro mogło uszkodzić płuco.

– Podał jakieś nazwisko?

– Oczywiście. Wójcik Jacek, syn Mieczysława.

– Jest jeszcze u was? – zapytała podekscytowana, Damięcki podniósł pytająco głowę.

– Tak, wysłałem go na rentgen.

– Panie doktorze, będziemy za pięć minut. Proszę go traktować tak jak każdego innego pacjenta. Absolutnie nie próbować zatrzymać, to bardzo niebezpieczny człowiek. Mamy kierować się na SOR?

– Pracownia RTG jest na parterze, niedaleko są drzwi do wyjścia awaryjnego. Za chwilę wyślę pielęgniarkę, aby je wam otworzyła. Jak wjedziecie na parking, to skierujcie się na lewo, będzie tam na was czekała.

Rozłączyła się i wprowadziła Damięckiego w plan dalszego działania, a potem przez radio poinformowała centralę o planowanej akcji.

5.

*Powiatowy Szpital Specjalistyczny, ulica Stanisława Staszica, Stalowa Wola
Godzina 11.00*

To nie był dobry pomysł, czuła to od samego początku. Zatrzymanie podejrzanego w zatłoczonym szpitalu, gdzie stanowił zagrożenie dla osób postronnych, było gotowym przepisem na spektakularną wtopę i nie dawało jej to spokoju. Wystarczy przecież, że będzie miał nóż i postanowi wziąć zakładnika, pozamiatane. Jeśli faktycznie to Wójcik odpowiadał za śmierć Skórzyńskiego, to mógł mieć jakieś zaburzenia psychiczne, był nieobliczalny. Wszelkie szkolenia i przewidziane na taką okoliczność procedury nakazywały, aby samego zatrzymania dokonywać poza miejscami publicznymi. Bezpieczeństwo postronnych to jedno, ale dochodziły też inne aspekty, jak chociażby logistyka dojazdu czy świadkowie z telefonami w rękach, gotowi nagrywać całą akcję, a potem radośnie szerzyć ją przez sieć z komentarzami odnośnie do kolejnych wybryków naszej wspaniałej policji. Kto ich szkoli? To ci nieudacznicy dbają o bezpieczeństwo zwykłych ludzi? Na to idą nasze pieniądze? Oczywiście najgłośniej komentowali ci, którzy jeszcze nie zarabiali lub najzwyczajniej w świecie pracą się brzydzą, reszta nie miała czasu na takie pierdoły. Pracowali i starali się cieszyć życiem. W każdym razie to nie był dobry pomysł.

Gleba, podjeżdżając pod szpital, przed którym zawałony samochodami parking zwiastował tłumy pacjentów szturmujące gabinety lekarzy, powtórzyła sobie to w myślach: to nie jest dobry pomysł. Potem postanowiła to powiedzieć na głos do Damięckiego.

– To nie jest dobry pomysł.

– Jest jakieś inne rozwiązanie? – odpowiedział jej z powagą, pokazując strażnikowi obsługującemu szlabany wjazdowe legitymację, aby ich wpuścił bez konieczności pobierania biletu parkingowego.

– Najlepiej byłoby poczekać, aż wyjdzie, wsiądzie do samochodu i wyjedzie z parkingu, wtedy go zablokować.

– No to tak zrobimy.

– Powiadomię lekarza, żeby go spokojnie wypuścili na parking z komentarzem, że poboli i przejdzie.

Chyba wywołała doktora Stawiarza myślami, bo ten sam do niej zadzwonił, odebrała natychmiast.

– Złe wieści są takie, że nasz pacjent zniknął – oznajmił lekarz bez ogródek. – Wyszedł z pracowni RTG i natychmiast udał się na parking.

– Coś go spłoszyło? Macie tam jakiś monitoring? Możecie sprawdzić?

– Monitoring w postaci pana Waldka na recepcji akurat nie pokrywa tej części obiektu. Dziewczyny z RTG powiedziały, że wyszedł spokojnie, miał wrócić do mnie do gabinetu, ale po prostu tu nie dotarł. Koleżanka sprawdziła, czy nie wyszedł na papierosa, ale nigdzie go nie widać.

– Jak był ubrany?

– Dżinsy i czarna koszulka, miał saszetkę w ręku, taką na dokumenty. Nic więcej.

– Zachowajcie ostrożność, gdyby wrócił, proszę natychmiast dać znać.

Rozłączyła się i nakazała Damięckiemu, aby się zatrzymał.

– Powiadom o akcji przez radio. Szukamy mężczyzny w średnim wieku ubranego w dżinsy, czarną koszulkę, saszetka w ręku. Widziałeś go, opisz w komunikacie. Niech zablokują wyjazd ze szpitala. Nie wiem, czy są tu jakieś inne drogi wyjazdowe, niech drogówka zablokuje główną.

Chłopak kiwnął głową, Gleba wysiadła i ruszyła szybkim krokiem w stronę opisanego przez doktora parkingu przy bocznym wejściu do szpitala. Ruch dookoła był normalny, tyle że ludzie nieco kluczyli, omijając kałuże powstałe po nocnych opadach. Kobieta pakująca dziecięcy wózek do swojego samochodu, jakiś starszy mężczyzna w pasiastej piżamie, łapczywie palący papierosa, ratownik medyczny rozmawiający przez telefon, para staruszków zmierzająca do drzwi wejściowych z tempem i godnością galopujących żółwi. Ani śladu podejrzanego.

Do bocznego wejścia dotarła równo ze starszym państwem, którzy z uśmiechem podziękowali jej za otwarcie drzwi, ale te ani drgnęły. No tak, było to wyjście awaryjne, tak chyba mówił ten przystojny doktor.

– Tam chyba ktoś zasłabł – powiedziała staruszka, wskazując pulchnym palcem na drzwi.

– Listonosz? – zapytał mężczyzna.

Gleba spojrzała przez szybę w drzwiach, było na niej przyklejonych mnóstwo kartek z najróżniejszymi informacjami dla pacjentów, więc w pierwszym odruchu nie zauważyła tego, co znajduje się za nimi, a leżał tam mężczyzna. I to nie był listonosz, ale policjant. Z jego głowy płynęła krew, blokował swoim ciałem szklane drzwi. Spojrzała na staruszków.

– Proszę usiąść tam, na ławce. – Wskazała miejsce, gdzie pacjent w piżamie palił papierosa.

– Ale tam ktoś leży – protestowała kobieta.

– Jestem z policji, zaraz kogoś wezwę – odpowiedziała jej Gleba.

Mina kobiety obwieszczała, że nie jest przekonana o przynależności Gleby do struktur policyjnych, pewnie przez tę różową kurtkę. Nie czekając na ich reakcję, Gleba wyjęła telefon i rozejrzała się po parkingu za Damięckim. Ten właśnie wysiadł z samochodu, z braku miejsca stanął wzdłuż drogi, zastawiając wyjazd innym samochodom.

Nagle po jej lewej stronie rozległ się krzyk kobiety, mocny, piskliwy, napełniony strachem i chyba bezsilnością.

– Moje dziecko!

Gleba zobaczyła kobietę, która przed chwilą pakowała wózek do bagażnika. Biegła nieporadnie za ruszającym dynamicznie samochodem, był to opel astra w srebrnym kolorze, ten sam, do którego upychała przed chwilą wózek. Gleba zobaczyła jeszcze, jak kobieta uderza torebką w bagażnik opła, a potem chyba w geście bezsilności zdejmując jeden but i rzuca nim w stronę odjeżdżającego pojazdu.

Samochód był dwa metry od Damięckiego, który także dostrzegł zamieszanie i postanowił działać. Gleba miała tylko nadzieję, że nie rzuci się na maskę jak bohater głupiego filmu, ale nie, on chciał zrobić coś jeszcze gorszego, sięgał po broń.

– Karol, nie! – krzyknęła Gleba i chyba ją usłyszał, bo zatrzymał się na sekundę. – Tam jest dziecko!

Widziała to doskonale, za kierownicą przejeżdżającego kilka metrów od niej samochodu siedział Jacek Wójcik, wyprostowany, trzymający kurczowo kierownicę. Na tylnej kanapie w foteliku siedziało zapięte pasami dziecko.

Damięcki też to zobaczył. Natychmiast cofnął rękę z kabury i ruszył do samochodu. Mądry chłopak. Nie miał jednak szans, aby zdążyć zablokować służbowym wozem uciekający samochód.

Opel przemknął obok nich. Nie jechał szybko, ale na wąskiej uliczce wewnętrznej wydawało się, że pędzi ponad sto na godzinę. Gleba wyjęła w biegu odznakę policyjną i pokazała ją kobiecie, która nadal biegła za samochodem.

– Jesteśmy z policji, odzyskamy samochód! – rzuciła w jej kierunku. – Proszę tu poczekać.

– Tam jest moje dziecko! – krzyczała kobieta tym wysokim, przeraźliwym głosem, który najczęściej pojawiał się, gdy ludzie wpadali w panikę.

– Wiem! – odparła Gleba i bez dalszych tłumaczeń wskoczyła do samochodu, którym podjechał Damięcki.

Ranny funkcjonariusz, spanikowana matka, uciekający podejrzany. Jaki miała wybór? Oczywiście ten trzeci. Złapała za gruszkę policyjnego radia i szybko poinformowała o rozpoczęciu pościgu za Jackiem Wójcikiem, który akurat odbił ostro w lewo i bez cienia zawahania wjechał w opuszczony szlaban, który rozpadł się na części. Strażnik zdążył tylko wystawić głowę ze swojej budki, na szczęście nie wyskoczył na ulicę, bo by ich tylko wstrzymał.

Gleba rzuciła szybko przez radio, że srebrny opel skręcił w prawo i ruszył w stronę obwodnicy miasta. Dodała bardzo wyraźnie, że w pojeździe przebywa dziecko osoby postronnej.

– Dobry kierunek wybrał – skomentował Damięcki wyraźnie podekscytowanym głosem. – Nie pojechał do centrum.

Musiała się zgodzić, zostało im do przejechania nieduże rondo i jeśli uciekinier skieruje się na nim w prawo, to wyskoczą na drogę prowadzącą poza miasto. Jeśli akurat nie mają tam żadnego samochodu, będzie bardzo ciężko go zatrzymać. Nie mogli strzelać, zepchnąć go do rowu, stosować twardej zapory, bo każdym takim działaniem narażali niewinnego pasażera.

Zadzwoiła do doktora Stawiarza i poinformowała go, że przy drzwiach ewakuacyjnych leży ranny funkcjonariusz, należy mu natychmiast udzielić pomocy, a przed szpitalem stoi spanikowana kobieta, którą także należy się zająć. Lekarz tym razem nie żartował, potwierdził przyjęcie informacji i szybko się rozłączył. Gleba pamiętała, że po parkingu kręcił się ratownik medyczny, nie miała czasu spojrzeć, czy zauważył zamieszanie.

Tymczasem opel pędził, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość, i wbił się na rondo, pokonując je z lekkim poślizgiem. Samochód skierował się zgodnie z oczekiwaniami w stronę obwodnicy miasta. Gleba zawsze się zastanawiała, czym kierują się uciekający przed policją samochodem lub motocyklem ludzie. Z policyjnych statystyk wynikało, że żadna taka ucieczka nie zakończyła się sukcesem. Może to była wina amerykańskich filmów, na których przestępcy uciekali drogami międzystanowymi i dzięki zabiegom scenarzystów udawało się im sprytnie umknąć pościgowi? To nie była Ameryka, tylko Polska, pełna wąskich dróg kompletnie nieprzystosowanych do obecnego natężenia ruchu, więc najczęściej zakorkowanych. W zdecydowanej większości przypadków uciekinierzy przegrywali po prostu w momencie, gdy na drodze stawał im normalny, codzienny ruch uliczny. Nawet motocyklem było im ciężko przejechać. Porzucali w końcu pojazd i zaczynali uciekać pieszo, a wielu młodych policjantów ćwiczyło, więc nie było im tak łatwo zbiec.

– Jaka to ulica? – zapytała.

– Czarnieckiego. Zaraz most na Sanie.

– Jedziemy nadal Czarnieckiego – zaraportowała Gleba przez radio. – Od ronda w stronę mostu na Sanie.

Czekało ich jeszcze jedno rondo, z dużą zieloną wyspą na środku, zasłaniającą widok na dalszą trasę, a opel astra nie był samochodem rajdowym, którym można było pokonywać zakręty z dużymi prędkościami, musiał tam zwolnić.

Na rondzie Wójcik skręcił od razu w lewo przed wyspą, pod prąd, chcąc wskoczyć na obwodnicę, ale na planowanej drodze ucieczki zamigotały niebieskie światła oddalonego o kilkaset metrów radiowozu. Musiał zrozumieć, że nie tędy droga. Objechał więc rondo pod prąd i pojechał na wprost.

Rowerzysta przejeżdżający właśnie przez przejazd nie spodziewał się samochodu nadjeżdżającego z tej strony ronda, duże słuchawki na uszach skutecznie odcinały go

także od świata zewnętrznego. Gleba widziała to doskonale, byli już na rondzie i jak w zwolnionym filmie zauważyła srebrnego opła wjeżdżającego nie swoim pasem na most, rowerzystę z pochyloną głową, te jebane słuchawki na połowę jego pustego łba, i wewnętrzny głos życiowego lektora wypowiedział tylko jedną kwestię: „Kurwa mać”.

Opel nawet nie zwolnił.

Rowerzysta nie miał szans.

Nie było spektakularnego huku czy innego odgłosu, który pewnie podłożyliby dźwiękowcy w filmie, a może zagłuszył to odgłos silnika ich samochodu trzymanego przez Damięckiego na wysokich obrotach, ciężko dociec, zresztą nie był czas na to.

Dźwięku nie było, ale wystarczył obraz. Rowerzysta wyleciał w górę dosyć wysoko, kilka metrów nad samochód, jego śladem podążył sam rower. Pieprzone słuchawki dalej siedziały na głowie chłopaka. Ciekawe, jaki utwór rozbrzmiewał mu w uszach w ten piękny kwietniowy dzień, w chwili, gdy umierał. Tego była pewna, bo za głową ciągnęła mu się już smuga krwi, niemal jak na reklamach szamponu, gdy piękna i długowłosa kobieta po kąpeli ciągnie na włosach strumień wody. Gdyby miał kask zamiast słuchawek, może całość nie zakończyłaby się tragicznie.

– Jedź! – poleciała Damięckiemu, jednocześnie dając do radia sygnał dla radiowozu dojeżdżającego do ronda, żeby nie kontynuowali pościgu, lecz zabezpieczyli miejsce wypadku.

Opel przyspieszał cały czas, wjeżdżał na most. Był to idealny moment na zablokowanie drogi, ale niestety, czasu było mało i nawet nie było mowy o ustawieniu jakiegokolwiek blokady. Nagle na końcu mostu pojawił się radiowóz, duży fiat ducato. Srebrny lakier upodobił go przez chwilę do rycerza w lśniącej zbroi, który przybywa na ratunek damie w opałach, niebieskie koguty na dachu wykluczały jakąkolwiek pomyłkę. Na szczęście na moście nie było żadnego innego auta. Pies

Funkcjonariusz kierujący fiatem bardzo szybko zorientował się w sytuacji i zatrzymał radiowóz mniej więcej w połowie mostu w poprzek jezdni, blokując możliwość przejazdu. Pozostawały jeszcze chodniki po bokach, którymi tak mały samochód jak astra mógł się precyzyjnie przemieszczać, ale policjant wiedział, co robi. Nie wysiadł, nie gasił silnika, czekał. Ostrzegawczo ruszył nieco do przodu, potem szybko do tyłu, pokazując, że jest gotów do zablokowania także tych dróg.

Oby dziecko miało dobry fotelik, przemknęło Glebie przez myśl, bo Wójcik nie zwalniał. Nie było szans, aby przebił się przez duży radiowóz. Do ilu rozpędzi się taki opel na moście, do setki? Tragedia. Filmy z testów zderzeniowych aut pokazywały duże zniszczenia, a kręcono je najczęściej przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Odblokuj ulicę! – krzyknęła do gruszki. – Kurwa, odblokuj most!

Cisza. Albo wiadomość nie dotarła do funkcjonariusza, albo ten był zbyt spanikowany, aby zareagować.

– Tam jest dziecko! – krzyknęła ponownie.

Za późno.

Opel przytulił się do prawej krawędzi jezdni, a dosłownie na kilka metrów przed przeszkodą kierowca odbił w lewo, mając chyba nadzieję, że uda mu się przemknąć, zanim policjant wycofa samochód. Gleba przez chwilę była pewna, że tak się stanie, bo luka powstała po lewej stronie mostu wydawała się na tyle duża, że zmieściłby się nawet i TIR z naczepą. *Oby mu się udało uciec*, pomyślała.

Producent reklamuje opła astrę jako najlepsze auto w Niemczech i zachęca kupujących, aby przygotowali się na dłuższe podróże. Gleba dałaby sobie rękę obciąć, że nie ma tam ani słowa o tym, że jest to idealne auto do dynamicznego omijania policyjnych blokad, nie pokuszono się także o informację o możliwościach pokonywania wysokich krawężników.

Opel skręcił z takim impetem, że aż przechylił się na bok, jednocześnie walnął przednim lewym kołem w krawężnik odgradzający jezdnię od chodnika. Podskoczył i przechylił się na bok, z impetem uderzył w barierę energochłonną i metalową balustradę chroniącą pieszych przed spadnięciem z mostu. Tył osobówki zaczął się unosić, w jakimś ślamazarnym tempie, jednak nieubłaganie wspinał się pod najwyższą górę świata, aż bagażnik samochodu osiągnął najwyższy punkt i spadł. Niestety, za most. Auto zniknęło im z pola widzenia.

Z radiowozu blokującego drogę wyskoczył umundurowany policjant z pałką w dłoni i biegł w stronę rozwalonej barierki. Damięcki zatrzymał samochód i Gleba wyskoczyła na asfalt, już boso, bo buty zdjęła jeszcze w samochodzie, kurtkę także. Nie myślała, nie zastanawiała się, po prostu ominęła barierkę, skacząc na nogi prosto do wody.

Niby taki skok trwa tylko chwilę, ale tak naprawdę ilość informacji, które przez ten czas przetwarza mózg, jest oszałamiająca.

Po pierwsze, to wyświetliła się jej informacja o podwyższonym stanie wody. Po poprzednim dość suchym roku, gdy San notował podobno najniższe stany w historii, przysłała bardzo śnieżna zima, mokra wiosna i ostatnio sporo nawałnic w górach.

Po drugie, mogła spaść wprost na samochód i nie tylko nie uratowałaby dziecka, co sama najpewniej utonąła. Żadna z powyższych opcji nie była zbyt przyjemna.

Po trzecie, odnotowała jakiś ruch i kątem oka dostrzegła, że obok niej frunie Damięcki.

Gdy już leciała, to widziała, jak samochód wśród spienionej, brudnobrązowej wody płynie po powierzchni.

Uderzyła w wodę, na szczęście zdążyła nabrać powietrza. Zimno! Kurwa, jak zimno! W tak ciepły dzień woda przecież powinna być letnia, a miała wrażenie, jakby wskoczyła w śnieg.

Co ciekawe, poczuła dno i mocno się odepchnęła. Gdy wypłynęła na powierzchnię, zobaczyła, że opel unosi się na wodzie niczym drewniany klocek, do góry kołami, kilka metrów przed nią. Ruszyła mocniej ramionami i od razu znalazła się przy tylnym zderzaku auta, Damięcki opływał samochód z drugiej strony.

Zobaczyła tylne drzwi, a za ich szybą dziewczynkę zapiętą w foteliku. Szarpnęła za klamkę, przez co do środka od razu zaczęła się wlewać woda. Czuła, że zdąży. Jedyna trudność, niby drobna, ale w tym przypadku kurewsko kluczowa, to że młoda była do góry nogami. Gleba wczołgała się do wnętrza i odwróciła na plecy.

– Cześć! – rzuciła odruchowo, ale spokojne do tej pory dziecko dopiero teraz zaczęło płakać i wierzgać wszystkimi możliwymi kończynami, zdawało się, że ma ich co najmniej dwanaście.

– Jestem ciotka Gleba – powiedziała. – Cichutko. – Czuła, że chce bardziej uspokoić samą siebie niż dziecko.

Kurwa, jak się rozpina ten pierdolony, w dupę jebany fotelik?!

Karol tymczasem otworzył przednie drzwi i sprawdzał leżącego bezwładnie Wójcika.

– Nieprzytomny! – zaraportował znad jej głowy Damięcki. – Wyciągam go.

– Pierdol go, pomóż mi tutaj – rzuciła płacząco, czując, że ogarnia ją panika totalna, głęboka i zimna jak San.

– Już! – odpowiedział.

Zakołysało samochodem, chyba chłopak ponownie wszedł do wody. A ta była zimna jak trupi język i tak samo przyjemna.

Gleba poczuła, jak woda wpełza coraz wyżej, napełnia samochód, a ona nie mogła sobie poradzić z pierdolonym zapięciem. Podobnie jak w poprzednie wakacje, gdy bawiła się w ciotkę u swojej kuzynki, wyjmowała jej synka z fotelika i także szarpała się bez sensu z mocowaniem, tylko że wtedy stały na parkingu pod warszawskim zoo w cieniu, nie było żadnej wody, tonącego samochodu i młody nie wrzeszczał jak sto diabłów.

Palce ślizgały się jej po plastikowym zapięciu, gdy już jej się wydawało, że zaraz wygra, młoda szarpnęła się mocno i uderzyła ją w rękę.

– Kurwa! – rzuciła Gleba.

– Daj! – Obok niej pojawił się Damięcki. – Wyskakuj, bo samochód się przechyli.

Zrobiła to, znowu wpadając pod powierzchnię i tym razem zachłystując się wodą. Odbiła się od dna i zobaczyła, jak Damięcki szarpie się z pasem, ale po chwili trzyma już dziecko w rękach i zsuwa się do wody.

Dziewczynka wiała się niczym przysłowiowy piskorz i wysliznęła mu się z rąk, ale on od razu za nią zanurkował i po chwili wynurzyli się we oboje, a chłopak trzymał ją w sposób wyglądający na bardzo fachowy, plecami do siebie, płynął stylem grzbietowym, będąc całkowicie poza zasięgiem malutkich rączek i nóżek machających w powietrzu i szukających ofiary.

– Do brzegu! – rzuciła i plunęła wodą.

Samochód zniknął pod wodą, już tylko jedna trzecia wystawała nad powierzchnię. Gleba opłynęła go, co nie było znowu takie łatwe. Podwyższony San toczył mulistą wodę z całkiem sporą prędkością, wcześniej działało to na ich korzyść, bo szybko dopłynęli do samochodu, ale manewrowanie w takiej wodzie nie było łatwe.

Pomagając sobie chwytaniem poszczególnych elementów podwozia, dotarła do drzwi kierowcy, ale w środku nie było nikogo, widziała tylko zakrwawioną wystrzeloną poduszkę powietrzną kierowcy.

– Zapiardolę go! – warknęła i rozejrzała się.

Jest. Wójcik dopływał do prawego brzegu, zmierzając do powalonego do wody drzewa. Jednocześnie z ulgą dostrzegła Damięckiego, który docierał z dzieckiem do lewego brzegu. Chociaż, kurwa, to się udało.

Mocniej uderzyła rękoma w wodę, ruszając za uciekinierem, nie był daleko, może ze dwadzieścia metrów, ale już włąził na brzeg. Jeśli miałyby podparcie dla nóg, to zastrzełiłyby skurwysyna, nie odpięła broni, a z mokrego pistoletu można spokojnie strzelać, nawet pod wodą, jak tłumaczył jej instruktor. Były tylko naboje były dobrej jakości i woda nie dostała się do ładunku prochowego.

Wójcik nie czekał na nią, tylko od razu ruszył w gęstwinę, straciła go z oczu. Płynęła dokładnie do tego samego miejsca, w którym i on dobił do brzegu. Dostrzegła poruszenie na moście, już kilku policjantów biegło w ich kierunku. Nie ma szans, żeby kutas uciekł, tyle że ona nie miałyby nic przeciwko, żeby jednak nie zatrzymał się po okrzyku „Stój, policja” i po strzale ostrzegawczym. Zresztą, nie zamierzała krzyczeć.

Brzeg był śliski, a ona boso, więc czuła się jak za pierwszym razem na lodowisku. Wójcik ciągnął przez kilka metrów za sobą smugę wody, a przecież dodatkowo po ulewie całość przypominała małe bagno. Plusem tego był fakt, że widziała jego ślady bardzo wyraźnie. Głębokie, nierówne. Wybuch poduszki powietrznej musiał go ogłuszyć. To cud, że się obudził, pewnie orzeźwiła go zimna woda.

Wybiegła z pierwszych krzaków i zobaczyła go, słaniającego się, jakby solidnie przesadził z alkoholem. Odwrócił się i ją dostrzegł. Padł na kolana.

– Policja, stój, bo strzelam! – krzyknęła Gleba.

– Poddaję się – wyjąkał.

– Powiedziała, stój, bo strzelam! – powtórzyła i uniosła pistolet do góry, pociągając za spust.

Powietrze rozdarł huk, a Wójcik padł czołem w błoto, zakrył głowę dłońmi.

– Nie! – wykrzyknął błagalnie.

– Mówiłam, żebyś się zatrzymał – powiedziała spokojnie i wymierzyła w jego stronę.

Kłęczał przed nią, a nawet nie kłęczał, tylko pełzał, jak robak, płakał, czuła smród, chyba popuścił w gacie. Przeszła za niego, przecież nie może mu strzelić w głowę od przodu.

– Zabijesz chuja, ale odpowiesz jak za człowieka – usłyszała za sobą.

Odwróciła się, to był policjant z mostu. Miał jakieś trzydzieści lat, spokojną, uśmiechniętą twarz ozdobioną sumiastym wąsem. Nie знаła go.

Opuściła broń, schowała ją do kabury.

– Skujesz go? – zapytała.

– Wedle rozkazu – odpowiedział. – Ale kopnąć chyba można, co?

Gleba odwróciła się i spojrzała na kłęczącego Wójcika. Wykonała krótkie kopnięcie, takie z biodra. Skrzywiła się nie na dźwięk łamanego nosa, ale przez ból stopy, nie miała butów. Wójcik ryknął żałośnie, a z jego nosa trysnęła fontanna krwi. Spojrzała na policjanta, ten stał odwrócony, w razie kłopotów będzie mógł uczciwie zeznać, że niczego nie widział.

– Tobie też się należy wpierdol – powiedziała, dysząc ciężko. – Za zablokowanie mostu.

– Szkolenie a życie dwie różne sprawy – odpowiedział policjant, odwracając się do niej. – Trochę spanikowałem. Gdy krzyczałaś, że bym odblokował most, to już było za późno.

– Masz jakiś koc w samochodzie?

– Pewnie, zapraszam.

Chłopaki z prewencji zawsze jakiś mieli, niemal każdemu zdarzyło się na nocce przyciąć komara. Gdy weszli na most, już roiło się na nim od służb. Obok karetki stał Karol, kontrolując poczynania lekarzy przy uratowanej dziewczynce.

– I jak? – zapytała Gleba okryta kocem.

– Wystraszona, trochę nałykała się wody, poza tym wszystko w porządku – odparł.

– Powinni dać ci za to medal, nieźle pływasz.

– Dorabiałem całe liceum jako ratownik – odpowiedział bez cienia dumy, ot tak, po prostu.

– Pokonało mnie pierdolone zapięcie fotelika. – Pokręciła głowę z niedowierzaniem.

– Miałem nóż, przeciąłem pas – powiedział Karol. – A jak Wójcik?
– Zmaltretowany, ale żyje – poinformowała go. – Musimy się przebrać, ależ ta woda śmierdzi.

– Wszystko tu śmierdzi – powiedział z westchnieniem. – Cały ten kibel opisać w papierach, ale będzie roboty.

– Spokojnie, nie nasze zmartwienie. Mamy naszego klienta. Dopilnuj, żeby w karetce opatrzyli mu nos, a potem do suki i do nas. Musimy go pięknie przesłuchać. Niech żaden doktorek nie próbuje nam go wysłać na obserwację czy inne gówno, jest nasz. I daj mi kluczyki, skoczę nam kupić czyste ciuchy. Nosisz elkę?

– Tak.

Wręczył jej kluczyki. Ich samochód nadal stał z otwartymi drzwiami przodem do rozwalonej barierki. Gleba podeszła do niej i spojrzała w dół. Zakręciło się jej w głowie, ależ tu było wysoko.

6.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 15.00

Gleba spoglądała na Wójcika, zgarbionego, z opatrunkiem na twarzy, przebranego w drelich zgarnięty z aresztu. Gleba zaleciła, żeby był przynajmniej o rozmiar za duży, aresztowany miał się w nim czuć niekomfortowo. Do pokoju za lustrem, z którego obserwowali mężczyznę, weszła prokurator Kolasińska.

– Podobno pięknie podaje na papier – powiedziała na powitanie.

– Krzyczał, że do wszystkiego się przyznaje – potwierdził Damięcki. – I że nie chce żadnego prawnika.

– Do wszystkiego? – zapytała. – Czyli do czego?

– Do zabicia Henryka Skórzyńskiego.

– Tylko do tego?

– Nie będziemy robić podwójnej roboty – powiedziała Gleba, włączając się do rozmowy. – Gdy tylko stwierdził, że się przyzna, to ciężko nam było go powstrzymać, stwierdziliśmy, że najlepiej załatwić wszystko w twojej obecności.

– Nieźle poobijany – powiedziała, przyglądając mu się przez szybę. – To przez ten wypadek?

– Jechał bez pasów i poduszka wystrzeliła – poinformował ją Damięcki. – Pechowo, prosto w nos. Ma też rozwalony łuk brwiowy, pękniętą wargę. Dużo krwi, mało szkód.

– Pouczony?

– Tak jest – odpowiedział Damięcki.

– No to lecimy – zarządziła Kolasińska.

Weszli do pokoju przesłuchań, Karol usiadł przy stoliku znajdującym się z boku i rozłożył swojego laptopa. Sam się zaofiarował, że będzie protokołował.

Kolasińska bez wątpienia była służbistką, sama poinformowała Wójcika o jego prawach i zarzutach, jakie mu chce przedstawić, i gdy już wyczerpała wszystkie przewidziane przez prawo punkty przesłuchania, zadała pierwsze pytanie:

– Czy przyznaje się pan do stawianych zarzutów?

– Sporo tego – odpowiedział Wójcik, co zabrzmiało nieco śmiesznie, miał zatkań opatrunkiem nos.

– Uzbierało się – zgodziła się Maryna.

– Chciałem na samym początku przeprosić za ucieczkę i to wszystko, rowerzystę i dziecko. Ono było takie ciche, na moście dopiero się rozpłakało, przestraszyłem się i zjechałem w barierki, bo się odwróciłem. Myślałem, że sam jadę, a tu jak w horrorze, nagle dziecko.

– Zaczniemy od początku – powiedziała Kolasińska. – Czyli od Stefana Budzińskiego.

– Od kogo?! – zdziwił się mężczyzna.

– Zamordowanego na kulochwytach bezdomnego – wyjaśniła Gleba. – Zamordowałeś najpierw jego, a potem Skórzyńskiego. Kto miał być trzeci? Wincenty Kłos?

– Co wy pierdolicie?! – obruszył się, aż poczerwieniał na twarzy. Gleba miała wrażenie, że jego nos zaraz eksploduje z tego ciśnienia fontanną krwi. – Jakie morderstwo? Jaki Kłos?

– Te same narzędzia zbrodni, sposób popełnienia morderstwa – wyliczała Gleba. – To nie mógł być przypadek.

– Ja tej nocy, co zabili tego bezdomnego, to w pracy byłem. Już przy śniadaniu na zakładzie się gadało, że go dopadł jakiś świr. Wacek, kierownik linii, ma syna policjanta i ten mu wszystko przez telefon opowiedział, a on znowu nam. Paskudna sprawa, tak mówili wszyscy, poszła też od razu wieść, że to morderca seryjny i to dopiero początek, tylko czekać kolejnego.

Wiedzieli, że Wójcik nie zamordował Posejdona. Dostarczone przez Kolasińską logowania jego telefonu potwierdzały, że w momencie morderstwa ofiary numer dwa był faktycznie nad Sanem, ale przy pierwszym morderstwie przebywał w pracy.

– A z tego Heńka to był kawał skurwysyna i tyle – dodał po chwili.

– Mówi pan o Henryku Skórzyńskim? – zapytała Kolasińska.

– No o nim. Tyle, co on krwi napsuł ludziom, to długo by opowiadać.

– I dlatego go pan pozbawił życia? Bo napsuł ludziom krwi? – zapytała prokuratorka.

- No mieliśmy też swoje sprawy. Psa mi otruł, bo mu przeszkadzał, za głośno był.
- Tylko o psa chodziło? – dociekała Gleba.
- No jak się tak zbiera, to i się uzbiera.
- Pierdolisz – rzuciła Gleba.

- Znaleźliśmy przy panu dwa telefony – weszła jej w słowo Kolasińska. – W pana saszetce, która została w samochodzie. Porządna rzecz, nie przepuściła wody. Jeden z numerów należy do pana, drugi natomiast jest zarejestrowany na Abdula Hamisha, obywatela Armenii. Krótka mówiąc, słup. Z tego numeru wykonano mnóstwo połączeń, bardzo długich rozmów dodam, z numerem telefonu pani Doroty Skórzyńskiej, żony zamordowanego przez pana mężczyzny.

Wójcik, przed chwilą czerwony niczym sam Święty Mikołaj, teraz pobladł. Potarł odruchowo nos, ale ręka natrafiła na opatrunek, cofnął dłoń niczym oparzony, po czym spojrzął z wyrzutem na Glebę. Nie żałowała, z chęcią by mu poprawiła z drugiej strony.

- Dorota... – zaczęła, spuszczać wzrok. – My się znamy z dzieciństwa, wie pani, mieszkaliśmy na jednej ulicy, bo to jest jej rodzinny dom. To Heniek się tam wprowadził. Najpierw wyprowadzili się jej rodzice, bo nie mogli z nim wytrzymać, a potem ona.

- Miał w swojej szafie dowody na to, że macie romans – rzuciła Gleba, a Damięcki przytomnie przestał protokołować, zastygł z palcami nad klawiaturą. – Wniósł pozew o rozwód, byłoby orzeczenie o winie.

- Nie miał żadnych dowodów, nie mamy romansu – zaprzeczył Wójcik.

- Dowody są, mimo że próbowałeś je usunąć – powiedziała Gleba. – Zaatakowałeś mnie, gdy cię na tym nakryłam. Dorzucimy do zarzutów napaść na policjanta.

Wójcik milczał, ale jego oczy nabrały tempa, przeskakiwały z lewej na prawą. *Kalkuluje*, pomyślała Gleba. Jego plan się sypanął, wszystko się wali i ogranicza straty.

- To byłem ja – przyznał po krótkiej chwili ciszy.

Damięcki ponownie zaczął pisać.

- A czego tam szukałeś?

Mężczyzna rozplakał się, przez zatkany nos brzmiało to jak niskie buczenie wielkiego trzmiela. Gleba wyczuła moment, trzeba było naciskać.

- Zabezpieczyliśmy dom, ale gdy tylko odjechaliśmy, to wszedłeś do niego i zabrałeś z szafy jedną teczkę, tę opisaną jako „Zoźza”. Coś musiałeś w niej znaleźć, co nie? Coś, co przygnało cię ponownie do tego domu. Co to było?

- Dorota nie ma z tym nic wspólnego – nie tyle powiedział, co wybuczał Wójcik.

- To się okaże – stwierdziła Kolasińska. – Zatrzymaliśmy ją na lotnisku w Jasionce, jest transportowana do aresztu w Rzeszowie. Gdy skończę z panem, to jadę ją

przesłuchać.

– Szukałem nagrań – oznajmił w końcu Wójcik. – W tej teczce jest informacja, że ma nagrania z naszymi... no wiecie. Wynajął prywatnego detektywa, ten robił zdjęcia, ale też nagrywał.

– I co, bolało? – zapytała Gleba. – Nie można było tak od razu? Człowieku, przejechałeś na pasach rowerzystę, zmarł na miejscu. Zamordowałeś Skórzyńskiego. Dostaniesz maksymalny wyrok, tylko od twojego grzecznego zachowania zależy, jak cię potraktuje sąd, pani prokurator i my. Możesz trafić do takiego pierdła, gdzie już po pierwszych godzinach będziesz szukał najlepszego sposobu na samobójstwo, albo w miejsce, w którym sobie posiedzisz jak na kiepskich wakacjach. Nie utrudniaj.

– Mogłem go utopić – powiedział Wójcik i westchnął. – Pchnąć do Sanu i tyle by go widzieli, zwyczajny wypadek na rybach.

– Ale chciałeś, żeby cierpiało, co nie? – zapytała Gleba.

– To był naprawdę kawał chuja. Znęcał się nad Dorotą psychicznie, i to od lat, w każdym widział wroga i ze wszystkimi toczył wojny. Mnie też zatruwał życie, wszystkim. Był jak ten Putin grający na nosie całemu światu, musiał postawić na swoim. Mogłem go, kurwa, po prostu utopić.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała szybko Gleba.

– Wacek opowiadał, że trupa znaleźli powieszono za nogę na łańcuchu, z poderżniętym gardłem. Ludzie gadali o tym na okrągło, i to wszędzie, w sklepach, na cepeeniu, gorący temat. Różne rzeczy dopowiadali, że miał wycięty na plecach pentagram, dookoła ustawiono czarne świece, że spuszczone z niego krew i takie tam, ale wiedziałem, że to bzdury. Wacek śmiał się z tego wszystkiego, przyszedł do mnie na piwo wieczorem. Wtedy wpadł mi do głowy pomysł, że można by to upozorować na kolejną ofiarę. Łańcuch miałem akurat kupiony jakiś czas temu, zapasowy do garażu, żeby silnik z samochodu wyciągać. A potem poszło. Zobaczyłem, jak wieczorem kopie robaki w kompostowniku, znaczyło to, że na ryby na nockę idzie, zawsze tak robił. No i... już. Ludzie gadali o tym czarnym samochodzie, że niby ten morderca bezdomnych takim jeździ, więc o nim wspomniałem, od razu zobaczyłem, jak was to poruszyło. Zmyliłem was, co?

– I to jest powód do dumy? – zapytała ostro Gleba, chociaż akurat teraz chciała mu naprawdę dać po mordzie.

– No nie... – odpowiedział szybko i skulił głowę w ramionach.

– Dobrze, opisz nam pan zaraz szczegółowo przebieg zdarzenia – powiedziała Kolasińska. – Proszę powiedzieć, jaki miała w tym udział Dorota Skórzyńska?

– Żadnego, przysięgam.

Gleba skinęła głową i wyszła z pomieszczenia, dalsze przesłuchanie kompletnie jej nie interesowało. Najważniejsze, że mieli zamkniętą jedną sprawę, wykryli sprawcę morderstwa Henryka Skórzyńskiego, a to naprawdę wiele zmieniało. Nadal nie mieli tego, który zamordował Budzińskiego vel Posejdon. Klucz do rozwikłania tej zagadki mógł znajdować się w przeszłości doktora, zatem wszystkie ich działania z poprzedniego dnia nie okazały się bezcelowe. No i nie mieli do czynienia z seryjnym mordercą. Miała rację.

Ale burzliwy dzień jeszcze się nie skończył.

7.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 18.00

Gleba spojrzała na Damięckiego znad kubka kawy, zastanawiając się, co siedzi chłopakowi w głowie, co tak naprawdę myśli o dzisiejszych wydarzeniach. Po przesłuchaniu Wójcika mieli krótkie spotkanie z komendantem, który sam nie bardzo wiedział, czy ich opierdolić, czy pochwalić. Nie mógł i chyba nawet nie chciał ich zawieszać na czas postępowania wyjaśniającego. Nie mógł, bo przecież zbliżał się wielki dzień, już pojutrze miała się tu zjawić cała partyjna góra, a mówiło się, że prezydent Marian Szatkowski był obecnie po cichu szykowany jako kandydat prawicy do kolejnych wyborów prezydenckich. Podobno napięcie rozładował szef Służby Ochrony Państwa, który ocenił akcję pojmania Jacka Wójcika jako może nie wzorową, ale jak na zaistniałe okoliczności to bardzo dobrze poprowadzoną. Gdy dowiedział się, że zakończyła się ona aresztowaniem podejrzanego, postawieniem mu zarzutów, a na końcu tym, że sprawca przyznał się do popełnionego czynu, to uściśnęła komendantowi rękę i pogratulował zespołu.

Gleba widziała jednak to, co umykało wszystkim innym. Wyzwanie, z którym będzie musiał zmierzyć się komendant. Matka, która ochłonie i najprawdopodobniej wniesie zarzuty o narażenie życia jej i dziecka, to samo będzie z rodziną przejechanego na pasach chłopaka. Kancelarie prawnicze liczące na rozgłos już pewnie próbowały się skontaktować z krewnymi poszkodowanych, w Warszawie było to na porządku dziennym. Tutaj może by i umknęło, ale sprawa będzie medialna, to na pewno. Ratunek tylko w postępowaniu wyjaśniającym, a to z odpowiednimi mocowaniami politycznymi mogło zostać zakończone na ich korzyść.

– Moje szczerze gratulacje – powiedziała do Damięckiego. – Masz rozwiązaną pierwszą poważną sprawę.

– No trochę z perturbacjami.

– Nie zawsze jest czysto, ale spokojnie, taki kibel rzadko się zdarza. To chyba pierwszy pościg, w jakim brałam udział, zazwyczaj mamy czystą realizację. Muszę

jednak powiedzieć, że jestem pod wrażeniem tego, jak się zachowywałeś. Jak doświadczony, stary wyga. Żadnej paniki, zarówno pod szpitalem, jak i na moście. No i uratowałeś dziecko.

– Daj spokój, mówiłem ci, pracowałem jako ratownik, to uczy myślenia na chłodno i oswaja z takimi sytuacjami. Mieliśmy szczęście, że woda w Sanie podniesiona. Gdyby to było rok temu, samochód roztrzaskałby się o dno.

– Dobry i skromny. – Gleba poklepała go po ramieniu. – Taki powinien być policjant. Wracaj do domu, wyprasuj galowy mundur, przygotuj pierś pod order. I rozchmurz się, jeszcze trafisz na seryjnego, coś czuję w kościach. Szkoda cię do sztabu, jesteś stworzony do działania operacyjnego. Matka może pewnie załatwić ci dowolne przeniesienie, pomyśl nad tym. Sprawdziłbyś się w większym mieście.

– Seryjny czy nie, sprawę Budzińskiego też wypadałoby rozwiązać – odparł.

– Jest jeszcze nadzieja, że Budzińskiego załatwił ten osławiony Wampir. Jutro się tym zajmiemy, mamy solidną podstawę, wczoraj zrobiliśmy kupę dobrej roboty przy tej sprawie. Dziś musimy odpocząć, bo pojutrze to już zagonią nas do pilnowania porządku przy wizycie jaśnie oświeconych szyszek.

A ja muszę zadzwonić do matki i spotkać się w końcu z Albertem. Utrzymywała uśmiech na twarzy dla pozorów, ale w głębi duszy wołałaby zajmować się trupami.

Trzeba uważać, czego człowiek sobie życzy, bo może się to spełnić.

8.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 21.00

Iga знаła swoje słabości, ale nie potrafiła z nimi walczyć, a dziś sromotnie przegrywała z tą najbardziej znienawidzoną, czyli odkładaniem wszystkiego na później. Wychodząc z komendy, postawiła sobie dwa zadania na dzisiejszy wieczór i twardo postanowiła trzymać się planu. Najpierw wyciągnie rękę do Alberta i jeśli tylko ten będzie chciał się spotkać, to wszystko wyjaśni, jak trzeba. No i zadzwoni do matki, aby przyjąć tradycyjną reprimendę. To ocieplenie relacji tylko ją męczyło, cholera, już wołała ich poprzedni pakt o nieagresji. Wzajemne telefony z okazji urodzin, Dnia Matki i Dziecka, spotkanie w okolicach Bożego Narodzenia i Wielkanocy, czasem okazjonalnie w ciągu roku na pogrzebach, chrzcinach lub weselach, jakie wypadały w rodzinie. Może w końcu matka znajdzie sobie kogoś i da jej wreszcie święty spokój.

Mając w perspektywie dwa tak przykre do realizacji punkty, odwlekała je, jak tylko możliwe. Wróciła do domu najdłuższą drogą, wstępując do niemal każdego napotkanego sklepu. Potem postanowiła wziąć długi i gorący prysznic, wypadało też posprzątać, chociaż tak z grubsza. Otwarcie drzwi do lodówki dało jej kolejny

pretekst, aby odwlec w czasie to, co nieprzyjemne, zeszła więc do sklepu spożywczego i zrobiła na tyle duże zakupy, aby podczas poszukiwania w lodówce czegoś do jedzenia nie musiała odmrażać sobie ręki. W mieszkaniu wszystko ładnie poukładała na półkach, nawet sprawdziła daty ważności produktów, co zdarzyło się jej chyba pierwszy raz w życiu.

Gdy już usiadła z kubkiem kawy w fotelu i wzięła głęboki oddech przed rozmową z Albertem, ten sam odezwał się do niej na komunikatorze z pytaniem, czy może wpaść wieczorem, trening kończy o dwudziestej pierwszej. No i pięknie, stara zasada pracowników biurowych głosiła, że jak jest jakiś problem, to odczekaj pół godziny, z dużą dozą prawdopodobieństwa rozwiążą go za ciebie. Tym razem przełożyło się to na życie prywatne.

Uradowana tym faktem, wybrała numer do matki, ale ta nie odbierała, co już zakrawało na zbyt duże szczęście. Gleba odczekała równe sześć sygnałów i z czystym sumieniem odłożyła telefon na stolik, po czym zabrała się do picia kawy. Wszystko to wydarzyło się koło dwudziestej, więc nieoczekiwanie spadło na nią sześćdziesiąt minut wolnego czasu. Drzemka? Może lepiej coś poczytać, ostatnio nie miała na to czasu. Na stoliku leżała świeżo zakupiona powieść Mieczysława Gorzki *Burza*. Pasowała tematycznie do tego, co działo się ostatnio w mieście, i nie chodziło tu tylko o pogodę.

– Zaskocz mnie – powiedziała do książki, zdając sobie sprawę, że rozmawianie z przedmiotami jest najpewniej pierwszym objawem jakiejś choroby psychicznej.

Godzinę później była zła na siebie, że umówiła się z Albertem. Książka wciągnęła ją kompletnie, już zapomniiała, jakie to uczucie dać się porwać opowieści. Gdzie tam filmy, seriale i inne netflixy. Gdy czytasz, nie możesz z nikim rozmawiać, przeglądać wiadomości na telefonie, oddajesz się autorowi kompletnie, tutaj nie ma miękkiej gry. Czytanie to jak taniec wymagający znajomości odpowiednich kroków. Jeśli będziesz zerkać za ramię partnera, a on sam, o okrutny losie, nie potrafi prowadzić, wszystko legnie w gruzach. Jeśli jednak podejdziesz ci rytm czytanych słów i styl prowadzącego autora, to zniknie technika zastąpiona przez ekstazę.

No a niech ktoś ci przerwie, toś gotowa zabić! Tak jak właśnie w tej chwili, gdy dostała od Alberta krótką wiadomość: „Jestem”. Odłożyła książkę i zerknęła przez okno, właśnie zmierzał dziarskim krokiem w stronę jej bloku. Nie zdążyła zrobić makijażu, przygotować wina. Dziękuję, panie Gorzka! No nic, najwyżej coś zamówią albo może wyskoczą na późną kolację.

Zerknęła na zegarek, niemal dwudziesta pierwsza trzydzieści. Coś jeszcze będzie o tej porze otwarte?

Najpierw obowiązki, Iga, musisz z nim porozmawiać, skoro pierwszy się odezwał, to pewnie on zacznie się tłumaczyć, no i bardzo dobrze. Wyjaśni, co i jak, ona mu potem wytłumaczy, że jest przemęczona i zestresowana, następnie coś zjedzą i pójdą do łóżka. Koniecznie w tej kolejności, obiecaj sobie, Iga, dokładnie w tej, łóżko na końcu.

Usłyszała ciężkie kroki Alberta na klatce. Spojrzała w lustro, poprawiła włosy i bluzkę. Zadzwonił telefon. Podeszła do stolika i spojrzała na ekran, dobijał się do niej Daniel Witczak z dochodzeniówki. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Odebrała.

– Gleba?

– Tak.

– Chyba jednak masz swojego seryjnego – usłyszała zmęczony głos policjanta.

Dopiero teraz dotarło do niej, że Albert puka do drzwi już chyba trzeci raz. Telefon ponownie zamigał. Tym razem dzwoniła matka. Gleba złapała z wieszaka swoją różową kurtkę i głęboko westchnęła.

9.

Obozowisko bezdomnych, Stalowa Wola

Godzina 22.00

Smród jest chyba ponad wszystkimi podziałami, śmietniska i meliny tak samo wyciskają łzy i przyduszają w każdej szerokości geograficznej. Gleba była na szkoleniach w Niemczech i we Francji, wizytowała tam podobne obozowiska bezdomnych, gdy wspólnie z lokalną policją poszukiwali ściganych listami gończymi Polaków. Nie na darmo mówi się „zapach zwycięstwa” i „smród porażki”. Bogaci w swych willach leżą i pachną, a biedacy wegetują i cuchną.

– Likwidowaliśmy obozowisko – relacjonował jej Witczak. – Dziś mieliśmy połapać element i wywieźć na wytrzeźwiajątkę albo do schronisk.

– Czyli jednak pod osłoną nocy? – zapytała Gleba.

– Towarzystwo pijane, większość śpi – wyjaśnił. – Łatwa robota, nikt się nie stawiał. Jednego po drugim grzecznie na suki i w siną dal. Zorganizowana akcja wspólnie z Caritasem, pogotowiem i opieką społeczną. Odesłaliśmy wszystkich do domów.

– Bardzo jest źle?

– No znalazła go pracownica MOPS-u, zarzygała się jak dziecko. Podali jej leki uspokajające. Tu nie ma podciągniętego prądu, więc weszła do środka, pośliznęła się na krwi i walnęła twarzą o podłogę. Jakiś centymetr od twarzy denata.

– Chuju złoty – skrzywiła się.

– Otóż to.

– Prowadź – poleciała Gleba.

Była zmęczona, nie fizycznie, ale psychicznie. Telefon od matki odrzuciła, mając świadomość, że i tak już jest ciężko, w sumie chyba gorzej nie będzie. Albert, słysząc, że musi jechać, uśmiechnął się i zapytał, czy rano przywieźć śniadanie. Złoty człowiek – albo tylko takiego udawał. A może on też chciał uniknąć czekającej ich rozmowy i ucieszył się, że wszystko odwlekło się w czasie?

– Znaleźliśmy go tutaj. – Witczak pokazał na starą przyczepę kempingową Niewiadów.

Dookoła stał już parawan z napisem „Policja”, tak aby nie dało się z daleka zrobić zdjęcia. Drzwi do przyczepy były otwarte, a wewnątrz zalane zimnym światłem z halogenów przypominało jakąś artystyczną instalację, a nie miejsce zbrodni. Gleba podeszła bliżej.

Przyczepa była naprawdę mikroskopijna i szczerze powiedziawszy, dość dobrze utrzymana. Meble i kanapa wyglądały na regularnie sprzątane, nie były porozbijane i z daleka błyskały okleiną imitującą drewno. Właściciel w tym całym panującym dookoła bajzlu i smrodzie utrzymywał ją we wzorowym porządku. Jeśli tu kiedyś wróci, to czekała go jednak kupa roboty.

Mężczyzna wisiał do góry nogami i, podobnie jak w pierwszym przypadku, łańcuch opinał jego lewą kostkę. Przyczepa była niska, nie miała chyba nawet dwóch metrów wysokości, noga ofiary zniknęła w świetliku umieszczonym w suficie. Widać było rurę, którą ktoś wystawił na dach w poprzek, a do niej dowiązał łańcuch. Głowa mężczyzny wisiała zaledwie kilka centymetrów nad podłogą, była zalana zaschniętą krwią, łąziły po niej muchy. Ręce miał związane za plecami. Powierzchnia pod głową była cała we krwi, ale nie stanowiła ona gładkiej powierzchni, pełna była śladów po nieszczęśliwej wizycie pracownicy MOPS-u, która pośliznęła się, upadła wprost do wnętrza, a potem w panice uciekała, już od drzwi rzygając obficie, co było widać przed wejściem do przyczepy. Denat oczy miał otwarte i zalane krwią wypływającą z poderżniętego gardła. Ta najpewniej na początku wylewała się z żywiołowym pluskiem, ale pod koniec coraz słabiej, serce już nie nadawało układowi krwionośnemu rytmu. Głowa ofiary przypominała zapomniane wiaderko farby, z brzegów którego spływały lepkie jęczory czerwieni. I może wszystko byłoby w porządku, gdyby nie znała tej twarzy pokrytej krwią niczym rubinowym parkietem, na którym muchy urządziły sobie prawdziwy bal.

– Słodki – stwierdziła Gleba, nie spuszczać wzroku z trupa.

– We własnej martwej osobie.

– Wiadomo, od kiedy tak wisi?

– Na moje oko od wczoraj – odpowiedział Witczak. – Trochę już napuchł. A gdzie twój giermek?

- Karol w drodze – odparła.
- Może mu nie pokazuj, już dość narzygane.
- Twardy jest – powiedziała. – Uwierz mi, twardszy, niż się wydaje. Będzie z niego dobry pies, tylko potrzebuje odpowiedniego przewodnika stada.
- Wierzę ci na słowo – odpowiedział. – Jak myślisz, ten sam?
- Sprawca?
- No. Wampir.
- Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Przy tym znad Sanu też wszystko na pierwszy rzut oka wyglądało na serię, a słyszałeś, jak wyszło.
- O niczym innym się nie mówi, uwierz mi.
- Niech gadają.
- Ale pozytywnie, Gleba, pozytywnie. Chociaż już są pierwsze głosy, że trzeba cię odesłać do stolicy pierwszym pekaesem, bo przyciągasz kłopoty, w spokojnym mieście pełnym bogobojnych obywateli pojawiły się pościgi, samobójstwa i seryjni mordercy.
- No i zamach na papieża.
- O, to też.
- Złapaliście sprawcę?
- Niestety, kamień w wodę. Według mnie to była mocno zaplanowana akcja, nie żaden spontan. Możemy się skupić na pomocy przy tym wesółku – powiedział, wskazując głową na przyczepę. – Jakies pomysły?
- Nie dało się tego zrobić i pozostać czystym, za ciasno w środku. Musiał zabrudzić przynajmniej buty.
- Też tak myślę.
- Niestety, ta babeczka z MOPS-u wszystko nam tutaj zamazała. Jeśli był jakiś ślad, to najpewniej już po nim.
- Zasnęta krew nie jest taka łatwa do usunięcia. Technika może coś znaleźć.
- Oby.
- A wy coś ruszyliście z tym pierwszym, jak mu tam było, Neptun?
- Posejdon – poprawiła go Gleba. – Tak, jesteśmy nieco bliżej. Rano na odprawie zreferujemy. Jestem tylko ciekawa, czy ten tutaj nam pomoże, czy przeszkodzi.
- Dalej wątpisz w seryjnego?
- Teraz już mniej.
- Do środka nie wejdziemy – powiedział Witczak, widząc, jak Gleba niespokojnie kręci się przed drzwiami. – Poczekajmy na techników.
- Robiliście jakieś rozpytanie?
- Oczywiście, wszystkich wywiezionych. Na ten skarb natknęliśmy się podczas sprawdzania, czy nikogo nie pominęliśmy. Ale wiesz, nie ma z kim gadać. Większość

mocno porobiona. Wiemy tylko tyle, że nikt tu nie wchodził, bo to melina niejakiego Szwendacza, a ten był podobno agresywny. Jak tylko ktoś się zbliżył do przyczepy, to potrafił dać w ryj i pogrozić nożem.

– Jego też mamy?

– Nie. Nikt go nie widział od wczorajszej nocy.

– Tej, gdy zginął Słodki, którego przygarnął proboszcz?

– Tak.

– Tej samej, gdy powiesił się wikary.

– Dokładnie.

– Przypadek?

– Nie sądzę. Tym bardziej że ten mi też wygląda na takiego z poprzedniej nocy.

– Co on tu robił? Wiesz, że przygarnął go proboszcz od Świętego Floriana? Podobno przestał pić i zamierzał wziąć się za siebie.

– To nie jest takie łatwe – skomentował Witczak. – Chcieć a móc to dwie różne sprawy. Wielu zawoziłem w życiu na dołek, potem spotykałem się z nimi w kościele, chwalili się wyjściem z nałogu, a tydzień później znowu wiozłem ich na dołek. A oni mieli zazwyczaj dokąd wracać, Iga.

– Zobaczmy, czy miał alkohol w organizmie. Sprawiał wrażenie, że naprawdę zaczyna nowe życie.

– Alkoholicy to najlepsi kłamcy.

Doskonale o tym wiedziała, wychowywała się z jednym. Złoty człowiek na trzeźwo, bestia po kieliszku. Odgoniła to wspomnienie, uporała się z nim, a przynajmniej tak chciała myśleć.

– Dziwne – stwierdziła. – Jednej nocy dochodzi do samobójczej śmierci księdza, zaginięcia mieszkańca plebanii, którego później znajdujemy oprawionego jak świniaka, dodatkowo znika kolejny z bezdomnych, ten cały Szwendacz. Słyszałam już o nim. Nawet mieliśmy porozmawiać, ale czasu brakło.

Usłyszała z daleka głos Damięckiego, który witał się z policjantami pilnującymi wejścia na miejsce zdarzenia. Już po chwili chłopak stał obok nich, chyba ściągnęli go z randki, bo miał na sobie marynarkę narzuconą na koszulę, pachniał też jakąś drogą wodą toaletową. Dobry zapach, przebijał się przez smród obozowiska. Nie było to przyjemne, bo już przywykli do tego odoru, a on teraz wprowadzał tu nutkę luksusu. Musiała go zapytać o markę, mogła coś podobnego sprezentować Albertowi z okazji... Właściwie to nawet nie wiedziała, kiedy miał urodziny.

– I to jest kultura i szacunek do miejsca pracy – powitał go Witczak, komentując jego strój. – Nie to co różowa kurteczka naszej warszawianki.

Gleba wyręczyła Damięckiego, sama pokazując Danielowi środkowy palec.

– Masz swojego seryjnego – powiedziała. – A właściwie macie, bo jakoś wszyscy na niego czekaliście.

– O kurwa – skomentował Damięcki, lustrując wnętrze przyczepy.

Oddychał ciężko, na policzkach miał rumieńce. *Młodość*, pomyślała Gleba, początek kariery, jeszcze go to wszystko emocjonowało, zobaczymy za parę lat. A może jednak nie, może to ona była problemem? Wypaliła się i ta praca przestała ją cieszyć? Może też chodziło nie o samą pracę, ale o miejsce? A co będzie, jak wróci do Warszawy i nie odnajdzie w sobie tej iskry, która pchała ją do rozwiązywania kolejnych spraw?

Gleba, jeśli jesteś takim psem, jakim się widziałeś w Warszawie, to przestań się użalać nad sobą i dupa w troki, do roboty. Dupa w troki, tak mówiła jej matka.

– Karol, ja dopilnuję techników, muszą nam to sprawdzić centymetr po centymetrze. Ty ogarnij rozpytanie wszystkich mieszkańców tego zacnego obozowiska. Ilu ich było?

– Raptem osiem osób – odpowiedział Witczak. – Mamy każdego spisanego. Mogę pomóc Damięckiemu. Zagramy dobrego i złego glinę.

– Obejdzie się – rzucił z przekąsem Karol.

– Nie, nie obejdzie się – powiedziała Gleba. – Daniel to doświadczony gość, patrz i się ucz. Podzielcie się, jeden niech jedzie do schroniska, a drugi na dołek. Jak wyczujecie, że któryś coś tam wie, to dopiero wtedy weźcie go na magiel. I popytajcie o tego Szwendacza.

– Tak jest – zasalutował Daniel.

– Odmaszerować – rzuciła z uśmiechem Gleba.

Mina Damięckiego mówiła, że nie jest zbyt zadowolony z jej rozkazów. Trudno, to nie kółko oazowe, może niepotrzebnie dała mu ostatnio poczuć, że jest równoważnym partnerem. To była jego pierwsza sprawa, wciąż się uczył.

Odwróciła się i wciągnęła w nos smród obozowiska.

– Dobra, Gleba, znajdziemy tego skurwysyna – powiedziała na głos, widząc, że właśnie zajechał samochód techników.

Znajdziemy!

ROZDZIAŁ 7

30 kwietnia 2023 roku

1.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 9.00

Poranek nie zaczął się jakoś wyjątkowo, żadnych burz i nowych wieści, ot, kolejny dzień w biurze, mimo iż to była niedziela. Wszyscy mieli dziś służbę, bo nazajutrz rozpoczynała się majówka, więc każdy wydział miał mieć swoją odprawę, w dodatku do trzeciego maja, dnia, w którym miał zjawić się w Stalowej Woli wielki polityczny świat, zostały raptem trzy doby.

No, może nieco wyjątkowy był ten poranek dla Szymona Bednarskiego, naczelnika wydziału kryminalnego, który właśnie patrzył na Glebę z ukosa, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na jej zarzuty.

– Ja chcę tylko wiedzieć, czy sprawę Wampira traktowaliście poważnie – powtórzyła Iga. – Wszyscy o niej mówią, a nie ma po niej żadnego śladu. Zamietliście ją pod dywan?

– Omawialiśmy ją – odparł Bednarski. – Jednak nie było nic, o co można było zahaczyć dochodzenie. Tylko opowiadki grupki bezdomnych.

– I nie zrobiliście nic?

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Będę szczerą.

– A kiedyś nie byłaś?

– Sądzę, że chcieliście zrobić z tego sprawę, wiedzieliście, że tam coś nie gra i że ktoś grasuje wśród bezdomnych, ale baliście się Szatkowskiego. Albo może nawet on sam dowiedział się o planowanym dochodzeniu i ukręcił mu łeb.

– Gdyby było choć jedno ciało, jakikolwiek punkt zaczepienia, zeznania kogoś, kto widział napastnika, cokolwiek, Gleba, to nie zostawilibyśmy tego.

– Pierdolenie.

– Szatkowski nic o tym nie wiedział.

– Ale miał wpływ na decyzję? Widzę, jak trzęsiecie przed nim tyłkami.

– Nie pozwalaj sobie.

– A pozwolę, bo mówię do dobrego policjanta. Wiem, że tutaj inaczej świat działa, liczą się układy, zależności, jak w wielkiej rodzinie. Rozumiem. Uświadamiacie mi to na każdym kroku, ale musisz wiedzieć, mieć świadomość tego, że jeśli wtedy olaliście sprawę, to ten gość mógł właśnie powrócić.

Bednarski przetarł twarz dłońmi, chwycił kubek z kawą i stwierdził ze zdenerwowaniem, że jest pusty. Uratował go pierwszy wchodzący do sali policjant, zaraz zaczęli odprawę.

Za chwilę pojawił się kolejny, a potem już funkcjonariusze wchodzili jeden po drugim i zajmowali miejsca. Czekala ich ciężka majówka. Bednarski nie spuszczał wzroku z Gleby, poczekał, aż wszyscy usiądą, odchrząknął i zaczął mówić:

– Wiem, że niektórzy są źli, bo ominęła ich niedzielna msza i rosół z rodziną – zaczął odprawę.

– Pójdziemy na wieczorną – wtrącił Witczak.

– Bóg poczeka, jest cierpliwy, prezydent naszego grodu za to nie za bardzo – kontynuował Bednarski. – Wczoraj najpierw ucieszyłem go wiadomościami o aresztowaniu Jacka Wójcika, a chwilę później zasmuciłem informacją o kolejnym trupie, równie malowniczym jak ten pierwszy z kulochwyków. Zaczynamy być jakąś pierdoloną stolicą zbrodni, a ten tytuł należy się Sandomierzowi i ich księdzu na rowerze.

Po salce przebiegł śmiech, a komisarz mówił dalej.

– Nie jestem idiotą i nie będę żądał, żeby do północy ująć sprawcę tych dwóch morderstw czy żeby mi się nie pojawił kolejny trup. Wiem, że to nie jest łatwa sprawa, szczególnie jeśli faktycznie mamy do czynienia z seryjnym. Od górnołotnych hasel to są politycy i taka ich zasrana natura, żeby żądać od innych tego, co sami mogą jedynie obiecać. Prezydent jest obecnie na mszy w bazylice, wpadnie tu pewnie około jedenastej i ma zastać pustą komendę, wszyscy w terenie. Ja tylko chcę od was jednego, abyście podeszli do sprawy poważnie, nie bagatelizowali jej z powodu tego, że morderca obrał sobie za cel bezdomnych. Wyobraźcie sobie, co by się tutaj działo, gdyby zabijał kobiety albo dzieci, pewnie mielibyśmy już tłum z pochodniami pod drzwiami. Dziś poluje na bezdomnych, jutro może mu się odmienić, poczuje się zbyt pewnie, bo zostawił po sobie dwa trupy, a policja jest jak ślepiec, nawet się do niego nie zbliżyła. Jeśli go nie złapiemy dziś, jutro czy za tydzień, to ma czuć nasz oddech na plecach. Zrozumiano?

Po sali poniósł się szmer potwierdzeń.

– Rano z podkomisarz Ziemią przygotowaliśmy dla was zadania, a tych jest sporo. To niedziela, ludzie siedzą w domach, ale nie możemy czekać, jutro pierwszy maja, wtorek też pewnie wszyscy na wolnym, o środzie nie musimy przypominać. Jeśli celem

są bezdomni, to musimy zbadać środowisko powiązane z nimi, przepytac pracowników socjalnych, ludzi ze stołówek, tych, co organizują dla nich zbiórki, i tak dalej. Rzeszów od wczoraj sprawdza nam aktywność w sieci dotyczącą tego środowiska, w szczególności tych, którzy obrażali bezdomnych w sieci i podzegli do ostrego działania przeciwko nim. Ostatnia akcja sprzątnia pod wiaduktem odbiła się głośnym echem, aktywność w sieci była spora. Z tego, co wiem, to nasi lokalni dostawcy internetu już dostali wezwania do zidentyfikowania poszczególnych użytkowników. Sporo osób do sprawdzenia i rozpytania, ustalenia, co robili podczas każdego z morderstw. Na szczęście mamy dwa, oby nieprędko doszło do trzeciego, nie daj Boże czwartego. No dobra, dopijać kawy i spierdalać na rewiry. Gleba z zespołem zaraz tu zrobi swoją odprawę. Jeśli coś znajdziecie, to dzwońcie do mnie, żeby jej nie zawracać warszawskiej dupy byle pierdołą. Zrozumiano?

Co mieli nie rozumieć, trzeba się spiąć i zrobić to, co i tak było ich chlebem powszednim. Szlifowanie chodników, wieczne rozpytania i wypełnianie raportów. Dzień jak co dzień, chociaż świąteczny.

– A jak usłyszę słowo „wampir”, to wypierdolę na zbity pysk! – zakończył Bednarski. – Idziemy!

Dał jasny sygnał, kierując się do drzwi, reszta ruszyła za nim. Po ich wyjściu zostali w pokoju we trójkę, Gleba, Damięcki i Witczak. Ci dwaj dopiero co wrócili z Rzeszowa, gdzie odesłano bezdomnych.

– Dawajcie, co tam macie – powiedziała Iga, widząc, że coś chyba jednak ustalili.

– Mamy problem – poinformował Witczak.

– A tam problem – odezwał się Damięcki. – Nic nie mamy.

– No to jak, macie czy nie macie?

Policjanci spojrzeli na siebie z niechęcią. Gleba łatwo odrzuciła uprzedzenia względem chłopaka, natomiast lokalni funkcjonariusze mieli trudniejsze zadanie. Damięcki to był gość, któremu mamusia załatwiła etat, i to od razu w kryminalnej. Wielu to raziło i wcale się temu nie dziwiła. Teraz pewnie plotkowali na temat tego, że świetnie się we dwójkę dogadują, i jak to mężczyźni najprawdopodobniej szybko doszli do wniosku, że już się ze sobą przespali. O nie, żaden facet do drugiego nie mówił, że kobieta przespała się z mężczyzną. Ona dała mu dupy, ewentualnie on ją przeruchał.

– Jest gość, który coś chyba widział – odezwał się jako pierwszy Witczak.

– Chyba? – zapytała. – Najebany?

– Nie, stuknięty – odparł Karol.

– Ma kłopoty z pamięcią, mówią na niego Dziwisz – wyjaśnił Witczak. – Zaczął opowiadać, że coś widział, ale po chwili już tego nie pamiętał. Potem był zdziwiony,

że kogoś w ogóle zamordowano.

– Pamiętam go. Czyli świadek po chuju – skomentowała Gleba.

– Otóż to – zgodził się Damięcki.

– Tak, niby tak. Ale uparł się porozmawiać z tobą.

– Ze mną?

– Tak – powiedział Witczak. – Wryło mu się jakoś w pamięci, że Gleba to dobra kobieta, Słodki mu to mówił. Powtarza to w kółko, że Słodki mu powiedział, że Gleba to porządna policjantka, a skoro my jesteśmy też policjantami, to ją znamy.

– No i Daniel uparł się, aby go tu przywieźć – oznajmił z niechęcią Damięcki. – Strata czasu.

– Dobrze, pogadam z nim. Ale za dwie godziny, jestem umówiona z proboszczem od Świętego Floriana, chcę z nim pogadać o tym całym Słodkim.

– Spokojnie, Dziwisz czeka w motelu.

Skinęła głową, tak nazywali mały pokój przystosowany dla gości, których zastała na komendzie z jakiegoś powodu noc. Łóżko, telewizor, czajnik, mała łazienka.

– Prawdziwe personalia znamy? – zapytała.

– Niestety – odpowiedział Witczak. – Zasłania się niepamięcią. Mówi, że jakoś tam się nazywał, nawet i ładnie, ale nie jest sobie w stanie przypomnieć. Dokumentów nie posiada.

– Sami tajemniczy goście – podsumowała.

Tak naprawdę była to w wielu przypadkach norma w tych środowiskach. Jeśli nie byli notowani za poważniejsze przestępstwa, to ustalenie ich tożsamości było cholernie trudne. Prawdziwy problem zaczynał się, gdy musieli sobie poradzić z nieboszczykiem, policja publikowała wtedy w mediach jego wizerunek, licząc na to, że ktoś rozpozna w nim członka swojej rodziny albo dawnego znajomego z pracy czy podwórka.

– Przepytaj go, a jeśli nic nie powie, to odwozimy do Rzeszowa, takie zalecenie odgórne – powiedział Witczak. – Do końca majówki żaden z nich nie ma prawa się tu pokazać.

– Trawa też będzie malowana na zielono przed przyjazdem premiera? – zapytała.

– Na szczęście jest wiosna i wszystko pięknie kwitnie – odpowiedział z uśmiechem policjant. – Tym razem lokalna władza zaoszczędzi na farbie.

– Dziękować Bogu – rzuciła Gleba. – Poza tym coś wyszło w tym Rzeszowie?

– Nic – odpowiedział Damięcki. – Sprawdziliśmy każdego, żadnych śladów krwi na odzieży ani nawet za paznokciami. Dodatkowo oczywiście całkowita amnezja, wszyscy zdziwieni. Jedno się zgadza, zarówno denata, jak i właściciela przyczepy nie widziano od poprzedniej nocy. Nikogo to nie zdziwiło, bo tam takie zniknięcia są normą.

Najczęściej ktoś trafia na jakąś melinę w mieście i nie widać go nawet przez kilka tygodni, bywa, że w ogóle nie wraca.

– No i bali się go, tego Szwendacza – dodał Witczak. – Był agresywny, potrafił robić sobie przerwy w picciu i podobno wtedy był najgorszy.

– Prawdziwa tożsamość?

– Niestety nieznana. Pojawił się i zniknął.

– I nigdy go nie spisał żaden patrol? – zapytała Gleba. – Nie wierzę.

– Spisał – odpowiedział Daniel. – Skojarzyli go z nazwiskiem Stępień, śmiali się, bo nawet podobny do tego z *Trzynastego posterunku*.

– No to co mówicie, że nie ma tożsamości? – zdziwiła się.

– Ano tak, że jak rano sprawdziliśmy, to tenże Stępień nie żyje od trzech miesięcy. Gość po prostu posługiwał się jego danymi, znał pesel, adres. Pewnie kiedyś zdobył dane z jego dowodu osobistego.

– Spryciarz – skomentował Damięcki. – Coś mi się wydaje, że mamy lidera w naszym rankingu podejrzanym.

– Na to wygląda – zgodziła się Gleba. – W każdym razie jego portret pamięciowy już lata po Polsce. Bądźmy dobrej myśli.

– A masz coś od techników? – zapytał ją Damięcki.

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem. – I to całkiem sporo. Widzieliście tę przyczepę, jest dość ciasna, trudno było zachować ostrożność. Nasz sprawca zostawił ślad buta, a nawet dwa. Obuwie sportowe marki Nike, rozmiar czterdzieści trzy. Na pewno nie należały do ofiary, ten miał skórzane półbuty. Do tego mamy kilka krótkich włosów, więc spokojnie znajdziemy DNA. Jeśli ten cały Szwendacz mieszkał w przyczepie, to pewnie jego włosy, może coś się zaświeci w bazie. Mamy też fragment naskórka spod paznokcia ofiary. Tym razem nasz klient nieco nabałaganił.

– Nieźle – skomentował Damięcki. – Oby był w jakiejś bazie.

– Już dawno mówiłem, że każdy obywatel powinien w niej być – skomentował Witczak. – Zarówno paluchy, jak i DNA.

– Marzenia – odparła Gleba. – Obecnie mamy to tylko jako materiał porównawczy.

– Czas zgonu? – zapytał Karol.

– Około dwadziestu czterech godzin od momentu ujawnienia zwłok.

– Poprzednia noc, miałem rację – powiedział Witczak.

– Jak działamy? – zapytał Damięcki.

– Chcecie godzinę na odświeżenie się? – zapytała.

– Ja z chęcią – odpowiedział Witczak. – Muszę się przebrać, dalej czuję te slumsy. Przy każdym ruchu ręki.

– To jedź do domu, spotkamy się koło dwunastej, okej? Akurat jak prezydent stąd wyjedzie.

– Ja też skoczę się ogarnąć – powiedział Damięcki. – Tym bardziej że mam być na tym spotkaniu z Szatkowskim.

– To ja jadę na plebanię, a potem wrócę pogadać z Dziwiszem.

– Można asystować? – zapytał Karol.

– Jak się wyrobisz, to pewnie, że tak.

Rozeszli się, każdy w swoją stronę. Gleba cieszyła się, że ominie ją spotkanie z prezydentem miasta. Ten dzień zapowiadał się na spokojniejszy, ale pod skórą wibrowało jej stare powiedzenie, że jeśli dzień się miło zaczął, to zło pierdolnie znienacka. A powiedzenia, jak wiadomo, nie wzięły się znikąd.

2.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 10.30

Gleba była nieco zawiedziona faktem, że na plebanii nie dowiedziała się właściwie niczego nowego oprócz jednego: z kanciapy zamieszkiwanej przez Słodkiego zniknął kuchenny nóż. Zwyczajny, długi, taki z czarną rączką, poza tym nic ciekawego. Atmosfera była nieco minorowa, przygotowywali się do wyjazdu na pogrzeb wikarego, który miał odbyć się w jego rodzinnej miejscowości gdzieś na Podlasiu. Porozmawiali raptem z kwadrans i już wracała na komendę.

Skoro trochę czasu spadło jej z nieba, postanowiła przesłuchać bezdomnego z amnezją. Pokoju zwanego motelem pilnował mundurowy, siedząc na korytarzu i patrząc się w telefon.

– Masz monitoring pokoju w telefonie? – zapytała zaczepnie młodego Gleba.

– Gościu śpi – odpowiedział jej. – Sprawdzam co piętnaście minut, czy jest na miejscu.

Minęła go i nacisnęła kławkę, weszła do środka. Faktycznie, mężczyzna spał na tapczanie przygotowanym dla gości, przykrył się kocem, spod którego wystawały stopy w zielonych skarpetkach. Pewnie po przewiezieniu do ośrodka pomocy społecznej dostał świeże ubranie. Na dźwięk otwieranych drzwi poruszył się, otworzył oko i spojrzał na Glebę.

– Dzień dobry – rzucił z uśmiechem. – Pani tu sprząta?

– A żebyś wiedział – odpowiedziała z uśmiechem. – Podobno chciałeś się ze mną widzieć.

– Nabrudziłem? – zapytał, siadając na łóżku, podciągnął rękawy szarej bluzy dresowej, miał na sobie też spodnie w tym samym kolorze.

– Jestem Gleba.

Patrzył z lekkim rozbawieniem, jakby siedział naprzeciwko niego obcokrajowiec próbujący mu coś ciekawego opowiedzieć.

– Mam solidne problemy z pamięcią – oznajmił z szerokim uśmiechem, pokazując niekompletny garnitur zębów.

– Słyszałam.

– Nie pamiętam pani, a szkoda, żałuję, elegancka z pani kobitka. Za elegancka dla takiego mnie. I ta różowa kurteczka, przyciąga oko.

– Zamordowali twojego kolegę, Słodkiego – powiedziała.

– Niemożliwe – odparł, a uśmiech wciąż goszczący na jego twarzy jasno mówił, że faktycznie w to nie wierzy.

– Naprawdę.

– Zamordowali Posejdona – powiedział głośno, akcentując wyrazy, jakby chciał jej zwrócić uwagę, że się po prostu pomyliła. – Nie pamiętam tego, ale jak sobie coś powtarzam cały czas, to w końcu zapamiętuję. No a Słodki właśnie i Szwendacz mi to cały czas powtarzali.

– Masz rację, ale Słodkiego też ktoś sprzątnął – powiedziała, pokazując mu gest podcinanego gardła.

– O kurwa – rzucił z powagą, zdając sobie sprawę, że policjantka faktycznie nie żartuje i nie ma mowy o pomyłce.

– Niestety. – Westchnęła z żalem. – A co ciekawe, sądzimy, że dokonał tego twój inny kolega, Szwendacz.

Dziwisz zasępił się, opuścił głowę i podrapał za uchem.

– Tak, mógł to zrobić – powiedział. – Ale proszę poczekać. – Uniósł palec w górę i uśmiech znowu pojawił się na jego facjacie. – Bo ja sobie wszystko zapisuję. Taki sposób na to zapominalstwo.

Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel, a z niego plik żółtych karteczek, nieco pomiętych i niezbyt czystych. Zaczął je rozkładać obok siebie na tapczanie.

– O! – Ucieszył się i pokazał jedną z nich. – Na tej mam napisane, że Posejdon nie żyje, ale ona mi już nie jest potrzebna, zapamiętałem to sobie.

– Mogę zerknąć? – zapytała Gleba, po czym podeszła i usiadła obok niego.

Karteczek było kilkanaście, na kilku znajdowały się nieistotne informacje, jak „Ruda pani ze sklepu ma na imię Ilona” czy „Sprzed Lidla przegania ochrona”. Ale były też takie, które od razu rzuciły jej się w oczy.

– Policjantka Gleba jest w porządku – przeczytał jedną, podnosząc ją.

– Słodki przyszedł do nas, a Szwendacz go wygonił – przeczytała tym razem Gleba.

– O tak, teraz pamiętam – oznajmił smutnym głosem. – To było w nocy, ale nie tak dawno. Przyszedł, bo chciał jakieś swoje rzeczy, ale Szwendacz mu je zabrał. Kłócili

się.

– A ta? – Pokazała palcem na kartkę z dwoma słowami.

– Czarny samochód – przeczytał mężczyzna. – No tak, to też pamiętam. To ten, co przyjeżdżał, stawał niby z boku, ale Szwendacz od razu go zauważał. Mówił, że go rozgryzł.

– Coś jeszcze mówił?

Mężczyzna zachmurzył się, ściągnął brwi i spojrzał z niepokojem na Glebę.

– Czyli Słodki nie żyje? Kiedy go zabito? – zapytał.

– Poprzedniej nocy.

– No tak, czarny samochód – powiedział spokojnie. – Pamiętam! – Nagle się ożywił.

– Co?

– Przyszedł Słodki, a zaraz za nim przyjechał ten samochód. Ale to było tak, że Słodki poszedł do Szwendacza, a ja chciałem też rozgryźć ten samochód. A jak się rozgryza samochody? – zapytał, mrużąc oczy.

– Nie wiem.

– Pani policjantka, a nie wie. – Zaśmiał się.

– To jak?

– Tablice rejestracyjne – powiedział z szerokim uśmiechem. – Jak się je spisze, to wszystko wiadomo.

– Spisałeś tablice?

– Nie, bo karteczki zostawiłem w portfelu, a ten miałem u siebie w szafce.

– Czyli nie rozgryłeś?

– Rozgryżłem. Bo wiedziałem, że nie zapamiętam numerów. Nie jestem głupi, tylko z tą pamięcią moją to bardzo ciężko się żyje. Nie miałem karteczek, więc zabrałem tablicę.

Gleba mimowolnie się uśmiechnęła. Przebiegły typek.

– I gdzie ją masz?

Dziwisz mocno się zasmucił.

– Schowałem.

– Gdzie?

– Nie pamiętam – odpowiedział z rezygnacją. – Ale jak zobaczę, to sobie przypomnę. Zostawiłem tam taki znak.

– Jaki?

– Krzyżyk – oznajmił. – Jak piraci na skarbach. Musimy pójść do obozowiska.

– A Wampir? – zapytała cicho, żeby nie usłyszał nawet funkcjonariusz na korytarzu.

Dziwisz cofnął głowę, skrzywił się z niesmakiem. A może ze strachem. Wzruszył ramionami i wskazał na swoje karteczki, jasno dając do zrozumienia, że cała jego

wiedza o sprawie znajduje się właśnie na nich.

Gleba skinęła głową, po czym wyszła z pokoju i poleciła pilnującemu funkcjonariuszowi, aby sprowadził Dziwisza na parking i poczekał, aż po niego podjedzie, a sama zeszła po kluczyki do służbowej kijanki. Pewnego podniecenia wywołanego faktem możliwego przełomu w sprawie nie zabiło w niej nawet spotkanie na korytarzu szefa swojego wydziału.

– A co ty tu, kurwa, jeszcze robisz?! – zagrzemiał Bednarski. – Za pięć minut będzie prezydent, jak cię zobaczy, to dostanie jebca.

– Już się odmeldowuję. – Zasalutowała w przelocie. – Ewentualnie w kiblu przeczekam.

– Tylko migiem, bo jeszcze wciągnie cię na odprawę.

– Z chęcią bym została – odparła, idąc tyłem w stronę swojego pokoju. – Mądrego to aż miło posłuchać, ale za to idioty to śmiesznie.

Komisarz popukał się w głowę, posłała mu buziaka i weszła do środka, złapała kluczyki z szafki i szybkim krokiem ruszyła na dół, wypatrując, czy Marian Szatkowski wraz ze swym dworem i majestatem nie podąża już na spotkanie. Na szczęście nie natknęła się na niego, ale za to w drzwiach od komendy nieomal zderzyła się z Damięckim.

– Gdzie lecisz? – zapytał.

– Na obozowisko, Dziwisz coś widział.

– Przesłuchałaś go? Beze mnie?

W jego głosie było słychać wyraźny zawód i Gleba pomyślała, że to jeszcze jednak dzieciak, robota nie zdążyła go odpowiednio utwardzić. Kwestia czasu.

– Tak wyszło, leć na spotkanie z prezydentem, złap kilka punktów. Możesz powiedzieć, że mamy świeży, bardzo mocny trop.

– Jaki?

– Niespodzianka – odpowiedziała i ruszyła szybko w stronę samochodu, przy którym właśnie pokazał się Dziwisz z pilnującym go funkcjonariuszem.

Zapakowali bezdomnego na tył, po czym Gleba ruszyła z wigorem, żegnana smutnym spojrzeniem Damięckiego. Po drodze minęła mercedesa należącego do Szatkowskiego, udało się.

3.

Opustoszałe obozowisko bezdomnych, Stalowa Wola

Godzina 11.30

– Nie ma nikogo – zauważył Dziwisz, rozglądając się po pustej gmatwaninie krzaków i prowizorycznych legowisk, na której jeszcze wczoraj toczyło się życie, może i trochę nędzne, ale jednak.

– Wszyscy dostali eksmisję – poinformowała go.

– Dlaczego? – zapytał. – Komu tu przeszkadzamy?

– Nie chodzi o miejsce, ale o fakt samego jego istnienia. Dziś przeszkadzacie miastu ze względu na zbliżające się uroczystości, a jutro komu innemu z powodu, który nagle się pojawi. Tak naprawdę nie jesteście częścią społeczeństwa, nic z was pożytecznego nie ma, same kłopoty.

– To już człowiek nie może żyć tak, jak chce?

Westchnęła, bo nie chciało się jej tłumaczyć, że dla każdego miasta, a już w szczególności dla lokalnych organów ścigania, meliny i punkty, w których koczowali bezdomni, były prawdziwym problemem. Zbyt wielu ludzi bez ustalonej tożsamości, niekontrolowana przemoc, alkohol i narkotyki.

– Widzisz gdzieś ten swój krzyżyk? – zapytała, postanawiając zmienić temat, wszak dyskusja była bezcelowa, on i tak o wszystkim zaraz zapomni.

– Chyba tam, gdzie spałem – powiedział i ruszył w stronę czegoś, co z daleka przypominało namiot handlowy na targowisku.

Po drodze w samochodzie Gleba cały czas rozmawiała z Dziwiszem o zadaniu, które ich czeka, chciała, aby wyrzył sobie je w pamięci, w jakiś sposób to na niego działało, jak sam mówił.

– Tutaj? – zapytała, gdy stanęli przed namiotem skleconym z kilku niebieskich i zielonych plandek.

– Tak.

Budowla przypominała jej szałas, jakie stawiali w dzieciństwie na podwórku dziadka. Znosili z całej okolicy wszystko, co tylko w ich wyobraźni uznali za możliwy budulec, kartony, folie, kawałki desek, fragmenty mebli, dosłownie wszystko. Tak zbudowana baza stanowiła powód do dumy i potrafiła wytrzymać nawet kilka dni. Podobieństwa na tym się kończyły, w ich budowli nie śmierdziało, nie było takiej zbieraniny najróżniejszych rzeczy, których w większości nawet nie potrafiła zidentyfikować, a jej wyobraźnia nie była na tyle rozbudowana, by domyślać się ich przeznaczenia. Dużo ubrań, zawieszona na gałęzi reklamówka z nadpleśniałymi pomarańczami, opakowania po żarciu z McDonalda, pozgniatane puszki po piwie, karton z mlekiem, obok cała konserwa tyrolska.

– Jest znak – pokazał palcem na parę starych nart biegowych skrzyżowanych z tyłu namiotu.

– Narty?

– Zbiera się, co wpadnie w ręce – odpowiedział.

Podszedł do oznaczonego punktu, uklęknął i zaczął grzebać w swoim barłogu. Po chwili z cichym okrzykiem zwycięstwa wstał, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

Trzymał w ręce tablicę rejestracyjną, przecierał ją o bluzę dresową, w którą tej nocy zaopatrzone go w Rzeszowie.

– Mogę? – Wyciągnęła rękę.

Spojrzała na wąski przedmiot, serce zabiło jej żywiej. Numery. Znała je. Ugięły się pod nią nogi.

4.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 12.30

Gleba, ty jesteś zbyt uczuciowa dziewczyna, chyba wszystko przez tę różową kurtkę. Nigdy nie lubiłaś tego koloru, czerń albo czerwień, to są twoje barwy, barwy wojenne, a nie róż, do kurwy nędzy!

Mogła sobie tak powtarzać w myślach, mogła tam właściwie mówić wszystko. Własna głowa jest jedynym na świecie miejscem, gdzie panuje prawdziwa wolność słowa i można powiedzieć wszystko. Jeszcze jest. Zobaczymy, co przyniosą nowe technologie, może i myśli będą cenzurowane? Może stare „myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem” nareszcie będzie w pełni sprawdzalne?

Może kiedyś.

Dziś Gleba mogła wyzywać samą siebie, a nawet urągać całej płci niewieściej, której często uczucia przykrywają logiczne myślenie. Dlaczego? Bo miała taki moment, gdy chciała odrzucić pieprzoną tablicę rejestracyjną na stertę śmieci i nie nadać jej znalezieniu oficjalnego biegu. Mogła sama spróbować porozmawiać z jej właścicielem, którego znała, chociaż jak się okazało, nie aż tak dobrze, jak jej się wydawało.

Ale jak do tego doszło? Przecież zachowała się jak każdy policjant poznający nowego partnera, wrzuciła Alberta na bęben, wyszło, że jest czysty. Dziwna sprawa w sumie, bo przecież ludzie związani ze środowiskiem zawodowych walk często mieli coś za kołnierzem, a tutaj nic, jakiś tam mandat z fotoradaru i tyle. Teraz jednak okazywało się, że to jego samochód widywali bezdomni pod swoim obozowiskiem, a Dziwisz jednej nocy zakradł się pod niego i zabrał tablicę, żeby zapamiętać numer. I ta pierwsza noc, gdy złapała go kamera przemysłowa. Niewyraźne, ziarniste zdjęcie, które odrzucili pozostali policjanci, i pewnie by umknęło wszystkim, ale ona go wyłapała.

W normalnych okolicznościach nakazałaby doprowadzenie swojego partnera na komendę, ale przez głowę przelatywały jej teraz najróżniejsze scenariusze. Była nawet przez chwilę skłonna osobiście do niego pojechać i przesłuchać, ale to byłaby galopująca głupota. Zdawała sobie sprawę, że jeśli doszłoby do takiej konfrontacji, a on poczułby się zagrożony, to nie miałyby szans. Bił się jak sam diabeł i bez trudu by

sobie z nią poradził, a przecież nie będzie mu zadawać pytań z pistoletem wycelowanym w głowę.

Galopująca głupota, Gleba, otóż to.

Chociaż to jest myśl. Może zaprosi go do domu na wieczór, zacznie doprowadzać do niedwuznacznej sytuacji, zapnie mu kajdanki na rękach i spokojnie przepyta? To była myśl, jakiś pomysł.

Głupia myśl, Gleba, a tyś jeszcze głupsza. Przecież niczego głębszego do niego nie czujesz, zrób to według procedur. Czujesz coś do Kosmy, Albert to zamiennik.

– Kurwa – rzuciła w przestrzeń, wysiadając z samochodu przed budynkiem komendy.

Przejechała wcześniej obok, zerkając, czy stoi jeszcze mercedes prezydenta, a gdy zobaczyła, że parking jest pusty, spokojnie stanęła.

A może to nie o uczucia chodzi, Gleba? Zawiódł twój policyjny nos. Psi węch już nie ten sam, a może zawsze był do dupy? Chodzi o to, co wyjdzie w trakcie postępowania, że sobie słodko baraszkowaliście, a on może nawet i mordował ludzi. Pojawią się pytania, setki pytań, przykładowo czy mu nie pomagałaś? Może doszło do mataczenia? Wiesz, jacy są ci z wydziału wewnętrznego, straszne chuje, ot co! W najlepszym wypadku dostaniesz przeniesienie na jeszcze ciekawszy posterunek, będziesz ganiała bimbrowników po Podlasiu, a najpewniej to jednak zmienisz mundur na taki z plakietką „ochrona”. Kup sobie wygodne buty, bo po galeriach handlowych to taki ochroniarz musi się nachodzić.

– Już po spacerku? – powitał ją funkcjonariusz, który pomagał jej wcześniej z Dziwiszem.

– Tak – rzuciła krótko. – Odstawiamy klienta do Rzeszowa.

– Tak jest – odpowiedział dziarsko policjant. – Zorganizować przewóz?

– Dzięki – powiedziała i ruszyła do budynku, żegnana uśmiechem policjanta ruszającego w stronę jej samochodu po Dziwisza.

Gdy była na piętrze, zerknęła przez okno na parking, młody policjant poczęstował bezdomnego papierosem i właśnie zaczęli sobie je odpalać.

– Gleba – zatrzymał ją w miejscu głos komisarza Bednarskiego. – Mamy coś!

On nie pytał, tylko informował. Nie chodziło o tablice, chyba nie.

– Co jest? – zapytała.

– Chłopaki po sprawdzeniu pracowników socjalnych wyłowili jednego – poinformował ją. – Facet jest na warunkowym za pobicie, a jak pogrzebali głębiej, to okazało się, że to nie odosobniony przypadek. Ma kilka dziesiętn na koncie, i zgadnij, komu lubił przypierdolić?

– Bezdomnym?

– Otóż to! – odparł Bednarski. – Chłopaki chciały z nim porozmawiać, ale przyjechał jednemu i zabarykadował się w szatni w Metalowcu.

– Gdzie Damięcki? – zapytała. – Pojechał już na miejsce?

– Nie, dopiero wleciało info. Młodego zabrał ze sobą prezydent. Jakaś sesja zdjęciowa, ma wrócić za godzinę.

– Potrzebny jest tutaj.

– Daj spokój. – Komisarz rozłożył ręce. – Wiesz, jak to działa. Poradzisz sobie. No, jedź!

– Witczak?

– Dostał cynk o tym zniszczonym muralu i musiał pojechać to sprawdzić.

– Dzięki Bogu – skomentowała.

Bednarski machnął ręką, jakby odganiał się od szczególnie upierdliwej muchy, minął ją i ruszył dalej komentarzem. Dobrze, że nie zapytał, co tam u niej, czy na coś trafiła. Miała jeszcze czas na podjęcie decyzji. Wychodząc z budynku, przemknęła jej przez głowę bardzo nieprzyjemna myśl, niewygodna, wręcz uwierająca. Zaczynała także w pracy odkładać pewne rzeczy, szukając bzdurnych wymówek, a to się jej wcześniej nie zdarzało. W życiu prywatnym tak, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie w firmie.

Niedobrze.

5.

Restauracja w budynku Metalowiec, ulica 1 Sierpnia, Stalowa Wola

Godzina 13.00

Policjant, który przywitał ją w drzwiach budynku, przykładając do łuku brwiowego lód czekoladowy w kubku, którego pewnie dostał od obsługi restauracji. Na widok Gleby zaprezentował jej stłuczone oko, które już pięknie zaczynało nabierać kolorów. Ani chybi koledzy zaraz wymyślą mu odpowiednią ksywę, przykładowo Reksio, aby nie zapomniał wpadki na służbie. Stojący obok drugi policjant w mundurze kiwnął na nią i zaprowadził do środka, najpierw przez salę restauracyjną, a potem na zaplecze. Doszli do szatni odgródzonej od reszty lokalu dość solidnymi drzwiami.

– Zabarykadował się – poinformował ją mundurowy.

– Stawia jakieś żądania? – zapytała. – Helikopter i milion dolarów w gotówce?

– Mówi tylko, że to nie on i bez adwokata niczego nie powie.

– Dobra, pogadamy – powiedziała. – Wyjmij gaz albo paralizator na wszelki wypadek. Jak klient się nazywa?

– Mateusz Sobczak.

– Miał w papierach jakąś ksywę?

– Mati.

– Oryginalnie. Są w tej szatni okna?

– Nie ma.

Podeszła do drzwi, odwróciła się ponownie w stronę policjanta.

– Duży jest? – zapytała szeptem.

– Pół głowy wyższy ode mnie i lekko dopakowany.

– Dobra, ubezpieczaj mnie, jakby tu wypadł.

Policjant wyjął paralizator z przybornika przy pasie, w drugą rękę złapał pałkę.

Kiwnął głową na znak, że jest gotowy.

– Sobczak! – krzyknęła Gleba. – Śpisz?

– To nie ja! – odpowiedział jej niski głos zza drzwi.

– Nie ty? A czego nie zrobiłeś?

– Niczego. Nie wjebiecie mnie w nic. Ja jestem zresocjalizowany, i to w chuj wzorowo.

– Niestety, Sobczak, chujowe wieści dla ciebie, ale wjebiemy – powiedziała. – Przyjebałeś policjantowi na służbie. Taka atrakcja ceni się na trzy lata. Tyle zawoła prorok, tyle przybije sędzia, bo recydywa jesteś. Ile tam miałeś na warunku?

– Też trójka.

– No i widzisz, będzie kumulacja. A po co to wszystko, jak nic nie zrobiłeś?

– Już mi raz przybili trójkę za damski chuj – odpowiedział wojowniczo. – Byłem w knajpie, nikogo nie tknąłem, a okazało się, że niby ja. Świadkowie się znaleźli. Jak ja, jak nawet kostek nie miałem obtartych, a typom zęby uciekły?

– Tu nie chodzi o potańcówkę w piździwólce i rozjebanie remizy, Sobczak.

– O co by nie chodziło, to nie ja.

– Ktoś nam tu zorganizował dwa trupy.

– Co? W ubój to już na pewno mnie nie wrobiecie. Nie ma chuja!

– Dwie daty, mów, gdzie byłeś.

– Spierdalaj, paniusiu.

– Dwie daty, Sobczak. Powiesz mi, gdzie byłeś, i spierdalam.

Na chwilę zapadła cisza, trwała może z pół minuty, najwidoczniej Sobczak rozważał za i przeciw.

– Kiedy? – padło zza drzwi.

– Nocka wcześniej, z dwudziestego ósmego na dziewiąty.

– U dupy byłem – odpowiedział i w jego głosie słychać było wyraźną ulgę.

– Potwierdzi?

– Tak. Był też jej stary, razem butelkę zrobiliśmy. No może dwie.

– Dasz telefon do niej?

– Dam.

– Druga nocka, z dwudziestego piątego na szósty.
– Cieciewałem na zakładzie – odpowiedział z pewnością. – Dorabiam tam, bo tu chuj nie pieniądze.
– Masz na to papier?
– Mam, kierownik ochrony potwierdzi, wszystko tam na kamerze mają.
– No i widzisz, bolało? Wyłaż i dogadaj się z chłopakami.
– I mnie zawiną, taki chuj.
– To co, będziesz tu siedział do świąt? Przyjebałeś, to wyjdź i przeproś. Chłopak dostał mocno, ale pewnie jakoś się dogadacie.
– Jak?
– Nie wiem, zaproponuj im darmowe obiady na miesiąc albo coś.
Szczęknął zamek w drzwiach, ale Gleba nie czekała, nie miała czasu. Ruszyła w stronę wyjścia.

6.

Dziwisz

Gdzieś

Zadziwiająca sprawa z tą pamięcią, był cholernie głodny, ale czy dzisiaj cokolwiek jadł? Chyba musiał jeść, to normalna rzecz. Nie ma znaczenia, czy jesteś menelem, czy też panem bogaczem, jeść musisz i tak samo w brzuchu ci burczy.

Ale że palił papierosy, to nie przypominał sobie. Policjant go poczęstował, zapalił odruchowo i potem nawet poprosił o kolejnego. Siedział teraz na ławce i zastanawiał się, po co to zrobił, przecież nie miał zapalniczki. Przeszukał wszystkie kieszenie i niczego nie znalazł.

Z tą pamięcią to tak sobie wszystko wymyślił, że ma w głowie kilka wiaderek. Pamiętał ze szkoły, a z tamtych czasów pamiętał całkiem sporo, że to się nazywa system naczyń połączonych. Wlewasz do jednego, przepływa do drugiego, stamtąd do trzeciego i na koniec do czwartego. Tak to działa u zwykłych ludzi, w pierwszym wiaderku ląduje wszystko to, co się wydarzyło teraz, potem płynie dalej i dalej, aż do ostatniego wiaderka. Fakt, gdzieś tam spadnie kropla albo i dwie, ale finalnie przepływa większość. U zwykłych ludzi, nie u niego. Z pierwszego wiadra to prawie nic nie przepływało do drugiego, dalej było jeszcze gorzej. Wytłumaczył sobie to tak, że te wiadra były już pełne, mieściły to, co wylać się nie chciało, chociaż w sumie powinno. Nie był zadowolony ze swojej przeszłości, ale człowiek ma taką historię, a nie inną, i nic z tym nie robi. Nawet jeśli, tak jak on, zmieni swoje życie, czy to na lepsze, czy na gorsze, to ostatnie wiadro jest pełne i nic się z niego nie wylewa.

Pamiętał, jak się nazywa, ale po co miał to komukolwiek mówić. Pamiętał dzieciństwo, młodość, pierwszą pracę i wiele innych rzeczy. Pamiętał jednak

najmocniej to, że policja to nic dobrego, więc jak pytali, to wymawiał się swoją niepamięcią, co było bardzo wygodne i w sumie nie do podważenia.

Dziś pierwszy raz postanowił pomóc policjantce, nie policji, ale właśnie jej. No i pomógł, Wampira trzeba było złapać, a ona mogła to zrobić. Wszyscy policjanci traktowali ich jak śmieci, takie na dwóch nogach, których za cholerę nie da się wynieść do pojemnika z odpadami. Ona jednak nie, była inna. Kartki były dobrym pomysłem, ale o niej i tak pamiętał. Tak miał, że pewne rzeczy z pierwszego wiaderka przepływały do drugiego. Z Glebą, dobrą policjantką, tak właśnie było.

– Co tak siedzisz? – usłyszał mocny męski głos.

– Czekam.

– Na co?

Wzruszył ramionami. To nie była Gleba, nie musiał z tym człowiekiem rozmawiać. Policjanci to jeszcze gorsze śmieci niż oni.

– Chodź. – Głos był władczy.

– Czekam na samochód – odpowiedział i spojrzał na papierosa.

– No to chodź, przyjechał.

Rozejrzał się, ale nie widział żadnego radiowozu, który by na niego czekał.

– Jadę do Rzeszowa, zawiozę cię.

Wstał.

Coś zaplaskało w wiaderku, nie tym pierwszym, ale trzecim lub czwartym. Ten męzczyzna, ta postura, ten chód. Coś powinien pamiętać. Powinien?

Powinien.

7.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 15.00

Potrzebowała kawy, dużej i mocnej, najlepiej dwóch. Pierwszą wypić niemal duszkiem, parząc sobie przy tym język, a drugą już się delektowała, smakowała czern naparu, doszukiwała się kwaskowatości zabitej przez dodany cukier, czekała na to pobudzenie, które dawała kofeina. No i na przejrzystość umysłu, która teraz była jej wręcz niezbędna.

Witczak ścigał swojego Ali Agcę, Damięcki szczyrzył się do obiektywu u boku prezydenta miasta, a ona miała wreszcie czas, aby wszystko sobie poukładać i poddać po ich powrocie postawione hipotezy małej burzy mózgów.

Ktoś morduje Posejdona, czyli doktora Budzińskiego, gościa z przeszłością, która przygoniła go do środowiska bezdomnych i żuli. Tu tkwił klucz do rozwiązania zagadki, on nie mógł być przypadkową ofiarą. Pewne zdarzenie z przeszłości odbiło się echem i dogoniło doktorka uzbrojone w nóż i łańcuch.

Drugi trup został wyjaśniony, cieszyło ją to, bo mogła całkiem odrzucić ze swojej układanki klocki podrzucone przez to zdarzenie, czyli chociażby ludzi mających na ten dzień alibi. Byli tacy?

Wikary strzelił sobie samobója i po prostu się wychuśtał. Nieprzyjemne, może kurewsko niesprawiedliwe, jednak w rzucie na układankę dobre, bo bez związku ze sprawą.

Ostatni trup, czyli Słodki, pasował jednak idealnie. Gość coś wiedział, dawał jej o tym znać, chciał zmienić swoje życie. Morderca też się o tym dowiedział, uprzedził jego działania, zamordował. Mógł to zrobić inaczej, dziabnąć go nożem, udusić, zostawić w krzakach, ale nie postąpił tak, zrobił to po swojemu, zgodnie ze wzorem. Dlaczego? A może chciał ich trochę zmylić?

Słodki nie żył, Szwendacz zaginął. Wszystko wskazywało na niego, chociaż dowodów jako takich nie było na ten moment, ale przecież mieli DNA z jego przyczepy, coś się może zaświeci w systemie. Otworzyła pocztę, nie miała na to dzisiaj jeszcze czasu. Dwa nowe maile, wiadomość od techników i druga od zimnego doktora, jak nazywano potocznie patomorfologów.

Co raportowali technicy? Zdjęcia z miejsca zbrodni nie pokazały jej niczego nowego, ale jedna notatka z raportu była ciekawa. Sprawca powiesił Słodkiego na takim samym łańcuchu, jaki znaleźli na kulochwytach. Rozmiar oczek, gatunek stali, zbliżenie na strukturę szlifowania metalu, zgrzewy ogniw, bez wątplenia ten sam producent.

Raport z sekcji zwłok także potwierdzał, że ofiara umarła w ten sam sposób, a rana na gardle z dużą dozą prawdopodobieństwa została zadana tym samym narzędziem, ostrym nożem o szerokim ostrzu.

Dwie ofiary, ten sam sprawca, ale motywy inne, była tego pewna. Najpierw umiera człowiek, który zginąć musiał, taki był plan. Nieprzypadkowa ofiara. Następnie zostaje zamordowany świadek, ktoś, kto wiedział zdecydowanie za dużo, nawet może sam sobie z tego nie zdając sprawy. Dwie ofiary rozbudzały wyobraźnię, słowo „seryjny” pchało się samo na nagłówki gazet. Wskutek seriali o mordercach potwory stały się krwawymi pluszakami, wręcz maskotkami miast. Pisarze, dziennikarze, twórcy telewizyjni i podcasterzy żyli z nich, zarabiając kupę kasy, więc nie dziwił jej fakt, że taki Kuba Rozpruwacz byłby z chęcią widziany w Stalowej Woli. Jednak ci wszyscy artyści nie wączali krwi, nie prowadzili oględzin miejsc zbrodni, nie rozmawiali potem z rodzinami ofiar. Sprawdzali tylko stan konta, a ten się zgadzał.

Gleba była pewna, że to nie seryjniak, ale musiała tego dowieść. Jedyne punkty zaczepienia stanowił obecnie doktor Stefan Budziński. Informacji o jego przeszłości ze szpitala jeszcze nie miała, z sąsiadką chyba nie było sensu ponownie rozmawiać.

Wyjęła notes i spojrzała na notatkę, którą sporządziła po przeszukaniu mieszkania Posejdona. Miał kochankę, tak twierdziła sąsiadka, ale to bzdura. Wyjeżdżał pod galerię Vivo, przebierał się w kostium bezdomnego i ruszał do działania. Jeszcze nie wiedziała, co robił, ale dojdzie do tego, spokojnie.

Przynosił jej czasem słodycze w podziękowaniu za opiekę nad mieszkaniem, a na wiosnę to nawet i warzywa z działki, w lecie czereśnie, jesienią śliwki. Pamiętała ten fragment. Zapisała krótkie hasło „prezenty – słodycze – warzywa”. Sąsiadka uśmiechała się znacząco, mówiąc, że przecież on żadnej działki nie miał, kupował wszystko na zieleniaku, ale nie chciała mu robić przykrości. A jeśli jednak miał działkę?

Weszła w bazę danych i wpisała dane doktora Budzińskiego. Bingo! Posiadał mieszkanie, które już odwiedzili, ale też grunt i dom pod Stalową Wolą, we wsi Rzeczyca Długa. Od razu spisała adres i znalazła w Mapach Google lokalizację. Nie dało się jej podejrzeć, wskazany adres przylegał do wąskiej drogi, auto przygotowujące dokumentację fotograficzną nie zapuściło się tak daleko.

Geoportal. Mało znany wśród zwykłych użytkowników, ale posiadający zdjęcia lotnicze całego kraju z zaznaczonymi wszystkimi drogami i granicami działek. Grunt należący do doktora znajdował się na końcu drogi, na właściwie ostatnim polu, graniczył z lasem. Duża, ponad trzydziestoarowa posesja z prostokątnym budynkiem w głębi.

Napiła się z zadowoleniem kawy i znowu uśmiech zszedł jej z twarzy. Nie, Budziński nie był jedynym punktem zaczepienia, miała jeszcze jeden, a znajdował się w bagażniku jej służbowego samochodu. Tablica rejestracyjna Alberta.

Iga może i by zastanawiała się nad tym, co robić, ale z pewnością nie Gleba. Ta doskonale wiedziała, jak zareagować, i postanowiła w końcu tak postąpić. Poczeka na Damięckiego, pojedą do Rzeczycy Długiej i sprawdzą działkę Budzińskiego, a potem pojedą do Alberta. Wspólnie. Damięcki musiał się nauczyć, że nawet jak ktoś znajomy czy bliski jest uwikłany w dochodzenie, to trzeba być przede wszystkim psem, a dopiero potem człowiekiem.

Usłyszała przez uchylone okno podjeżdżający na parking samochód, podeszła do parapetu, zobaczyła prywatne auto Damięckiego, jakąś sportową wersję bmw, nie rozróżniała poszczególnych modeli. Kilka minut później Karol zameldował się przed nią ze skwaszoną miną.

– Co jest? – zapytała. – Ścianki ci nie służą?

– Ja się nie nadaję do takiego życia – odparł. – Stań, uśmiechnij się, puder, światło, uśmiech, i jeszcze tu, i jeszcze jedno.

– Mam złe wieści, z twoimi plecami, ale i zdolnościami, raczej pisane ci są wyższe szarże. Oczywiście możesz twardo obstawać przy pracy na ulicy, ale w twoim przypadku to nie przejdzie.

– Dlaczego?

– Wszyscy będą widzieli w tobie niewypał, któremu nawet dzięki protekcjom mamusi nie udało się zrobić kariery, więc jest gównem wart i nie ma sensu dawać mu poważnych spraw.

– Nawet jak będę dobry?

– Zawsze znajdą wyjaśnienie, może ktoś ci pomógł, pewnie na zlecenie mamusi, albo ukradłeś komuś wyniki jego pracy. Wiesz, że jak już sprawa jest rozwiązana, to nagle okazuje się, że każdy by jej dał radę.

– Wiem – odparł lekko zasmucony.

– Z drugiej strony będą cię postrzegać jako gościa, który pewnie przyszedł do wydziału, bo coś tu nie gra i ma sprawdzić, co i jak. Może pojawił się, aby podkopać autorytet komendanta, bo szykują na jego miejsce kogoś nowego? Wiesz, mocno niepewny typ.

– Dobra, skończmy już to pieprzenie o przyszłości – powiedział, sięgając po swój kubek z resztką porannej kawy. – Powiedz lepiej, co powiedział ten bezmózgi menel.

– To w drugiej kolejności, opowiem ci, jak będziemy jechali na działkę.

– Dokąd?

– Doktor Budziński posiadał nieruchomość na wsi, dokładnie w Rzeczyca Długiej.

– Wiem, gdzie to jest.

– No to prowadzisz.

– Myślisz, że znajdziemy tam coś ciekawego?

– Zobaczymy – powiedziała. – Powinnam od razu sprawdzić jego nieruchomości, kolejna nauka dla ciebie, aby nie lekceważyć takich rzeczy. Pobierz z magazynu dowodów komplet jego kluczy, jeden najpewniej będzie od działki, i jedziemy.

Skinął głową i wyszedł z pokoju.

A potem ta mniej przyjemna część, pomyślała Gleba, widząc plecy Karola znikające na korytarzu.

8.

Rzeczyca Długa

Godzina 16.30

Ze wszystkich zdobyczy technologii nawigacja była jedną z najbardziej przez Glebę lubianych. Oczywiście zaraz po zmywarce, pralce, automatycznym odkurzaczu, ekspresie do kawy i kilku innych ciekawych wynalazkach. Trafili pod drewnianą bramę posiadłości Budzińskiego niemal jak po sznurku. Na końcu wsi minęli altanę grillową

i skręcili w prawo w wąską dróżkę, na szczęście pokrytą asfaltem. Zgodnie ze wskazaniami mapy po lewej stronie minęli cmentarz, a kilkaset metrów dalej stał jeden samotny domek. Działka była ogrodzona metalową siatką, a dostępu do niej od frontu strzegły drewniany płot i brama.

Gleba ucieszyła się, że nie musi przeskakiwać płotu, już za trzecią próbą udało się jej dopasować klucz do zamka w furtce i weszli na posesję. Chodnik wyłożony kostką brukową, po prawej trawnik z nasadzeniami drzew owocowych, część kwitła, przypominając im, że za rogiem już czeka maj i wkrótce wszystkie sady wybuchną białym kwieciem.

– Wiśnia – stwierdził fachowo Damięcki, widząc, co przyciągnęło jej wzrok. – Kwitnie najszybciej. Za tydzień zabiorę cię w podsandomierskie sady, zobaczysz, jak tam pięknie.

– Matyldę zabierz – odpowiedziała. – Kwiecie pachnie i takie tam.

– Ładnie utrzymana działka – powiedział, nie reagując na zaczepkę. – Przycięte drzewka, opielone grządki, bardzo żyzna ziemia, wszystko pięknie rośnie.

Gleba spojrzała na lewo, faktycznie, równe i niezachwaszczone pole, dużo różnych roślin, z których rozpoznała chyba tylko truskawki, które ku jej zdziwieniu już miały owoce.

– Patrz, truskawki. – Podeszła do grządki. – W kwietniu?

– Mamy początek maja – odpowiedział. – To wczesna odmiana, pewnie Frigo. Nie są tak słodkie jak te późniejsze, czerwcowe, ale jak się kupi sadzonki i posadzi, to dojrzewają w kilka tygodni, szczególnie przy takiej pogodzie jak ostatnio, słońce na okrągło, bez przymrozków. Można też sadzonki uzyskać samodzielnie w tunelu.

– Brukselka! – powiedziała i gwizdnęła z uznaniem. – Jak ty mnie zaimponowałeś w tej chwili.

– Lubię truskawki – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Miałem kiedyś taką fazę na ich hodowanie. Mamy dom i duży ogród, a w nim szklarnię, więc mogłem się bawić.

– Ciebie kręci wszystko, tylko nie polityka, co? – powiedziała, kucnęła pod krzakiem i zerwała kilka owoców. – Chcesz?

Wziął od niej najmniejszą, poczuła ciepło jego dłoni i delikatną skórę. Szybko wpackowała truskawkę do ust. Ależ była dobra, słodka, chociaż faktycznie nie taka mocna w smaku jak te ze szczytu sezonu.

– Wszystkie zeżrę! – powiedziała. – Szkoda przecież, żeby się zmarnowały.

– Pomogę ci, ale załatwmy najpierw to, co jest do zrobienia. Jeszcze dostaniemy jakieś wezwanie i tyle będzie.

Oberwała jeszcze jeden krzak i szybko wpackowała owoce do ust, jakby zaraz miał ją przyłapać na tym procederze gospodarz.

– Jak się u was mówiło, gdy szło się za dzieciaka obezreć komuś owoce w sadzie? – zapytała.

– Szaber – odpowiedział z uśmiechem.

– U mnie, że na charaty.

Stanęli przed drewnianym parterowym domem ze spadzistym dachem. Widać było rękę gospodarza, okna czyste, drzwi i drewniana elewacja były chyba niedawno świeżo malowane. Po jednej i drugiej stronie od wejścia umieszczono drewniane pergole podtrzymujące już mocno zazielenione winorośle.

– Klucze – powiedziała Gleba, podając je chłopakowi.

Ten poszukał takiego odpowiadającego na oko wielkości zamka i spróbował. Udało mu się za pierwszym razem. Drzwi otworzyły się cicho, bez najmniejszego nawet skrzypnięcia. Gleba na wszelki wypadek wyjęła pistolet z kabury i szepnęła do Damięckiego, aby zaśwycił latarkę, bo wewnątrz domu spowijał mrok. Nie przewidywała raczej żadnego ataku, ale kto tam wie, ostatnio działy się głównie rzeczy, których się nie spodziewała.

Minęli krótki przedpokój wyposażony w wieszaki z płaszczem przeciwdeszczowym i starym swetrem oraz plastikową tackę na brudne buty, na której stały gumofilce. Weszli do kuchni urządzonej prosto najtańszymi meblami, jednak schludnie i czysto. Damięcki podszedł do włącznika światła i spojrzał pytająco, Gleba skinęła mu głową. Światło z żyrandola ożywiło wewnątrz, do którego promienie słoneczne przedzierały się tylko dzięki wąskiej szparze w zasłonach na oknie. W kącie stał brązowy piec kaflowy, ale do gotowania służyła płyta gazowa połączona wężykiem z niebieską butlą.

– Ładnie się tutaj urządził – stwierdził Damięcki. – Chyba nie przebywał tak często wśród bezdomnych, jak nam się wydawało.

– Na to wygląda. Sprawdźmy pozostałe pokoje.

Ruszyła do drzwi po prawej, chowając pistolet w kaburze. Pstryknęła przełącznik w progu i złapała za klamkę. Za drzwiami trafiła na pokój zamieniony w magazyn sprzętu. Stały tu szpadle, grabie, sekatory, a także cięższy sprzęt, jak kosiarka czy podręczny opryskiwacz. Do tego liny, słoje, butelki z opryskami, worki z nawozami i masa innego sprzętu. Wszystko ładnie poustawiane na podłodze i na magazynowych regałach.

– Pomieszczenie gospodarcze – oznajmiła Gleba.

– Wypadałoby dokładniej przejrzeć – powiedział Damięcki bez entuzjazmu w głosie.

– Owszem – zgodziła się. – Idziemy do drugiego.

Przeszli przez kuchnię i otworzyli kolejne drzwi po drugiej stronie. Trafili za nimi do niedużego korytarza z toaletą naprzeciwko. W środku mała umywalka i kabina

prysznicowa, raczej z tych najtańszych. Kilka kosmetyków, same męskie. Drzwi z korytarza prowadziły do pokoju, który okazał się sypialnią, ale stwierdzili to dopiero po włączeniu światła, bo tutaj słońce kompletnie się nie przedostawało.

– Dziwne – rzucił Damięcki, spoglądając w stronę okna, które było zastawione drewnianą płytą, chyba ze sklejki.

– Może faktycznie był wampirem i bał się słońca – powiedział Gleba.

Pokój był umeblowany skromnie, polowe łóżko, szafa, mały stolik, dwa krzesła. Pod ścianą, dokładnie naprzeciwko okna stało duże, drewniane krzesło, przypominało Glebie te widywane w sądach, używane przez sędziów. Wysokie siedzisko, dwa podłokietniki, solidne nogi. Musiało ważyć dobre kilkadziesiąt kilogramów.

– Jakiś antyk? – zapytał Karol, patrząc na nietypowy mebel.

Gleba podeszła bliżej i od razu zrobiło się jej gorąco, na drewnie zauważyła brunatne plamy, stare, ktoś próbował je usunąć, ale wniknęły w drewno. Widywała takie na niejednej drewnianej podłodze.

– Karol, podejdz – poleciała.

– Co jest?

– Patrz, krew. – Wskazała palcem na siedzisko.

Teraz dopiero dostrzegła, że każda noga krzesła była osadzona w żelaznej tulejce, a ta czterema śrubami przymocowana do podłogi. Szarpnęła za nie, ale ani drgnęło. Podłokietniki były poprzecinane poprzecznymi rowkami i również pokryte brunatnym nalotem. Śladów dopatrzyła się sporo, co najmniej dwadzieścia na każdym z podłokietników, dokładnie w miejscu, gdzie powinny spoczywać nadgarstki osoby siedzącej na fotelu.

– Gleba, spójrz – rzucił krótko Damięcki i wskazał jej na metalową wanienkę stojącą pod ścianą.

Podeszła dwa kroki i zajrzała do środka. Paczka otwartych trytytek, nóż, młotek, kombinerki, rolki ręcznika papierowego. Poniżej leżała piła z brzeszczotem, gumowe rurki jak od kroplówki, kartonowe pudełko czarnych rękawiczek jednorazowego użytku, środek dezynfekujący, spirytus i jakiś profesjonalny środek chemiczny do usuwania zabrudzeń z krwi.

Wyjęła z kieszeni swoją rękawiczkę, włożyła ją i wyciągnęła z paczki jedną z plastikowych opasek zaciskowych. Dopasowała ją do poręczy krzesła i już wiedziała, skąd pochodziły ślady.

– Ktoś tu siedział przywiązany – powiedziała. – I mocno krwawił.

– Tortury? – podrzucił Damięcki, podnosząc piłę.

– Jeśli tak, to dobrze posprzątane. Takie same trytytki były chyba w samochodzie Posejdona przed Vivo, co nie?

- Chyba tak.
- No proszę, co za niespodzianka, grzeczny doktorek.
- A to co? – Karol wyciągnął coś zza wanienki.

Była to złożona sztaluga, na jakich widywało się na konferencjach ustawione plany prelegentów. Gleba złapała ją delikatnie i odwróciła, widząc, że jest na niej coś zamontowane. Duże zdjęcie młodego człowieka. Chłopak mógł mieć ledwo co ukończone dwadzieścia lat, delikatny wąs dopiero mu się sypał pod nosem, brązowe oczy spoglądały na świat z radością, krótkie włosy, zgrabne uszy, prosty nos. Przystojniak.

- Znam go – powiedział nagle Damięcki.
- Skąd?

– To była głośna sprawa, sprzed jakichś dwóch lat. To Adam Nowak. Akurat byłem tu na krótkim stażu wakacyjnym ze szkoły i asystowałem przy niej. Zaatakowano go w drodze do pracy przy alei Jana Pawła. Dostał kosę pod żebra i zszedł na miejscu. Nie udało nam się ustalić sprawcy. Tylko co on ma wspólnego z tą sprawą?

– Na moje oko to ktoś postawił sztalugę przed krzesłem, a na nim posadził klienta, który musiał się mu dobrze przyjrzeć. Te narzędzia pomagały w odświeżeniu pamięci. Na ciele Budzińskiego nie było śladów tortur, więc wypadałoby założyć, że to on przesłuchiwał. Chyba próbował rozwiązać sprawę za was. Mieliście jakiegoś podejrzanego?

– Nikogo. Wszystko miało miejsce przed dwudziestą drugą, listopadowa noc, dość paskudna. Świadkowie wspominali tylko, że jakiś niechlujnie ubrany mężczyzna szarpnął go i uciekł. Widziała to starsza babka z okna swojego mieszkania i kobita ponad sto metrów dalej na przystanku. Okazało się, że napastnik podbiegł i kilka razy dźgnął ofiarę długim nożem, najpewniej wojskowym bagnetem.

- Niechlujnie ubrany? – zapytała Gleba. – Bezdomny?

– To była dominująca hipoteza. Ale ja tylko asystowałem i przysłuchiwałem się, robiłem rozpytania po blokach.

- Ktoś robił aferę? Rodzina? Pretensje o niewyjaśnione zabójstwo?

- On był z domu dziecka, nie miał rodziny ani za bardzo przyjaciół nawet.

Oczy Damięckiego rozszerzyły się, na twarz wpełzł uśmiech.

- Tak, Karolku, chyba pewne rzeczy się wyjaśniły – powiedziała.

- Ale to musimy potwierdzić.

– DNA Budzińskiego pobieraliśmy, ale nie zaświecił się w bazie. Przydałoby się też tego chłopaka, ale to trzeba by ekshumować pewnie, taniej będzie poprosić sąd o odtajnienie akt adopcyjnych, chyba że technicy coś zabezpieczyli na miejscu zdarzenia.

– Budziński musiał się jakoś dowiedzieć, że Adam był jego synem, a potem szukał sprawcy jego śmierci wśród bezdomnych?

– Na to wychodzi – powiedziała Gleba. – I pewnie go znalazł i tutaj przyprowadził. Chociaż sądząc po ilości krwi, jaka tutaj się polała, to mógł się mścić, ale i przepytywać. Normalny człowiek już po pierwszym cięciu piłą przyznałby się do wszystkiego. Kurwa, ja na sam widok tego badziewia śpiewałabym jak Maryla Rodowicz na Sylwestrze Marzeń.

– A może to nie był jeden, tylko wielu – mówił podekscytowanym głosem Damięcki. – Wampir. Znikający bezdomni. Inwigilował ich obozowiska, wyłapywał tych, którzy mu podchodzili, przywoził tutaj i torturował.

– I zabijał?

– Czemu nie. Lasy dookoła, łatwo pozbyć się ciał.

– Lasy? – zastanowiła się. – Mówiłeś, że bardzo żyzna ziemia na tej działce?

Poczuła, jak truskawki podchodzą jej do gardła.

– Bez jaj.

– Dzwonź po Rudego. Niech zabiorą wszystko do zbierania śladów, ponownie georadar i może od razu psa do poszukiwania zwłok. Pewnie w Rzeszowie takiego mają. Ja muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszła mocnym krokiem i tuż za drzwiami złapała duży haust powietrza. Kiedy ostatnio rzygnęła na służbie? Już bardzo dawno. Spojrzała na równe grządki, krzaczki truskawek splamione czerwienią owoców i wszechobecną zielenią. Słyszała, jak Damięcki dzwoni do techników, zlecając im zadania na niedzielne popołudnie. To się chłopaki ucieszą.

Ruszyła za dom, spory kompostownik, zwinięty wąż ogrodowy, pompa do wody i rozległy sad. Tylko po bokach były kolejne grządki, to chyba krzaki ziemniaków, kiedyś u dziadka zbierała z nich stonkę, za każdy słoik dostawała złotówkę, co po dwóch nudnych godzinach pozwalano na wycieczkę do sklepu po lody lub czipsy.

– Już się organizują – usłyszała za plecami. – Dobrze, że mamy ten podwyższony stan gotowości z okazji majówki.

– Pies?

– Dostałem już SMS-a, że będą za jakieś trzy godziny. Czekamy?

– Tak, musimy im wszystko pokazać. Do Maryny dzwoniłeś?

– Oczywiście. Poprosiłem o zajęcie się kwestią papierów adopcyjnych. Powiedziała, że przyjedzie do nas dopiero, jak znajdziemy jakiegoś trupa. I lepiej, żeby żadnego nie było, bo wieczorem miała plan upić się z koleżankami.

– Czekamy.

Obydwoje oddychali szybciej, jakby przed chwilą przebiegli kilka kilometrów, podniecenie związane ze zbliżającym się rozwiązaniem sprawy udzielało im się nawzajem.

– Mieliśmy jeszcze gdzieś jechać – powiedział Damięcki. – Co w końcu powiedział ten Dziwisz?

– Pamiętasz opowieści o tym czarnym samochodzie kręcącym się wokół obozowiska bezdomnych?

– Tak. To była fura doktorka.

– Otóż nie, mój kochany. Był drugi czarny samochód.

– Skąd wiesz?

– Bo Dziwisz zarząbał z niego rejestrację.

Gleba zobaczyła, jak Damięckiemu autentycznie opada szczęka. Uśmiechnęła się, bo знаła jego podejście i właściwie pogardę dla ludzi, których społeczeństwo lubiło określać mianem „przegrywów”.

– Ten... ćwierćmózg?

– A widzisz, przecież ci mówiłam, żeby nie lekceważyć bezdomnych.

– I co, namierzyłaś właściciela samochodu?

– Tak. Jak ruszą tu technicy, to pojedziemy do niego.

– Kto to? Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem, gdzie mieszka i pracuje.

I spółkuje, dodała w myślach, uśmiechając się.

– Sorki, telefon – rzucił, pokazując jej smartfon.

Podał jej klucze do posesji i odszedł na bok, Gleba podeszła do bramy i odpięła kłódkę. Wprowadziła ich samochód na teren posesji, zaparkowała zaraz z brzegu między drzewkami. Nie było sensu patrzeć technikom na ręce, rozda dyspozycje i mogą jechać porozmawiać z Albertem.

Pierwszy samochód podjechał już po kwadransie, chłopaki z prewencji. Zleciła im zabezpieczenie terenu taśmą, mimo iż wydawało się to zbyteczne, z racji odludzia próżno było spodziewać się gapiów. Gdy w końcu pojawił się Lisicki, nieco odświętnie ubrany, domyśliła się, że wyciągnęła go z jakiegoś rodzinnego obiadu. No cóż, taka robota. Wytłumaczyła dokładnie, co zastali w domu i czego się po nich spodziewa, wskazała grządki i sad.

– Dobrze, że obiecaliśmy oddać georadar dopiero po majówce – stwierdził. – Powinno pójść szybko, ale całe nasadzenia musimy zlikwidować.

– A zatem czyńcie swoją powinność. Jak przyjedzie piesek, to niech powęszy na tyłach, tam jest sporo zieleni.

– Robi się – powiedział Rudy i zaczął rozpinąć koszulę. – Wiszę ci flaszkę czy tam wino, zależy, co pijesz. Złapałaś mnie na urodzinach teściowej. Chyba tylko stypy bywają smutniejsze.

– Które to?

– Mam nadzieję, że ostatnie.

– No nie bądź taki.

– Sześć dyszek. Szykuje się na emeryturę i coś zaczyna przebąkiwać, żebyśmy zamieszkali razem, bo to taniej. I wtedy zadzwonił telefon. To się fachowo nazywa odroczeniem wykonywania kary.

– Raczej zmiana daty posiedzenia sądu – odparła. – Zatem masz motywację, żeby tu posiedzieć.

– Nawet i do rana. Ogólnie strasznie się tu ciekawie zrobiło, odkąd wzięłaś się do roboty.

– Jeszcze ci się znudzi. Skanujcie, zabezpieczajcie i takie tam. Ja z Brukselką muszę skoczyć w jedno miejsce.

– Przywieź kawy, jak będziesz wracać, co?

– Wedle życzenia.

Damięcki akurat skończył rozmawiać i ruszył w jej kierunku. Posłał jej uśmiech i wrzucił do ust truskawkę.

– Masz żołądek ze stali – skomentowała.

– Daj spokój, gdybyś wiedziała, czym nawozi się grządki na wsi, to wolałabyś spod trupa zjeść. Jedziemy?

– Obdzwoiłeś już wszystkich?

– Matylda i mama. Zjeżdża jednak na majówkę, będzie się lansowała na tym spotkaniu. Chcesz ją poznać?

– Jestem średnio towarzyska.

– Wolałbym, żebyście jednak się spotkały, wiesz, jak ma ci załatwić to i owo. To tradycjonalistka, musi zobaczyć, że normalna z ciebie dziewczyna.

– Pomyślimy.

– Tylko nie przychodź w tej różowej kurtce.

– Zaplotę dwa warkoczyki i kupię sobie dużego lizaka. Jedziemy?

Pojechali.

9.

Dziwisz

Gdzieś

Duszno, ciasno, nie można się ruszyć. Najgorsze, że kompletnie nie pamiętał, jak się tu dostał ani właściwie gdzie tak naprawdę się znajdował.

Wyprawa z policjantką, to pamiętał, ale co potem? Czuł na języku posmak papierosów, paskudny, gorzki. Czuł też krew. Paskudną, metaliczną.

Bolały go nadgarstki, ale nie mógł nimi ruszyć, były czymś spięte. I głowa. Słodki Jezu, jak bardzo bolała go głowa. Okrutnie.

Chyba ktoś go uderzył w głowę. Pamiętał mężczyznę, samochód, a potem straszliwy ból, ale tak mocny, że nie dało się o nim zapomnieć już nigdy.

Spróbował zgiąć nogi, ale się nie dało. Ruszyć rękami także. Nawet głową. Był czymś owinięty? A może w pudle?

A może to była trumna?

Byle nie trumna, jak się już leży w trumnie, to właściwie pozamiatane.

Coś zagrzechotało, gdy próbował się ruszyć. Ręce miał związane w nadgarstkach i położone między nogami. Palcami natrafił na coś chłodnego i śliskiego. Coś metalowego. Łańcuch? Łańcuch.

Coś mu się kojarzyło, coś paskudnego, niedobrego. Na łańcuchach wiązano psy, żeby nie odbiegały zbyt daleko od budy. Ale nie, to nie o to chodziło, było coś jeszcze, coś niedobrego, bardzo niedobrego, bardzo, kurwa, niedobrego.

Posejdon.

Powieszono go na łańcuchu.

Serce zaczęło mu bić mocno, za mocno, łomotać.

Zaczął szybko oddychać. Ależ tu było duszno. Gorąco.

Wszystko ponownie zgasło.

10.

Osiedle Pławo, Stalowa Wola

Godzina 19.00

Damięcki ze spokojem przyjął wyjaśnienia Gleby o stosunkach łączących ją z Albertem, wykazał zrozumienie i powiedział jasno, że doskonale rozumie.

– To dobrze o tobie świadczy – skomentował.

– Dobrze?

– Masz uczucia. Wielu by się zdziwiło.

– Kto na przykład?

– Wiesz, w firmie tam niejedyn za tobą rzucał okiem, ale dość szybko stwierdzono, że jesteś po prostu wyprana z uczuć. Ktoś nawet podpytał psychologa i dowiedział się, że jest taka choroba, anhedonia. Niezdolność odczuwania wzruszeń, radości i takie tam. No i miłości.

– Karolku, chcesz mi przekazać, że jeśli kobieta wchodzi do nowego miejsca pracy napakowanego samcami i nie strzela do każdego z nich okiem, nie kokietuje i po

prostu skupia się na robocie, a nie flircikach i ploteczkach, nie szczebiocze jak jakiś zasrany kanarek, to jest chora?

– Jak ty to mówisz, to od razu brzmi bardzo strasznie.

– Bo takie jest! Kurwa, gdybym miała jaja i kutasa, to byłabym postrzegana jako twardzielka, z którą lepiej nie zadzierać, profesjonalistka, a tak to mi zdiagnozowano chorobę.

– Nie unosź się.

– Ja się nie unoszę! – podniosła głos. – Ja po prostu, mając ponad trzy dychy na karku, wciąż nie mogę się z tym oswoić. Warszawa jednak pod tym względem jest lepsza, bo tam już jest inne podejście, chociaż też musiałam sobie na nie zasłużyć.

– Jesteśmy – oznajmił z ulgą Damięcki, parkując przed blokiem, w którym mieszkał Albert. – Uprzedzałaś go?

– Nie. Jak zawsze zakładałam totalną i kompletną winę podejrzanego, a w takim wypadku pewnie by uciekł.

Wysiedli z kijanki, słońce chowało się już za pobliskimi blokami, głównie czteropiętrowymi. Zlustrowała parking w poszukiwaniu samochodu Alberta. Mieszkańcy małych osiedli zazwyczaj sami wypracowywali sobie niepisane zasady obejmujące przynależność miejsc parkingowych. Zajmowane przez niego zwyczajowo miejsce stało puste.

Ruszyła do wejścia, omijając kawałek styropianu, który uciekł z ocieplanego właśnie sąsiedniego bloku. Albert mieszkał na parterze, zapukała, ale odpowiedziała jej cisza. Ponownie załomotała w drzwi, chyba nieco za mocno, bo z naprzeciwka wyszła młoda dziewczyna, na oko ledwo po osiemnastce, z rocznym dzieckiem na ręku.

– Alka nie ma – oznajmiła z uśmiechem.

Alka? Glebie zahuczało w głowie. Co za ksywa!

– Wie pani, gdzie jest? – zapytała na głos.

– Ja? – Uśmiech nie schodził jej z twarzy. – To chyba pani powinna wiedzieć. Nie odbiera? Może ma jakieś zawody z tego karate.

– Nie sądzę – odpysknęła Gleba, mocno zirytowana i przez chwilę przerażona tym, że poczuła zazdrość.

– No to nie wiem, serio. Niedawno odjechał, młody akurat się obudził, a on zawsze drzemkę kończy o osiemnastej.

Gleba zerknęła na zegarek, była dziewiętnasta.

– Dziękuję – rzuciła i ruszyła w stronę wyjścia.

– Przekazać mu coś, jak wróci? Ma do pani zadzwonić?

Nie odpowiedziała, wyszła przed blok i skierowała się do samochodu, a Damięcki dreptał posłusznie za nią, niczym mąż na zakupach.

– Może faktycznie ma zawody – powiedział, gdy już usiedli w samochodzie.

– Wyciągania chuja z wody – odparła, a on się zaśmiał, co jej w sumie też poprawiło humor.

– Możemy sprawdzić na sali treningowej.

– W święta mają czynne do piętnastej, nie robią nawet indywidualnych treningów.

– To co?

– Wracamy.

– A możesz poprowadzić? Zdrzemnąłbym się po drodze. Coś mi bateria padła, nic konkretnego nie zjadłem. Tylko te truskawki.

Przesiedli się i Gleba ruszyła. Jechała spokojnie, żeby Damięcki na rozłożonym fotelu złapał chociaż dwadzieścia minut snu. Ona w sumie też nie jadła żadnego obiadu i dopiero gdy o tym powiedział, to poczuła głód. Zajechała pod KFC, kupiła dwa kubły kawałków kurczaka i kilka kaw na wynos dla techników, a potem ruszyła z powrotem do Rzeczycy Długiej.

Tym razem to jej wyrok został odroczoney.

11.

Rzeczyca Długa

Godzina 21.00

Kawa i kurczak rozeszły się w tempie iście ekspresowym, co nie mogło dziwić, bo na miejscu kręciło się już kilkanaście osób oraz jeden wesoło podskakujący owczarek niemiecki.

– Kochamy nadgodziny, szczególnie nocne – oznajmił zadowolony Lisicki.

– Co tam z georadarem, macie coś? – zapytała.

– Dopiero przygotowaliśmy teren. Środek już zrobiony. Ktoś tam mocno krwawił.

– Na fotelu?

– Tak, prawdziwe krzesło łaski. Krew znaleźliśmy tylko w tym miejscu, ale dużo, serio. Wyciąłem nawet kawałek podłogi, przesiąkła niemal na wylot. To stare dechy, dawno nie- impregnowane, ale mimo wszystko to nie mogło być z jednego człowieka, no, chyba że go osuszył do cna. Wampir.

– Jak reszta domu, czysta?

– Tak, gość lubił porządek. Ten fotel też był wielokrotnie czyszczony i dezynfekowany, brak śladów naskórka czy włosów. Aha, w szafie znaleźliśmy laptop, niestety zahasłowany, już leci do techniki do Rzeszowa.

– W domu Budziński nie miał niczego na komputerze, mam nadzieję, że tutaj trzymał całe zło.

– Zobaczymy.

– Podkomisarz Ziemna? – Przerwał im młody głos policjanta z psem na smyczy.

– Tak. Jak tam piesek, gotowy do akcji?

– Zbychu, gotowy? – zapytał opiekun swojego owczarka, a ten szczeknął donośnie. – Jak widać, pani podkomisarz. Gdzie szukamy i czego?

– Chodźcie, pokażę wam. – Ruszyła za dom, ale stanęła, bo pies skoczył w prawo i zaczął niuchać przy miejscu, gdzie niedawno rosły truskawki.

– Zbychu, pokaż – rzucił komendę opiekun, a pies szczeknął i usiadł, merdając kilkakrotnie ogonem. – To tutaj?

– Jebane truskawki – skomentowała Gleba, a zjedzony niedawno kurczak i wypita kawa podeszły jej do gardła. – Sądziłam, że raczej trafimy coś na tyłach.

– Mamy niuchać tutaj? – zapytał opiekun.

– Nie, tu idziemy georadarem – odparła. – Chłopaki już przygotowały teren, w dodatku ziemia miękka. Zbychu musi nam przeszukać teren za domem, tam jest sad i jakieś krzaki, chyba porzeczeki, ciężej nam będzie jeździć.

– Dobra, to działamy – oznajmił policjant. – Zbychu, idziemy!

– A my odpalamy wrotki – odparł Lisicki. – Jak już mamy trafienie, to pójdzie z górki.

Gleba skinęła głową i ruszyła na tyły domku, oddychając głęboko, żeby przegonić nudności.

Policjant z psem ruszył za nią, odpalając mocną latarkę i drugą doczepioną do czoła. Spojrzał na sad i grządki na tyłach posesji, kiwnął głową. Wyjął z plecaka czerwoną chorągiewkę na długim drucie.

– Oznaczę, jak Zbychu coś złapie, trzeba będzie tam podkopać – powiedział.

– Bawcie się dobrze.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do miejsca głównego zamieszania. Lisicki już uruchamiał georadar, który przypominał ogrodową kosiarkę na dużych kołach z doczepionym do uchwytu laptopem. Maszyna potrafiła wyłapać wszelkie anomalie w glebie nawet do kilkunastu metrów, a że ciała zazwyczaj nie chowano głębiej niż dwa metry, to będą mieli wszystko jak na tacy.

Rozejrzała się za Damięckim, siedział w ich samochodzie i zakładał na siebie bluzę. Podeszła do niego.

– Mamy trupa – powiedziała.

– Super – odpowiedział słabym głosem. – Pod truskawkami?

– Tak.

– Czyli jednak nasz doktor był bardziej Hyde niż Jekyll. Gleba, a może on faktycznie z tymi trupami, no wiesz...

– Sama już nie wiem, zobaczymy, co chłopaki wykopią.

Damięcki kichnął szybko trzy razy i wysmarkał się w serwetkę z KFC.

– Słabo się czuję – powiedział.

– Wiesz co, może jedź i wyśpij się trochę, co? – zapytała. – Ostatnio trochę naginamy rzeczywistość.

– Daj spokój, nie ma szans. Kimnę godzinę w kijance i będzie dobrze.

– Jest pod dwudziestą pierwszą, nam tu zejdzie do rana, jak nie dłużej. Jedź, prześpij się, dopakuj jakieś leki i umówmy się, że mnie zmienisz koło piątej nad ranem, co? Jak dasz radę, to wcześniej. Nie ma nadal Witczaka, więc ktoś z naszej dwójki musi tutaj pilnować porządku i powiadomić w razie potrzeby Marynę.

– Powinniśmy być obydwój.

– Karol, już ci mówiłam, że nadgorliwość gorsza od faszyzmu. Sprawa nam się rozwiązuje, wyluzuj. Wykopią trupa, przewieziemy go na autopsję, zrobimy papiery, jutro pojeździmy za Albertem. Ja też potrzebuję odpoczynku, nie wiem, czy po tej kąpieli w Sanie też mnie coś nie rozkłada, bo wszystko mnie boli. Wrócisz nad ranem i ja pójdę się trochę podładować.

Niechętnie, ale kiwnął głową i siadł za kierownicą.

– Jak będziesz jechał do nas rano, to dowieź kawy – powiedziała.

– Jasne.

Odpalił kijankę i wyjechał przez bramę.

Gleba pomasaowała sobie kark, faktycznie średnio się czuła, może młodego szybciej zaczęło rozkładać. Może znowu covid?

– Lecimy, Gleba – usłyszała okrzyk Lisickiego.

– Dajesz, Rudy – odpowiedziała i podeszła do ich ekipy.

Zapadł już kompletny zmrok, ale na posesji doktora Stefana Budzińskiego było jasno jak w dzień. Nie musieli nawet używać generatorów, prąd podciągnęli z domu. Lisicki machnął w jej stronę.

– Co jest? – zapytał, podchodząc.

– Piesek ma dobry węch, zobacz. – Postukał palcem w wyświetlacz georadar.

– U, faktycznie – odparła. – Zielone kreski, dużo ich.

– Widzisz, jak tu odstają? Jakby je ktoś kopnął od spodu, to oznacza, że mamy tutaj naruszoną strukturę i całkowicie inną gęstość, przeszkodę, że się tak wyrażę. Dokładnie na głębokości półtora metra.

– Płytko – skomentowała.

– W Polsce zwłoki chowa się na głębokości minimum dwustu dwudziestu centymetrów, no, ale to dziki pochówek.

– Trup?

– Zdecydowanie. Albo skrzynia o wymiarach człowieka.

– Kopiecie?

– Spokojnie, szanowna pani podkomisarz, najpierw zbadamy cały teren. Gdzieś musimy ustawić namioty do kopania, zwałać ziemię, na noc zapowiadają znowu burze. Jak skończymy, to zabierzemy się do wykopków, a jak potwierdzimy zwłoki, to trzeba będzie wezwać kogoś z prokuratury.

– Prorok już czeka i przebiera nogami.

Odwróciła się i stwierdziła, że właściwie nie ma swojego samochodu służbowego, zabrał go Damięcki, a przydałoby się chwilę odpocząć. No cóż, był dom. Weszła do środka, jeden z techników w asyście jakiegoś sierżanta przeszukiwał jeszcze pomieszczenie używane jako magazyn, ale kuchnia była wolna. Za stołem zauważyła złożony leżak, wyjęła go i dwoma ruchami przygotowała do siedzenia. Wyłożyła się w nim z cichym westchnieniem ulgi, łamała ją w kościach i zaczynały łzawić oczy, chyba faktycznie kąpiel w Sanie nie wyszła im na dobre.

Oczy już się jej przymykały, gdy zadzwonił telefon. Szybko wyłuskała go z kieszeni różowej kurtki i odebrała.

– Ziemna.

– Aspirant Andrzej Zieliński – usłyszała w słuchawce. – Komenda Miejska Policji w Rzeszowie. Nie wiem, czy pani podkomisarz na służbie, ale mamy sprawę.

– Na służbie, a jakże. Co tam się urodziło?

– Jutro zaczyna się majówka, długi weekend, no i dzwonią z MOPS-u z pytaniem, czy przywieziemy dzisiaj tego bezdomnego, co ma siedzieć u nich do końca tygodnia. Ktoś tam się pochorował, mają słabo z personelem i w sumie się ucieszyli, że jeszcze nie dotarł.

– Chodzi o Dziwisza?

– O tego chuderlaka, co go rano do was wysłaliśmy, a miał być na nocleg. Trzymają mu łóżko w noclegowni i marudzą, że miał być, a go nie ma.

– Jak to nie ma? – Rzuciła okiem na zegarek. – Powinien dojechać przed osiemnastą.

– No nie ma.

– Ja pierdołę – zaklęła i zamilkła na chwilę. – Sprawdzę i dam znać, może coś się stało po drodze.

– Jeśli można, to będę wdzięczny. W MOPS-ie pracuje moja szwagierka i mi truje, a wiadomo, jak jest.

– Wiadomo. Bez odbioru.

Rozłączyła się i wybrała numer na dyżurkę ich komendy, telefon odebrał starszy aspirant Karaś, którego nawet lubiła, rzeczowy gość.

– No dzwoniли i do mnie – powiedział Glebie, gdy ta już mu naświetliła sprawę. – Odesłałem go do ciebie, bo myślałem, że dalej się z nim bujacie.

– Mieli go odwieźć do Rzeszowa – odpowiedziała. – Miał się tym zająć ten sierżant, jak mu tam, taki młody i wygadany.

– Sawicki?

– Dokładnie ten.

– Nic nie mam w rejestrze. Przywieziono klienta o godzinie dziesiątej osiemnaście, załoga z miejskiej w Rzeszowie. Nie ma żadnej adnotacji o wyjeździe do Rzeszowa, nikt dzisiaj nie jechał. Wczoraj to był ruch, wiadomo, wywozili wszystkich, ale dzisiaj cisza.

– Dasz mi numer do tego Sawickiego?

– Zaraz wyślę.

– I jeszcze adres. Jakby nie odbierał, to muszę go odwiedzić.

Rozłączyła się i po chwili telefon zamigał lampą, dotarł SMS z numerem telefonu i adresem sierżanta Albina Sawickiego. Wybrała go od razu, ale powitała ją poczta głosowa.

– No oczywiście, jak nie chuj w dupę, to szkło w piętę – skomentowała na głos, podnosząc się z leżaka.

Zerknęła na wyświetlacz i przesłany adres, Rudnik nad Sanem.

– Kurwa, dalej się nie dało – znowu głośno skomentowała.

Wyszła na zewnątrz i szybkim krokiem podeszła do oznakowanej policyjnej kijanki, przy której dwóch mundurowych piło napoje energetyczne.

– Potrzebuję samochodu na godzinę – rzuciła i nagłym ruchem wyciągnęła w ich kierunku rękę.

Starszy stopniem zrozumiał od razu, wyjął kluczyki z kieszeni i położył jej na otwartej dłoni.

– Wsteczny kiepsko wchodzi – powiedział tylko. – I wycieraczki nie zbierają, a zaraz będzie padać. – Wskazał na horyzont, na którym faktycznie nocne niebo rozjaśniały błyski nadciągającej burzy.

Wsiadła do środka, przestawiła fotel, olewając jednak lusterka, nie było czasu, zresztą, jeśli jedzie się oznakowanym radiowozem, to inni mają patrzeć w lusterka. Gdy była już za bramą, zadzwonił telefon. Nie zatrzymując się, odebrała.

– Pani podkomisarz, odsłuchałem wiadomość na poczcie głosowej i przepraszam zarówno za szkło w pięcie, jak i za to drugie. – To był sierżant Sawicki, widocznie zdążyła się nagrać przed rozłączeniem.

– Gdzie jest ten bezdomny? – rzuciła mocno, nie miała ani czasu, ani chęci na żarciki.

– A tego to nie wiem.
– Miałeś go wysłać do Rzeszowa.
– No tak, ale jak wszedłem na dyżurkę, żeby zlecić transport, to podszedł do mnie ten oficer i powiedział, że go przejmuje.

– Kto?

– Ja dopiero od miesiąca jestem u was, z Rudnika się przeniosłem, bo do Stalówki się przeprowadzamy. Nie znam wszystkich z nazwiska jeszcze. Taki barczysty z lekko krzywym nosem.

– Witczak?

– No tak, Witczak.

– I co się później działo?

– Ja ogólnie zostawiłem tego bezdomnego na ławce, poprosił mnie o jeszcze jednego papierosa. Wszedłem do komendy, przy dyżurce pogadałem z tym Witczakiem, a jak się okazało, że jestem wolny, to mi od razu znaleźli robotę. Nie widziałem później ani jednego, ani drugiego.

– Dzięki. – Od razu się rozłączyła i wybrała numer do Witczaka, ale ten nie odbierał.

Zatrzymała się na poboczu, w głowie jej huczało od natłoku myśli, a może to przeziębienie zaczynało się rozgaszcać na dobre? Co zrobić? Odpowiedzieć sobie na pytania, Gleba, oto co trzeba zrobić.

Po jaką cholerę Witczak zabrał Dziwisza i, co najważniejsze, dokąd? Gdyby chciał go z jakiegoś powodu odwiedzić do Rzeszowa, zrozumiałaby, ale nie zrobił tego. Powiedział, że się nim zajmie, i najwidoczniej to zrobił, a skoro ślad zaginął zarówno po jednym, jak i drugim, to mogło oznaczać... Nie, to niemożliwe.

Wybrała ponownie numer do Witczaka, nie odpowiadał. Potem do Alberta, ten także milczał. W końcu na dyżurkę do komendy, po drugim sygnale usłyszała przedstawiającego się funkcjonariusza dyżurnego.

– Tu Gleba – rzuciła. – Czy Witczak kończył dziś służbę? Zdawał samochód?

– Nie, jest cały czas na służbie.

– Potrzebuję jego lokalizacji. Możesz mi podać namiar z GPS-a zamontowanego w samochodzie?

– Co się stało?

– Pilnie tego potrzebuję.

– Nie odbiera? Mogę go wywołać przez radio.

– Nie – zaprotestowała. – Muszę mieć dyskretnie informację o jego położeniu. Chodzi o jego bezpieczeństwo.

– Dobra, sprawdzę.

Zapadła na chwilę cisza, usłyszała tylko niemrawe kliknięcia myszy komputerowej.

– Dosłownie przed chwilą wjechał na strefę przemysłową i... o, właśnie się zatrzymał.

– Gdzie?

– To będzie przy Grabskiego, niedaleko ronda z Przyszowską.

– Wiem gdzie, dzięki.

– Ogłaszamy alarm, skoro jest w niebezpieczeństwie? – zapytał dyżurny zaniepokojonym głosem.

– Jeszcze nie.

Rozłączyła się i ruszyła, szybko zmieniając biegi i dociskając gaz. Jeszcze jeden telefon, musi zadzwonić do Damięckiego, potrzebuje wsparcia. Dodatkowo mają układ, on rozwiązuje sprawę, ona wraca do stolicy. Na szczęście ostatnio zapisała sobie jego kontakt na pulpicie smartfonu, więc kliknęła ikonkę z grafiką przedstawiającą Brukselkę i wcisnęła przycisk głośnika. Powietrze rozdarł mocny błysk, jakby ktoś wylał światło z olbrzymiej wywrotki, a ono najszybciej, jak się tylko da, uciekło do ziemi.

– Gleba? – usłyszała przytłumiony głos chłopaka.

– Nie śpisz, to dobrze, chyba mam gościa. Wiem, kto to jest!

– Co ty gadasz, spokojnie. Znaleźliście ciało?

– Karol, wbijaj dupę w samochód i ruszaj. Tylko że dojedziesz na miejsce pierwszy i musisz na mnie poczekać. Zrozumiałeś? Nie możesz robić niczego sam. To nie jest, kurwa, zabawa!

– Jasne, dokąd mam jechać?

Usłyszała w telefonie grzmot.

– Gdzie jesteś?

– Na mieście, do apteki pojechałem.

– Jedź na kulochwyty i czekaj tam na mnie, zrozumiano?

– Tak.

– Aha, i jeszcze jedno. Weź broń.

– Czekaj, Gleba, kto to jest?

– Tylko morda w kubel.

– Zgoda.

– Witczak.

– Co? – zdziwienie w głosie chłopaka zabrzmiało tak mocno jak uderzenie pioruna.

– Widzimy się na miejscu.

Huknęło obok niej, aż ruszyła kierownicą i auto złapało lekki poślizg. Wyrównała i odłożyła telefon. Co za gównno.

12.

Dziwisz

Gdzieś

Bolała go głowa, to w pierwszej kolejności. Po kilku oddechach przepełnionych paniką poczuł, że głowa boli go w różnych miejscach, także gdzieś z tyłu, a oprócz tego pod czaszką hula całe stado słońi.

Otwarcie oczu wymagało odwagi, gdzieś tam wśród tego huku wywołanego przez owo stado przemknęła myśl, że może już nie żyć, ale w sumie chyba po śmierci to nie boli, co nie?

Pamięć. Nienawidził swojej pamięci. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, jak to jest żyć z takimi uciekającymi wspomnieniami, cały czas miał wrażenie, że gdzieś tam dzwoni, ale nie wie, w którym kościele.

Palił papierosy, to pamiętał. Dziwił się, że pali, bo jakby wydawało mu się, że jednak nie pali, ale gdy zaciągnął dym, to jednak poczuł, że to znajome i przyjazne uczucie.

Bolała go noga, i to chyba bardziej niż głowa, teraz zdał sobie z tego sprawę.

Bolały go nadgarstki, i to jeszcze bardziej. Dlaczego?

Poruszył dłońmi, ale te były sklezione jak do modlitwy, nie dało się ich rozłączyć. Jakby pokazywał przy zapalanej lampie cień ptaka na ścianie, kiedyś to chyba dla kogoś robił. Dzwoniło, ale w którym kościele?

Wampir!

Ta myśl teraz rozjaśniła wszystko. Nie bardzo pamiętał, skąd to wie, ale był pewny, że trafił w ręce bardzo złego stwora, stwora-potwora, który go zabije i zje. Te opowieści o nim właśnie mu się przypomniały, wszystkie naraz, jakby ktoś odtworzył dziesięć filmów jednocześnie, co za chaos. Wampir chodzi w nocy po ich obozowisku, jak po cmentarzysku. Bo czym jest teren zamieszkały przez ludzkie trupy, jak nie cmentarzyskiem właśnie, a gdzie ma chadzać wampir, jak nie tam właśnie?

No właśnie.

Głowa bolała i huczała. Nadgarstki, ciasno związane, bolały i paliły ogniem.

Noga w kostce bolała najbardziej i czuł nacisk przy każdym ruchu.

Usłyszał coś, jakby szuranie metalu o beton, takie niby dzwonięcie. W którym kościele?

Otworzył oczy.

Coś nim szarpnęło, zaczął się przesuwać, głowa go zabolęła, leżał na plecach.

Noga. Ból w kostce spowodował, że aż zawył.

– Cichutko – usłyszał głos.

W którym kościele?

Nad sobą widział czerni, która nagle rozbłysła jasnym światłem. Błyskało się. Będzie burza.

13.

Kulochwyty, Stalowa Wola

Godzina 22.30

To nie był jej samochód, ale miała nadzieję, że w bagażniku znajdzie dwie najbardziej potrzebne jej teraz rzeczy: latarkę i płaszcz przeciwdeszczowy. Zaparkowała na poboczu przy wjeździe na kulochwyty, wyskoczyła na zewnątrz, sprawdzając, czy ma pistolet w kaburze pod swoją różową kurtką.

Bagażnik. Latarka leżała na wierzchu, możliwe, że używali jej nawet jeszcze i dziś na posesji należącej do Budzińskiego. Złapała ją i wsadziła sobie pod pachę. Niestety, nie znalazła niczego przeciwdeszczowego, nic to, trzasnęła klapą bagażnika i ruszyła wąską drogą w stronę kulochwyków. Gdzie, do cholery, był Damięcki?

Wyjęła telefon i zobaczyła ikonkę nieprzeczytanej wiadomości. SMS od Karola o krótkiej treści: „Jestem, ruszam na rekonesans”.

Kurwa!

Co za idiota. Młodzi chłopcy i ich testosteron oraz niezachwiana pewność siebie, odpalona za dziecka nieśmiertelność bez bezpiecznika. Ilu takich spotkała? Wielu w kostnicy, zimnych, młodych, pięknych i już spokojnych. Oni przepłyną to jezioro, wejdą na budynek, skoczą na główkę, położą się pod pociągiem, zamkną licznik na motocyklu. Bardziej przerażający byli jednak ci żywi, najczęściej siedzący w kucki na krawężniku, drżącymi rękami próbujący trafić papierosem do ust, zaklinający świat, aby cofnął czas o chociażby godzinę, zanim wsiedli po pijaku za kółko, na minutę przed decyzją o rajdzie przez osiedle z zawrotną prędkością, na sekundę przed tym, gdy podpuścili kumpla do zrobienia czegoś szalonego. Ale czasu nie cofniemy, dziecko już wbiegło pod samochód, kolega już spadł z budynku, kobieta na pasach już wydała ostatnie tchnienie, wszystko już się stało, wszystkie te magiczne hasła wypowiedane z dumą i młodzieńczą pewnością, że stałość istnienia zależy od nas, wszystkie zaklęcia to były jedynie słowa. Jeżdżę szybko, ale bezpiecznie, cóż się może stać?

Gdzie spotka Damięckiego? W kostnicy czy siedzącego w kucki po największej głupocie, kierującej go niczym zwrotnica na tor życia, którego sam by sobie nigdy nie wymyślił, paskudny, smutny, może nawet żalony?

Wyjęła pistolet i ruszyła w stronę kulochwyków. Na razie nie włączała latarki, błyskawice przecinały niebo tak często, że można było spokojnie korzystać z dobrodziejstwa ich światła. Gromy grzmiały na razie niezbyt często, jakby dopiero stroiły swoje bębny, trąby i waltornie, ich czas jeszcze przyjdzie. Grube krople deszczu

spadały na ziemię, wielkie niczym truskawki, które dziś z takim smakiem zajadała na użyźnionej trupem grządce. Spadały z nieba powoli, jakby też miały czas i nigdzie im nie było śpieszno, jedna tu, druga tam, z głuchym i nieprzyjemnym pacnięciem. Jedna trafiła Glebę prosto w nos, zimna, śmierdząca kurzem.

Samochód! Zauważyła go w świetle kolejnego rozbłysku, stał wtopiony prawym bokiem w ścianę lasu, kilkanaście metrów przed wejściem na teren dawnej strzelnicy. To był opel używany przez dochodzeniówkę, samochód Witczaka.

Podeszła na ugiętych nogach bliżej, zerkając przez okno do środka. Pusto. Nie potrzebowała latarki, kilka serii błyskawic pozwoliło jej dokładnie zlustrować wnętrze auta.

Ruszyła dalej, zastanawiając się, czy w ogóle przyda się jej latarka. Postanowiła na razie korzystać z pistoletu, błyskawice zwiększyły częstotliwość, zamieniając całą scenerię w wyprany z kolorów upiorny film, ciężkie basy grzmotów stawały się coraz mocniejsze, zdawało się, że ziemia zaraz zacznie drżeć od tego pomruku, tylko krople deszczu nadal spadały powoli z gracją martwej szarańczy.

Piękny, mocny niczym biały ogień błysk rozświetlił cały teren. Gleba odruchowo zamknęła oczy, a po ich otwarciu coś jej nie dawało spokoju, w lesie po lewej coś było. Weszła między krzaki i w świetle kolejnych błyskawic znalazła ukryty samochód. Ktoś tam wjechał, tratując krzaki i małe drzewka, bez litości dla lakieru i zawieszania. Znała to auto, duże i czarne, z rękawicami bokserskimi przyczepionymi do lusterka. I bez tablicy rejestracyjnej z przodu. Puste.

Ruszyła w stronę polanki, na której stały opuszczone betonowe kulochwyty. Dopiero teraz do niej dotarło, że nie czuć żadnego wiatru, który zazwyczaj towarzyszył burzy, podmuchy nie gięły gałęzi, nie wprowadzały upiornej atmosfery. Wszystko stało, powietrze było niczym zamrożone, zatrzymane pilotem z przyciskiem pauza. Tylko oślepiający błysk, huk grzmotu i krople deszczu nadal niespiesznie zmierzające do ziemi.

– Gleba – usłyszała szept z boku i nieomal nie strzeliła z nerwów.

– Karol, nie strasz, kurwa – syknęła.

Kłęczał na kolanie, trzymał pistolet skierowany w dół, od polany odgradzał go jeden rząd krzaków.

– On tam jest – wysapał, wskazując pistoletem kulochwyty.

– Witczak?

– Tak. W tej wnęce.

– Widziałeś go?

– Tak. Wieształ chyba kogoś na łańcuchu... albo to moja jebana wyobraźnia. Ale to on, na pewno.

– Masz latarkę?

– Mam, ale małą, kieszonkową.

– Dobra, podejźmy tam cicho, ty od prawej, ja od lewej. Zapalimy latarki, jak już go zobaczymy. Powinno się udać, jest zajęty.

– I co dalej?

– Aresztujemy go. Masz kajdanki?

– Nie.

– Dobra, ja go skuję, ty będziesz go trzymał na muszce. Na razie nie odbezpieczaj broni.

– Zgoda. Ruszamy?

– Tak.

Obydwoje ruszyli lekko przygarbieni przez plac, starając się zachowywać cicho, ale nie było takiej potrzeby, kanonada gromów miotanych przez burzę skutecznie zagłuszała wszelkie odgłosy kroków.

Błyskawice, szalejące po niebie niczym demony spuszczone ze smyczy przez boga burzy, pokazywały kolejne klatki filmu, którego tak bardzo Gleba nie chciała oglądać, ale niestety seans był przymusowy.

Plac, drzewa, betonowe budynki. Czarny prostokąt wejścia. Błysk w środku. Człowiek.

Gleba przesunęła przełącznik latarki i snop światła wdarł się do paskudnego betonowego klocka, który za pierwszym razem, gdy jeszcze oglądała tutaj ciało Posejdona, skojarzył się jej z garażem dla autobusów. Dziś przypominał pieczarę, w której mieszka okrutna bestia siejąca grozę wśród okolicznej ludności, wiecznie głodna, bezrozumna, chłepcząca krew.

– Stój, policja! – krzyknęła Gleba, jeszcze nie mając pewności, czy jasny promień rzucany przez latarkę wyłowił z ciemnego wnętrza Witczaka, czy jednak kogoś innego.

Mężczyzna stał odwrócony do nich plecami, głowę podnosił wysoko, jakby oglądał obraz w galerii sztuki, rzadki, cenny i wart uwagi. Jednak nie byli na żadnym wernisażu, nie pyszniły się przed nimi dzieła Kossaka czy Matejki, stali wśród powoli spadających kropel deszczu na nieco zapomnianej strzelnicy, brudnej i śmierdzącej, a przed oczami mieli łańcuch zwisający z sufitu kulochwyty, dźwigający na wykutych ogniwach ciało mężczyzny, szczupłego, ubranego w nowy dres, jeszcze niedawno narzekającego na swoje problemy z pamięcią.

Mężczyzna odwrócił się powoli, lekko unosząc ręce, w jednej miał latarkę, w drugiej telefon komórkowy.

– Spokojnie, to ja – powiedział Witczak z bladym uśmiechem.

– Nie ruszaj się – rzuciła mocnym głosem Gleba. – Odłóż to, co trzymasz w rękach, odwróć się i połóż na ziemię, ręce na plecach.

– Co? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Dobrze słyszałeś.

Witczak odwrócił się w stronę zwłok, potem ponownie spojrzął na nich, jego mina pokazywała skrajne niedowierzenie.

– Myślicie, że to ja?

– Połóż się i ręce do tyłu – powtórzyła Gleba.

– Nie – odpowiedział. – Chyba was pojebało. Przecież ja dopiero co przyjechałem, sprawdziłem polanę i wszedłem do kulochwyty, znalazłem to. Iga, serio?

– Położysz się, skujemy cię, a potem dopiero sobie porozmawiamy – powiedziała Gleba. – Jak chcesz coś wyjaśniać, to właśnie tak zrobimy.

– Nie – odparł.

– Kładź się, kurwa! – Damięcki podniósł głos i pistoletem wskazał mu ziemię.

– Nie.

Zerwał się wiatr, uderzył w nich zimnym oddechem burzy, zwiastując rychły początek nawałnicy.

– Daniel, po prostu to zrób, nie komplikuj tego wszystkiego – odezwała się spokojnym, ale też już nieco zmęczonym głosem Gleba.

– Nie. Najpierw to ty mi powiesz, co ci strzeliło do łba, aby mnie podejrzewać o te zbrodnie. Wytłumacz mi, jeśli to będzie się trzymało kupy, to zrobię, o co prosisz. Tylko szybko, bo zaraz lunie.

– Widzisz, kto tam wisi? – zapytała Gleba.

– Ten bezdomny, którego przywieźliśmy z Rzeszowa – odpowiedział.

– Zleciłam na komendzie Sawickiemu, temu młodemu policjantowi, zorganizowanie transportu do Rzeszowa. Ty przejąłeś Dziwisza, ślad po nim zaginął, teraz wisi tutaj. Klei ci się ta teoria?

– Klei.

– To kładź się.

– Przejąłem go, bo miałem jechać do Rzeszowa w sprawie tego pieprzonego muralu. Rano dostałem od nich wiadomość, żebym przyjechał, bo mają kolesia, który mógł to zrobić, zamknęli go za malowanie po pociągach. W chwili, gdy już miałem jechać, zadzwonił telefon. To był mój informator, dał mi namiar na mieszkanie, w którym podobno ukrywał się mój malarz od papieża. Powiedział, że stoi puste do wieczora, bo koleś wyszedł i zostawił swoje graty, ale wróci. Od razu tam pojechałem.

– Zostawiłeś Dziwisza?

– Tak. Powiedziałem mu, żeby wrócił na dyżurkę i poprosił o transport powrotny do Rzeszowa, bo ja jednak nie jadę. Przy mnie wstał i ruszył w stronę drzwi, za kłamkę łąpał. Ja wsiadłem do samochodu i pojechałem na ten kwadrat.

– A co robisz tutaj?

– W tym mieszkaniu były jakieś resztki żarcia i sporo puszek z farbą. Na jednym z kartonów były dane przesyłki, adres i numer telefonu. Sprawdziłem ten numer, oczywiście prepaid zarejestrowany na jakiegoś Białorusina. Chłopaki wrzuciły go do monitoringu i godzinę temu dostałem info, że numer się uaktywnił i zalogował dokładnie w tym miejscu. Więc przyjechałem. Klei ci się, Gleba? Jak tam twój warszawski instynkt?

Gleba myślała, intensywnie, mimo grzmotów, błyskających piorunów i wzmagającego się wiatru. Witczak dopiero co tu przyjechał, chwilę przed nią, może kwadrans. Zdążyłby wyjąć ciało i zawiesić je na łańcuchu? Pewnie, że tak, bez problemu. Złapał Dziwisza, woził go cały dzień i tu przyjechał. Jego samochód stał przy drodze. Samochód. Właśnie, samochód.

– Karol, czym tu przyjechałeś? – zapytała Gleba.

Padł strzał, który mimo coraz głośniejszej burzy nie dał się pomylić z żadnym uderzeniem gromu, o nie, no i od uderzenia pioruna gdzieś tam daleko nie pada się na ziemię, jak zrobił to właśnie Witczak.

– Ani drgnij! – usłyszała z boku. – Odrzuć pistolet, bo ciebie też zapierdołę.

Stała nadal z bronią wyciągniętą przed siebie, ale patrzyła na Damięckiego, który celował prosto w nią. Nie było najmniejszej szansy, aby zdążyła odwrócić się i strzelić.

– Karol? – powiedziała trochę bez sensu, ale nie mogła nic z siebie wydusić.

– Ale wszystko koncertowo spierdoliłaś! – wyrzucił z siebie. – Musiałaś tu przyjeżdżać? Rano stalibyśmy we dwójkę przed komendantem i prezydentem miasta, przyjmowali gratulacje, awanse, ty przeniesienie do Warszawy. Ja pierdołę, jak to baba, musi wszystko spierdolić.

– Ale po co to wszystko?

– Widzisz, Iga, ty jesteś warszawski pies, policjantka z głową na karku, a i tak się nie zorientowałaś. Dałaś się robić tak koncertowo w chuja, że aż mi głupio było. Wiem jednak, że jesteś dobra, może i tam coś spierdoliłaś, owszem, ale masz łeb na karku. Kobiety może i nie są tak mądre jak faceci, ale kombinować potrafią. Połącz kropki. Ale wcześniej odrzuć pistolet.

– I tak mnie zabijesz.

– Może tak, może nie.

Jak mawiał Jaskier do Wiedźmina? Gdy stoisz na szubienicy, to poproś o szklanekę wody, cholera wie, co się może wydarzyć.

Odrzuciła pistolet, ale na lewo, jak najdalej od Damięckiego.

– I latarkę – dodał.

Posłuchała. Podeszedł powoli do ciała Witczaka, cały czas w nią mierząc. Kucnął, zmierzył mu puls, uśmiechnął się. W błysku piorunów wyglądał wyjątkowo upiornie.

– Pierwsze morderstwo. To ty zjawileś się pierwszy na miejscu zbrodni – powiedziała.

– Tak.

– Drugie, byłeś ze mną w kinie. Ale to nie był nasz sprawca, tylko sąsiad.

– Zgadza się.

– Faktyczne drugie, czyli Słodkiego. Byłeś w Rzeszowie z Matyldą. Wysłałeś mi nawet zdjęcie.

– Owszem.

– Ale dostałam je późnym wieczorem, a było robione za dnia, drugie w trakcie zachodu słońca.

– Brawo.

– Zgarnąłeś Dziwisza z komendy, Witczak ruszał sprawdzić mieszkanie, a ty wtedy zabrałeś Dziwisza ze sobą, jesteś policjantem, nie podejrzewał niczego. Miałeś szczęście, niezły zbieg okoliczności.

– Za kogo mnie masz? To nie był przypadek. To ja przygotowałem mieszkanie tego niby-malarza, sam zadzwoniłem do Witczaka z innego numeru i z modulatora głosu, banalna rzecz obecnie, i podrzuciłem mu informację. Numer na pudełku nie był przypadkiem, wiedziałem, że jak go znajdzie, to da od razu do monitorowania, a gdy się uaktywni, to tu przyjedzie.

– Samochód Alberta?

– Przecież nie mogłem jeździć swoim. Twój chłoptaş ma sporo za kołnierzem, handel niedozwolonymi farmaceutykami, sterydami, dokładnie rzecz ujmując. Przyłapałem go, więc nie miał wyjścia, pożyczał mi samochód, gdy tylko był mi potrzebny. Dobrze, że nie pojechałaś do niego od razu po znalezieniu tablicy. Gdybyś nie odłożyła tego na później, to kto wie. Ale zjechałaś. Gdy tylko wyszło z tą tablicą, to zadzwoniłem i kazałem mu się zawijać.

– Dobrze zaplanowane.

Damięcki wyjął z kabury pistolet Witczaka, wymierzył w nią, swój schował.

– Pewnie, że dobrze – powiedział. – Witczak przyjeżdża na miejsce, zastaje scenę zbrodni, niestety zostaje zamordowany, ale ja bohatersko łapię przestępcę.

– Nikt by nie uwierzył, że to on jest mordercą.

– Gleba, ja pierdołę, ty uwierzyłaś! Chciałem go zjechać, bo mnie po prostu wkurwiał, robił mi pod górkę i nienawidził z całego serca. Od zawsze. Mordercą będzie

ten cały Szwendacz, leży tam i czeka na swoją wielką rolę. – Kiwnął głową w stronę kulochwyty. – Witczak przyjeżdża, ten się na niego rzuca, nasz bohaterski policjant ginie na służbie, ja zabijam Szwendacza i ciach, sprawa rozwiązana, gloria, alleluja, wszyscy są szczęśliwi. No, ale teraz mocno się wszystko pojebało. Witczak musi zastrzelić ciebie, ja jego, bo oczywiście broniłem ciebie. Będą musieli sobie to wszystko posklejać, dlaczego do ciebie strzelił, ale coś pewnie się wymyśli, może też był w coś umoczony?

Stał na wprost niej z pistoletem zabranym Danielowi, wycelowanym prosto w jej pierś. Uśmiechał się, widziała to dokładnie w każdym kolejnym błysku pioruna.

– Nie spytasz, dlaczego to robiłem?

Wzruszyła ramionami.

– Potrzebowałem dużej sprawy, seryjnego grasującego po Stalowej Woli, wiesz, matki straszą nim dzieci, gość wzbudza postrach.

Postrach. Uśmiechnęła się. Już miała do czynienia z takimi, którzy żerowali na strachu, nie wyszło im to na dobre.

– Miało się skończyć na jednym śmieciu, tym Posejdonie – ciągnął Damięcki. – Ale nie, cały czas pierdoliłaś to swoje, że seryjny to minimum trzy trupy. Szkoda doktorka, gdybym wiedział, że to fałszywy menel, może bym znalazł inną ofiarę.

– No to masz swoją sprawę.

– Mam. Nie wybije się na plecach mamusi, jak wszyscy mi wieszczą. Ba, nawet ty chciałaś skorzystać z jej protekcji. Wszyscy gardzicie ludźmi, którzy mają kontakty, znajomości i z nich korzystają, bo sami takich nie macie. Co za dwulicowość, rzygać się chce. Gadali ci bezdomni o Wampirze, to dostali Wampira. Zabijałem te ludzkie śmieci, wrzody na zdrowej tkance społeczeństwa. Miał być tylko jeden, ale potem wyskoczyli wszyscy z tym seryjnym, to poszło. Nikt ich, kurwa, nawet nie żałował, nie urządzono protestów, nocnych czuwań, straży sąsiedzkiej, marszu milczenia. Nikogo, kurwa, nie obchodzą. I nigdy nie zrobili niczego dobrego.

Huknął grom i Damięcki padł jak rażony piorunem. Gleba aż zamrugła z zaskoczenia, chcąc zobaczyć, co się właściwie stało. To Witczak, jednak żył? Odzyskał przytomność i podciął Karola?

Nie, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał morderca, zobaczyła mężczyznę oblepionego krwią z dużym nożem w prawej dłoni. W rozrywaniu przez błyskawicę mroku jawił się niczym duch, który nagle pojawił się wprost spod ziemi, jeszcze umazany cmentarną ziemią.

– Śmieć!

Usłyszała tylko to jedno słowo, krótkie i ciężkie niczym krople deszczu, które coraz zwawiej sobie poczynały, nabierały mocy, urywały się z nieboskłonu i spadały

wściekle na ziemię.

Mężczyzna odrzucił nóż i upadł na kolana. Pamiętała go, to był Szwendacz, ten, który tak intensywnie przypatrywał się jej pod Metalowcem.

Serce waliło jej tak głośno, że wewnątrz zagłuszało całą burzę, zaczynającą szaleć nad miastem. Rzuciła się po swój pistolet, a potem od razu do ciała Damięckiego.

Żył.

Na Stalową Wolę spadła cała masa wody, jakby ktoś rozpruł niebo nad miastem.

Próżny trud, grzechów popełnionych w ostatnich dniach nie zmyje nawet największy deszcz.

ROZDZIAŁ 8

1 maja 2023 roku

1.

Mieszkanie Igi Ziemnej, ulica Okulickiego, Stalowa Wola

Godzina 7.00

Patrzyła na Alberta, siedzącego przed nią niczym złapany na ściąganiu uczniak. Torba z przyniesionym przez niego śniadaniem stała na stole, nierozpakowana. Gleba nie chciała jeść, była wkurwiona i chciała mordować.

– Pójdę siedzieć? – zapytał.

– Tak – odparła od razu, chociaż nie miała co do tego pewności.

– Ale ja nie wiedziałem, do czego mu potrzebny mój samochód. Mówił, że na dupy jeździ i nie chce, żeby ktoś w mieście wiedział, a szczególnie ta jego Matyllda i rodzice.

– No i ja. Tu jest sedno sprawy.

– Wiem, ale to wyszło dopiero po kinie. On nie miał o nas pojęcia.

– Mówiłam, że chodzi o sprawę, wystarczyło wyjaśnić.

– Zostawiłabyś to dla siebie? – Wreszcie podniósł głowę i na nią spojrzął.

– Tak! – odpowiedziała twardo na potrzeby dyskusji, bo nie miała pewności, że tak właśnie by postąpiła. No dobra, raczej by go wsypała, niestety. Handel sterydami, a przy tym pewnie i narkotykami, to poważna sprawa.

Spuścił ponownie głowę.

– Co mam robić? – zapytał.

– Idź na policję, poinformuj o wszystkim. Sąd bardzo łaskawie patrzy na skruszonych przestępców. Chłopak na razie jest w śpiączce farmakologicznej, ale mają go wybudzać jutro rano. Lepiej, żebyś ubiegł jakiegokolwiek jego zeznania.

– Aresztują mnie?

– Nie sądzę. Weź adwokata, powinien ci tak ogarnąć, żebyś był tylko na dozorze.

Zapadła cisza, chociaż Gleba hamowała się, żeby nie wybuchnąć. Powinna dać upust swojej złości, głównie tej do siebie, że zbagatelizowała kwestię samochodu Alberta. Ale nie, nie zrobi tego, była kobietą, to ona decydowała, kiedy i o co będzie się kłócić oraz z jaką intensywnością. Albert już nie zasługiwał na jej uwagę.

– A my? – zapytał.

– A my spotkamy się na sali sądowej, gdzie będę musiała gęsto się tłumaczyć ze znajomości z tobą.

– Ale...

Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. Oczywiście musiała na klatce akurat przechodzić wścibska sąsiadka.

– Coś się stało? – zapytała starsza kobieta.

– Ależ nic, ja tylko wyrzucam śmieci – odpowiedziała Gleba.

Kobieta ruszyła dalej, ale zapuściła głębokiego żurawia do jej mieszkania. Iga zmrużyła oczy, nie, nie może wybuchnąć. Poczowała zapach Alberta, gdy przechodził obok niej, a potem zamknęła drzwi, delikatnie.

Spojrzała na stół, nie zabrał śniadania. Może to i dobrze.

2.

Szwendacz

Gdzieś

Deszcz zmywa jedynie kurz z ulic, syf zostawiony przez ludzi ciężących tej planecie niczym pchły bezdomnemu psu, ale nie poradzi sobie z brudem złych uczynków. Krzywdy uczynione mówą nie boją się deszczu, są nań niewrażliwe, te zrobione uczynkiem także, mieszkają bezpiecznie w ludzkim poczuciu krzywdy, zdecydowanie rzadziej w sumieniach, a i po zaniedbaniu spadająca z niebios woda nie posprząta. Płynąc ulicami miasta, pociągnie za sobą niedopałki papierosów bezmyślnie rzucone pod nogi, resztki jedzenia walające się przy krawężnikach, plastikowe butelki, szeleszczące woreczki i tyle. Grzechów tak się nie zmywa.

Myślą, mówą, uczynkiem i zaniedbaniem.

Zaniedbaniem.

Mógł zostać na miejscu zbrodni i pomóc tej policjantce, ale najpierw musiał sobie wszystko przemyśleć, a do tego potrzebował spokoju, a nie czterech ścian aresztu. Było to dziecinnie łatwe, wystarczyło dać dwa kroki w tył, a noc i kurtyna spadającej z nieba wody ukryła go niczym najlepszego przyjaciela.

Gdy już uspokoił oddech, a potem znalazł schronienie, gdy wyschły mu już włosy, przebrał się w suche ubranie, to myśli zdążyły także odpocząć i spokojnie rozsiaść się w jego głowie, a wtedy postawiły sprawę jasno: tamten świat nie jest dla ciebie. Szwendacz nigdy nie bał się ciemności, nawet i zwyczajnych ludzi, ale urzędy, sądy i biurowce przerażały go od zawsze.

Jeśli wróci, to co go czeka? Areszt, zeznania, sale sądowe i najpewniej oskarżenie o zamordowanie policjanta, tego, który go porwał. No i była jeszcze kwestia drugiego, tego, co go przetrzymywał. Złapali go? A może nie i znowu przyjdzie w nocy i go

uciszy, jako świadka. Co z tego, że będzie siedział w celi? Czytał wielokrotnie w gazetach, jak zamknięci więźniowie popełniali samobójstwa.

A jemu mimo wszystko chciało się żyć.

ROZDZIAŁ 9

2 maja 2023 roku

1.

Powiatowy Szpital Specjalistyczny, ulica Stanisława Staszica, Stalowa Wola

Godzina 9.00

Gleba nie chciała spotykać się z Karolem Damięckim, był dla niej żywym wyrzutem sumienia, pomnikiem sprawy, o której chciała jak najszybciej zapomnieć. Najpierw problem załatwiał fakt, że chłopak jest w śpiączce, więc spotkanie zostało naturalnie odłożone w czasie, co oczywiście jej pasowało. Ponownie. Ile jeszcze razy przyłapie się na ułdze odkładania czegoś na później? Dawna Gleba powinna warować przy szpitalnych drzwiach i gdy tylko ten skurwiel otworzy oko, dopaść go jak wilk chorego zająca i rozszarpać na strzępy.

Straciłaś zęby, Iga, ot co! Taki z ciebie wilk, co to jego skóra leży przed kominkiem. Odkładanie rozmowy z matką to jedno, ale policyjnej roboty – to całkiem inna bajka. Czuła się jak w dawnych kreskówkach, gdzie na jednym ramieniu bohatera siedział diabełek, a na drugim aniołek, z tym że u niej przycupnęła malutka Gleba i wcale nie większa Iga.

Sytuacja zmieniła się, gdy dostała rano telefon od Maryny, że Damięcki został wybudzony i jego stan jest na tyle stabilny, że lekarz nie widzi przeszkód w rozmowie z pacjentem. Zostały tutaj uruchomione wszelkie znajomości, bo matka Karola już poruszyła niebo i ziemię, aby przewieźć go do szpitala MSWiA w Warszawie. Mieli mało czasu na swobodną rozmowę. Mało tego, polityczne umocowania europosłanki mogły poskutkować całkowitym odsunięciem lokalnych stróżów prawa, w tym prokuratury, od sprawy. Musieli działać.

– Ja już – oświadczyła Maryna, wychodząc ze szpitalnej izolatki, w której przebywał Damięcki. – Bardzo chce cię zobaczyć.

– Bez wzajemności – odparła Gleba.

– Oj, wiem, kochana. – Uśmiechnęła się prokuratorka. – Chce trochę napawać się, hm, zwycięstwem. Jest z siebie niezmiernie dumny. Aha, konsultował się rano telefonicznie ze swoim adwokatem, więc za dużo nie mówi.

– Nie można tego było jakoś zablokować?

– Niestety. – Kolasińska wzruszyła ramionami. – Uświadomili mu, że mamy pewne dziury w materiale dowodowym. Te, o których ci wspominałam.

Gleba skinęła głową. Dla prokuratury zabawa dopiero się zaczynała, musieli zgromadzić materiał dowodowy i podeprzeć nim postawiony akt oskarżenia. Maryna wcześniej nakreśliła jej, gdzie najpewniej uderzą obrońcy. Świadek w postaci Szwendacza zniknął. Mieli tylko jej zeznania i kupę poszlak. Nie wyglądało to zbyt kolorowo, a raczej, jak to określiła swoimi pięknymi, słowiańskimi ustami Maryna: było chujowo.

Gleba weszła do sali szpitalnej, w której spoczywał podpięty do aparatury medycznej Karol Damięcki. Był dodatkowo przypięty do łóżka kajdankami, a okno szpitalne wzmocnione kratami pozwalało jedynie podziwiać świat zewnętrzny, jednocześnie pilnie strzegąc dostępu do niego. Siedzący w rogu pomieszczenia policjant skinął jej głową.

– Kawy się napij – poleciła mu Iga, a ten bez szemrania wstał i wyszedł.

Spojrzała na Karola, który wyglądał bardzo zdrowo, jakby leżał tu na kontrolnych badaniach, a nie po ciosie nożem w plecy. Rana okazała się niegroźna, ominęła najważniejsze organy, uszkadzając jedynie płuco. Leżał rumiany wśród białej pościeli i nowoczesnej aparatury, uśmiechnięty. Pewnie miał świadomość, że może się z tego wywinąć.

– Po co ci to było? – zapytała i poczuła się jak własna matka, która za priorytet uznaje znalezienie winnego i dosłanie odpowiedniej dawki wyrzutów, a nie rozwiązanie problemu.

– Ale co?

– Zjebałeś sobie życie.

– Tak?

– Przecież wiesz, że przestępcy, a mordercy w szczególności, przeliczają się w kwestii możliwości zacierania śladów.

Karol zaczął się śmiać, może nie do rozpuku, ale dość głośno i szczerze, na ile pozwalał mu opatrunek i uszkodzone płuco. Gleba czekała, nie zamierzała reagować, upatrując w tym zaczepki. Aparatura pokazała wzrost tętna, naprawdę było mu wesoło. Po niecałej minucie chłopak przestał się śmiać, otarł grzbietem dłoni oczy z łez i spojrzał na nią rozbawiony.

– Przeliczyłem się? – zapytał. – Jedyne co, to nie doszacowałem twoich możliwości, Iga. Tylko to. Od samego początku działałaś przy tej sprawie jak nowicjuszka. Nie, wybacz, jak zasiedziały na prowincji gliniarz, któremu marzy się już tylko spokojna emerytura, pierdzenie w wędkarskie krzeselko i picie kolejnego browara.

– No cóż – powiedziała Gleba, przetykając ślinę. – Niestety muszę przyznać ci rację.

– I nic tu się nie zmienia, Iga. Nic. Myślisz, że skoro stoisz tam sobie cała dumna, a ja leżę tutaj – potrząsnął wymownie dłonią z kajdankami – to nagle wrócił ci instynkt? Zrób chociaż raz porządną policyjną robotę. Zdejmij tę bajerancką kurteczkę, weź ołówek, notesik i pisz. Ustal fakty, postaw hipotezy, odsiej nieprawdopodobne i już. Tyle, co? Tak mało, ale dla ciebie za dużo. Bo uwierz mi, prawnicy zatrudnieni do mojej obrony zrobią z twoich ustaleń taką mielonkę, że w pewnym momencie zaczniesz się zastanawiać, czy to wszystko miało miejsce, czy też po prostu ci się śniło i był to kurewsko nieprzyjemny koszmar, najgorszy w twoim życiu. Sprawa niby zamknięta, ale ile tutaj mamy dziur, jak wiele niewiadomych. Cała kupa. Już ze mną rozmawiali i poprawili mi humor.

– Gadaj sobie, Karolku, gadaj. Tyle ci zostało. Od tego jest prawnik, aby dawać nadzieję, bo dopóki ona żyje, to przychodzą przelewy na konto. Gównu mają.

– Zdziwisz się – rzucił już bez cienia uśmiechu.

– Jak mawia pewien mąż stanu: nie strasz, nie strasz...

– Podobno ten bezdomny, którego to niby porwałem, zniknął, tak?

– Myślę, że go znajdziemy.

– Gównu znajdziecie.

– Może już go mamy?

– I co ci powie? Co się z nim działo, gdy my działaliśmy na działce, co? Przecież ja byłem z tobą! Cały czas! Jeszcze nie jestem w trzech osobach, żebym mógł wszystko samemu zrobić.

Gleba spojrzała z triumfem, a Karol rzucił bezgłośnie „kurwa”, wiedząc, że zdradził coś, czego nie powinien.

– Miłego pobytu w areszcie – powiedziała i wyszła, wpuszczając do środka policjanta, który pilnował Damięckiego.

Karol milczał.

2.

Osiedle Pławo, Stalowa Wola

Godzina 12.00

Gleba spoglądała na puste mieszkanie i w myślach przeklinała tak soczyście, że gdyby ktoś teraz puścił tę wiązanekę przez głośniki, to nawet najstarszym policjantom zwiędłyby uszy.

– Czysto, pani podkomisarz – zaraportował jej oficer dowodzący grupą uderzeniową.

– Dzięki – mruknęła i machnęła ręką, dając im znać, że są wolni.

– Jesteś pewna, że Karol miał współnika? – zapytał Bednarski, który chciał osobiście nadzorować akcję wejścia do mieszkania Alberta Króla, żeby oddział

specjalny nie pomylił drzwi.

– Miał – potwierdziła. – Niestety. Musiał mu ktoś pomagać i jestem pewna, że to był właśnie Król.

– Czyli... – zaczął Bednarski, urywając w pół zdania, jakby słowa zastrajkowały i postanowiły nie rozbrzmieć w mieszkaniu pełnym policjantów.

– Czyli mój były partner, który oszukał mnie koncertowo – skończyła za niego Gleba. – Nie ma co tutaj się krygować, tak było i trzeba zjeść tę żabę.

W dodatku sama go poinformowała o stanie zdrowia Karola. Dopóki chłopak był w śpiączce, nic mu nie groziło. Jej przełożony pokiwał głową, rozglądając się bezradnie po pustym lokalu.

– Niewiele się spóźniliśmy, co? – zapytał po chwili.

– Na to wygląda – odparła. – Zwinął się. Dopóki Damięcki był w śpiączce, to nie mieliśmy na niego nic, ale wiedział, że się wybudzi, i możliwe, że nie będzie go chciał kryć. Prawnicy pewnie namówią Karola, żeby całą winę przerzucił na swojego współnika. Jeszcze się okaże, że był szantażowany i jest ofiarą tej sytuacji.

Bednarski nie odpowiedział, przetarł tylko twarz dłońmi, doskonale zdawał sobie sprawę, że to realne zagrożenie.

– Prokuratura nas ukrzyżuje – stwierdził po chwili.

– Może trafimy na ołtarze.

– Iga, to nie jest dobry moment na żarty – zachnął się. – Cała szansa w tym drugim tropie.

– Psy od narkotyków jadą? – zapytała.

– Tak. Ta teoria akurat trzyma się kupy, chłopaki od narkotyków z Rzeszowa mieli Króla na oku i potwierdzili twoje przypuszczenia. Jeśli w tym mieszkaniu były jakiegokolwiek prochy, to psiaki to wyczują i będziesz miała potwierdzenie.

– No to do działania – zarządziła. – A drugi piesek?

– Powinien być na miejscu – odpowiedział Bednarski, zerkając na zegarek.

– Jedziesz ze mną?

– Nie, dopilnuję tutaj. Jedź i działaj. Jestem ciekaw twojego przeczucia.

– To raczej wniosek. Ten wycięty kwadrat trawy na kulochwytach od samego początku nie dawał mi spokoju.

Wyszła nerwowym krokiem, zbiegła po schodach i szybko wsiadła do samochodu. Droga na kulochwyty minęła jej wśród potoku przekleństw, które mogła już rzucać na głos.

3.

Kulochwyty, Stalowa Wola

Godzina 13.00

Zajechała na dobrze sobie znane miejsce, obiecując sobie, że jej noga już nigdy więcej tu nie postanie. Czekał już na nią przewodnik z psem tropiącym.

– Cześć – rzucił. – Piękny dzień!

– To się jeszcze okaże – odpowiedziała. – Daj mi chwilę. Muszę coś sprawdzić.

Wyjęła z kieszeni worek na dowody, a z niego składany nóż należący do Karola. Ten sam, którym przeciął pasy w foteliku dziewczynki uratowanej przed utonięciem w Sanie. Klęknęła nad wyciętym fragmentem trawy i dołożyła ostrze do krawędzi. Pasowało idealnie.

– Stąd zaczynamy? – zapytał przewodnik.

– Tak – odpowiedziała. – Ze dwa razy padało, twój przyjaciel może mieć ciężko. – Wskazała na siedzącego spokojnie przy nodze policjanta czarnego labradora.

– Bidon sobie poradzi – powiedział, poklepując psa po głowie. – Raz poprowadził po tropie, który miał trzy miesiące, chociaż to właściwie graniczna data dla śladu zapachowego. Co masz? Tylko też nóż?

– Mam koszulkę – powiedziała, wręczając mu T-shirt, który po kąpielu w Sanie do tej pory jeździł z nią w samochodzie.

Przewodnik podał psu zapach, ten ruszył niemal natychmiast, trochę kręcił się w miejscu, ale po chwili skierował się w stronę tylnego wyjazdu z kulochwyków. Gleba już miała poinformować, że to będzie fałszywy trop, bo przecież przyszli tędy swego czasu z Karolem, ale nie odezwała się, sama nie lubiła, jak ktoś wpieprza się jej w robotę. Szła grzecznie za przewodnikiem i psem Bidonem i już po minucie pochwaliła się za to, że trzymała gębę na kłódkę, bo pies nie poszedł za główną ścieżką, ale w miejscu, gdzie ta skręcała w lewo, poprowadził ich na wprost. Kilkanaście metrów dalej zaszczekał.

– Coś jest – oznajmił policjant.

Gleba szybko podeszła, a z ekscytacji drżały jej ręce i przyśpieszał oddech. We wskazanym przez psa miejscu leżał wycięty kawałek trawy, który zdobiły kolorowe wymiociny, nieco zaschnięte, ale Gleba miała nadzieję, że specjaliści wyciągną z nich DNA. Karolek i jego wrażliwość na zapachy i krew. Nie jest łatwo się opanować, gdy z podejrzanego gardła chlusta krew.

– I jak, dobry dzień? – zapytał policjant.

Nie odpowiedziała. Podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

4.

Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki, Stalowa Wola

Godzina 19.00

Generał Marcin Kobieli, komendant główny policji, patrzył z pogardą na kubek z kawą, którą poczęstowano go na komendzie.

– Niedobra? – zapytała Gleba.

– Nie pijam już kawy – odpowiedział. – I teraz wiem dlaczego. Paskudztwo.

Gleba się uśmiechnęła. Jutro był wielki dzień dla miasta i prezydenta, zapowiedział swoją obecność premier, kilku ministrów, z racji ostatnich wydarzeń ściągnięto nawet najwyższego funkcją policjanta w Polsce, czyli właśnie Kobieła. To, do czego doszło przed majówką, mogło nadszarpnąć wizerunek prezydenta miasta, Mariana Szatkowskiego, więc partia rządząca zmobilizowała wszystkie siły, aby przekuć te zdarzenia w sukces i nie dopuścić do uszczerbku na wizerunku przyszłego kandydata na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

– No i co ja mam powiedzieć, Iga, hm? – zapytał generał, odstawiając kubek.

– Że w sumie wykonałam kawał dobrej roboty – odpowiedziała z uśmiechem. – Mimo pewnych niedociągnięć, z których zdaję sobie sprawę.

Byli na ty. Poznali się na jednej z imprez w Warszawie, Kobieł obiecywał jej świetlaną karierę, ale potem zdarzyło się w sprawie Postracha to, co się wydarzyło, no i odesłano ją na prowincję.

– Niby tak – zgodził się. – Ale jakoś nikt nie jest zadowolony.

– Z efektów czy działania?

– O działaniu to się szybko zapomina, skutki jednak zostają z nami na lata. Dałaś dupy w trakcie i to jest jasne, wydział wewnętrzny prześwietli twoje postępowanie, raport trafi bezpośrednio do mnie. Natomiast co do finału całej sprawy, to będziemy musieli wystosować odpowiednie oświadczenie, to po stronie twoich przełożonych na miejscu, plus mowa na jutrzejszych uroczystościach, a to już moja działka, a ja cholernie nie lubię przemawiać.

– Taka praca.

– Wiesz, dlaczego zostałem komendantem głównym policji? Bo nigdy nie musiałem się tłumaczyć.

– Panie generale, dzięki zdecydowanym działaniom odpowiednich służb Komenda Powiatowa Policji w Stalowej Woli może z dumą oznajmić, że rozwiązała w ekspresowym tempie dwie sprawy, przy okazji oczyszczając swoje struktury bla, bla, bla i tak dalej.

Generał Marcin Kobieł patrzył na nią przenikliwie i nie mogła wyczytać, co ją czeka za kilka minut.

– „Wampir z Baraków” – powiedział w końcu po chwili ciszy. – Tak określili doktora Budzińskiego. Na terenie jego posiadłości znaleziono siedem grobów ze zwłokami bezdomnych.

– Zgadza się. Mścił się za śmierć swojego syna, wyłapywał bezdomnych, torturował ich i szukał tego jednego, który podobno był sprawcą.

– Został zamordowany w końcu przez Damięckiego – powiedział generał. – Całkowicie przypadkowo?

– Tak. W jakimś swoim chorym mniemaniu Karol uważał, że mordowanie bezdomnych nikomu nie zaszkodzi. Zabił z rozmysłem Posejdon, a przypadkowo trafił na doktora Budzińskiego, co pozwoliło nam wyjaśnić sprawę tego mitycznego Wampira.

– Szkoda tego z dochodzeniówki, jak się nazywał?

– Witczak – poinformowała go. – Wszystkich szkoda.

– A Damięcki przeżył – westchnął generał. – Proces będzie długi i upierdliwy, mimo dowodów. Sprawa ociera się o jego matkę, a to polityka.

– Sam się przyznał.

– Może odwołać zeznania.

– Może. Ale zabezpieczyliśmy ślady biologiczne na miejscu zbrodni, które najpewniej powiążą go ze sprawą. Poszukujemy jego współnika, Alberta Króla, oraz tego bezdomnego, którego omal nie zabił. Miał plan zamordować go tuż po Witczaku, aby wszystko zgadzało się co do minuty. Na szczęście podczas naszej utarczki Szwendacz się obudził, odnalazł nóż, którym zamordował Słodkiego, i zaatakował Damięckiego.

– A potem zniknął.

– Burza, las, noc, napięcie – rozłożyła ręce Gleba. – Rozpłynął się w ciemnościach.

– Damięcki chciał zostać bohaterem.

– Niejako mu się udało – powiedziała z uśmiechem.

– I co teraz? – zapytał generał, chowając twarz w dłoniach. – Jutro cię odznaczymy.

Chcesz wracać do Warszawy?

– Nie wiem, w sumie mi tu dobrze – oznajmiła.

– Pieprzysz. Nienawidzisz tego miejsca.

– Polubiłam je. Zrobiło się tu całkiem bezpiecznie.

– Masz tu jakiegoś chłopaka? Planujesz założyć rodzinę? – Uśmiechnął się kpiąco.

– Jestem świeżo po rozstaniu – odpowiedziała. – Ale to miasto przyciąga.

– Niestety, komendant i prezydent cię tu nie chcą.

– Dlaczego? – odparła, udając zdumienie.

– Chcę cię posadzić za biurkiem – oznajmił nagle.

– Co? – Zaskoczenie, które pojawiło się na twarzy Igi, było tak duże, że Kobięł uśmiechnął się szeroko, po czym wypił resztkę kawy, krzywiąc się, jakby była to co najmniej ciepła wódka.

– Gangrena – powiedział, odstawiając kubek. – Tak obrazowo wyraził się o tobie prezydent tego szacownego grodu i jest to jedyne cenzuralne określenie, które jestem

w stanie przytoczyć. Pojawiłaś się i na zdrowej tkance miasta nagle doszło do takiego nagromadzenia morderstw i wszelkich patologii, jakiego nie widziano od tysięcy dziewięćset czterdziestego piątego, gdy nadano Stalowej Woli prawa miejskie. Wybiło szambo, tak powiedział.

– Gangrena. – Gleba wypowiedziała te słowa powoli, jakby je smakowała. – Podoba mi się. Z tego, co wiem, to ona nigdy nie pojawia się sama z siebie na zdrowej tkance. Musi być rana, zaniedbana, nieodkazona, gdzie zalegną się bakterie i doprowadzą do poważnej choroby. Ratunkiem jest amputacja, dzięki temu można uratować resztę zdrowego organizmu.

Kobieł uśmiechnął się ponownie i pokręcił głową niczym ojciec na widok wyczynów swego nieokiełznanego dziecka.

Gangrena, pomyślała Gleba.

Ładnie!

EPILOG

3 maja 2023 roku

Godzina 6.00

Gleba zatrzymała się przed marketem Carrefour, strzepnęła jakiś paproch z rękawa swojego galowego munduru. Generał Marcin Kobieli prosił, aby na uroczystościach wyglądała pięknie i bardzo służbowo, zostanie odznaczona i najpewniej od razu otrzyma przeniesienie z powrotem do stolicy. Niech tylko przyjdzie, pouśmiecha się, uściska kilka rąk. Tyle.

Miała nie iść, przetestować jego cierpliwość, ale w nocy się jej odmieniło. A co tam. Niech ma. Oczywiście nie mogła przyjść z pustymi rękami, więc postanowiła kupić mu jakiś dobry alkohol. Dopiero pod drzwiami marketu przypomniała sobie, że dziś święto i sklepy są nieczynne.

Spojrzała w stronę muralu z papieżem, odnowionego i lśniącego świeżą farbą. Twarz zadumanego Wojtyły ponownie promieniała mądrością i pokojem. U stóp ściany stał zaparkowany radiowóz, a z tego, co się dowiedziała, jeden policjant pełnił dyżur na dachu bloku.

Nagle powietrze rozdarł przenikliwy dźwięk, jakby wkrętarki, tyle że dochodził z góry. Spojrzała w niebo i zobaczyła nadlatującego z dużą prędkością drona. Migał czerwonymi i zielonymi światełkami, miał coś podczepione jako ładunek i zmierzał wprost w czoło Ojca Świętego.

Chwilę później z hałasem łamanego plastiku uderzył w ścianę, przenikliwy dźwięk urwał się i kupka plastiku z głuchym łoskotem spadła na dach radiowozu. Po twarzy Jana Pawła spływała czerwona struga, ciągnąc się od czoła, powoli zmierzała do podbródka.

Gleba uśmiechnęła się szeroko. Teraz musiała iść na tę uroczystość, nie mogła sobie odmówić ujrzenia miny Mariana Szatkowskiego.

To będzie piękny dzień!

Sandomierz, 06.01.2023

OD AUTORA

W Stalowej Woli przepracowałem ponad cztery lata i podobnie jak Gleba czułem się tam, jakbym trafił do nieco innego świata, a przecież mieszkam około trzydziestu kilometrów od tego miasta, skąd więc taka różnica? I dlaczego odważyłem się nazwać w jednej z książek Stalową Wolę „Sosnowcem Podkarpacia”?

Gdy stawiano Hutę Stalowa Wola, to ściągano do jej budowy mnóstwo ludzi z całego kraju, którzy często zostawali, by tutaj pracować. Podobnie rzecz się miała z Sosnowcem i Hutą Katowice. W obydwu przypadkach stworzyło to istny tygiel kulturowy, w którym dość trudno wypracować mocną tożsamość przynależności do miasta (czy też regionu). Różnicę tę widać, szczególnie jeśli zna się Śląsk i jego wewnętrzną świadomość odmienności czy w porównaniu do Stalowej – Sandomierz, z jego wręcz chorobliwym patriotyzmem lokalnym. Absolutnie nie stawiam tu tezy, że któreś z miast jest lepsze czy gorsze, ale zdecydowanie sąsiadujące ze sobą regiony są tak diametralnie różne, że nie można tego przeoczyć. Zarówno w Sosnowcu, jak i w Stalowej Woli mam rodzinę i przyjaciół (zobaczmy, jak będzie teraz), mieszkam w Sandomierzu i od kilku lat pracuję w Katowicach, sami zatem widzicie, że wiem, co mówię. Kolejną książkę dla równowagi winienem osadzić w Sosnowcu...

Bardzo dziękuję Paulinie i Łukaszowi Brzozowskim za pomoc w wierniejszym osadzeniu akcji w Stalowej Woli. To Paulina już po mojej pierwszej książce wysłała mi zdjęcie kulochwyków i powiedziała: „Ej, jest takie fajne miejsce w Stalowej, gdzie można kogoś zabić”. Tomkowi Karasiowi za wizje lokalne w obozowisku bezdomnych, na kulochwykach, w szpitalu i finalnie w pubie Heaven & Hell. Gosi Kubis za kilka szczegółów dotyczących szpitala w Stalowej (tak, to ja wzbogaciłem to miejsce o możliwość przeprowadzania autopsji na życzenie policji) oraz konsultacje co do stanu zdrowia bezdomnych (tutaj pomogła także moja nieoceniona małżonka, Magdalena).

Mojej redaktorce, Dagmarze, za ciężką pracę ze swoim (mam nadzieję) ulubionym pisarzem. Czuję przy Tobie niebezpieczny komfort, że „Dagmara to wyłapie”. I wyłapujesz.

Wszystkie miejsca opisane w książce istnieją i starałem się zachować kompletny realizm lokacji. Nawet sprawdzałem most pod kątem pościgu, liczyłem drzewa nad Sanem, łąziłem po lesie za kulochwykami. I jadłem tam, gdzie bohaterowie.

Natomiast wszystkie postacie i zdarzenia powstały w głowie autora i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych jest przypadkowe. Zaznaczam, że książkę skończyłem szóstego stycznia, a zacząłem chyba jeszcze wiosną zeszłego roku, od sceny oblania muralu z papieżem czerwoną farbą. W kwietniu roku bieżącego moja redaktorka otrzymała książkę, tego samego dnia doszło do aktu wandalizmu w Stalowej Woli, ktoś oblał czerwoną farbą pomnik JP2. Dagmara od razu napisała: „Nikt Ci nie uwierzy, że napisałeś to wcześniej”. No cóż, musicie uwierzyć. Tak było, nie zmyślam.

JEŻELI SPODOBAŁA CI SIĘ POWIEŚĆ,
TO BĘDZIEMY WDZIĘCZNI, JEŚLI PODZIELISZ SIĘ
OPINIĄ NA JEJ TEMAT ZE ZNAJOMYMI
ZA POŚREDNICTWEM MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH
LUB W JAKIKOLWIEK INNY SPOSÓB.
DZIĘKUJEMY!

¹ Tekst pochodzi z utworu *Szczury* wykonywanego przez zespół Cienie.

Wydanie I

ISBN 978-83-67545-35-8

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium



Wydanie I

ISBN 978-83-67545-35-8

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

